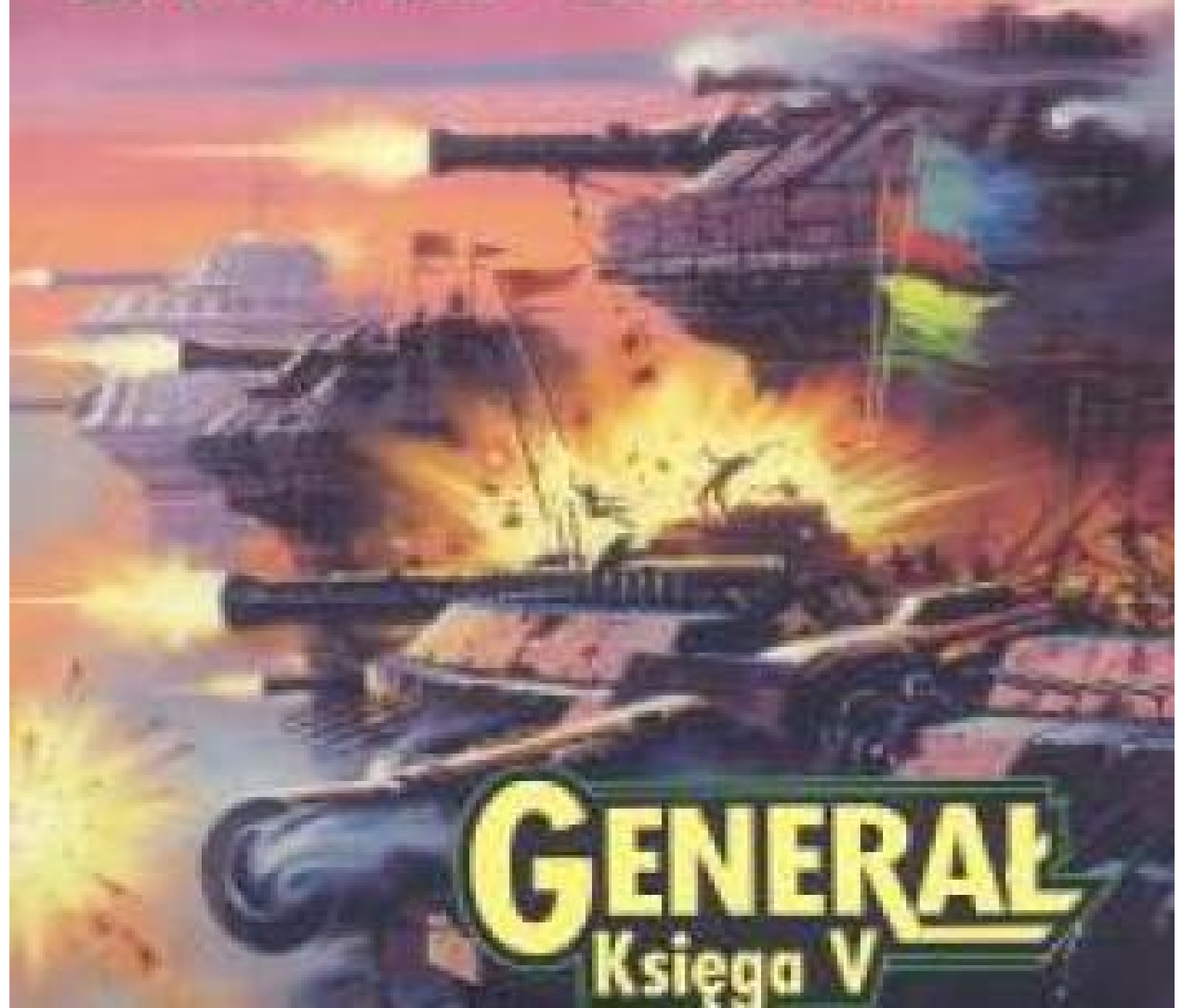


S.M. STIRLING

MIECZ

DAVID DRAKE



GENERAL

Księga V

S.M. Stirling

David Drake

MIECZ

(The Sword)

Tłumaczenie: Marta Koniarek

Generał – księga V

Dedykowane Janowi.

Rozdział pierwszy

– Raj? – wymruczał Thom Poplanich.

A potem powoli – Raj, ile masz lat?

Raj Whitehall zdobył się na uśmiech. – Trzydzieści – powiedział.

Doskonała lustrzana kula stanowiąca środek... bytu strefowej jednostki dowódczo-kontrolnej AZ 12-b14-c000 Mk.XIV ukazywała obraz zdający się zadawać temu kłam. Raj był wysoki, sto dziewięćdziesiąt centymetrów, miał szerokie barki i długie kończyny, z nadgarstkami, które byłyby grube u znacznie bardziej potężniejszego mężczyzny. Oczy miał szare, a wokół nich były teraz zmarszczki, zaś od nasady nosa do kącików ust biegły głębokie bruzdy. Obcięte „na donicę” włosy poproszone były siwizną na skroniach. To nie siwe włosy ani blizny na rękach sprawiały, iż wyglądał przynajmniej na czterdziestkę, albo beczasowo.

To jego oczy.

Thom spojrział na swój własny obraz. Nic się nie zmieniło od chwili, gdy zastygł w bezruchu, pięć lat temu. Także nie zagojone zacięcie przy goleniu na jego chudym oliwkowym policzku i rozdarcie w miękkich, tweedowych spodniach, będące dziurą po rewolwerowej kuli. Raj próbował wydostać się, strzelając, gdy zostali tutaj uwięzieni, głęboko pod Pałacem Gubernatora, w labiryntach nie odwiedzanych od czasu upadku galaktycznej cywilizacji. Nie udało mu się. Przed pewnymi rzeczami nie było ucieczki.

>>Życie to zmiana<< powiedziało Centrum. Głos starożytnego komputera przypominał ich własne myśli, ale z wibrującym tonem w jakiś sposób niosącym ze sobą poczucie ogromnego ciężaru, jak nacisk na powłokę świadomości. >>Nawet ja się zmieniam.<<

Raj i Thom podnieśli wzrok, zdziwieni. – Centrum? Ty żyjesz? – spytał Thom.

Żadne słowa nie zostały wyszeptane w ich umysłach. Thom spojrział na swego przyjaciela. *Raj wygląda jak stary człowiek.* Od pięciu lat toczył on bitwy Rządu Cywilnego, zgodnie z rozkazami Barholma Cleretta, obecnie zajmującego Krzesło... i ze starożytnym komputerem bojowym szepczącym mu w umyśle. Pięć lat czegoś takiego mogło zmienić człowieka.

Ja nie zmieniłem się nawet o włos, zewnątrz... ale to było najmniej ważne. Pięć lat

umysłowej komunii z maszyną, która przechowywała całą zebraną wiedzę ludzkości. Pięć lat albo wieczność. Pomyślał o swoim życiu przed tym dniem i było ono... nie do wyobrażenia. Mniej realne niż scenariusze, jakie Centrum wyciągało z sieci danych i stochastycznych analiz. Był wtedy tak beztroski, jak tylko mógł być młody człowiek, którego dziad był gubernatorem, aż Clerettowie zaczęli uzurpować sobie prawo do Krzesła. Na tyle beztroski, by zadzierzgnąć niezwykłą przyjaźń z młodym zawodowym żołnierzem i dzielić z nim zainteresowania relikdami cywilizacji Federacji sprzed Upadku, ukrytymi tu w dole.

Dwaj mężczyźni chwycili się za przedramiona, a potem wymienili *embrahzo* bliskich przyjaciół. Thom wyczuwał na wełnianej kurtce munduru przyjaciela węglowy dym i zapach oliwy do broni oraz psów do jazdy i jaśminowych perfum Suzette Whitehall.

Te wonie przebiły się przez lodowe poczucie pewności, jakie w umyśle wszczepiły mu nauki Centrum. Zakłuły go w oczy nie uronione łzy, gdy trzymał mężczyznę na odległość ramienia.

– Dobrze znowu cię widzieć, mój przyjacielu – powiedział cicho. – Wróciłeś z kolejnej kampanii?

– Wróciłem z Zachodnich Terytoriów, to trwało prawie rok – powiedział Raj. – Poszło... dobrze. Jeśli chodzi o całokształt.

>>Obserwuj.<< przemówił w ich mózgach chłodny głos nieżywego umysłu.

* * *

Zagrała trąbka; głuche, beczące tony pod niskimi, deszczowymi chmurami, odbijające się echem od stoków wąskiego zagłębienia schodzącego ku rzece. Kolumny plutonów żołnierzy Rządu Cywilnego zatrzymały się, a olbrzymie psy do jazdy przycupnęły. Mężczyźni zeszli z nich i pognali do przodu, rozciągając się niczym skrzydła pikującego jastrzębia. Thom widział, jak nacierające kolumny wroga się zatrzymały. Byli to barbarzyńcy w czarno-szarych mundurach Brygady, przez ostatnie pięć wieków władcy Zachodnich Terytoriów. Na ich sztandarach widniała podwójna błyskawica, biała na czerwono-czarnym polu.

Zanim znajdujący się w odległości kilkuset metrów nieprzyjaciel miał czas, by zrobić coś więcej poza obracaniem się i miotaniem, zabrzmiały rozkazy:

– Kompania...

– Pluton...

– Przedni szereg, salwą pal, *fwego*.

BAM. Dwustu ludzi złożonych w jednym strzale; czerwone błyski z luf przebijały deszcz niczym poziomy grzebień.

Tylny szereg przeszedł przez przedni. Zanim umilkły echa pierwszej palby, strzelił następny szereg – półplutonami, osiemnastu ludzi naraz, z gwałtownym, jazgoczącym hukiem.

BAM. BAM. BAM. BAM.

Punkt widzenia Centrum skoncentrował się na Raju, wyglądając przez jego oczy. Działka polowe wysunęły się pomiędzy jednostkami.

– Jeśli się przedrą... – powiedział znajdujący się obok Raja oficer. Thom rozpoznał go jako Ehwardo Poplanicha, swego kuzyna.

Żołnierze nacierali i strzelali, nacierali i strzelali. Dowódcy podążali za nimi, prowadząc swoje psy.

– Jeśli – odparł Raj.

Działa wystrzeliły kartaczami. Ładunki rozlatywały się na ograniczonej przestrzeni z maksymalną skutecznością. Dym litościwie skrył na chwilę rezultaty, a potem deszcz przegnał go z powietrza. Pięćdziesiąt metrów od czoła kolumny Brygadowcy i ich psy stanowili dywan ciał, falujący i wyjący. Człowiek bez twarzy szedł chwiejnie ku szeregowi Rządu Cywilnego, zawodząc w bezgłośnym cierpieniu. Kolejna salwa odrzuciła go do tyłu i spoczął w płataninie różowo-szarych wnętrzości psa. Zwierzę wciąż skamlało i drgało.

Brakowało tylko zapachu. Thom przełknął ślinę przez ściśnięte gardło. Miał sucho w ustach.

Nacierające siły zeszyły tak daleko w dół zbocza, że pluton rezerwy i druga bateria dział mogły strzelać im nad głowami. Fale uderzeniowe od przelatujących górą pocisków uderzyły ich w tył hełmów niczym poduszką powietrzną. Większość czoła kolumny Brygadowców *próbowała* uciekać, ale droga biegnąca obok linii kolejowej była zbyt wąska, a ścisk za nimi zbyt wielki. Ludzie pognali w górę zbocza ku zalesionym wzgórzom, gdzie czekały nomadyjskie siły pomocnicze Rządu Cywilnego.

Wówczas to sami najemnicy – Skinnerowie z północno-wschodnich stepów – otworzyli ogień ze swoich dwumetrowych karabinów do zabijania sauroidów. Lecąc w dół równego zbocza, ich piętnastomilimetrowe kule przebijały trzech albo i czterech ludzi pod rząd. Potężny dźwięk doleciał od zakleszczonego tłumu nieprzyjacielskich żołnierzy, częściowo zawodzenie, częściowo ryk. Niektórzy wyciągali swoje karabiny i próbowali odpowiedzieć ogniem, na stojąco lub chowając się za stosami zabitych. Ołowiane pociski świstały nad głowami, a niecałe dwa kroki od Raja żołnierz krzyknął *ang!*, jakby walnięto go w brzuch, a potem upadł na kolana i na ziemię.

Wyminęła go reszta jednostki, przeładowując. Pusty mosiądz zadźwięczał, spadając wokół ciała leżącego na torach kolejowych, odbijając się od czarnego żelaza klamer na drewnianych podkładach.

– *Fwego!*

* * *

Raj potrząsnął lekko głową. Jego ręce wykonywały bezwiednie chwytające gesty.

– Tak, no... cóż, przyszedłem się pożegnać.

– Pożegnać? – spytał ostro Thom.

– Ano właśnie – rzekł Raj, odwracając się lekko. Jego oczy przesunęły się po doskonałej, lustrzanej powierzchni kuli, która o dziwo odbijała, nie zniekształcając. – Sprawy... cóż, Cabot Clerett, bratanek gubernatora – i dziedzic, jak obydwaj wiedzieli – był z nami na kampanii. Zaistniały różne trudności i został, ach, zabity.

>>Obserwuj.<<

* * *

Obnażające zęby wargi Cabota ułożyły się w uśmiech tryumfu, gdy mężczyzna wymierzył rewolwer w Raja. Był przysadzystym, ciemnym młodzieńcem podobnym do swego stryja. Jego palce zacisnęły się na spuście – i warknął karabinek. Rana wlotowa była małą, okrągłą dziurką, ale nabój miał wydrażony czubek i wywalił w jego czole otwór wielkości pięści. Rozbryzgujący się, gorący mózg i odłamki kości nie wylądowały na Raju, lecz opryskały biurko. Clerett wybałuszył oczy od hydrostatycznego szoku przechodzącego przez tkankę mózgową, a usta rozwarły się w pojedynczym, skrzywionym grymasie. A potem upadł twarzą w dół, spoczywając w powiększającej się kałuży krwi.

Mocne ramiona grzmotnęły o drzwi. Raj poruszył się z porażającą szybkością, wrywając karabinek z rąk Suzette tak prędko, iż krzyknął bezwiednie z bólu, poparzywszy się o lufę. Obrócił się ku drzwiom na zewnątrz.

Tłoczyli się w nich oficerowie Raja. Pośród nich znajdował się niski, pulchny mężczyzna w sięgających kolan bryczesach, długim płaszczu i koronkowym żabocie, stanowiących cywilne odzienie we Wschodniej Rezydencji. Jemu też oczy wyszły z orbit, gdy utkwiał je w Cabocie Cleretcie.

Raj przemówił głosem donośnym i wyraźnym. – Zdarzył się straszny wypadek – powiedział. – Pułkownik Clerett badał broń i nie znał się na mechanizmie. Biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za ten tragiczny wypadek.

W pokoju zapadła cisza, pośród zapachu dymu prochowego, smrodu krwi i płynów wydanych przy śmierci. Wszyscy wpatrywali się w tył głowy martwego mężczyzny, w zgrabną dziurkę za uchem.

– Sprowadźcie kapłana – ciągnął Raj. – Witam, czcigodny Chivrezie. Ogromnie mi przykro, iż przybyłeś do nas w tak nieszczęśliwej chwili.

Szok Chivreza nie trwał długo. Mężczyzna nie przeżył całego pokolenia polityków w Rządzie Cywilnym dzięki tchórzostwu czy zbytnej wrażliwości. Teraz musiał się starać powstrzymać uśmiech. Raj Whitehall stał nad ciałem dziedzica gubernatora i dosłownie trzymał dymiący karabinek.

* * *

– Duchu Człowieka *Gwiazd* – wykrztusił Thom. – Wróciłeś do Wschodniej Rezydencji po czymś *takim*? Barholm i tak cię podejrzewał.

Raj uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami. – Nie po to odzyskałem Południowe i Zachodnie Terytoria dla Rządu Cywilnego, aby ustanowić się przywódcą – powiedział. – Centrum powiedziało, że to będzie gorsze dla cywilizacji, niż gdybym w ogóle nie żył.

>>Zbytne uproszczenie, ale zgodne w 93% plus minus 2<< dodało nieubłaganie Centrum. Przez

te lata ich umysły nauczyły się subtelności przy interpretowaniu tego głosu, pobrzmiewał w nim teraz ślad... nie litości, ale współczucia. >>Perspektywa długookresowa przywrócenia Federacji tutaj, na Bellevue, i w końcu wszędzie w zamieszkałej przez ludzi galaktyce, wymagała poddania się Raja Whitehalla władzy cywilnej. Zbyt wielu generałów zajęło Krzesło siłą.<<

Thom skinął głową. Ten proces rozpoczął się na długo przed tym, zanim Bellevue zostało odizolowane poprzez zniszczenie Przestrzennej Sieci Przesiedleńczej Tanaki. Przed tym Federacja tonęła w wojnach domowych od pokolenia, wygryzając sobie wnętrzości niczym postrzelony w mózg sauroid. Proces ten trwał tutaj od jakiegoś tysiąca lat, a zgodnie ze słowami Centrum także wszędzie indziej w zamieszkałej przez ludzi galaktyce.

– Czy pani Anna nie mogła czegoś zrobić? – spytał. Małżonka Barholma była bliską przyjaciółką żony Raja Suzette, od czasu, gdy była jedynie... artystką, ładnie rzecz ujmując... którą młody Barholm poślubił z niewytłumaczalnych powodów, mimo iż był bratankiem gubernatora. Pozostałe damy dworu traktowały ją chłodno, zanim Barholm zajął Krzesło; a Suzette nie.

– Zmarła cztery miesiące temu – powiedział Raj. – Rak.

Krótki rozbłysk świadomości: łożo z baldachimem, otoczone kadzidłami kapłanów Gwiazd i mruzeniem ich modlitw. Kobieta leżała bez ruchu. Ciało było zapadnięte na mocnych, ładnych kościach jej twarzy. Włosy spoczywające na poduszce stanowiły białą chmurę i pozostało w nich tylko kilka pasemek mahoniowej czerwieni. Suzette Whitehall siedziała u jej łoża, ściskając dłonią rękę umierającej przyjaciółki, przypominającą szpon w kolorze kości słoniowej. Jej twarz był pozbawioną wyrazu maską, lecz łzy spływały powoli ze skośnych, zielonych oczu i ściekały na bezcenny, śnieżny torofib prześcieradeł.

– Cholera – rzucił Thom. – Wiem, że chciała, aby zginął każdy Poplanich, ale... cóż, Anna miała dwa razy tyle jaj co Barholm, a była przynajmniej lojalna wobec swoich przyjaciół.

Raj skinął głową. – Było to zaraz po tym, jak mnie zawieszono na moim ostatnim stanowisku – inspektora-generała – i skonfiskowano moje włości. Kanclerz Tzetzas osobiście to nadzorował.

– Ten... ten... on przydaje złego imienia korupcji – wypluł z siebie Thom.

Raj uśmiechnął się słabo. – Tak, gdyby kanclerz mnie nie nienawidził, to zastanawiałbym się, co takiego złego robię.

Przebłysk od Centrum. Wysoki, chudy mężczyzna w urzędniczej dworskiej szacie, siedzący przy biurku. Pokój urządzony był ze spokojną elegancją, ciemny i cichy. Papieros w fifce z rzeźbionej kości sauroida spoczywał w jego dłoni o smukłych palcach. Podpisał ciężki pergamin, posypał atrament mialkim piaskiem i uśmiechnął się. Sekretarz skoczył do przodu, żeby stopić воск do pieczęci...

Raj skinął głową. – Spodziewam się, że zostanę aresztowany na spotkaniu tego popołudnia. Barholm się martwi...

>>Martwi się prawdopodobieństwem wydarzeń, które miałyby miejsce, gdyby Raj Whitehall był innym człowiekiem. Obserwuj.<<

* * *

– a żołnierze w niebiesko-bordowych mundurach wojska Rządu Cywilnego biegli

przez wybrukowany plac przed Pałacem Gubernatora. Było późno, gazowe lampy zapalały się na ulicach Wschodniej Rezydencji, ale spieszące się tłumy cywili usuwały się na boki na dźwięk trąbki i szczęku żelaza dział polowych na bruku. Światło lśniło na metalu, ciemnej emalii hełmów, mosiężnych rękojeściach szabel, mokrych kłach olbrzymich psów do jazdy.

Żołnierze zatrzymali się przed bramą i ustawili w szeregu. Zsiedli z siodeł przycupniętych psów i odciągnęli dźwignie swoich karabinów, *klik-klak* powtórzone tysiąckrotnie. Działa polowe obróciły się, zaprzęgi zostały odczepione, ogony łoża upadły z ciężkim łupnięciem, gdy kanonierzy ściągnęli je z przodków. Zamki szczęknęły, gdy wpychano na miejsce siedemdziesięciopięciomilimetrowe pociski.

Oficer podszedł do bramy. – Otwierać! – warknął.

– W czym imieniu? – odparł wartownik ze zbielełymi ustami. Tylko pluton został ustawiony przed pozłacanym żelazem głównej bramy. – Jakim prawem?

– Nasadzić – rzucił pierwszy oficer.

– *Nasadzić* – powtórzyło tysiąc głosów.

– *Bagnety*.

Długi, powtórzony grzechot i szczęk, gdy długie ostrza wysunęły się z karabinów. Zmasowany błysk gazowych lamp odbijający się od stali, gdy prezentowali broń.

– W imieniu najwyższego pana suwerena, gubernatora Raja Whitehalla – ciągnął oficer, uśmiechając się. Zamachał w kierunku strzelców i dział. – A to jest moje prawo.

Wartownik sztywno skinął głową. – Otwierać bramę. – a Raj przeszedł przez kałuże tężejącej krwi w Sali Audiencyjnej. Były w niej rozrzucone ciała Straży Życia, tam, gdzie jej członkowie próbowali stawiać opór za barykadami z ozdobnych, złożonych mebli. Barholm Clerett zwiślał na Krześle, wciąż ściskając w dłoni pistolet, którym zdmuchnął sobie górę czaszki.

Raj strącił ciało z wysokiego siedzenia palcem stopy i odwrócił się. Wycie podniosło się wśród żołnierzy tłoczących się w wielkiej komnacie, wycie, które przeszło w miarowe skandowanie – Raj! Raj! Raj!

* * *

Thom położył dłoń na ramieniu Raja. Mięśnie pod wełnianą kurtką były niczym guma. Drżały od napięcia.

– *Powinieneś* uczynić się gubernatorem, Raju – rzekł cicho. – Duch wie, że nie mógłbyś być *gorszy* od Barholma i jego kompanów.

Raj się uśmiechnął, ale potrząsnął głową. – Dzięki, Thom, ale jeśli mam dar przywódczy, to *tylko* do żołnierzy. Cywile... nie mógłbym nakłonić trzech z nich, żeby poszli ze mną do burdelu, gdybym zaproponował im picie za darmo i cipki. Chyba że postawiłbym za nimi oddział z bagnetami. A w ten sposób *nie można* rządzić, nie na dłuższą metę. Rozwaliłbym

maszynię, próbując zmusić ją do pracy. Barholm jest sukinsynem, ale jest *sprytny*. Wie, jak

ugłaskiwać urzędników i zadowalać szlachtę, i naprawdę spaja Rząd Cywilny przy pomocy swojej kolei i prawnych reform... pod warunkiem, że sporo jego przydupasów przy okazji się wzbogaci, ale to działa. Ja nie potrafiłbym tego zrobić. Nie tak, żeby przetrwało to moją śmierć.

>>Obserwuj.<<

* * *

I zobaczyli Raja Whitehalla na tronie ze złota i diamentów, a ludzie ras, o jakich nigdy nie słyszał, klękali przed nim, ofiarowując daninę i dary...

... i leżał staruteńki i posiwiały na ogromnym, jedwabnym łożu. Zza okna dobiegały przytłumione śpiewy, a kapłan modlił się cicho. Kilku starszych oficerów płakało, ale młodszy mierzyli się nawzajem wzrokiem z nieskrywanym pożądaniem, czekając, aby stary król umarł.

Jeden pochylił się i szepnął mu do ucha. – Kto? – spytał. – Komu pozostawiasz berło?

Usta starego Raja poruszyły się. Oficer odwrócił się i przemówił na głos, uciszając szepty –
Mówi, że najsilniejszemu.

Armie się zwały, w identycznych, zielonych mundurach, niosące jego sztandar. Miasta płonęły. Wreszcie tam, gdzie niegdyś we Wschodniej Rezydencji stał Pałac Gubernatora, znajdował się cichy, zielony kopiec. Dwaj mężczyźni pracowali w przyjacielskim milczeniu przy ognisku, odziani tylko w opaski lędźwiowe z wyprawionej skóry. Jeden wykuwał grot włóczni z kawałka starodawnego okna, pod ręką miał drzewce i rzemyki do wiązania. Jego palce poruszały się umiejętnie, posługując się kościanym kowadłem i młotkiem do zestrugiwania długich płatów zielonego szkła. Jego towarzysz pracował z równą maestrią, rozczłonkowując tuszę przy pomocy ciężkiego kamiennego młotka i kawałków krzemienia. Minęła chwila, nim Raj sobie uświadomił, iż to ciało należało kiedyś do człowieka.

* * *

Raj zadrżał. *To* był logiczny koniec cyklu upadku tutaj na Bellevue i wszędzie tam, gdzie niegdyś znajdowała się Federacja. Jeśli się temu nie zapobiegnie, to przez piętnaście tysięcy lat królować będzie dzikość, zanim powstanie nowa cywilizacja. Ten obraz prześladował go, od kiedy Centrum po raz pierwszy mu go pokazało. Czuł, że to *prawda*.

– Duch wie, że nie *chcę* stanowiska Barholma – ciągnął. – Chcę robić to, co robię dobrze, a to nie moja dziedzina wiedzy. Problemem jest sprawienie, aby Barholm to zrozumiał.

>>Dane posiadane przez Barholma dają mu znaczne powody do obaw<< zwróciło uwagę Centrum. >>Raj Whitehall nie tylko dysponuje prestiżem wynikającym z ciągłych zwycięstw, ale ponad szesnaście batalionów kawalerii Rządu Cywilnego składa się teraz z dawnych jeńców należących poprzednio do Rządów Wojskowych.<<

Eskadrowcy i Brygadownicy, mówiący po nameryjsku barbarzyńcy, potomkowie żołnierzy Federacji zdziczałych w wyludnionym Obszarze Bazy dalekiego północnego-zachodu. Ruszyli i zagarnęli ogromne kawałki Rządu Cywilnego, narzucając ludności swoje panowanie i heretycki kult Ducha Człowieka tej Ziemi. Nikt nie był w stanie nic z tym zrobić... aż Barholm posłał Raja

Whitehalla, aby odzyskał barbarzyńskie dziedziny Rządów Wojskowych.

Gubernator Barholm oficjalnie ogłosił Raja mieczem Ducha Człowieka. Jeńcy, którzy zgłosili się na ochotnika, by służyć Rządowi Cywilnemu, widzieli, jak działa z obu stron. Oni *wierzyli* w ten tytuł.

– Zatem zostań tutaj! – powiedział Thom. – Centrum może utrzymywać cię w zawieszeniu, tak jak mnie – utrzymywać cię, aż Barholm obróci się w proch i kości. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, wypełniłeś swój obowiązek, a teraz *zasługujesz* na coś dla siebie. Popęlenie przez ciebie samobójstwa nie przyczyni się do zjednoczenia Bellevue!

>>Prawdopodobieństwo przyspieszenia odrodzenia Federacji nieco wzrośnie, gdy Raj Whitehall weźmie udział w spotkaniu<< powiedziało Centrum.

– Muszę iść. *Muszę*. Ja...

Raj się odwrócił, a Thoma odrzuciło o pół kroku. Zęby drugiego mężczyzny były obnażone, a mięśnie jednego policzka drgały. – Ja... tyle było śmierci... ja *nie mogę*... tak wielu zabitych, tak wielu, jak mogę się ratować?

– Oni byli wrogami – rzekł cicho Thom.

– Nie! Nie *oni*. Moi własni ludzie! Posługiwałem się ludźmi jak kulami! Pozostał mniej niż jeden na trzech z 5 Gwardyjskiego z Descott, z tych, którzy wyjechali ze mną przeciwko Kolonii pięć lat temu. Jednostka Własna Poplanich – zebrana w twoich rodowych włościach, Thomie – miała sto pięćdziesiąt ofiar śmiertelnych w jednej bitwie, a to *ja* im przewodziłem.

Thom otworzył usta, a potem znowu je zamknął. Centrum wtrąciło się z żelazną niecierpliwością w swym bezgłośnym głosie.

>>Przewodzenie to odpowiednie słowo, Raju Whitehallu, ty im przewodziłeś. Obserwuj.<<

* * *

– Krok w tył i salwa! – krzyknął Raj głosem chrapliwym od dymu i pyłu.

Wokół niego zwarty się poszarpane szeregi. Dragoni Kolonii w czerwonych jellabach wyjechali do przodu, z wodzami w zębach, pracując dźwigniami swoich powtarzalnych karabinków. Łby ich psów wysunęły się do przodu, a potem cofnęły przed szeregiem bagnetów.

BAM. Nierówno, ale ludzie strzelali jednocześnie.

– Krok do tyłu i salwa! – krzyknął znowu Raj.

Wystrzelił z rewolweru pomiędzy dwoma żołnierzami, w twarz oficera Kolonii, który zakrzyknął i zamachał swoim jataganem za szeregiem dragonów. Wypaliły karabinki i mężczyzna obok Raja zatoczył się do tyłu, pojękując i łapiąc się za potrzaskaną szczękę zwisającą mu na piersi.

– Trzymać się mocno, 5 z Descott! *Krok do tyłu i salwa*.

* * *

>>Obserwuj.<<

* * *

Podkute ćwiekami buty ludzi dźwięczały o nawierzchnię rury. Dźwięk ten był przytłumiony, jakby szli po miękkim drewnie, ale żelazo nie pozostawiało żadnych zadrapań na plastiku Starożytnych. Powierzchnia pod palcami jego lewej ręki mogła być wygładzonym marmurem, gdyby nie lekkie poczucie tłustej gładkości. Na samym dnie okrągłej tuby leżał stary brud i muł, śmierdziało rozkładem. Woda powodziowa musiała spływać z rynsztoków Miasta Lwa i przez tę rurę, kiedy było jej za dużo.

Za nim rozbrzmiewał szelest i pobrzękiwanie ekwipunku, dyszące oddechy, a od czasu do czasu wyszeptane po nameryjsku przekleństwo. Wyznawcy Ducha Ziemi nie mieli tego samego mitu o wyłożonej plastikiem tubie prowadzącej do piekła. Środek Ziemi – tej Ziemi – był ich rajem. Jednak ten konkretny tunel był dla *każdego* przerażający jak piekło. A zwłaszcza dla ludzi wychowanych na otwartych przestrzeniach. W większości ludzi spod znaku psa i karabinu tkwiła odrobina klaustrofobii. A z pewnością tkwiła w *nim*, bo każdy oddech wydawał się trudniejszy niż poprzedni, jakby żelazna obręcz zacisnęła mu się wokół piersi.

>>To nie jest złudzenie<< rzuciło pomocnie Centrum. >>Zawartość tlenu w powietrzu spada, bo przepływ powietrza jest niewystarczający przy obecności sześciuset ludzi. Nie

będzie to stanowiło poważnego problemu, chyba że siły zatrzymają się na dłuższy czas.<<

Och, dziękuję *ci*, pomyślał Raj.

Nawet w tym momencie poczuł ponurą satysfakcję, widząc, co wojskowa dyscyplina uczyniła z zesłorocznej barbarzyńskiej hordy. *Wściekle dzieciaki*, pomyślał. *Wściekle, dorosłe dzieciaki*, których przodkowie zniszczyli cywilizację na połowie kontynentu – nie tyle ze złośliwości, ale zwykłej niemożności wyobrażenia sobie robienia czegoś innego. Podrzucali śliczne błyskotki w powietrze i klaskali, widząc, jak się rozbijają, nie zważając na pokolenia pracy i wysiłku, których wymagało ich wykonanie. *Trzynastolatki z ciałami dorosłych... ale mogą się nauczyć. Mogą się nauczyć.*

Czubkiem hełmu uderzył o dach. – *Halto!* – zawołał cicho. Kolumna zatrzymała się za nim z szelestem.

Szybkie błysnięcie przesłony latarni z półkolistą soczewką ukazało pierwszą zmianę w doskonałej regularności tunelu. Strop pochylał się i rozszerzał przed nim, dokładnie tak jak słomka do picia ściśnięta pomiędzy palcami.

>>Znajdujesz się pod zewnętrzną krawędzią murów miejskich po północnej stronie<< powiedziało Centrum. >>0,63 kilometra od wejścia.<<

M'lewis doszedł do tego miejsca na swoich zwiadach. Sprawdził, że tunel otwierał się znowu za tym punktem, a potem zawrócił. Raj zgodził się z tą decyzją, jako że uniknięcie zdradzenia pozycji wejścia stanowiło największy priorytet. A mały zwiadowca miał rację, *plynęło* ku niemu powietrze, czuł lekko chłodniejszy dotyk na swojej spoconej twarzy.

Oczywiście, powietrze mogło dochodzić przez dziurę wielkości męskiej pięści.

– Przeczolągaj się – powiedział do znajdującego się za nim mężczyzny, gasząc światło. – Przewróć się na plecy i przeczolągaj. Dalej w tunelu jest kolejne zwężenie. Zejdź nim.

Raj opadł na muliste błoto na dnie tunelu i zaczął posuwać się dalej w głąb. Plastik wyginał się

ku jego twarzy, dotykając skraju jego hełmu. Wciąż gładki, wciąż nieprzerwany. Opierał się tutaj na nim ciężar murów miejskich, robił to od pięciuset lat. Błoto zachlupotało mu pod łopatkami, posuwającymi się z łatwością po powierzchni rury o małym tarcu. Ciężar murów wysokich na piętnaście metrów i grubych u podnóża na dziesięć, dwie warstwy kamieni trzy na trzy metry po obu stronach, otaczające rdzeń z łupka i betonu.

Nie mów mi, ile to waży, pomyślał/powiedział do Centrum.

Minął teraz najniższy punkt i nagle zdał sobie sprawę z tego, jak dyszy. Coś walnęło go w buty; głowa podążającego za nim człowieka. Przynajmniej jeden podążał. Nie można było stwierdzić, co było dalej z tyłu, ilu jeszcze się posuwało, czy ostatnich pięciuset albo pięciuset pięćdziesięciu ludzi nie odwróciło się i nie stratowało Ludwiga w pełnym przerażenia

pośpiechu, aby wydostać się z tej śmiertelnej pułapki, z tego przedsionka piekieł. Plastik tłumił dźwięki, wygłuszając nawet oddech. Pot ściekał mu po czole, wpływając do oczu, kiedy opadł na kolana. Otworzył przesłonę latarni, żeby się rozejrzeć, kiedy grunt zaczął mu skręcać pod nogami. Kolejne dziesięć metrów normalnej rury, a potem...

Duchu, pomyślał. Co mogło wytworzyć coś takiego?

>>Rura przechodzi pod murami pod kątem czterdziestu stopni od pionu. Ta część znajduje się pod skrajem wieży<< stwierdziło Centrum z beznamytną dokładnością.

Wieże były o wiele cięższe niż mury. Boczny występ fundamentów jednej z wież przepchnął rurę nieco w bok... i ścisnął tak, że pozostała tylko trójkątna dziura w dolnym prawym rogu. Tym razem materiał *rozerwał się*; długie, wąskie rozdarcie biegnące w górę po lewej. Przedostała się przez niego ziemia – twarde, żółte bryłki gliny – a niedawno ktoś wykopał ją rękami i nożem, rozgarniając do tyłu.

Raj poczekał, aż pojawił się podążający za nim mężczyzna. – Bez problemu – powiedział, gdy oczy w brodatej twarzy wciąż mrugały wpatrzone w tę *niemożliwą* dziurę. – Przechodźcie jeden za drugim. Zdejmij swój karabin, hełm i pas, a potem niech poda ci je człowiek za tobą. Przekaż to innym.

Posuwał się dalej, bo gdyby tego nie zrobił, to mógłby już nie zacząć od nowa. Jeden ogarnięty paniką człowiek tutaj i cała kolumna zostanie zatrzymana na resztę nocy.

Zdjął hełm i pas, zapiął pasek na kolbie rewolweru i upuścił węzełek na podłogę.

– Niech latarnia świeci – powiedział do znajdującego się za nim żołnierza.

Prawe ramię do przodu. Skręć w bok. W dół i do przodu, ścianki ścisnęły go jak łapy imadła używanego do przenoszenia ciężkich pocisków. Światło zniknęło za stopami, które kopały, nie znajdując oparcia, aż znalazły się pod nimi szerokie dłonie żołnierza, dające mu coś, od czego mógł się odepchnąć. Brązowe guziki przy kurtce wpijały mu się w żebra na tyle mocno, że pewnie zostawią siniaki. Wdech, *pchnij*. Pogrzebany w piekle, pogrzebany w piekle...

Uwolnił prawą rękę. Macał naokoło, ale gładkie, rozszerzające się ścianki rury ofiarowały niewiele podparcia, jednak jego ramiona przeszły, a była to najszersza jego część.

Przez chwilę leżał, dysząc, a potem się odwrócił. – Przeszedłem – zawołał cicho. – Podaj mój sprzęt, żołnierzu. – Słabnące echo w rurze, gdy mężczyzna odwrócił się i wymruczał wieści do tego

za *nim*.

Rura miała długość niewiele większą niż jego ciało. Trudne, ale nie tak trudne, jak gdyby to był beton albo kute żelazo, coś, co chwytalo za skórę i ubranie. Światło rzucało blask na lekko zakrzywioną ścieżkę wąskiego tunelu.

I znowu zaczekał, aż znalazł się za nim pierwszy z mężczyzn, chwycił go za kurtkę pomiędzy łopatkami i wyciągnął.

– Drugie narodziny – rzucił.

Eskadrowiec potrząsnął głową. – Pierwsze zwięzenie było ciaśniejsze, panie – powiedział. W słabym świetle twarz miał bladą jak u trupa, ale udało mu się uśmiechnąć. A potem odwrócił się i zawołał cicho w dół wąskiego przejścia – *Min gone, Herman*.

Niewiele dalej, pomyślał Raj, patrząc przed siebie. Ciemność zakrywała mu oczy niczym gruby aksamit.

>>0,21 kilometra.<<

* * *

>>Obserwuj.<<

* * *

– Szybko – rzucił do mężczyzny z ładunkami.

Drzwi otwierające się wprost na pokoje ponad łukiem bramy były zaryglowane. Raj wsadził pistolet przez wizjer i pociągnął za cyngiel. Dał się słyszeć wrzask i ktoś zatrzasnął zamykającą go klapę. Płócienne węzłki z prochem potoczyły się u jego stóp.

– Dobry z ciebie człowiek – stwierdził Raj. – A teraz wepchnijcie je wzdłuż podstawy drzwi, pomiędzy kamienny próg a drzwi. Potnijcie je nożem i wsadźcie lont. Dobra. – Podniósł głos. Coraz więcej ludzi tłoczyło się na schodach, niektórzy wspinali się na drabinę, a inni ustawiali wokół niego. – *Wszyscy korytarzem i za róg. Teraz!*

Raj, zmyślny żołnierz i jeszcze jeden porucznik – Wate Samzon, Eskadrowiec – rozciągnęli lont i przykleili się do ściany zaraz za rogiem od drzwi. Lont zaskwierczał, zapalając się. Raj przysłonił oczy ręką. Straszny hałas, zbyt głośny, aby mógł być dźwiękiem. Sprężył się, by rzucić się z powrotem ku drzwiom... – i pochwytyły go silne ręce, łapiąc za ciało, nogi i ramiona.

– *Ni, ni* – rzucił mu w ucho głęboki, dudniący głos. – Jesteś naszym panem, wedle stali i żołdu. Nasza krew za twoją krew.

Porucznik Samzon poprowadził natarcie. W sekundę później został odrzucony w tył, z rękoma przyciśniętymi do krwawej masy swojej twarzy. Żołnierz zatoczył się na ścianę i upadł. Podążający za nim ludzie wystrzelili w rozwalone drzwi i rzucili się za kulami, bagnety przeciwko mieczom, podczas gdy ich towarzysze przeładowywali i strzelali obok

nich na tyle blisko, że wystrzały osmały im mundury. Kiedy przedarli się przez potrzaskane deski, mężczyźni trzymający Raja puścili go i ruszyli za nimi, osłaniając go jedynie swymi szerokimi plecami.

* * *

Raj zamrugał, odzyskując świadomość obecności wypolerowanej kuli, stanowiącej fizyczny byt Centrum. Było to zbyt wyraziste: nie tylko holograficzny obraz, jaki starożytny komputer wyświetlał mu na siatkówce; wciąż *czuł* proch i krew.

>>Gdybyś nie uderzył szybko i mocno, wojny ciągnęłyby się latami. Zabitych byłoby znacznie więcej, pośród żołnierzy po obu stronach i pośród cywilów. Zniszczone zostałyby także całe prowincje, aż nie byłyby w stanie utrzymać cywilizowanego życia.<<

Obrazy przeleciały im w głowach: kości spoczywające w rowie, włosy wciąż powiewające na czaszkach matki i dziecka; wychudzone szkielety trupów ześlizgujące się z siebie, gdy ludzie wrzucali je na wózek z ofiarami zarazy i ciągnęli po opustoszałych ulicach oblężonego miasta; pomieszczenie pełne żołnierzy o pustych spojrzeniach, leżących na słomianych pryczach oślizgłych od płynnych odchodów cholery.

– To akuratna prawda dla komputera – stwierdził Raj.

Wtedy to Thom zauważył ironię. Był urodzonym we Wschodniej Rezydencji miejskim patrycjuszem, a wówczas, gdy obydwaj wierzyli, iż *komputer* oznaczał *aniola*, on wątpił w ich istnienie. To szokowało duszę Raja, pobożnego wiejskiego dziedzica. Raj nigdy nie wątpił w komputer osobisty, który czuwał nad każdą wierną duszą i w wielkie komputery o ogromnych mocach, siedzące w chwale wokół Ducha Człowieka Gwiazd. Teraz obydwaj byli narzędziami takiej istoty.

Głos Raja stał się na moment głośniejszy. – To akuratna prawda dla objawionego Ducha Człowieka Gwiazd, akuratna prawda dla *Boga*. Ja nie jestem Bogiem, jestem tylko człowiekiem – i wykonywałem pracę Ducha bez wzdragania się. Ale *nie byłbym* człowiekiem, gdybym nie uważał, że zasługuję za to na śmierć. – Zapadło milczenie.

– Powinni mnie nienawidzić – wyszeptał, wciąż widząc przed oczami obrazy, nie potrzebując hologramów Centrum. – Zostawiłem kości moich ludzi po drodze z Drangosh do Koszar Carson, na połowie świata... powinni mnie *serdecznie* nienawidzić.

>>Nie nienawidzą cię<< powiedziało Centrum. >>Raczej...<<

* * *

Grupa mężczyzn wparadowała do baru we Wschodniej Rezydencji, schodząc schodami w dół pod żelaznymi uchwytami ze światłem, w powietrze gęste od tytoniu, potu oraz oparów taniego wina i *tekkila*. Jak większość z tych znajdujących się w środku, mieli na sobie mundury kawalerzystów – nie była to knajpa, gdzie cywil cieszyłby się długim życiem – ale mieli głównie patki 5 Gwardyjskiego z Descott oraz czerwono-białe kraciaste chusty na szyjach, będące nieoficjalnym herbem tej jednostki. Byli ciemnymi, przysadzistymi i muskularnymi mężczyznami, jak większość Descottczyków. Towarzyszyło im pół tuzina żołnierzy z innych jednostek, niektórzy byli jasnowłosymi olbrzymami z długimi włosami związanymi w supeł z boku głowy.

Dało się słyszeć ogólne szuranie krzesłami o podłogę, gdy nowo przybyli zajmowali najlepsze

siedzenia. Jeden żołnierz Straży Życia, który zbyt wolno zwalniał krzesło, został bezceremonialnie zwalony na posypaną piaskiem podłogę. Pół tuzina par oczu śledziło go niczym obracające się wieżyczki strzelnicze, gdy ten podniósł się, przeklinając i sięgnął do noża w bucie. Strażnik Życia obejrzał się przez ramię, ocenił swoje szanse i wyniósł się z sali. Dziewczyna o twardym spojrzeniu, która była z nim, uwiesiła się na ramieniu mężczyzny, który dopiero co zajął to krzesło. Mężczyźni powiesili pasy z szablami na oparciach krzesel i zawołali obsługę.

– Za messera Raja – rzucił jeden, unosząc szklanicę. – Jak on nos prowadzi, to nigdy nikogo nie zastrzelili w ucieczce!

* * *

>>Oni cię nie nienawidzą. Oni się ciebie *lękają*, wiedzą bowiem, że, jeśli zajdzie potrzeba, posłużysz się nimi bez wahania. Wiedzą jednak, że Raj Whitehall będzie przewodził, stojąc na czele i że to z nim podbili świat.<<

– Zatem są głupcami – rzucił stanowczo Raj.

– Są ludźmi – rzekł Thom. – Wszyscy ludzie umierają, czy są żołnierzami, czy nie. Ale może ty dałeś im coś, co czyni ich życie wartościowym, tak jak ty masz plan Centrum odbudowania cywilizacji we wszechświecie.

Znowu wymienili *embrahzo*. Thom cofnął się o krok i zamarł, jego ciało znalazło się ponownie w ponadczasowym zawieszaniu.

Raj się odwrócił i zaczerpnął głęboki oddech. – Nie można być bardziej martwym niż trup – wymruczał sam do siebie.

Rozdział drugi

Wielki korytarz przed Salą Audiencyjną połyskiwał delikatnym, kolorowym marmurem i półszlachetnymi kamieniami tworzącymi mozaikę posadzki. Ściany były od zewnątrz łukowatymi oknami, a wewnątrz religijnymi freskami – ikonami świętych, żywotami męczenników, gwiazdami, statkami kosmicznymi, komputerami przywołującymi porządek z pierwotnego chaosu. Choć dzień był pochmurny, ukryte za lustrami lampy gazowe rzucały jasną poświatę.

Żołnierze w czarnych mundurach i czarnych napierśnikach Straży Życia stali co kilka kroków wzdłuż ścian, z karabinami w pozycji na ramię broń. Oficerowie dobyli szabel i opierali je o czubki butów. Mundury mieli porządnie wyprasowane, lecz ich twarze pod hełmami z piórami pozostawały skupione i czujne – kwadratowe oblicza o zakrzywionych nosach, ciemne i harde, u ludzi o lekko pałakowatych nogach od jeżdżenia rozpoczynanego jak tylko mogli chodzić. Gwardziści rekrutowali się z rodowych posiadłości Barholma w hrabstwie Descott, z *vakaro* i wolnych dzierżawców ranczerów. Gdy Descottczycy przyjmowali czyjś żołd, to w większości poważnie traktowali swoje obowiązki.

Suzette poprawiła Rajowi krawat pod wysokim kołnierzem kurtki paradnego munduru. Jej twarz miała stanowczy, skupiony wyraz. Raj go rozpoznał. Był to wyraz twarzy, jaki się miało, gdy ogólna sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli, więc skupiałeś się bezpośrednio na umiejętności,

nad którą *może* zapanować. Suzette została wychowana we Wschodniej Rezydencji, a jej rodzina była patrycjuszami od czternastu pokoleń. Dworska etykieta – oraz zawiłe nurty dworskiej intrygi – stanowiły jej dziedzictwo, tak samo jak pies bojowy czy rękojeść szabli stanowiły jego.

Widział ten sam wyraz twarzy u żołnierza Brygady, gdy ten, poprawiając miecz w dłoni i kąk trzymywania klingi, wyjechał na spotkanie armatniej lufy załadowanej kartaczami.

Trzech z jego towarzyszy stało dokoła, mając podobny wyraz twarzy. *Oni* popatrywali na Straż Życia i zastanawiali się, jakie mieli szanse w wymianie ogniowej, gdy padnie rozkaz aresztowania Raja na miejscu. *Nie najlepsze*, pomyślał.

– Spokojnie – powiedział cicho. – Dzisiaj nie będzie tu żadnych kłopotów.

Grupka wokół Raja Whitehalla stała jak w mydlanej bańce towarzyskiej pustki. Niżsi rangą dworzanie i posłańcy unikali kontaktu wzrokowego albo wpatrywali się z fascynacją w sławnego generała Whitehalla; po raz ostatni, jeśli pogłoski mówiły prawdę. Wielu z nich myślało pewnie, jakie mieli szczęście, iż nigdy nie wzniesli się tak wysoko. Łodyga wystająca ponad inne była pierwsza do ścięcia.

I dlatego właśnie Rząd Cywilny nie włada całą Ziemią, jak powinien, pomyślał Raj z zadawnionym, zimnym gniewem.

>>Zgadza się<< powiedziało Centrum. A potem dodało pedantycznie >>Bellevue. Ziemia przyjdzie później.<<

Tłum się rozstępował, gdy przechodził przez niego mężczyzna. Nie był szczególnie imponujący. Miał nie więcej niż dwadzieścia jeden lat, był przystojny i szczupły. Jego lewe ramię kończyło się skórzaną osłoną i stalowym hakiem tam, gdzie przedtem znajdowała się ręka. Miał na sobie standardowy mundur kawalerzysty Rządu Cywilnego: niebieską frakowatą kurtkę, luźne bordowe bryczesy i szkarłatną szarfę pod pasem Sama Browne’a. Wszystko to było skrojone na fircykowatą modłę, ale zniszczone od podróży i miejscami poplamione morską solą. Mężczyzna niósł pod lewą pachą okrągły, miskowaty hełm z kolczugowym ochroniaczem na szyję i bliźniaczymi gwiazdami kapitańskimi. Salutując, uderzył prawą pięścią w pierś, a potem skłonił się przed Suzette.

– Messer Raj – powiedział. – Pani Whitehall. – Uśmiech rzucony, gdy przesunął spojrzenie na pozostałych towarzyszy. – Psi bracia.

– Duchu – rzekł spokojnie Raj, wytrącony z przemyśleń dotyczących tego, co zapewne się wydarzy za pół godziny. – Myślałem, że jesteś w Zachodnich Terytoriach razem z Piątym, Barton.

A także z pułkownikiem Gerrinem Staenbridge’em. Barton Foley dostał się do Piątego jako protegowany chłopak Gerrina. Teraz oczywiście był kimś więcej.

– Administrator Historiomo stwierdził, iż niektóre jednostki przewyższają potrzeby garnizonu – rzekł młody oficer starannie neutralnym głosem. – Jako że ci z Brygady, którzy przeżyli w Zachodnich Terytoriach, całkowicie współpracują.

– Które jednostki? – spytał Raj.

Barton odchrząknął. – 5 Gwardyjski z Descott – powiedział.

Jednostka Własna Raja, jak lubili się nazywać.

– 7 Zwiadowców z Descott, 1 Rzeźników z Rogor, Jednostka Własna Poplanich oraz 18 Pograniczników z Komar – ciągnął.

Jednostki kawalerii najbardziej powiązane z Rajem i dowodzone przez ludzi, którzy stali się jego towarzyszami, elitarną grupą bliskich druhów, na których polegał najbardziej.

– Dodatkowo 17 Piechoty z hrabstwa Kelden oraz 24 z Valencii – kontynuował.

Jorg Menyez dowodził Siedemnastym – towarzysz i najlepszy specjalista piechoty Rządu Cywilnego, potrafiący zmienić pogardzanych piechurów w swego rodzaju walecznych ludzi. Dwudziesty Czwarty... *Ferdihando Felasquez*. Dobry człowiek...

– I wreszcie ale równie ważne: 1 i 2 Kirasjerów Wierzchem.

Rekrutowali się z pokonanych barbarzyńców Eskadry, po tym, jak Raj zmiażdżył ich w trwającej jeden miesiąc kampanii w Południowych Terytoriach, trzy lata temu. Zawsze byli wojownikami, a pod cywilizowanym nadzorem stali się także całkiem zdolnymi żołnierzami. Dowódca 1 Kirasjerów, Ludwig Bellamy, uległ takiej samej przemianie, ale jako szlachcic Eskadry uważał się również za osobistego wasala Raja. Tejan M'Brust, towarzysz Descottczyk, który przejął 2 Kirasjerów, pewnie myślał podobnie – choć nie powinien, będąc człowiekiem cywilizowanym.

– Wszyscy – ciągnął Barton, uśmiechając się lekko i pochylając się nad dłonią Suzette – wracają. Razem z artylerią polową. Przypłynąłem przed nimi na jednym z parowych taranów, ale za dzień albo trzy wszyscy powinni tu być, jeśli pogoda się utrzyma.

Stojący obok Raja pułkownik Dinnalsyn nadstawił uszu. Specjalista od artylerii nie znosił, gdy rozdzielano go z jego ukochaną bronią. Sam wyszkolił te załogi.

Co za radość, pomyślał Raj. *Przypadkiem* wyglądało to, jakby prywatna armia Raja wracała z powrotem do Wschodniej Rezydencji jak burza.

Antin M'lewis pstryknął palcami. – Co się stało z Chivrezem?

Czcigodny Fedherko Chivrez został posłany, aby przejąć dowodzenie w Zachodnich Terytoriach po tym, jak Raj je podbił – a gdy przybył, zobaczył obiecującego młodego dziedzica gubernatora, Cabota Cleretta, martwego u stóp Raja, który trzymał w ręce dymiący karabinek.

Suzette rzuciła mu chłodne, fiołkowe spojrzenie swoich skośnych oczu, a potem odwróciła wzrok, zaś jej twarz była nieodgadnioną maską arystokratki ze Wschodniej Rezydencji.

Raj przypomniał sobie, jak Cabotowi wyszły oczy z orbit, kiedy to Suzette postrzeliła go zgrabnie za uchem, w chwili, gdy po naciśnięciu spustu jedenastomilimetrowa kula z pistoletu przebiłaby ciało Raja. Chivrez to widział. Chivrez był pięć lat przedtem dyrektorem zaopatrzenia w Komar i próbował nie wydawać zapasów ludziom Raja. Dwaj towarzysze, Evrard i Kaltin Gruder, wystawili go przez zamknięte okno głową do dołu i trzymali, gdy Antin M'lewis zaczął obłupiać go ze skóry, począwszy od stóp. Raj dostał zapasy i wygrał

kampanię.

Kłopot z tego rodzaju metodą wiązał się z problemami w dalszej perspektywie czasowej. Z drugiej jednak strony, gdyby Raj *nie* dostał tych zapasów, jego żołnierze zostaliby zmieceni przez Kolonistów w walce na pustyni. Spinałeś się do zadania, a później, gdy zadanie zostało wykonane,

martwiłeś się wtórnymi konsekwencjami.

– Ach – Barton Foley przyglądał się czubkowi swego haka. – Cóż, wygląda na to, że messer Chivrez umknął z częścią skarbów Brygady.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

* * *

Sypialnia w pałacu generałów Brygady w Zachodnich Terytoriach. Miotający się Chivrez, którego ramiona i nogi przytrzymywane były przez czterech silnych mężczyzn, gdy kolejny przyciskał mu poduszkę do twarzy. Krótkie i grube kończyny uderzały o pościel, lecz po kilku minutach znieruchomiały. Ludwig Bellamy owinał ciało prześcieradłami i podniósł je. Raj rozpoznał Gerrina Staenbridge'a, zamaskowanego, gdy ten otwierał drzwi.

Widok się zmienił na bagna przed Koszarami Carson. Ci sami mężczyźni wyrzucili owinięty w surowe płótno tłumok z pokładu małej łódki. Zniknął prawie bez pluśnięcia, obciążony zwojami łańcucha i żelaznym pociskiem ważącym czterdzieści kilo. Gerrin podniósł mający metrową średnicę herb Brygady, przedstawiający wykładany srebrem i złotem sztandar rozbłysku słońca oraz podwójną błyskawicą wysadzaną brylancikami.

– Szkoda – wymruczał. – Niezła robota jak na krzykliwą, barbarzyńską modłę i dałoby się za to kupić sporo biletów do opery i obiadów w Centoyardzie w rodzinnych stronach. Ach, cóż – autentyczność.

Wrzucił dysk za ciałem urzędnika. Ten zatonął z pluskiem w bąbelkach bagiennego gazu. Gdzieś na mokradłach zaryczał hadrosauroid.

* * *

Antin M'lewis uśmiechnął się niespokojnie, gdy towarzysze wymienili spojrzenia. Oni oczywiście wiedzieli... ale nie był całkiem pewien, czy messer Raj wiedział. Oni wszyscy należeli z urodzenia do tej samej klasy messerów. M'lewis wyniósł się do niej, podczepiając swoją gwiazdę do wozu messera Raja. *Ryzykuje się też upadek*, pomyślał.

M'lewis zaczął jako bandyta w parafii Bufford, zgodnie z dziedziczną profesją będąc złodziejem owiec, i sprawił, że zrobiło się dla niego za gorąco nawet w tej najbardziej

bezpprawnej części niezbyt przestrzegającego prawa hrabstwa Descott. Zaciągnięcie się stanowiło alternatywę dla stryczka – albo też mniej formalnego spotkania z nożem. Zetknął się z Rajem przy drobnej sprawie zaginięcia świni jakiegoś wieśniaka, podczas gdy nie było rozkazu furazowania. Jedno spojrzenie powiedziało mu, że to był człowiek, któremu należało służyć albo go zabić, a on podjął *swoją* decyzję. Doprowadziła go niemalże do śmierci więcej razy, niż mógł zliczyć, a także do awansu przekraczającego jego marzenia.

Z drugiej jednak strony, jedną z rzeczy, które zaskoczyły go w szlachcicach z urodzenia, było to, jak kiepscy byli w wykorzystywaniu swoich przewag. Trudne dzieciństwo miało swoje dobre strony.

Jedna z nich wiązała się z tym, iż był w stanie powiedzieć niewypowiedziane.

– Ach, ponie – zasugerował, pochylając się do przodu i szepcząc – jak chłopaki tok niedługo przyjeżdżajom, to może lepiej, cobyśmy się wynieśli, ano – wrócili za dzień albo i dwa w lepszym towarzystwie?

Raj przemówił wyraźnym, spokojnym tonem, nie rozglądając się – Biorę udział w tym spotkaniu, zgodnie z rozkazami największego pana suwerena, kapitanie M'lewis. Ty możesz zrobić, jak zechcesz.

M'lewis splunął na mozaikową posadzkę. *Duchu. Może powinienem był trzymać się kradzenia owiec.*

Tym niemniej podążył za nim. Może i urodził się złodziejem, ale jadł żołądowy chleb i sól tego człowieka.

Podkuta metalem laska uderzyła o podłogę i otworzyły się wysokie skrzydła z brązu, prowadzące do Sali Audiencyjnej. Wspaniale odziana postać lokaja – nadwornego odźwiernego – skłoniła się i wysunęła swą laskę zakończoną Gwiazdą, symbolem Rządu Cywilnego.

Suzette wzięła Raja pod ramię. Towarzysze stanęli za nim, bezwiednie formując dwójkową kolumnę. Oficer Straży Życia wystąpił do przodu.

– Wasza broń, messerowie – powiedział z beznamiętnym wyrazem twarzy.

Raj wykonał koszący gest wolną ręką i szelest posuwających się do przodu towarzyszy zamarł. Wręczył ceremonialny rewolwer i dworską szablę. Tym razem to Barton Foley szepnął mu do ucha – Kompania Piątego przybyła wraz ze mną, panie. Jeśli zostaniesz aresztowany...

– Kapitanie Foley, wszyscy żołnierze pod moją komendą *usłuchają* rozkazów najwyższego pana suwerena. Czy to jasne?

>>Obserwuj<< wyszeptało mu w głowie Centrum. Raj w celi, ciemność i migające

światełko latarni. Ogień karabinowy dochodzący z korytarzy na zewnątrz, głucho echa odbijające się od kamienia i strzelba klucznika wymierzona przez kraty w twarz Raja, opadający kurek, gdy ten pociągał za spust...

– Służyłem memu gubernatorowi i Duchowi Człowieka najlepiej, jak umiałem – dodał Raj. – Wolę zakładać, iż gubernator, na którym zawsze spoczywa błogosławieństwo Ducha, także będzie tak to widział.

Głos urzędnika ryknął donośnie z wyszkoloną precyzją przez trąbę ze złota i niello – Generał, czcigodny messer Raj Ammenda Halgern da Luis Whitehall, z Whitehallów z Hillchapel, dziedziczny zarządca parafii Smythe w hrabstwie Descott! Jego dama, Suzette Emmaenelle. – *Żadnych moich pozostałych tytułów*, zauważył Raj. Bywał w tym pomieszczeniu oficjalnie nazywany mieczem Ducha Człowieka i zbawcą państwa.

Ignorował hałas, ignorował jaskrawo odziane tłumy czekające po obu stronach pokrytego dywanem środkowego przejścia, zapachy wypolerowanego metalu, słodkich kadzideł i potu. Sala Audiencyjna miała długość dwustu metrów i wysokość pięćdziesięciu, a na jej łukowatym sklepieniu znajdowała się mozaika ukazująca wirującą galaktykę, z Duchem Gwiazd unoszącym głowę i ramiona w tle. Ogromne oczy wpatrujące się w twoją duszę same pełne były gwiazd.

Wzdłuż ścian stały automatomy, odziane w obcisłe kombinezony noszone przez żołnierzy Federacji Ziemskiej tysiąc dwieście lat temu. Zasilane ukrytymi przewodami ze sprężonym powietrzem, zabuczały i ze chrzęstem stanęły na baczność, unosząc w salucie swoje archaiczne i zupełnie нефunkcjonalne lasery bojowe. Strażnicy stojący wzdłuż przejścia wzniesli swoje całkowicie funkcjonalne karabiny w tym samym geście.

Na przeciwległym końcu komnaty audiencyjnej znajdowała się półkula wykładana wypolerowanym złotem, podświetlona z ukrytych łuków przy pomocy lusterek. Lśniła oślepiająco, lekko pulsując światłem. Samo Krzesło stało cztery metry w górze na kolumnie z rzezanego srebra i stanowiło punkt skupienia dla światła, lusterek i wszystkich oczu w olbrzymiej sali. Człowiek na Krześle siedział na nim sztywno niczym kapłan, a światło załamywało się na wspaniałych, metalicznych szatach oraz wykładanej klejnotami klawiaturze i igle gramofonowej w jego dłoniach. Kręciła się przed nim delegacja szczepowa, wciąż przemawiając przez wynajętego tłumacza.

Twarz lingwisty była zawodowo nieodgadniona, ale czasem wyglądało z niej przerażenie, gdy ruszał ustami, odnajdując sponglijskie odpowiedniki rodzimego śpiewnego języka górala.

– Hjburni-burni-burni...

– Pokornie błagamy cię, o potężny suwerenie, jedyny autokrato. Nasza bieda uniemożliwia inne obowiązki poza tradycyjną pograniczną służbą pomocniczą...

Wtrąciło się Centrum >>A dokładniej: nie naciskaj, wodzu Kamienego Domu, bo zobaczymy, jakie warunki Kolonia proponuje swoim przygranicznym siłom posiłkowym – znajdujemy się bliżej Al Kebir niż Wschodniej Rezydencji.<<

– Hjurni-burni-burni, burjimi murjimi urgimi...

– W naszych skromnych chatkach w górach pragniemy jedynie uprawiać w pokoju nasze biedne poletka...

>>Jesteśmy twoimi sojusznikami i *ty* płacisz *nam* za strzeżenie przełęczy.<<

– Kuljurni ablurni hjurni-burni Halvaardi burri murri...

– ...i z pewnością w pobliżu znajdują się bogatsze ziemie, którym potrzebna jest uwaga twych utalentowanych administratorów...

>>więc następny poborca podatkowy, który poprosi o ziemię i wodę od Halvaardi, zostanie wrzucony do studni, gdzie znajdzie dość obydwu.<<

Barholm wykonał delikatny gest dłonią i ludzi z plemienia wyproszone, protestujących i rozsiewających potężny smród masła, którym natłuszczali swoje warkocze. Jeden z drewnianych zegarów, jakie nosili u pasa, wydał z siebie mechaniczne *kuku, kuku*, gdy filar, na którym wspierało się Krzesło, opadł ku białym marmurowym schodom. A z tyłu łuku dwa naturalnych rozmiarów posągi gorgosauroidów uniosły się na wysokość trzech metrów i ryknęły, gdy siedzenie gubernatora Rządu Cywilnego opadło na miejsce z lekkim westchnieniem hydrauliki. Dało się słyszeć słabe wycie i łukowe światła rozbłysły jaśniej. W środku wiązki padającej z lusterek Barholm lśnił niczym postać z białego ognia.

Raj postąpił trzy kroki do przodu i padł ceremonialnie na twarz – pełne poddanie, jako że odartego z poprzednich tytułów. Podniósł się i przykląkł wymagane trzy razy. Obok niego cicho

zaszeleściły jedwabie i koronki, gdy Suzette opadła z niezmiernym wdziękiem.

– *Jaka kara* – ryknął Barholm głosem spotęgowanym przez wspaniałą akustykę Sali Audiencyjnej – jest odpowiednia dla tego, któremu tak głęboko ufaliśmy? Tak, jaka nikiemność jest bardziej nikiemna, jaka podłość bardziej podła, niż tego, w czyje ręce powierzono miecz państwa? Gdy ten najbardziej nędzny z ludzi zwraca ten miecz przeciwko samym korzeniom i fundamentom, koncentrycznemu kablowi Ducha...

We Wschodniej Rezydencji retoryka była jedną z najbardziej podziwianych sztuk – o wiele bardziej niż, na przykład, umiejętności wojskowe czy administracyjne, a nieskończenie bardziej niż inżynierskie. Taka przemowa mogła ciągnąć się godzinami, gdy cała jej zawartość sprowadzała się do „zabić go”.

Nastąpiło poruszenie w półkolu wysokich rangą ministrów za biurkami. Wysoka, smukła postać kanclerza Tzetasa odwróciła się gwałtownie, żeby syknąć, uciszając generała Gharzię, dowódcę Wschodnich Sił. Starszy żołnierz słuchał posłańca – kuriera w obcisłym skórzanym odzieniu, a nie dworskiego lokaja czy adiutanta. Stojąc na podłodze, Raj przyglądał się, jak twarz Gharzii stężała niczym stygnący tłuszcz. Nie musiał zwracać uwagi na to, co mówił Barholm, wiedział, jak to się skończy...

Gharzia powstał i podszedł ku Tzetasowi. Kanclerz próbował odtrącić rękę szarpiącą go za rękaw, a potem odwrócił się, aby posłuchać, trzymając mocno na wodzy wściekłość, która przestraszyłaby Raja, gdyby był na miejscu Gharzii. Ludzie, którzy mocno drażnili kanclerza, miewali wypadki, zaczęli cierpieć na przypadłości żołądkowe lub też ginęli w pojedynkach.

Raj nigdy przedtem nie widział przestraszonego Tzetasa. Było to o wiele mniej przyjemne doświadczenie, niż by pomyślał, jako że niezależnie od jego innych wad, nikt nigdy nie oskarżył kanclerza o tchórzostwo. Musiało to być coś poważnego, bo przerwał ceremonię tryumfu nad swym najbardziej znieawidzonym rywalem.

– I – Barholm zauważył ruch po swojej prawej i przerwał, podnosząc osłonę na oczy z przydymionego szkła. – Tzetas! *Co ty wyprawiasz?*

Naga furia w jego głosie sprawiła, że Tzetas cofnął się o krok. Gubernator był wiceregentem Ducha na Ziemi. Jeśli rozkazałby strażnikom pociąć kanclerza na kawałki na schodach przed Krzesłem, to posłuchaliby go bez wahania. Tak się już wydarzyło przy poprzednich rządach, niejednemu raz. Mądrzy gubernatorowie pamiętali, iż rządy te były krótkie... lecz Barholm Clerett robił się coraz bardziej rozchwiany emocjonalnie, od kiedy zmarła jego żona.

– Najpotężniejszy panie suwerenie – rzekł Tzetas głosem niczym zimny, precyzyjny instrument, którym posługiwał się z bezbłędną umiejętnością. – Zasluguję na twój gniew za moją gburowatość. Jednakże troska powoduje twym sługą. Kolonia najechała nasze terytoria. Heliograf przekazał nowiny.

Pomiędzy granicami a Wschodnią Rezydencją znajdował się łańcuch stacji. Wiadomości o wysokim prioritycie mogły być przekazywane w przeciągu godzin, podczas gdy kurierom zajęłoby to dni czy tygodnie. Tylko Kolonia i Rząd Cywilny posiadały takie środki na Bellevue.

– Przerwywasz mi z powodu *najazdu?*

Beduini i pogranicznicy Rządu Cywilnego od niepamiętnych czasów podkradali sobie dziewczęta

oraz owce i siekali się na kawałki, walcząc o wodę. Tydzień uważany był za spokojny, jeśli przeszedł bez jakiegś pomniejszej potyczki, a obie strony co roku urządzały po kilka *razziah*. Zwykle nie powodowało to nawet zawirowania w zyskownym handlu mającym

miejsce pomiędzy bardziej cywilizowaną miejską ludnością po obu stronach granicy.

Tzetas rzucił się na kolana. – To nie najazd, najpotężniejszy panie suwerenie. To inwazja. Sam osadnik Kolonii, Ali, oraz jego jednooki brat, generał Tewfik. Zajęli Gurnycę.

Niski jęk rozszedł się po Sali Audiencyjnej. Było to największe miasto w dole rzeki Drangosh i znacząca osada znajdująca się najbliżej wschodniej granicy.

Szalony gniew zniknął z twarzy Barholma tak gładko, jakby został przecięty nożem. W chwilę później znikła także raniąca oczy jasność łukowych świateł. Przez kontrast, Sala Audiencyjna wydawała się czarna.

– Spotkanie zostało zamknięte – rzekł Barholm beznamiętnym, niosącym się głosem.

Dały się słyszeć okrzyki protestu od przybyłych z petycjami. Oficer Straży Życia rzucił rozkaz i ręce zagrzechotały na kolbach karabinów, gdy te przeszły w pozycję prezentuj broń.

– Natychmiastowe zebranie Rady Państwa odbędzie się w Pokoju Negrina – rzekł Barholm w nagłej ciszy. – Wszyscy inni mogą odejść.

Raj podniósł się na jedno kolano. – Najpotężniejszy panie suwerenie – rzekł spokojnie. – Czy jedyny autokrata życzy sobie mojej obecności?

Barholm zatrzymał się, oglądając przez ramię. – Oczywiście – powiedział. Wściekłość przebiła się przez maskę jego twarzy. – Oczywiście!

* * *

– *Sayyida* – powiedział mężczyzna i skłonił się, dłonią dotykając czoła, ust i serca. Ubrany był w sięgające kolan bryczesy i kurtkę burżuazji Wschodniej Rezydencji, mówił jednak czystym, syryjskim arabskim z Al Kebir, stolicy Kolonii. – Niech pokój będzie z tobą.

– I z tobą niech będzie pokój, Abdullahu al'Azizie – odparła w tym samym języku Suzette Whitehall, a potoczyste, gardłowe głoski spływały z łatwością z jej języka.

Jej służące zastąpiły już codziennymi szatami szlachcianki rozciętą spódnicę, legginsy i blond perukę przeznaczone na dworskie ceremonie. Mówiąc to, pisała, od czasu do czasu podnosząc wzrok. Metalowa stalówka pióra skrzypiała miarowo po papierze.

– Jesteś gotowy? – spytała.

– Do wielkiej gry? – odparł Arab, uśmiechając się bielą pośród swojej porządnie przyciętej czarnej brody. – Jak zawsze, moja pani.

– Dobrze. Oto są papiery i weksel za okazaniem wystawiony przez Muzzafa Kerpatika.

Będącego między innymi głównym marszałkiem dworu Whitehallów. Pogranicznik z południowego miasta Komar, który nie był przyjacielem żadnego Araba, lecz który nie

pozwalając także, aby osobiste uczucia wpływały na jego pracę.

– Zalecenia, *sayyida*?

– Udasz się natychmiast do Sandoralu nad Drangosh. Wywiad wojskowy dla mego pana, jeśli nadarzy się okazja. Ja życzę sobie pełnej informacji dotyczącej wysokich oficerów garnizonu i lokalnej szlachty: miłości, nienawiści, przeszłość, zwady, sojusze. A także wszelkie informacje z Kolonii.

Wziął papiery i powtórzył ukłon, posługując się dokumentami dla dodania mu zamaszystości. – Słucham niczym ten o wielu skrzydłach i oczach, który służył Suliemanowi bin'Daudowi, moja pani – rzucił radośnie. – Znam to miasto od dawna. – Wykonywał dla niej podobną robotę ostatnim razem, gdy Raj dowodził na Wschodzie, cztery lata wcześniej.

– Dopilnuj, aby nikt nie wsadził cię do butelki – dodała sucho, przechodząc z powrotem na sponglijski.

– Będę wielce ostrożny – odparł w języku Rządu Cywilnego, bezbłędnego aż po zaokrąglane samogłoski średniej klasy ze stolicy. – Jeszcze wiele pozostało do zrobienia, abym spłacił mój dług wobec ciebie, pani. A także – dodał z zimnym błyskiem w swych ciemnych oczach – wobec tych sunnickich synów świń w Al Kebir.

Druzów było niewiele na Bellevue. Jeszcze mniej, od kiedy osadnicy postanowili pokolenie temu oczyścić Dom Islamu. Ci, których wywłachali mułlowie, mogli uważać się za szczęśliwców, gdy sprzedano ich jako niewolników do siarkowych kopalni w Gederosii. Droga stamtąd do domu Suzette Whitehall i wyzwolenia była długa i skomplikowana...

– Twoja rodzina została zabezpieczona? – Abdullah skinął głową. – Idź zatem, niewolniku boga – powiedziała Suzette znowu po arabsku, bawiąc się dosłownym znaczeniem imienia mężczyzny. – Niech mój Bóg i twój będą z tobą.

– Niech litościwy, miłosierny, będzie z tobą i twym panem, *sayyida* – odparł i oddalił się.

– Fatima – ciągnęła dalej Suzette.

– Messa?

– Zanieś to do umartwionej siostry Conzweli Dihego. Jest ona drugą asystentką administracyjną do spraw medycznych arcysysupa Wschodniej Rezydencji. Jest to uprawnienie do mobilizacji lekarzy-kapłanów i medycznych zakonnic, którzy wraz z koniecznymi zapasami i transportem mają udać się natychmiast do Sandoralu.

– Czy to nie ona była z nami w Zachodnich Terytoriach? – spytała arabska dziewczyna.

– Tak, a Anna dała jej to stanowisko na moją prośbę, gdy wróciliśmy. – Suzette westchnęła, brakowało jej Anny. – Szybko. I przyślij Muzaffa Kerpatika.

Towarzysz wsunął się przez drzwi, gdy Fatima wychodziła. Przez otwór widać było

kontrolowany chaos pakowania. Był on niskim, drobnym mężczyzną o ciemnej cerze pogranicznika i śpiewnym komariańskim akcencie. Ubrany był w kurtkę i bryczesy z białego płótna, małą czapeczkę ze swego regionu, spiczastą z przodu i z tyłu, oraz szarfę, która prawie że skrywała pistolet „pieprzniczkę” i sprężynowy nóż o perłowej rękojeści, jaki preferował. Skłonił się głęboko,

gestem bardzo podobnym do Abdullahowego.

Prawie tysiąc lat konfliktu sprawiło, iż pogranicznicy mocno przypominali swoich wrogów z Kolonii, choć stwierdzenie tego na głos groziło śmiercią.

– Messa Whitehall – powiedział, ukazując białe zęby w spiczastej czarnej bródce. Jak każdy w domu, reagował na nowiny o przywróceniu Raja na stanowisko, niemal szalejąc z ulgi. – Znowu kampania?

– Tak – powiedziała Suzette.

Przesunęła dokument palcem po stole. – Jeden z twoich krewnych jest dostawcą miejskich składów węglowych we Wschodniej Rezydencji, prawda?

Muzzaf skinął głową. Ludzie z Komaru i innych miast pogranicza mieli znaczenie w handlu w całym Rządzie Cywilnym i w nowych kompaniach-spółkach.

– Poddostawcą, messa. Główny kontrakt jest dzierżawiony przez... współnika kanclerza Tzetasa. – Podniósł papier i zagwizdał cicho. – To *ogromnie* dużo węgla.

– Poddostawca wystarczy. Niech tę ilość puści Centralną Koleją. I zasugeruj agentowi spedycyjnemu, aby *natychmiast* zaczął akumulować napływające zapasy. Osłódź tę sugestię, jeśli będziesz musiał.

– Natychmiast.

Wymienili uśmiechy. Kanclerz Tzetzas skonfiskował bogactwa Raja... w każdym razie wszystko, co był w stanie znaleźć. Ani kanclerz, ani Raj nie wiedzieli dokładnie, ile mieli Whitehallowie. Raj pozostawiał takie rzeczy Muzzafowi i Suzette... a oni już dawno spodziewali się nadejścia tego złego dnia. Raj wiedział, jak obchodzić się z działami i ludźmi, a nawet znał się trochę na polityce, ale pieniądze także mogły być pożytecznym narzędziem.

Gdy marszałek dworu wyszedł, zapadła cisza, przerywana tylko przez skrzypienie pióra oraz słabe łupnięcia i szuranie przy pakowaniu w zewnętrznych komnatach. Na łóżku za nią znajdowało się wyposażenie Raja na kampanię: zwykła, wydawana żołnierzom frakowata kurtka z niebieskiego sukna, bordowe spodnie, długie buty, hełm, szabla, pistolet, skrzynka z mapami, lornetka. Obok tego znajdował się jej płócienny kostium do jazdy oraz zdobyczny samopowtarzalny karabinek z Kolonii, jej osobista broń... ta, którą pozbyła się dziedzica Cleretta.

Szkoda, pomyślała z roztargnieniem, stukając się w usta czubkiem pióra, zanim znowu zanurzyła je w kałamarzu. *Bardzo przyjemny młodzieniec.*

I łatwo było nim manipulować. Co okazało się kluczowe. Cabot, jak jego stryj, szalał od podejrzeń wobec Raja. A także z zazdrości: zazdrościł Rajowi reputacji, zwycięstw, wpływu na żołnierzy i żony.

Szkoda, że musiała go zabić. Zwłaszcza wtedy. Strzelanie do ludzi było prymitywnym środkiem ostatecznym.

A to jej o czymś przypomniało. Przeszła do swego stolika z klejnotami i sięgnęła pod niego po małe puzderko z drzewa różanego. Zamykał je maleńki zamek szyfrowy, a ona nacisnęła go szpilą swojej broszy.

Tak, kryształowe flakoniki różnych płynów i proszków wewnątrz były wszystkie pełne i świeże – w środku znajdował się pasek papieru z ostatnią datą, aby jej przypominać, jeden z rozlicznych talentów Abdullaha.

Nigdy nie było wiadomo, jakiej pomocy będzie potrzebował Raj... czy o tym wiedział, czy też nie.

Zatryumfujesz, mój rycerzu – wyszeptała do siebie, zamykając pudełeczko z kliknięciem. – Dopóki ja będę miała z tym coś wspólnego.

Rozdział trzeci

Gubernator Barholm stał, podczas gdy służący rozbierali go z ciężkich szat. Poza Rajem byli to jedyni ludzie w komnacie, którzy nie wyglądali na przerażonych... a oni nie musieli przyglądać się twarzy gubernatora. Sierpostop miał taki wyraz pyska zaraz przed obróceniem się, by rozplatać brzuch swojej ofiary przy pomocy czterocalowego szczątkowego pazura na tylniej łapie.

Pokój Negrina miał trzy wieki. Ściany były z bladego kamienia, poprzecinane delikatnymi freskami z trzciniami, latającymi dactosauroidami i ptactwem wodnym. Była tam tylko jedna, mała gwiazda, symboliczny hołd złożony religii, jak było to powszechne w tym bezbożnym wieku. Były tam głowy ministerstw: oczywiście kanclerz Tzetas; generał Fiydel Klosterman, mistrz żołnierzy; Bernardino Rivadavia, minister ds. barbarzyńców; Mihwel Berg ze Służb Administracyjnych oraz Gharzia, dowódca Wschodnich Sił. Był obecny także kurier ze wschodu.

Dziwne było nie widzieć pani Anny Clerett, żony gubernatora. Teraz, gdy nie żyła, Barholm nie miał nikogo, komu by tak naprawdę ufał, i wpływało to na jego osąd.

– Heldeyz – warknął Barholm. – *Przekaż* nam raport, człowieku.

Kurierzy ministerialni sami byli ludźmi pewnej rangi, ale i tak było dziwne to, jak nieustraszenie wyglądał Heldeyz, nawet w obliczu nagiej furii w oczach Barholma Cleretta. W jego własnych oczach widać było skupienie i dystans, a twarz miał wciąż pobrudzoną pyłem ze szlaku.

Barholm ciągnął dalej rozdrażniony. – *Nie* wiem, czemu Ali to zrobił. Traktat po ostatniej wojnie był aż nadto hojny – zwłaszcza, że to my *wygraliśmy* tę wojnę. Podarunki przyjaźni...

>>Obserwuj.<<

* * *

Zlani potem niewolnicy dźwigali wiązki żelaznych sztab, wrzucali je na wagony-platformy i przymocowywali. Jeden się potknął i upadł na kamienie, którymi wyłożona była główna stacja Wschodniej Rezydencji. Sztaba pękła w poprzek. Gdy pojawił się urzędnik,

strażnik przetoczył butem odłamany koniec.

– Duchu – rzucił z pewnym zaciekawieniem. – To nie jest kute żelazo, ale *lane*.

Lane żelazo pochodziło prosto z pieca do wytapiania i było twarde, kruche i pełne zanieczyszczeń. Dopiero po procesie przetwarzania, pudlowaniu², stawało się ono giętkim, łatwym

w obróbce materiałem tak cennym do wyrabiania maszyn i narzędzi.

Urzędnik odchrząknął. – Przekonasz się – rzucił znacząco – iż kanclerz całkiem starannie przyjrzał się manifestowi.

Strażnik się uśmiechnął. Był chudym człowieczkiem z długim nosem i twarzą ze śladami po ospie, urodzonym we Wschodniej Rezydencji, z wpojonym szacunkiem dla dobrego szwindlu, jakim odznaczała się ta rasa ludzi. Potarł kciukiem trzy palce prawej dłoni. Urzędnik odpowiedział uśmiechem.

* * *

– Najpotężniejszy panie suwerenie – odezwał się Raj. – Myślę, iż przekonasz się, że jakość, ilość oraz daty dostarczenia naszej daniny – o przepraszam, naszych podarunków przyjaźni – dla Kolonii nie spełniały warunków traktatu.

Przed oczami przesuwaly mu się liczby, a on odczytywał je beznamiętnym, monotonnym głosem godnym Centrum.

Barholm zamrugął. Zwrócił spojrzenie na Tzetasa, a na oliwkowej twarzy kanclerza pojawiły się drobne kropelki potu. – Jedyne autokrato – powiedział minister, rozkładając ręce. – Gdy przydziela się kontrakty, coś zawsze przywiera do palców – tak wiele poziomów nadzoru, tak wiele rąk – no wiesz...

Gubernator walnął pięścią w stół. Obrzeżone złotem filiżanki do *kave* podskoczyły i zabrzączały na spodeczkach.

– Wiem, kto jest odpowiedzialny za dopilnowanie, by zostało zapłacone! – ryknął. Nagle w jego sponglijskim pojawił się leciutki ślad chropowatości z hrabstwa Descott. – Ty *głupcze*, nie oczekuję, że będziesz pracował za samą tylko pensję, ale *spodziewałem się*, że na tyle się znasz, żeby nie sikać do swojej własnej studni! Czy zdajesz sobie w ogóle sprawę, ile ta wojna będzie kosztować w utraconych podatkach i pozabudżetowym finansowaniu?

Przerwał, a kiedy mówił dalej, głos miał spokojny. – Lepiej, żebyś zdawał sobie sprawę, bowiem zapłacisz nadwyżkę – osobiście.

– Najpotężniejszy panie suwerenie – powiedział Raj. – Myślę, że lepiej, abyśmy teraz zajęli się stanem garnizonów na granicy na Drangosh.

Barholm pstryknął palcami. – Gurnyca miała garnizon liczący...

– Dziesięć tysięcy ludzi, jedyny autokrato – rzekł pomocnie Mihwel Berg. – Przynajmniej w księgach rachunkowych dziesięć tysięcy.

Kanclerz Tzetasa zajął się swoimi papierami. Gdy Barholm przemówił, zwracał się do generała Gharzii.

– Generale – rzekł głosem miękkim i spokojnym – powiedz mi, a jeśli skłamiesz, to lepiej dla ciebie, żebyś się nigdy nie narodził, ilu żołnierzy *tak naprawdę* liczył sobie garnizon w Gurnyco? I w jakim stanie?

Gharzia oblizwał wargi, a jego oliwkowa, opalona skóra poszarzała. – Dwa tysiące, najpotężniejszy panie suwerenie. W... ach, kiepskim stanie.

Ktoś pobierał żołąd brakujących ośmiu tysięcy. Wszystkie oczy zwróciły się na kanclerza.

Władca odwrócił się do kuriera ze wschodu.

– A teraz, messer Heldeyz – rzekł beznamiętnie. – Proszę o raport.

– Tak, jedyny autokrato.

Heldeyz wpatrywał się w swoje dłonie. – Spotkałem się z Kolonistami pięćdziesiąt kilometrów na południe od Gurnycy – zaczął. – Oni...

>>Obserwuj.<<

* * *

Straszliwe jak zastęp pod sztandarami. Barton Foley zacytował to kiedyś Rajowi. Był to fragment starego nameryjskiego, z kodeksów, jakie przetrwały Upadek.

Na czele zastępu Kolonistów, który przekroczył Drangosh, było mnóstwo sztandarów. Zielona flaga islamu, znaczone półksiężycem lub też herbami regimentów i szlacheckich *amirów*. Pawi ogon osadników. Oznaczało to, iż Ali był osobiście obecny. A także czarny proporzec oznaczony czerwoną pieczęcią Salomona. *Tewfik*. Brat Aliego, zdyskwalifikowany w kolejce do tronu osadnika przez wzgląd na oko, jakie stracił w Wojnach Zanjiskich, który jednak był prawym ramieniem Kolonii.

Raj natychmiast rozpoznał teren. Sam prowadził kampanię na wschodzie, pięć lat temu. Pokolenia żołnierzy Rzędu Cywilnego przechodziły swój krwawy chrzest w tym widmowym, księżycowym krajobrazie zrytych erozją osadów i zbyt wielu pozostawiło tam swoje kości. Zaraz na północ od granicy i fortów na rzece, sądząc z widoku, w jednym z miejsc, gdzie prawy – zachodni – brzeg był zbyt wysoki do irygacji. W związku z tym nic tam nie rosło poza paroma niebieskawo-zielonymi rodzimymi krzewami.

Oleście wyglądające zielonkawe wody Drangosh miały półtora kilometra szerokości. Na rzece zbudowano most z łodzi, wielkich rzecznych barek z rodzaju tych używanych w handlu w górze i w dole rzeki od Sandoralu aż po Al Kebir i w odległej Zatoce Kolonialnej. *Dobra inżynieria*, pomyślał Raj. Równie dobra jak w wojsku Rządu Cywilnego lub nieco lepsza. Barki zostały powiązane razem przy pomocy ogromnych sizalowych kabli grubych jak człowiek w pasie, a potem ułożono drewno i deski, żeby utworzyć pokład, a na to narzucono pół metra gliny, żeby ludzie i zwierzęta mieli równą powierzchnię. Po każdej stronie znajdowały się nawet balustrady ze słomy, sięgające piersi, aby zwierzęta nie przestraszyły się wody kłębiącej się wokół tępych dziobów barek.

Ludzie przepływali ciągłym strumieniem: *tabory* kolonijnych dragonów, bataliony, jadące głównie czwórkowymi kolumnami. Jechali na drobnych bazenjczykach i ogarach, mieli operowane dźwigniami karabinki powtarzalne w olstrach przy prawych kolanach, zakrzywione szable i jatagany u pasa oraz bandolety przecinające pierś spłowiałych szkarłatnych jellab. Słońce połyskiwało na wypolerowanych szpiczastych hełmów, a owinięte wokół nich chusty powiewały na wietrze. Pomiedzy blokami kawalerii posuwały się działa: lekkie pompomy, szybkostrzelne działka zaopatrywane z magazynków i wyrzucające dwukilogramowe pociski, działa polowe podobne do siedemdziesięciopięćmilimetrowych dział Rządu Cywilnego i cięższe modele ciągnięte przez woły. Był też tabor – lekkie dwukółki zaprzężone w psy i ciężkie wozy ciągnięte przez szesnaście par wołów.

Oficerowie zawiadywali ruchem, wymachując swoimi ceremonialnymi batami o dziewięciu rzemieniach, z których każdy zakończony był kawałkiem zaostrej stali.

Gdzie? – pomyślał Raj. Punkt widzenia Centrum przesunął się na zachodni brzeg.

W wojsku Kolonii, tak jak w Rządzie Cywilnym, piechota to byli zwykle drugoliniowi żołnierze, nadający się do utrzymywania fortów i linii komunikacyjnych. Ali – Tewfik, zapewne – posyłał ich jako pierwszych i pracowali ostro. Roje ludzi rozebranych do opasek biodrowych lub pantalonów, spalonych słońcem w swym naturalnym lekkim brązie na prawie czarny kolor, wymachiwały motykami i ładowały łopatami ziemię do koszy ciągniętych przez innych. Poruszali się po terenie jak zdyscyplinowane mrówki, a pentagonalne umocnienia ziemne fortecy wyrastały na zachodnim końcu pontonowego mostu. I to całkiem groźne: głęboki rów, dziesięciometrowe ściany, okopy zewnętrzne i bastiony w rogach, z głębokimi szczelinami w kształcie litery V na lufy dział. Zielona flaga Kolonii i paw osadnika już powiewały koło ogromnego namiotu-pawilonu w środku. Wewnątrz poprowadzono drogi okolone rowami, wznosząc zgrabne rzędy dwuskrzydłowych namiotów, stopy zapasów i paliki dla psów.

Wystarczająco dla...

* * *

– Sześćdziesiąt tysięcy ludzi – powiedział Raj. – Pięćdziesiąt tysięcy kawalerii, dziesięć tysięcy piechoty albo nieco więcej, aby utrzymać przyczółek mostowy. Nasze forty na granicy mogą wytrzymać przez ponad sześć miesięcy, nawet gdyby Kolonia zaatakowała całą siłą – czego nie zrobią, bowiem nie mogliby posłać w pole tak dużej armii. Będą mieli siły blokujące wokół wzmocnionych miejsc na granicy, ale nie mogą posługiwać się rzeczonym transportem do zaopatrywania Aliego. Dlatego też ruszyli na północ i przekroczyli rzekę w górze od fortów.

Całe pokolenia zarówno Kolonii jak i Rządu Cywilnego włożyły wysiłek w te umocnienia obronne. Olbrzymie stalowe działa fortów rozwaliby wszystko, co próbowałyby przepłynąć obok nich rzeką. To wykluczało zaopatrzenie statkami rzeczonymi.

– Ali – Tewfik – musiał zbudować linię kolejową do wschodniego brzegu – rzekł Raj. – Ale na zachodnim brzegu będą polegać na transporcie zwierzęcym. Nawet z tym, co uda im się zebrać, nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy ludzi i psów do jazdy. Nie wzięliby mniej, nie do inwazji na pełną skalę, a więcej nie zdołaliby wykarmić.

Barholm rzucił Rajowi pełne zamyślenia spojrzenie. – Kontynuuj – powiedział do Heldeyza.

Kurier skinął głową. – Spotkałem..

>>Obserwuj<< wyszeptało Rajowi w głowie Centrum.

* * *

Heldeyz przyklęknął przed tronem. Była to lekka konstrukcja z rzezanego, lanego brązu, wykładana jednak złotem i klejnotami we wzór, który rozblyskał z tyłu siedzenia niczym pawi ogon. Siedział na nim człowiek w ubraniu z połyskującej, złotej

materii. Tron i mężczyzna lśnili, gdy wędrujące promienie światła przebiły się przez koronkowy baldachim, który trzymali nad nimi niewolnicy; wiązka pawich piór wystawała z zapinki z wielkim rubinem na przodzie jego turbanu. Wokół osadnika stali generałowie i szlachta, kilku wodzów Beduinów w szatach z koziej skóry i ha'ikach, odziani na czarno mułowie, słudzy z flakonami mrożonego sorbetu, przykucnięci urzędnicy i księgowi z papierem, piórami i liczydłami. Żaden z nich nie przekraczał kręgu strażników, czarnych niewolników-Mameluków z

ogromnymi zakrzywionymi i obnażonymi szablami w dłoniach i trzymanymi w gotowości strzelbami przeciw zamieszkom, mającymi lufy rozszerzone jak dzwony.

– Twój pan, król *kapharów*, śmiertelnie mnie obraził – odezwał się Ali, mówiąc niezłym sponglijskim. – Pogwałcił warunki naszego traktatu... i krew mego ojca woła o pomstę. Nie ma bardziej świętego obowiązku. A jednak Allah, litościwy, miłosierny, nakazuje nam pokojowe postępowanie.

Ali miał grube, lecz regularne rysy twarzy. Dominował na niej zakrzywiony nos, równoważony przez pełne, czerwone wargi i rozdwojoną brodę. Mężczyzna oczy miał duże i brązowe, lśniące i w jakiś sposób niepokojące. Oprócz tego, że od czasu do czasu drgał mu tikiem prawy policzek, to oblicze wyrażało umiarkowany rozsądek.

Zbliżył się oficer, przypadając na oba kolana i kłaniając się, aż czubek jego stożkowatego hełmu dotknął błyszczących dywanów z Al Kebir, pokrywających ziemię przed pawilonem osadnika i kampanijnym tronem.

– Amir el Mumineen, dowódco wiernych. Niewierni emisariusze z miasta Gurnycy błagają o łaskę znalezienia się w twojej obecności.

Brwi Aliego uniosły się nieco. Władca oparł się na swym przenośnym tronie, a słudzy postąpili do przodu, aby popsikać wodą różaną z kryształowych flakonów z gumowymi gruszkami. Ali pociągnął srebrną słomką sorbetu ze szklanej kuli i czekał.

– Ależ oczywiście, pozwól im wejść – rzekł łagodnie.

Delegaci ignorowali Heldeyza, leżącego na dywanie przed osadnikiem. Było ich z pół tuzina, głównie mężczyźni odziani jak bogaci kupcy i jeden w mundurze Rządu Cywilnego. Rzucili się na twarz, co należało się zgodnie z prawem jedynie władcy *Gubernio Civil*. Właściwie to składanie pokłonu komuś innemu zakazane było pod groźbą śmierci, lecz gubernator znajdował się we Wschodniej Rezydencji, a Ali był aż nadto obecny przed bramami wraz z pięćdziesięcioma tysiącami ludzi.

– Władco – wymruczał w dywan przywódca delegacji; był starszym człowiekiem, pocącym się w upale, fałdy podbródka zsuwały się na kosztowną, lecz poplamioną kurzem srebrną koronkę krawata. – Oszczędź nas.

Cóż, pomyślał Raj. *To dość bezpośrednio.*

– Z pewnością – rzekł *alcalle* Gurnycy – możemy zadość uczynić Waszej Wspaniałości za wszelką obrazę, jaką nieświadomie wyrządziliśmy. Jesteśmy tylko biednymi kupcami, a nie parami państwa. Nie znamy się na wielkich sprawach. Jednakże, jeśli wyrządzono ci krzywdę, to chętnie

zapłacimy. Z pewnością może zapanować pokój – któż skorzystałby na wojnie?

Ali się uśmiechnął. – Jeśli taka będzie wola Boga, to zapanuje pokój. Nie ma Boga poza Bogiem i wszystko dokonuje się z woli Boga. – Skinął głową i dodał w swym własnym języku – Salaam, insh'allah.

Upierścienioną ręką głaskał się po brodzie i skinął palcem na urzędnika. – Mówiłeś o zapłacie. Zaległości w daninie od was niewdzięczników *kapharów* wynoszą...

– ...dwieście dziesięć tysięcy złotych *dinarów*, o Lwie Islamu – rzekł urzędnik. – Nie licząc odsetek od zaległych płatności w wysokości...

– Milczeć – wymruczał Ali ze śmiertelnościami rozbawieniem w głosie. – Czyż jestem kupcem, abym miał się targować? Ależ oczywiście, jeśli zostanie to wyrównane, będzie pokój.

Wywołało to zawroźenie protestu nawet pod karabinami Kolonistów. – Panie, panie – rzekł *alcalle*. – Jesteśmy tylko jednym miastem! W całej Gurnicy nie ma tyle złota, nawet jeśli ogołocimy kopułę katedronu i wyjmemy plomby z naszych zębów.

– Obie te rzeczy – zwrócił wesolo uwagę Ali – nastąpią, gdy miasto zostanie splądrowane. – Uniósł dłoń. – Nadszedł czas modlitwy. Na pewno możemy znowu o tym porozmawiać później, a wy powrócicie do swego miasta z eskortą i giejtem. Rankiem podam wam swą ostateczną decyzję.

Obraz się zmienił, słońce chyliło się za horyzont i oba księżycy były wysoko, wyglądając jak przezroczyste szkło na tle jasnych gwiazd. Palmy daktylowe i gaje pomarańczowe stały w ciemniejszym cieniu, gdy starszyzna Gurnicy oraz Heldeyz jechali na swych psach przez pas zirygowanych ziem otaczający miasto. Woda pluskała w kanałach na skraju pól, woły porykiwały, ale nie widać było ani nie słyszać istot ludzkich, żaden dym nie dobywał się z pobielonych chat wieśniaków. Pola leżały puste, usiane odrzuconymi na bok motykami i hakami do przycinania. Jakiś dwór stał niczym duch pośród ogrodów i dało się słyszeć jedynie krzykliwego pawia paradującego po wykładanym kafelkami ganku.

Przygraniczny refleks, pomyślał ponuro Raj. *Wiedzą, kiedy umknąć za mury.*

W odległości pół kilometra od fortyfikacji nie było żadnych budynków ani drzew, tylko pastwiska i pola uprawne, a umocnienia obronne miasta były pierwszorzędne. Raj pamiętał je dobrze z archiwów, których nauczył się na pamięć na długo przedtem, zanim Centrum wkroczyło w jego życie. Zmodernizowane wiek temu, a potem znowu za czasów jego ojca. Czyste pole do strzelania, dobra fosa, a za nią nowego typu mury, niskie i masywne. Umieszczone w częstych odstępach okopy zewnętrzne i bastiony, omiatające wszystko dokoła morderczym ogniem skrzydłowym, oraz mocna, centralnie położona cytadela koło wody. Działa były ładowanymi przez lufę modelami z lanego żelaza jak większość fortecznej

artylerii, lecz były groźne i liczne, a pośród nich znajdowało się także trochę całkiem nowoczesnych, gwintowanych dział.

Miasto, utrzymywane z odwagą przez silny garnizon, mogło się utrzymać przez całe miesiące przeciwko wojsku Kolonii – i nie dałoby się go obejść. Zajęcie go przez oblężenie wymagałoby okopania się na pełną skalę, posuwania stanowisk artylerii do przodu cał za okupionym krwią calem, okopów szturmowych, aż wystarczająco wiele ciężkich haubic znajdzie się blisko murów i będzie mogło je rozwalić. Nawet wówczas szturm byłby potwornie kosztowny. Do tego momentu Rząd

Cywilny miałby dość czasu, aby zmobilizować swoje armie polowe na wschodzie i pomaszerować na odsiecz miastu. Była to strategia, która zadziałała kilkadziesiąt razy w trakcie niekończących się wschodnich wojen.

Gdyby garnizon miał pełną liczebność i był kompetentnie dowodzony.

Punkt widzenia Centrum przesunął się na eskortę, pełne pół batalionu, dwustu pięćdziesięciu ludzi. Na pierwszy rzut oka nie wyglądali szczególnie imponująco; ciemni, brodaci mężczyźni, z których wielu miało zarzucone skrzydła swoich chust na twarze, niczym welony. Raj szukał charakterystycznych oznak: ich ręce, wytarcie rękojeści szabli i karabinów, sposób, w jaki siedzieli na psach, jak często musieli zwalniać albo pospieszać, żeby utrzymać szyk.

Te chłopaki mają za sobą szkołę. Ich dowódca był przysadzistym mężczyzną, jednym z tych, którzy owinęli sobie twarz końcem turbanu. Jego dłonie pocięte były bliznami, a jedno żłobienie biegło przez czoło aż do nosa...

... i z tej strony nie poruszało mu się oko. *Tewfik*, zaklął w duchu Raj. Tym razem ze szklanym okiem, a nie charakterystyczną opaską na oko. Raj spotkał się raz z dowódcą Kolonistów, w negocjacjach przed bitwą o Sandoral, cztery lata temu. *Co on tu robi?* Była to robota dla pomniejszego emira, a nie głównodowodzącego.

Obraz przemknął w umyśle Raja, zaprawiony nieco ironią: on sam, prowadzący 2 Kirasjerów tunelem pod murami Miasta Lwa.

Zrozumiano, stwierdził oschle Raj.

Biały pył drogi połyskiwał rudawo w zachodzącym słońcu, poprzecinany długimi cieniami wysokich cyprysów posadzonych wzdłuż niej. Dotarli do zewnętrznej wartowni w umocnieniach obronnych miasta, tam, gdzie trakt na kamiennych łukach przecinał fosę. Żołnierze Rządu Cywilnego otworzyli żelazne wrota: piechota, wyglądająca niechlujnie nawet jak na piechurów. Raj zacisnęła zęby na widok rdzy na lufie karabinu jednego z mężczyzn. Mierzyli wzrokiem żołnierzy Kolonii z ostrą nerwowością kota przypatrującego się przez okno stadu dużych psów. Heldeyz zsalutował ich oficerowi i otworzył usta, aby

przemówić.

Tewfik dobył rewolweru i strzelił mężczyźnie w twarz.

Przez chwilę wydawało się, jakby czerwony grot włóczni łączył dłoń Araba i nos oficera straży, a potem piechur poleciał w tył, jakby został kopnięty przez woła. Jego hełm zadzwonił o kamień wartowni, a ostatni ułamek brzęku zginął w powarkiwaniu karabinków, gdy Koloniści wypalili ze swojej samopowtarzalnej broni. Przekotłowali do przodu, wrzeszcząc dziko falsetem. Jednemu z żołnierzy Rządu Cywilnego udało się wystrzelić, głębszy huk jego jednostrzałowego karabinu rozszedł się boleśnie w ograniczonej przestrzeni. A potem padł pod jataganem oficera Kolonistów, wciąż dźgając w górę swym bagnetem.

Walka w wartowni trwała zaledwie sekundy, a Heldeyz i ojcowie miasta posadzili swe psy i wpatrywali się w stos ciał. Obłoczki białawego dymu przepływały obok. Koloniści nie tracili czasu. Kilkudziesięciu z nich wystawiło swoje karabinki przez szczeliny strzelnicze i strzelało na oślep, tak szybko, jak mogli poruszać dźwigniami, posyłając do środka grad śmiertcionośnych, lekkich kul odbijających się rykoszetem od kamiennych ścian. Ręczne bomby i topory rozwaliły drzwi. Reszta sił

Kolonistów uformowała głęboki na czterech, zwarty szereg przy wewnętrznej bramie, wpychając kciukami kule z bandoletów do komór swojej broni. Głowa Heldeyza obróciła się na przenikliwy wrzask kolonialnej trąbki.

Ludzie wierzchem wylewali się z sadów otaczających miasto, popędzając swoje psy. Zwierzęta gnały do przodu szaleńczym galopem, pokonując przestrzeń ogromnymi susami, z pochylonymi łbami i tylnymi łapami prawie dotykającymi uszu przy każdym skoku. Brutalne ręce odrzuciły kuriera na bok, gdy ta kolumna wlała się do ciasnej wartowni i przebiła się do oczyszczonej strefy za nią. Dalej podążyła bateria pompomów, ich długie lufy podskakiwały szaleńczo, gdy kanonierzy batem popędzali swoje psy. Żelazne koła krzeswały iskry na kamieniach bruku, a za nimi droga czerwieniła się szkarłatem jellab...

* * *

Barholm walnął pięścią w stół, gdy słowa kuriera urwały się w ciszy. Nie miał holograficznych obrazów Centrum, żeby je sobie wyświetlić, ale umysł mu nie szwankował.

– *Wiedzieli*, że znajdowały się tam liczne brudasy i nie pilnowali się lepiej? – spytał.

– Jedyne autokrato, garnizon był niewystarczający liczebnie i źle wyszkolony – rzekł cicho Raj. – W każdym razie, zapłacili za swoją głupotę.

– Tak – rzekł Heldeyz wpatrzony gdzieś w dal. – Zapłacili.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

* * *

Zakrzywiona szabla błysnęła w słońcu. Zabrzmiało ciężkie łupnięcie podszyte ostrzejszym, mokrym dźwiękiem pękającej kości. Głowa *alcalle* potoczyła się. Jego ciało osunęło się z klęczek, a ciężkie strumienie tętniczej krwi rozbryzgiwały się, tworząc czerwonawe błocko plamiące ziemię. Podniosły się chmary much, a potem osiadły znowu. Kat zgodnie z rytuałem zamachał swą ciężką, oburęczną, zakrzywioną szablą.

Dym z płonących budynków skrył nawet zapach bijący od piramidy głów, jaką Mamelukowie osadnika wznosili przed zewnętrzną bramą. Niewielu z maszerującej, połączonej łańcuchami karawany gurnycan zwracało na nią uwagę. Ich twarze były w większości bez wyrazu, a oczy utkwione w ziemię. Kolonijni strażnicy wierzchem, poganiali ich, trzaskając *kourbashami*, długimi batami ze skóry sauroida. Ci mieli szczęście: piękne kobiety, silni, młodzi mężczyźni, rzemieślnicy i dzieci w takim wieku, że mogły przeżyć podróż na południe, na rynki Al Kebir.

Ali pokazał palcem. – Nie, temu poderznijcie gardło – powiedział, wskazując na kapłana Gwiazdy z cienką, białą brodą. Kat opuścił swoją szablę.

Oczy starca były przymknięte. Mężczyzna modlił się cicho, gdy odziany na czarno Mameluk zaszedł go od tyłu i dobył zakrzywionego sztyletu. Ali zachichotał, gdy ciało, drgając, przewróciło się na ziemię.

– *Halall* – powiedział, wybuchając śmiechem. Rytualne podrzynanie gardła oczyszczające mięso jedzone przez muzułmanów. – Czy to nie odpowiednie dla tych bydła?

Raj zauważył, jak usta muły zacisnęły się na to bluźnierstwo. Nikt się nie odezwał.

Dobry nastrój widoczny na twarzy Aliego zmienił się w lód, gdy pochwycił ręką Heldeyza za twarz i obrócił ją ku stosom odciętych głów.

– Czy *widzisz*, niewierny? – wrzasnął. – Czy *widzisz*?

Korpulentny mężczyzna w zielonym turbanie przepchnął się przez tłum. Za nim podążał łańcuch jeńców, głównie nastoletnie dziewczynki i kilku młodszych chłopców. Rzucił się twarzą na ziemię.

– Och, strażniku świętego ka’ba, życzyłeś sobie – zaczął falsetem.

Ali puścił kuriera Rządu Cywilnego. – Tak, tak – rzucił niecierpliwie. Jego ręka przemknęła z dziewczynki na chłopca. – Ta dwójka i nie przeszkadzaj mi znowu przed wieczornym posiłkiem. – Kiwnął głową na swoich strażników. – Chodźcie. Zabierzcie żrącego świnię *kaphara*.

Wozy zajmowały większość drogi, a woły porykiwały od ciężaru. W środku, na

oczyszczonej strefie, której wymagało prawo Rządu Cywilnego, znajdowały się ogromne stopy łupów. Oficerowie kierowali żołnierzami, którzy sypali je na zgrabnie uporządkowane stopy. Materiał, metal, narzędzia, monety, cenne naczynia z kościołów Gwiazdy i świątyń... Dalej stało jeszcze tylko parę budynków. Gdy Heldeyz się przyglądał, kamienica kupca zawałiła się do wnętrza od płonących belek dachu, a grube, gliniane ściany pokruszyły się niczym błoto. Później, z łupnięciem, od którego zatrzęsła się ziemia, przyszła kolej na świątynię Gwiazdy. Raj rozpoznał dźwięk odpalanych ładunków.

– Patrz, niewierny – ciągnął Ali. – Ta świnia i syn świń Barholm nie tylko oszukał mnie przy krwawej daninie za śmierć mego ojca, ale spodziewał się, że *ja* – Ali ibn’Jamal – będę siedział wśród kobiet i nic nie zrobię, podczas gdy on podbija cały świat. Podbija cały świat, a potem zwraca się przeciwko mnie! Zwraca się przeciwko wiernemu! Nie, *kapharze*, Ali ibn’Jamal, strażnik Sinaru, osadnik Domu Islamu, nie jest takim głupcem.

– Powiedz Barholmowi, że idę po niego. – Usta Aliego drgały, a głos wzniósł się w piskliwym krzyku. – Powiedz, że mam coś dla niego!

Żołnierze Kolonii wbijali w ziemię zaostrzony pał. Przywlekli arcysysupa, hierarchę diecezji Gurnyca. Był korpulentnym mężczyzną w średnim wieku, o obwisłym ciele, obnażonym aż do jedwabnych gaci. Czarni olbrzymi trzymający go za ramiona nawet nie zmylili kroku, gdy on omdlał na widok czekającego pala...

* * *

Wokół stołu zapadła cisza. Wreszcie generał Klosterman odchrząknął.

– Cóż, nie sądzę, aby były jakieś wątpliwości, co do zamiarów Aliego – rzekł.

Barholm z roztargnieniem pokiwał głową. – Generale Klostermanie, ile zajmie mobilizacja wszystkich dostępnych sił polowych i dorównanie osadnikowi liczebnie?

Klosterman zbladł. Mistrz żołnierzy to było stanowisko administracyjne, ale dawało ono starszemu mężczyźnie zajmującemu to stanowisko dobre pojęcie o stanie obronności Rządu

Cywilnego.

– Panie, Ali ma ze sobą pięćdziesiąt tysięcy swych pierwszoliniowych żołnierzy. Gdybyśmy wezwali *całą* dostępną kawalerię, to nie byłibyśmy w stanie posłać w pole nawet połowy tego na czas, by spotkać się z nim na południe od Sandoralu ani nawet na południe od gór Oxhead... i wybacź mi, najpotężniejszy panie suwerenie, ale żołnierze, których zdołalibyśmy wezwać, nie byłiby w dobrym stanie.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

* * *

Tym razem Centrum zaczęło wyświetlanie od mapy. Raj rozpoznał teren opłacających się Rządowi Cywilnemu wschodnich prowincji. Góry Oxhead bieły ze wschodu na zachód, a potem skręcały ku północy. Na północ od nich znajdował się słabo zaludniony centralny płaskowyż, a na południe i na wschód dolina Górnego Drangosh i jego dopływów. Ta była częściowo gęsto zaludniona tam, gdzie była możliwa irygacja. Reszta była suchą, pastwiskową krainą z wioskami porozrzucanymi wokół źródeł u podnóży gór.

Posuwały się kolorowe bloki, strzałki ukazujące linie natarcia. Pokiwał głową. Tyle a tyle dni do zbiórki, zapasy, drogi, tych parę linii kolejowych. Maksimum dwadzieścia tysięcy ludzi, może trzydzieści tysięcy, jeśli wliczyło się garnizony zwykłej piechoty wezwane z przydzielonych im działek. I...

Ludzie w niebiesko-bordowych mundurach uciekali, uderzając swe psy płazami szabel albo batami. Nierówny kwadrat ze sztandarem Gwiazdy w środku stał na wzgórzu. Czarne obłoki dymu wybuchały nad postrzępionymi szeregami – rozrywające się pociski – a działka polowe Kolonistów walały z bliskiej odległości ogromnymi ładunkami kartaczy. Pocisk *rozbryzgiwał* ludzi promieniście. Szereg dragonów jednocześnie dobył swych zakrzywionych szabel, aż błysnęły w jasnym, południowym słońcu. *Pięć batalionów*, ocenił Raj okiem eksperta. *Dwadzieścia pięć setek ludzi*. Wrzasnęły trąbki i szable spoczęły na ramionach jeźdźców. Stępa-marsz. Kłus. Klingi powędrowały w dół. Galop. Szarża. Pojedyncza salwa wyrwała dziury w ich szeregu, a potem wpadli na cienki kwadrat Rządu Cywilnego. Sztandar Gwiazdy upadł...

* * *

– Panie – ciągnął Klosterman – pokornie radzę, abyśmy rzucili ile się da ludzi do Sandoralu i wschodnich miast. Ali nie może ich szybko zająć.

Tzetas odezwał się po raz pierwszy. – Ale *mógłby* je obejść – powiedział. Raj milcząco skinął głową, świadom rzucanego mu z ukosa spojrzenia.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

* * *

Od horyzontu po horyzont ziemia płonęła. Dojrzała pszenica zapalała się jak hubka w letnim słońcu, posyłając w niebo chmury podszytej czerwienią czerni. Gęściejsze

kolumny dymu oznaczały miejsca, gdzie stały wioski i dwory. W sadzie wieśniacy pracowali pod

karabinami Kolonistów, obrączkując drzewa i piętrząc palące się stosy trawy koło ich korzeni.

Mignięcie i znajdował się poza miastem. Melaga, sądząc po wyglądzie pokrytych oliwkami wzgórz dokoła. Naga, czerwona ziemia znaczyła oblężnicze umocnienia wokół niego, obwałowanie z wysokim murem zakończonym palisadą. Rozchodziły się stamtąd ku wnętrzu zygzakowate umocnienia, a każde z nich zakończone było redutą chronioną przez wypełnione ziemią wiklinowe kosze. Roje ludzi popychały armaty do przodu i kopały ziemię. Działa huczały z murów miejskich, a ludzie ginęli w umocnieniach oblężniczych, ale kolejni zajmowali ich miejsce. Haubice wyrzucały swoje pociski w niebo, a zapalniki ciągnęły za sobą strumienie dymu i ognia, aż wybuchły za murami...

* * *

– Nie, to byłoby zbyt niepewne – ciągnął Tzetas. – Zamiast tego, cóż, skarbiec jest niezwykle pełen. Moglibyśmy zaproponować Aliemu dwukrotnie, trzykrotnie tyle, ile wynosiła poprzednia danina.

Barholm prychnął. – Po tym, jak oszukaliśmy go przy ostatniej umowie? Już *widzę*, jak cicho wraca do Al Kebir, rozpuszcza swoje wojsko i czeka, aż przybędzie złoto.

– Najpotężniejszy panie suwerenie – rzekł Heldeyz – on nie przybywa po złoto. On przybywa po krew. On... on nie da się przekupić. Musisz go zobaczyć...

>>Ali zgodzi się na podniesioną daninę, ale pozostanie na ziemi Rządu Cywilnego, prawdopodobieństwo 97% plus minus 2<< powiedziało Centrum.

* * *

– Ohyda! – wrzasnął Ali. Szedł przez pawilony, kopiać patery wypełnione całymi upieczonymi jagniętami, ryżowymi pilawami, owocami i lodem. – Nazywacie to ucztą powitalną! Ohyda!

Syndycy miejscy cofnęli się, rozglądając dokoła instynktownie jak ludzie uwięzieni bez drogi wyjścia.

– Ta świnią Barholm, ten warty dwa dinary wódz ze wzgórz Descott, który nazywa się zdobywcą, nie tylko karze mi czekać na moją daninę, ale także mnie obraża.

Ali się zatrzymał, uśmiechnął i odprężył. Ten wyraz twarzy był o wiele bardziej przerażający niż szaleństwo żądzy krwi sprzed minuty.

– Zatem będziemy musieli pokazać *kapharowi*, co to znaczy obrażać dowódcę wiernych, nieprawdaż? – ciągnął dalej.

Zmierzył wzrokiem zgromadzonych syndyków z takim samym wyrazem twarzy, jaki miałaby żona rolnika, stojąc na podwórku i bawiąc się nożem, gdy wybierała kurę do ugotowania.

>>Obserwuj.<<

Młodszy Ali klęczał za dziewczynką. Wokół nich kwitły ogrody, pełne kwiatów i cicho brzęczących pszczół, w górze świeciły gwiazdy, jedyne światło na marszczącej się wodzie fontanny oprócz kilku dyskretnie umieszczonych latarni. Ręka Aliego spoczywała na szyi dziewczynki, wypychając jej głowę pod powierzchnię wody, gdy w nią wchodził. Pozwolił jej się podnieść na chwilę, wystarczająco, by zaczerpnęła jeden oddech i krzyknęła.

Powietrze uszło bąbelkami, gdy znowu popchnął ją w dół. Jej ręce uderzały o marmurową krawędź basenu, pozostawiając krwawe smugi na rzeźbionym kamieniu.

>>Obserwuj.<<

Ali siedział przy szachownicy naprzeciw poważnego mężczyzny z białą brodą. Figurki były wyrzeźbione z kości sauroida i czarnego jadeitu. Grali, siedząc na poduszkach ze złotej materii, pod pergolą z tłoczonego brązu, służącą za podpórkę dla ogromnego pnącza jaśminu. Szczupła dziewczyna, naga, poza zasłoną jak mgiełka skrywającą połowę jej twarzy, wlała mrożony sorbet do pucharów z rżniętego kryształu. Na srebrnym dzbanie widoczne były kropelki powstałe od kondensacji.

– Szach i mat, książę wiernych – powiedział straszny mężczyzna. – Gratulacje. To twoja najlepsza jak do tej pory gra.

Ali spojrzał na szachownicę, a jego usta się poruszały, gdy śledził ewentualne ruchy. Gdy się poruszył, nastąpiło to tak szybko, że służąca miała czas tylko rozpocząć krzyk.

Ali złapał ręką za białą brodę *cadi'ego* i ciął sztyletem. Rzucił starszemu mężczyźnie w twarz pęk włosów.

– Miłośniku sauroidów – wrzasnął. – Jak śmiesz mnie obrażać?

Starszy mężczyzna się wyprostował. – Zapominasz się, Ali – powiedział. – Zostałem wyznaczony przez osadnika, aby cię prowadzić. Musisz się nauczyć powściągliwości...

Ali znowu się poruszył, bardzo szybko. Zakrzywiony sztylet w jego dłoni miał rękojeść ze srebra i pereł, ale klinga była z wykuwanej warstwami sinnarskiej stali, na tyle ostrej, że mogła przeciąć spadającą jedwabną nitkę. Przecięła do połowy gardło *cadi'ego*. Starzec się odwrócił, a jego krew trysnęła łukiem, obryzgując strumieniem czerwieni bezcenny jedwab poduszek i białe ciało dziewczyny. Ali stał, milcząc, dysząc i przyglądając się, jak ciało stacza się po alabastrowych stopniach altanki. A potem zwrócił się ku służącej, uśmiechając się. Krew spływała mu po wąsach i znaczyła plamkami wargi.

>>Obserwuj.<<

Ali siedział na pawim tronie osadników, w pomieszczeniu o sklepieniu pokrytym przeplatającą się masą wykaligrafowanych złotem napisów, tysiąc i jeden imion Allaha, litościwego, miłosiernego. Ze szklanego otworu na wierzchołku spływało na marmurową mozaikę podłogi światło, miękkie i złote. Strażnicy stali nieruchomo wokół ścian wielkiej, okrągłej komnaty. Pozostali przywlekli człowieka. Był obnażonym aż do workowatych pantalonów, mocno umięśnionym mężczyzną lat trzydziestu paru z krótko przyciętą brodą i wielkim, zakrzywionym nosem.

– Witaj, mój bracie Akbarze – zawołał radośnie Ali. – Jakże dobrze, bardzo dobrze, znów ujrzeć twą twarz!

Brat osadnika wyprostował się i splunął na marmurową posadzkę. – Wygrałeś, Ali – rzucił z pogardą. – Tron pawia jest twój. Przynieś żelazo i skończ z tym.

– Żelazo? – spytał Ali.

Była to tradycyjna kara dla przegranych, gdy bracia zmarłego osadnika walczyli o tron. Tylko człowiek mający wszystkie kończyny i organy mógł być dowódcą wiernych. Tewfik został zdyskwalifikowany, ponieważ stracił oko w bitwie. Rozżarzone do czerwoności żelazo służyło temu samemu celowi.

– Żelazo? – spytał znowu Ali. – Och, niech Allah mnie ukarze, jeśli miałbym wyłupiać oczy komuś zrodzonemu z tego samego nasienia, Jamala, naszego ojca.

Eunuchowie przynieśli solidną żelazną ramę jak wysoki zagłówek łoża, z kajdanami na każdym rogu. Akbar zaczął ryczeć i miotać się. Strażnicy przytrzymali go bezlitośnie, podczas gdy pulchni eunuchowie o gładkich twarzach zatrzasnęli mu stalowe kajdanki dokoła nadgarstków i kostek.

– Szatan będzie szarpał twoją duszę w piekle, jeśli przelejesz krew brata! – zakrzyknął Akbar.

Ali wstał i wykonał gest. Strażnicy zasalutowali, przykładając pięść do czoła i wymaszerowali z wielkiej komnaty.

– Ja? Przelać twoją krew? Przenigdy, mój bracie.

Ali stanął koło żelaznej ramy, gładząc się po brodzie. Wyciągnął z rękawa swej naszywanej perłami szaty chusteczkę i wykonał ruch, jakby miał otrzeć bratu twarz, a gdy ten otworzył usta, żeby wykrzyknąć przekleństwo, Ali zwinnie wsadził mu w nie kawałek jedwabiu.

– Proszę. Niegrzecznie jest przerywać osadnikowi. Czyż nie pamiętasz, bracie, jakże się chwaliłeś przed swymi kapitanami w czasie naszej krótkiej, nieszczęsnej domowej wojny,

jakże to chwaliłeś się przed nimi, iż zostanę wygnany na wysepkę na Morzu Zanjiskim, mając za towarzyszkę tylko niemą jędzę? Że taki... jak to się wyraziłeś? Zboczony bękart, syn zarażonej owcy, jak ja, nie zasługuje na rozkosze haremu i że piękności o perłowych piersiach, które mi służyły, zostaną rozdzielone wśród twoich *amirów*.

Zaklaskał w dłonie. Kobiety weszły rządkiem do sali tronowej, długie szaty ich czadorów muskały podłogę, a rękawy skrywały ręce.

Ali się odwrócił. – Zufika, Aisha – powiedział. – Wy wszystkie – nie ukrywajcie światła swych twarzy.

Posłusznie upuściły na podłogę cieniutkie, czarne płaszcze. Kilka z nich miało długie, smukłe noże. Dwie niosły pomiędzy sobą węglowy palnik, trzymając metalowy szkielet żelaznymi szczypcami. Inne ustawiły stołek przy żelaznej ramie. Ali opadł na niego z pełnym zadowolenia westchnieniem.

– Nie, nie przeleję kropli twojej krwi – powiedział. – Ale zaskakujesz mnie tym gorszącym zachowaniem. Czyż nie wiesz, iż nie godzi się, aby prawdziwy mężczyzna spoglądał na twarze kobiet osadnika?

Zufika postąpiła do przodu z nożem w dłoni. – Zajmij się tym, moja słodka.

Akbar zaczął wrzeszczeć przez knebel.

* * *

– Najpotężniejszy panie suwerenie – rzekł cicho Raj.

Zapadła cisza. Nawet Barholm się zreflektował, opuszczając palec, którym machał przed nosem kanclerzowi Tzetzasowi.

– Za twoim pozwoleniem, panie, przejmę dowództwo na wschodzie. Zastępując dowódcę Wschodnich Sił i komendantów garnizonów.

Wokół stołu kiwano głowami – kiwał nawet Gharzia. Obecnie główne dowództwo na wschodzie było tego rodzaju zaszczytem, jaki zabierało się ze sobą do grobu.

– I zabiorę ze sobą siedem tysięcy kawalerii *na* granicę.

– Niedorzeczne...

– To ogołoci garnizony z...

– Czy chcesz, żeby Ali wmaszerował prosto do Wschodniej Rezydencji...

Raj uniósł rękę. – Najpotężniejszy panie suwerenie, jeszcze jak tu rozmawiamy, do Wschodniej Rezydencji zdążają żołnierze. Większość garnizonu z Zachodnich Terytoriów. Weterani, śmietanka naszej armii.

Barholm spojrział na niego przez przymrużone oczy. *I to żołnierze najbardziej lojalni wobec ciebie.* Nie trzeba było ubierać tej myśli w słowa.

– Oznacza to czterdzieści pięć setek ludzi, może nieco więcej. Wezmę jeszcze kolejne dwa tysiące z tych jeńców Brygady, którzy są na nowo wyposażeni i zorganizowani na sposób Rządu Cywilnego oraz niektóre bataliony, które były ze mną na kampanii w Południowych Terytoriach, a służą obecnie w Obszarze Rezydencji.

Gharzia zapisywał w swym notatniku. – *Heneralissimo* – zaczął, nadając Rajowi tytuł, którego ten został formalnie pozbawiony – twój stan liczebny będzie o wiele mniejszy niż Aliego, nie licząc jego piechoty i żołnierzy linii komunikacyjnych. Czy nie powinniśmy wycofać więcej garnizonów z Południowych i Zachodnich Terytoriów?

Raj rozłożył ręce. Były brązowe od słońca, poobijane, pokiereszowane i pokryte odciskami od szabli i cugli, równie nie na miejscu w tym eleganckim pokoju jak sam mężczyzna.

– To trwałoby zbyt długo. Messerowie, jedyny autokrato, nie mamy *czasu*. Zrozumcie, proszę, że nieważne co zrobię, teren przygraniczny i tak oberwie bardziej niż przez ostatni wiek albo i więcej.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

* * *

– a dragoni Kolonii jechali przez osadę pograniczników, wrzucając pochodnie przez okna. Te rzygnęły ogniem, a czerwone płomienie i sadza w dymie uczerniły pobielone otwory. Tu i ówdzie wapienne nadproże płonęło rozżarzone do białości, sublimując się w ogniu.

– ostatni z wielu Arabów podniósł się znad kobiety i poprawił sobie szatę. Ona leżała

nieruchomo w pyłe ulicy, z pustymi oczami i śliną spływającą kącikiem ust. Kolonista kopnął ją w zębra, a potem wykrzyczał rozkaz do pozostałych. Na rękawie swojej jellaby miał skrzyżowane linie *naika* – kaprała. Dwaj żołnierze podnieśli kobietę za kostki i nadgarstki, stękając od bezwładnego ciężaru. Naik wskazał kciukiem, a oni wrzucili na wpół przytomną ofiarę głową do przodu do studni.

– wybuchające ładunki wyrzucały pióropusze dymu, skał i przemielonej ziemi na ogromnym, pochyłym froncie tamy. Rozciągała się ona na dwieście metrów w dolinie w kształcie litery U, pośród suchych skalistych wzgórz, z biegnącą na szczycie wykładaną kamieniem drogą i żelaznymi wrotami z jednej strony, gdzie kotłująca się woda kierowana

była do kanału. Wydawało się, że przez parę chwil nic się nie działo, a potem woda wytrysnęła spod powierzchni, gdzie zostały podłożone ładunki. Wystrzeliła jak wybuchające gejzery, zmieniając się na skraju w przecudną tęczę w jasnym świetle południa. Saperzy zakrzyknęli i zatańczyli, gdy pędzący nurt podmywał ziemne obwałowanie tamy – jak kostka cukru polewana gorącą herbatą. A potem ziemia się zatrzęsła, gdy tama zawaliła się na dobre, a jezioro spłynęło w dół rzeki ryczącą ścianą brązowego mułu i walących się skał.

* * *

– Tak, tak – powiedział Barholm. Pozostali doradcy zamilkli, gdy dwaj Descottczycy spojrzeli sobie w oczy.

– Myślę, że mogę uratować sytuację – rzekł spokojnie Raj. – Pod warunkiem jednak, że mam całkowite zaufanie mego gubernatora. Czy mam twoje zaufanie, panie?

Barholm zacisnął usta. – Tak, tak – powtórzył znowu. Pstryknął palcami, prosząc o pergamin, napisał, podpisał i wyciągnął dłoń po gubernatorską pieczęć. Grzmotnęła w purpurowy wosk z gniewnym łupnięciem.

Popchnął pergamin po wypolerowanym drewnie stołu o płomienistych słojach. Raj go podniósł. Była to delegacja władzy wicekróla, wymagająca od wszystkich oficerów i urzędników Rządu Cywilnego całkowitej współpracy – rzadkość jak dla dowódcy posłanego do *barbaricum*, nieznana wewnątrz granic.

Jeśli zmiążdżę Kolonistów, pomyślał Raj, co wydawało się teraz mało prawdopodobne, *to będzie to ostatni silny przeciwnik, z jakim zmierzy się Rząd Cywilny*. Odzyskał Południowe i Zachodnie Terytoria, Obszar Bazy był daleko stąd, a państwa Zanj na Południowym Kontynencie jeszcze dalej. Gdy Kolonia zostanie pokonana, pozycja Barholma Cleretta będzie bardziej bezpieczna niż jakiegokolwiek innego gubernatora w poprzednich pięciuset latach. Na tyle bezpieczna, iż z pewnością nie będzie już dłużej potrzebował *heneralissimo supremo*.

– Tak – powtórzył Barholm. – Któż mógłby wątpić, iż masz moje *pełne* zaufanie?

Raj powstał, kłaniając się i wkładając gubernatorski kwit do kieszeni w rękawie mundurowej kurtki.

– A zatem, jeśli mi wybaczycie, najpotężniejszy panie suwerenie, messerowie.

Gdy opuszczał pokój, jego twarz przybrała wyraz roztargnionego zamyślenia, ignorował szepty za sobą. Wyładowanie pięciu tysięcy ludzi i trzydziestu dział wraz ze wszystkimi psami i zapasami nie było łatwe w najlepszych warunkach. Sprowadzenie ich ze statków i

skierowanie szybko na wschód nie skrewiwszy okropnie, będzie prawdziwą robotą.

>>Ładowanie przebiegnie najbardziej skutecznie, jak następuje<< zaczęło Centrum.

Rozdział czwarty

Kapral Minatelli z łoskotem zszedł po stromych, drewnianych stopniach do ładowni frachtowca, a ćwieki jego butów wgrzyzały się w sosnowe drewno. Statek kołysał się teraz mniej, gdy rozwinięto żagle i parowy holownik wprowadzał go do portu.

Minatelli potrząsnął głową, wciąż nieco oszołomiony tym widokiem. Wychował się w Starej Rezydencji, w Zachodnich Terytoriach, i znane mu były wspaniałe budynki. Jednakże Stara Rezydencja kurczyła się stopniowo od czasu, gdy Brygada ją zajęła, a las, gaje i wiejskie posiadłości szlachty rozciągały się na starych przedmieściach. Obecnie było to po prostu duże miasto.

Wschodnia Rezydencja była *światem*. Rozłożyła się na siedmiu wzgórzach po wszystkich stronach głębokiej zatoki w kształcie litery U: domy i fabryki, a na wysokościach ogrody i marmur, znaczyły dzielnicę patrycjuszowską i gubernatorskie pałace. Nad zatoką unosiła się mgiełka węglowego dymu, a las masztów i kominów zaciemniał wodę; eskadry nisko zanurzonych parowych taranów z łopatkami ubijającymi wodę, kupieckie statki o wielkich kadłubach, z ziarnem z krainy Diva z dalekiej północy albo ozdobnym kamieniem i winem z Kelden, całe floty barek z rzeki Hemmar. A wszędzie na wzgórzach siateczka gazowych lamp jak czarodziejskie światełka, wciąż jasne w godzinach przedświt.

Miał nadzieję, że będzie miał czas zobaczyć wielką świątynię Gwiazdy, jaką zbudował gubernator Barholm. Ponoć w porównaniu z nią ta w Starej Rezydencji wyglądała jak chata – a teraz wydawało się to możliwe.

Minatelli był tylko od czasu do czasu potrącany, gdy stopy niosły go przez zatłoczoną ładownię statku z żołnierzami. Po czystszyim powietrzu na pokładzie, smród znowu uderzył go w nozdrza. Jego ośmioosobowy oddziałek czekał przy sprzęcie.

– Jakie wieści, kapralu?

– Wybieramy się na wschód – powiedział Minatelli.

Mówił teraz biegle po sponglijsku, wciąż jednak dał się słyszeć akcent spanjolski, języka bardziej rozpowszechnionego w Zachodnich Terytoriach. Został rekrutem 24 z Valencii, gdy messer Raj przybył wojować z Brygadą. Przedtem lokalny kapłan w Starej Rezydencji

nauczył go liter i cyfr, co było jednym z powodów, dla których tak szybko został wartownikiem, a potem kapralem. Większość piechurów Rządu Cywilnego wywodziła się z wiejskich wyrobników i prawie wszyscy byli analfabetami.

Szybko sprawdził wyposażenie rozłożone na każdej słomianej pryczy. Odporny na wodę koc, normalny koc, długi bagnet, torby na ładunki na dwadzieścia pięć naboí, kolejne pięćdziesiąt w kartonowym pudełku, szpadel do kopania okopów albo krótki kilof, menażka, manierka, plecak, zapasowe ubranie, pakiet bandaży, pobłogosławiony chlorowy proszek do oczyszczania wody, zapasy sucharów na trzy dni...

Kapral podniósł jeden z karabinów ze zbrojowni i wsadził kciuk w pętlę spustu przed kolbą. Pchnięcie i zamek trzasnął, opuszczając się z przodu, odsłaniając wyżłobienie na górze prowadzące do komory. Zajrzał w lufę, unosząc ją ku światłu. *Żadnej rdzy, nie za dużo smaru. Ze szczękiem przesunął dźwignię z powrotem. Gdy pociągnął za spust, dało się słyszeć ostre kliknięcie, gdy iglica spadła na pustą przestrzeń, gdzie w czasie walki znajdowałby się nabój.*

– Nieźle, Saynchez – powiedział Minatelli. – Dobra, zakładać sprzęt.

Chór pomruków. – Wszyscyście zmiękli – rzucił nieubłaganie. – Niedługo ruszycie tyłki.

Zarzucił swój własny sprzęt. Parciany pas, torby, pasy na ramiona, plecak i bagnet zakładało się jak płaszcz, trzeba było tylko zapiąć klamrę pasa. Wszystko inne wędrowało do rolki z koca. Zwijalesz to w kielbasę, zawiązywałeś rolkę skórzanymi rzemieniami, a potem zginałeś ją w literę U i zarzucałeś na lewe ramię, związując końce razem na wysokości prawego biodra. Zamruczał trochę, gdy rynsztunek opadł, wzruszając ramionami, aż się dobrze ułożyło. Można się było dorobić odcisków wielkości filiżanki, jeśli się nie zrobiło tego dobrze.

Oficer i trębacz zeszedli głównym lukiem. Zabrzmiały głośno metaliczne tony *pełne wyposażenie i gotować się do wymarszu*, przebijając się przez ciemną, zatłoczoną przestrzeń. Żołnierze wybuchli przekleństwami, tłocząc się, wszyscy poza najbardziej doświadczonymi weteranami – oni przygotowali się wcześniej. Minatelli uśmiechnął się do swego oddziału.

– Zadowoleni?

O wiele łatwiej było założyć swoje wyposażenie, gdy kilka setek innych ludzi nie robiło tego samego i to w ładowani wypakowanej sosnowymi pryzkami.

Saynchez prychnął. Był on posiwiąłym mężczyzną lat trzydziestu paru, jeden z dwóch w oddziale, którzy byli na wschodzie ostatni raz z Dwudziestym Czwartym. Wspinał się także do rangi sierżanta i spadał z powrotem do szeregowca przynajmniej dwukrotnie; głównie przez picie.

– Ruszemy na wschód do garnizonów czy walczyć? – spytał.

– Messer Raj mi nie powiedział, jak ostatnio zaprosił mnie na popołudniową *kave* i ciasteczka – rzucił sucho Minatelli.

Sam nie palił się do garnizonowej służby. Niektórzy ją woleli. Pomiędzy kampaniami Rządu Cywilnego piechota miała przydzielane gospodarstwa z państwowych włości wraz z rodzinami dzierżawców, którzy mieli na nich pracować. Trzeba się było utrzymać z przychodów, minus wydatki na wyposażenie. Pod warunkiem, że twoi oficerowie byli uczciwi – a major Felasquez był, dzięki niech będą Duchowi – całość sumy była mniej więcej taka sama jak gotówkowy żołd w czasie aktywnej służby. Tyle, co zarabiał robotnik, w większym bezpieczeństwie i przy mniejszej robocie. Ale miało to *nudny* wydźwięk, zwłaszcza dla miejskiego chłopaka jak on, a on nie zaciągnął się, żeby się nudzić.

Oczywiście, niektóre z walk w Zachodnich Terytoriach były bardziej interesujące, niż sobie życzył. Pamiętał długie zęby psów kirasjerów Brygady, fałę pochylających się grotów lanc, pot kłujący go w oczy i rozgrzany jak słońce metal karabinu, gdy z niego celował.

– Wieść niesie – ciągnął, mięknąc – że brudasy przeszły granicę. Wysyłojom messera Raja, coby ich zawrócił.

Saynchez zagwizdał bezgłośnie. Minatelli spojrział na niego z nadzieją. Daleka wschodnia granica z Kolonią była dla niego tylko pogłoską. Saynchez był z Dwudziestym Czwartym, gdy messer Raj sprawił baty szmacianym łbom i zabił ich króla.

– Z nimi to jest powoźna sprawa – rzekł starszy szeregowiec. – Te brudasy to nie żart.

– Messer Raj już raz ich sprął – rzucił jeden z pozostałych żołnierzy.

– Powoźna – rzekł cicho Saynchez. – Naprawdę powoźna.

Minatelli zarzucił karabin na ramię. Znowu zagrała trąbka: *formuj szereg*.

* * *

Lokomotywa wydała z siebie wysoki, piskliwy świst z parowego gwizdka. Jej dwa koła napędowe wysokości człowieka obróciły się, wyrzucając bliźniacze strumienie iskier ze znajdujących się pod spodem szyn z taśmowego żelaza. Długi przewód kominowy z bulwiastą koroną rzygnął parą i czarnym dymem, gęstym i śmierdzącym przypaloną smołą. Znajdujące się za nią osiem drewniano-żelaznych wagonów pociągnęło za spinające je razem łańcuchy. Były wyładowane węglem i ciężkie. Potrzeba było więcej obrotów kół i szarpanych wyhamowań, zanim pociąg wreszcie nabrał prędkości i kołysząc się, ruszył na południe przez miasto ku dolinie Hemmaru, w długą podróż na wschód.

Pies Raja, Horace, warknął lekko na pociąg. Raj przesunął uspokajająco ręką po szyi

zwierzęcia, lekko ściskając nogami jego boki. Inni jeźdźcy mieli więcej kłopotu ze swoimi zwierzętami. Psy myśliwskie zwykle miały dobre nerwy; był to jeden z ich mocnych punktów. Miały też tendencję do zachowywania się dokładnie tak, jak chciały, kiedy tylko miały na to ochotę, ale zawsze było coś za coś. Horace ruszył do przodu kołyszącym się krokiem, podnosząc wysoko nogi przy przechodzeniu przez szyny, a jego łapy wielkości talerzy zachrzęściły na żuźlu i pokruszonym kamieniu nasypu kolejowego.

Wyjechało więcej pociągów z węglem, budując rezerwy na stacjach dalej na wschodzie wzdłuż Centralnej Kolei. Barki stały w dokach, załadowane pylistym czarnym produktem z kopalni Łańcucha Wybrzeża. Podstawiano inne pociągi, drewniane zamknięte wagony towarowe ze świeżo namalowanymi napisami *40 hombes/8 dwag* na bokach; czterdziestu ludzi albo osiem psów do jazdy. Stacje załadunkowe rozciągały się na większej części zatoki Wschodniej Rezydencji. Barholm Clerett zbudował więcej kilometrów linii kolejowej niż dziesięciu poprzednich gubernatorów razem wziętych. Co by się o nim nie powiedziało, był budowniczym. Świątynie, forty, koleje – skończona wreszcie Centralna Linia ze stolicy do Sandoralu – tamy, kanały. Większość z tego została sfinansowana z łupów z kampanii Raja i wykopana przez pochodzących z nich jeńców.

Był ciepły, wczesnowiosenny dzień, niebo błękitne oprócz kilku obłoczków wysoko sunących chmur, a w górze znajdowały się oba księżyce – Maxilunie brakowało ćwiartki do pełni, a Miniluna stanowiła wąski rąbek. Tak jak ten na zielonym sztandarze Kolonii, półksiężyc islamu.

Raj potrząsnął głową na tę myśl. Za księżycami znajdowały się gwiazdy i Duch Człowieka Gwiazd.

Dzisiaj na stacji rozdzielczej było więcej żołnierzy niż kolejarzy. Ludzie dźwigali prostokątne skrzynie na wagony. Każda miała wyrysowaną na boku gwiazdę Rządu Cywilnego oraz *11mm 1000 nab*. Grupa artylerzystów – byli rozebrani do workowatych bordowych spodni, ale miały one na zewnętrznej stronie nogawki czerwony lampas – wsadzała działa polowe na lorę, wpychając je po rampie z desek, a potem przywiązując wysokie, obite żelazem koła do sztab z uszkiem na platformie. Lufa i zamek okryte były ceratą, żeby ochraniać mechanizm przed pyłem i wilgocią. Prawie nadzy niewolnicy z żelaznymi obrożami z wytłoczonym napisem Centralna Kolej przyciągali ręczne wózki załadowane racjami żywności: suchary, rodzynki, bloki koziego sera, worki suszonego mięsa, beczki solonych ryb. Sierżant z 5 z Descott zawiadujący psami przyszedł, prowadząc na łańcuchu szereg psów do jazdy. Gdy lokomotywa zagwizdała, zwierzęta rozbiegły się, poszczekując z przestachu, a mężczyzna ciągnął, aż prawie zbiło go z nóg.

– Pochita! Fequez! Wy suki, cicho tam albo was – *przepraszam, messer Raju...*

– Kontynuuj, sierżancie.

– ...oblupię z tej parszywej skóry, *cicho* tam.

Olbrzymi mięsożercy się uspokoiли, ale uszy mieli w dalszym ciągu położone po sobie, odsłaniając zęby tak długie jak palec człowieka. Niewiele ze zwierząt widziało przedtem parowóz, a co dopiero jechało pociągiem. A jeśli o to chodziło, to tak samo niewielu żołnierzy nim jechało, nawet urodzonych w *Gubernio Civil*. Większość z nich pochodziła ze wsi, kawaleria z obszarów przygranicznych lub zaścianków takich jak hrabstwo Descott. A sam tylko Duch wie, co myślały o tym półdzikusy z zachodu, jakich sprowadził do służby.

Minął go pluton piechoty, z karabinami na prawym ramieniu i zwiniętymi kocami na lewym. Raj odczytał ich patki i zasalutował oficerowi.

– Cieszę się, że mam was znowu ze sobą, 24 z Valencii – powiedział. – Dobrze się sprawiliście w czasie oblężenia Starej Rezydencji i pościgu.

Porucznik na czele wyjął szablę i odpowiedział zamaszystym salutem. Ludzie wzniesli gromki okrzyk – *Raj! Raj!* – Podjęli go inni, aż uciszył ich machnięciem ręki. We względnej ciszy, jaka nastąpiła, usłyszał, jak podoficer przeklina grupę roboczą – Nie słyszałem, coby generał kazał wam przestać pracować, nie? Ruszać dupy! *Przyłożyć się do tego!*

Przez wzgląd na tamto i owamto, pewnie dobrze, że nie ma czasu na przemowę do ludzi, pomyślał zgryźliwie Raj.

Przemowa dowódcy przed udaniem się w pole należała do zwyczaju, ale ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, było, żeby nieodłączni szpiedzy – we Wschodniej Rezydencji było ich więcej niż pcheł i byli prawie tak liczni jak urzędnicy – przekazali sensacyjny opis, jak to jego żołnierze oddawali mu cześć. Zbyt wielu gubernatorów zaczynało jako popularni generałowie; była to najczęściej kupiona popularność, ale wygrywanie bitew nadawało się równie dobrze. Czyniło to każdego, kto zasiadał na Krześle podejrzliwym. Zwykle też taki lepiej się czuł, gdy przeciętniacy zajmowali wysokie stanowiska wojskowe.

Rozejrzał się dokoła po pełnej krzątaniny stacji: było chaotycznie, ale pracę wykonywano.

– Dobra robota, Muzzafie – rzekł do mężczyzny jadącego u jego boku.

Mały Komarianin podniósł wzrok znad swego notesu, miał worki pod oczami. – Kwestia czasu i

odległości, *solamnti* – powiedział. – Nie różni się to od obliczania tonażu czy marginesu zysków. – Uśmiechnął się. – A w ogóle to przyjemność pracować dla człowieka, który zna się na liczbach, mój panie. Niewielu wojskowych szlachciców się zna.

Niewielu szlachciców ma Centrum za doradcę, pomyślał Raj. A na głos – Powiadam raz jeszcze, dobra robota.

To było to: groźna organizacja. Koleje istniały już od dłuższego czasu, ale nigdy nie było ich wystarczająco dużo, czy też wystarczająco dużo nie przerywanych kilometrów linii kolejowej, aby przemieszczać duże siły. On miał dość pracy, zawiadując ludźmi. Muzzaf okazał się nieoceniony, gdy Raj wytłumaczył podwaliny pomysłu. Miało to na zawsze zmienić wojnę. Nie żeby koleje były o wiele szybsze od poruszania się na psim grzbiecie, ale się nie męczyły, a co ważniejsze, mogły przewozić ciężkie zapasy na duże odległości z taką samą szybkością co lekka kawaleria i nie potrzeba było zwierząt pociągowych zżerających ładunki albo zdychających.

Nie zaszkodziło też nigdy zauważyć, gdy człowiek wykonywał coś dobrze. Kolejną rzeczą, jaką robiło zbyt wielu szlachciców, było pstrykanie palcami i oczekiwanie, iż sprawy same się potoczą. To inżynierowie i administratorzy tworzyli Rząd Cywilny, bardziej niż kolejny feudalny chlew.

Muzzaf wyszczerzył się w uśmiechu. – Połowa z tego to robota twej pani – rzekł. – Gdyby nie trzymała patrycjuszki z dala ode mnie... – Znacząco wzruszył ramionami.

Raj skinął głową. Suzette Whitehall urodziła się we Wschodniej Rezydencji, piętnaście pokoleń miejskiej szlachty. Nikt nie wiedział lepiej, jak manipulować tym systemem. Był to jeden z jej rozlicznych talentów. *To dziwota, że wybrała takiego dziedzica z zapadłych wzgórz jak ja*, pomyślał z uśmiechem. Wówczas nie był nikim szczególnym, po prostu kolejnym ubogim w ziemię descottyjskim szlachcicem, wspinającym się po szczeblach zawodowej kariery, jak robili to jego przodkowie.

A gdzie...

– Moja pani – powiedział.

Stała wraz z grupą dowódczą, ale odwróciła się szybko na dźwięk jego głosu. Uśmiechnęła się lekko, ale ociepliło to spojrzenie jej zielonych, skośnych oczu. Horace przysiadł, a Raj uwolnił się ze strzemion i pochylił nad jej dłonią. Była w dworskim ubraniu wyjściowym, koronkowej spódnicy rozciętej z przodu i upiętej z tyłu, żeby odsłonić haftowane legginsy, w mantylę i całe to wszystko. Zaskoczyło go to, spodziewał się ubrania podróznego. Koło niej znajdowała się Fatima, niosąca tacę z butelką musującego wina z Kelden i kilka długich kieliszków, z których każdy miał zatkniętą truskawkę na oziębionym lodem skraju.

Sięgnął ręką – nie po wino, było dla niego za wcześnie – ale po owoc. Dotknęła jego palców zwiniętym wachlarzem.

– To jest amunicja, mój rycerzu – powiedziała.

Grupa oficjeli zmierzała w jego stronę, przedzierając się przez pełen pokrzykiwań chaos żołnierzy, dział i psów. Rozpoznał miejskiego prefekta Wschodniej Rezydencji – gubernatorzy nie pozwolili miastu na posiadanie własnego *alcalle*, znając niestałość motłochu we Wschodniej Rezydencji – a wyglądał on na wielce niezadowolonego. Raj przygotował się wewnątrz.

– *Jeszcze większa strata czasu* – warknął głębokim, gardłowym pomrukiem.

Suzette dotknęła jego ramienia. – Minutkę, kochanie – powiedziała. – Spodziewałam się tego. To jest Rahol Himentez, motłoch obrzucił kamieniami jego dom, gdy pewnej zimy zabrakło węgla. Od tego czasu jest to dla niego drażliwy punkt.

Ruszyła ku dygnitarzom.

– ... zimowe rezerwy – Raj usłyszał beczenie prefekta. – A nieprzyjaciel jest nad *Dolnym* Drangosh, a nie nad *Górnym*...

Zatrzymał się jednak, a wraz z nim jego fagasi, kręcąc się dokoła, gdy kojący głos Suzette przeciął błagalne skamlenie.

Stojący obok niego Gerrin Staenbridge zaśmiał się z podziwem. – Przechwyceni przez lotną eskadrę, na Ducha – rzekł. – I jeszcze wciągnęła do tego moją panią.

Jeden z oficerów się roześmiał. – Mała strata dla ciebie – rzucił. Staenbridge miał oko na przystojnych młodzików.

– Cóż, ona *jest* matką mojego dziedzica – ten zwrócił uwagę i skierował spojrzenie ku urzędnikom, których przechwyciła Suzette. Zaczynali ruszać z powrotem ku budynkowi kwatery głównej, ruchem przypominającym robaczkowy, łagodnie poganiani przez kobiety.

Raj skinął ostro głową. – Dobra, panowie – powiedział do kręgu dowódców batalionów, z których większość była jego towarzyszami, a wszyscy byli weteranami. – Wszyscy macie mapy?

Mieli, choć niektórzy z dawnych barbarzyńców, Eskadrowcy i Brygadowcy, spoglądali na nie z lekkim powątpiewaniem. Służby kartograficzne Rządu Cywilnego stanowiły jedną z przewag, jaką ten miał nad Rządami Wojskowymi. Niestety, kartografowie Kolonii byli równie uzdolnieni.

– Ta kampania – ciągnął, spoglądając im w oczy – to coś, do czego się szkoliliśmy przez tych pięć ostatnich lat.

– Podbicie połowy świata było *ćwiczeniami*? – wykrztusił Ludwig Bellamy.

Raj skinął głową z wyrazem twarzy, który ktoś obcy mógł pomylić z uśmiechem. – Bez obrazy, messerowie, ale tym razem nie walczymy z barbarzyńcami. Jeśli wystawimy maszynkę do mielenia mięsa na kiełbasę, to oni nie podrapią się po głowach i nie wsadzą w

nią uprzejmie swoich kutasów, jak my będziemy kręcić korbą.

– To są zdyscyplinowani żołnierze z pierwszorzędnym wyposażeniem, działający bliżej swojej bazy zaopatrzeniowej niż my. I mają pierwszej klasy dowódcę. Tewfik ibn? Jamal nie jest głupcem. Walczyłem z nim dwukrotnie. Raz przegrałem, raz wygrałem. A kiedy wygrałem, ojciec Tewfika, Jamal, zaglądał mu przez ramię i ciągnął za łokieć. Jamal był kiepskim dowódcą.

Gerrin skinął głową. – Tym razem ma ze sobą Aliego – zwrócił uwagę. Jego kwadratowa, przystojna twarz była ciemnooliwkowa, bardziej typowa dla Descott niż u Raja, który miał babkę z hrabstwa Kelden na północnym zachodzie. – Ali nie tylko nie jest dowódcą, ale wedle wszelkich doniesień jest cholernym, oszalałym wariatem.

– W tym leży nasza jedyna przewaga i będzie nam ona potrzebna. Messerowie, tym razem żadnych błędów. Poruszamy się szybko i uderzamy niczym młot. Gerrin, oddaj mi dwie setki z

Piątego, a ja zabiorę ich przodem pierwszym pociągiem. Ty będziesz stanowić tutaj straż tylną i przyjedziesz ostatni z resztą batalionu.

Uniósł rękę, gdy mężczyzna zaczął protestować. – Potrzebuję tutaj kogoś, komu mogę powierzyć dopilnowanie, aby plan został wykonany, pułkowniku.

– Zajmowanie się urzędnikami to też służba – powiedział Staenbridge.

– Ludwigu – ciągnął Raj. – Brakuje nam taboru kolejowego. Oddaję ci 1 i 2 Kirasjerów Wierzchem – byli to dawni żołnierze Eskadry – oraz 3/591, 4/591 i 5/591 – wszyscy Brygadowcy z Zachodnich Terytoriów. – Podążycie na psach. Wsadź bagaże na pociąg, zarekwiruj jakie potrzebujesz nowe wierzchowce z zagród w Obszarze Rezydencji i trzymaj się linii kolejowej. Na przystankach możesz pobierać zapasy. Ludzie mają mieć na sobie tylko broń i ekwipunek osobisty. Zrozumiano?

Ludwig Bellamy walnął zwiniętą w pięść dłońią w rękawicy o drugą. – *Si, mi heneral* – powiedział sponglijskim równie czystym jak u rdzennego oficera Rządu Cywilnego, był w nim nawet ślad descottyjskiej chrapliwości.

Jednakże nikt nie mógł wziąć go za człowieka ze wschodu. Był o palec wyższy od mierzącego sto dziewięćdziesiąt centymetrów Raja, a przycięte krótko na wojskową „donicę” włosy miał jasnożółte. Był synem szlachcica Eskadry, który poddał się Rajowi, aby zatrzymać swoje ziemie. Ludwig stanowił część tej umowy, był zakładnikiem właściwego postępowania swego ojca. Teraz był kimś więcej. Znajdujący się przy nim mężczyzna był podobny do niego na tyle, że mógł być jego bratem, ale był szwagrem. Był to Theodore Welf, dawny drugi rangą dowódca Brygady.

Ten postukał palcami o rękojeść miecza. W przeciwieństwie do swego krewniaka przez małżeństwo, pozostawił sięgające ramion włosy oficera Rządu Wojskowego i nosił długą klingę Brygady z koszową rękojeścią, a nie szablę człowieka ze wschodu.

– Dobrze pomyślane, *mi heneral* – powiedział. – Niektórzy z ludzi... – Wzruszył ramionami, pokazując na gwizdzące lokomotywy dookoła. – Cóż, nie są przyzwyczajeni do tych nowoczesnych subtelności.

– To prawda, majorze Welf – rzekł Raj. *To znaczy, pomyślał Raj, że od parowozów dostają kręćka ze strachu.* Pewnie myśleli, że są to zniewolone demony. – A od tego też zhardzieją. Dopilnuj, żeby poćwiczyli ze swoimi karabinami ze zbrojowni, Ludwig.

Bellamy potwierdzająco podniósł lekko brodę do góry. Raj rozpoznał ten gest z lekkim zaskoczeniem jako jeden ze swoich. *Jakże czasy się zmieniają.*

– Brygadowcom przyda się trochę ostrego marszu – rzekł krytycznie Ludwig Bellamy. Welf bezwiednie wzruszył potwierdzająco ramionami. – Są dobrymi strzelcami i dobrymi jeźdźcami, ale mają nieco miękkie dupy.

Jeśli o to chodziło, to w armiach Rządu Cywilnego było sporo oficerów, którym nawet by się nie śniło wyruszenie na kampanię, nie mając ze sobą pół tuzina służących i wozu z luksusami.

Jednak nie ci, którzy szli na wojnę z Rajem.

– A więc – Raj zwrócił się do innych dowódców. – Jorg, ty i Ferdihando sprowadzicie kolejnymi pociągami 17 Piechoty z Kelden i 24 z Valencii, zaraz za mną i moim oddziałem Piątego.

Jorg Menyez był drobnym, łysiejącym mężczyzną z rzadnymi brązowymi włosami i łagodnymi niebieskimi oczami, z jak zwykle czerwoną otoczką. Miał mocną alergię na psy, był to powód, dla którego wstąpił do niskiej rangą służby w piechocie.

– Najpierw piechota? – rzekł nieco zaskoczony. Pokazał, co mogli zrobić żołnierze piechoty, jeśli ich się odpowiednio wyszkoliło i poprowadziło, ale i tak było to dziwne.

– Potrzebuję w Sandoralu od razu ludzi, na których można polegać – rzekł Raj. – Osterville tam teraz dowodzi. Psy nie są najważniejsze tam, gdzie wchodzi w grę problem z Osterville'em.

Dało się słyszeć szyderczy śmiech. Osterville został przysłany, aby przejąć Południowe Terytoria po rekonkwiescie, gdy Raja odwołano niezupełnie w niesławie. Dowództwo nad fortecą i dystryktem Sandoral było sporą degradacją. Żaden z oficerów, którzy byli z Rajem, nie popierał Osterville'a, mimo iż ten był jednym ze strażników Barholma. Była to jedna z przyczyn, dla których przegrał polityczną rozgrywkę z Mihwelem Bergiem ze Służb Administracyjnych. To wszystko nie usposobiło go najpewniej życzliwie do *heneralissimo*

supremo.

Menyez kichnął z zamyśleniem w chusteczkę. – Ma tam mieć dwadzieścia tysięcy ludzi – powiedział. – Wątpię, żeby choć połowa tego nadawała się do służby. – Osterville pobierał żołd za puste stanowiska. Był to rozpowszechniony szwindel, choć nie na taką skalę.

– Pięć tysięcy, jeśli będziemy mieć szczęście, ale więcej niż potrzeba, żeby narobić kłopotu, jeśli Osterville zechce – rzekł Raj. *To szaleństwo wszczynać kłopoty, gdy Koloniści przekroczyli granicę*, pomyślał z roztargnieniem, ale widział już, co zazdrość może zrobić z umysłem człowieka. – Dlatego też potrzebuję twoich strzelców na miejscu.

– *Si, mi heneral* – Menyez zmarszczył brwi. – Jak *udało się* Bergowi wygryźć Osterville'a z tego stanowiska? Berg nie jest zły jak na gryzipiórka, ale Osterville był w końcu jednym ze strażników Barholma.

Raj wzruszył ramionami. – Jest on całkiem pewien, że ja mu to zrobiłem – powiedział. – Duch wie czemu. W każdym razie zajmiemy się messerem Osterville'em, jak przyjdzie co do czego. Następnie: po pułkowniku Menyezcie, pozostała kawaleria – ciągnął dalej, wymieniając bataliony. – Jakieś pytania?

Kaltin Gruder, dowódca 7 Zwiadowczego z Descott, wzruszył swymi potężnymi ramionami. Błede blizny odcinały się od oliwkowej opalenizny jego twarzy.

– *No problemo, mi heneral* – powiedział. – Sprawianie lania brudasom ma swoje zalety. Łupy są dobre, a ja lubię zapach dziewczyn z haremu.

Raj zacisnął na moment zęby. Były chwile, gdy zadanie przywrócenia cywilizacji na Bellevue było niczym wpychanie głązu w górę po śliskim zboczu. Gruder był zawodowcem. Nie powinien myśleć jak szlachcic barbarzyńców z Rządu Wojskowego ani człowiek z zaciągu... a potem dostrzegł uśmiech i odpowiedział na niego.

Za dużo rozmawiam z Centrum, pomyślał. *Wydaje się, że anioły nie mają poczucia humoru*.

Chłodna ironia dotycząca jego umysłu była pozbawiona słów, ale tak czy owak wyczuwalna.

– Pułkowniku Dinnalsynie, rozdzielisz działa pomiędzy bataliony. Ostatnia rzecz: mamy nowe

jazgoczące działa. – Dały się słyszeć okrzyki radości. Szybkostrzelne, wielolufowe działa były pierwszą nową bronią, jaką Rząd Cywilny przyjął w przeciągu stu dwudziestu lat. Raj kazał ich naprodukować w kobilassiańskich zbrojowniach na własną odpowiedzialność – według projektów Centrum.

– Cztery na batalion, pamiętaj, że to broń piechoty, a nie działa. Wypchniemy je do przodu i damy Kolonistom popalić tak, jak zrobiły to nam ich powtarzalne karabinki i

pompomy. Jeśli to już wszystko, to ruszajmy.

Towarzysze uderzyli się pięściami, tworząc piramidę ramion. – Piekło albo łup, psi bracia.

Gerrin Staenbridge przyglądał się wysokiej sylwetce odjeżdżającego generała. – O ile pamiętam, to czy to nie pani Anna Clerett szepnęła do ucha naszego najpotężniejszego pana suwerena słówko o Osterville’u? Ciekawe, kto rozmawiał z *nią*?

Wszyscy spojrzeli w stronę Suzette. Staenbridge się uśmiechnął. – Za każdym wielkim mężczyzną... – zacytował.

– Wiecie, messerowie – kontynuował, naciągając rękawice – byłem z messerem Rajem, gdy przejął komendę nad Piątym w tej sprawie z El Djem, na południe od Komar. Tylko pięć lat... i ten jeden człowiek zmienił świat i sam się zmienił.

– A my wszyscy to nie – rzucił Kaltin Gruder, dotykając długich blizn na swojej twarzy. Szrapnel Kolonistów, który wyrzeźbił te bruzdy, zabił mu młodszego brata, na pierwszej niezależnej kampanii Whitehalla. – A my wszyscy to nie.

Rozdział piąty

– Cholernie gorąco – stwierdził Tejan M’Brust, posługując się końcem chustki do otarcia twarzy.

– Jak rany – odparł Ludwig Bellamy.

Zatrzymał się na skraju drogi, a jego znużony pies przeszedł przez rów i stał ze zwieszonym łbem, dysząc w cieniu platanu.

Psy żołnierzy też dyszały; chóralny dźwięk jak setki świszających miechów kowalskich, gdy mijali go, przejeżdżając czwórkowymi kolumnami. Z pokruszonej kamiennej nawierzchni drogi unosiła się sięgająca kolan mgła pyłu. Kichnął, charknął i splunął w bok. Descottczyk podążył za jego przykładem i podał mu manierkę; wodę z octem. Napój ładnie znosił lepka ślinę i pył. Bellamy napił się i przyglądał, jak mija ich 1 i 2 Kirasjerów Wierzchem, których psy poruszały się szybko stępa. Obydwie jednostki nie były w pełnym składzie – zapłaciły znaczny rzeźnicki rachunek w Zachodnich Terytoriach i nie miały jeszcze czasu na rekrutację, aby dopełnić stanu – ale jego krytyczne oko dostrzegало, że dobrze się dostosowywali. Kilku nawet rozmawiało i żartowało, jadąc, choć większość nieco się garbiła, z wodzami w jednej ręce i oczami utkwionymi w zadzie psa przed nimi. Jednak jednostka utrzymywała zgrabny szyk.

– Lepiej się dostosowują niż Brygadowcy – stwierdził M’Brust, wypowiadając na głos jego myśl. – Nie sądzę, żeby istniała lepsza jednostka regularnej kawalerii, klnę się, że nie. Nawet 5 z Descott.

Ludwig skinął głową, uśmiechając się ze zmęczeniem. Jego lud, Eskadra, uznawany był za dzikszy niż Brygada; przybyli z Obszaru Bazy później, a Południowe Terytoria, które zdobyli, były zadupiem. Jednak te bataliony były dłużej pod dyscypliną messera Raja i od początku stanowiły materiał pierwszej klasy, gdy już im się wybiło z głów dziecięce pomysły o szarżach z zimną stalą w dłoni.

Na chwilę ciarki przeszły mu po plecach, gdy przypomniał sobie zastęp Eskadry nacierający pod salwami karabinów i zmasowanym ogniem artylerii. Śpiewy, wymachiwanie sztandarami, jasne słońce odbijające się od tysięcy mieczy... i Raj Whitehall, czekający wraz

ze swymi ludźmi stanowiącymi cienki, niebieski szereg, wyglądający w porównaniu na tak kruchy i uporządkowany jak płatek śniegu. Czekający, a potem unoszący swą szablę i opuszczający ją...

Otrząsnął się z tego, zdjął hełm i pozwolił, żeby powietrze osuszyło wilgotne od potu włosy. Po lewej teren wznosił się pod postacią skalistych wzgórz, suchych i migoczących upałem w letnim słońcu. Na prawo znajdowały się łagodne zbocza, cytrusowe sady, a potem otwarte pola zbóż z wyrobnikami pochylającymi się z sierpami przy żęciu. Przykurzona żółć pszenicy była niczym połysk złota pośród błyszczących, zielonych liści drzew owocowych. A co więcej, pomiędzy drogą a sadami przechodził wyłożony kamieniami kanał irygacyjny z powolnym nurtem wody. Tutaj, u południowych podnóży Oxheadów, było sucho i strasznie gorąco – teren opadał ku piaskowym pustyniom pogranicza – i widok oraz dźwięk wody były upajające. Mrużąc oczy, popatrzył na słońce, ale potem sobie przypomniał i wyciągnął zegarek, otwierając kopertę. W Południowych Terytoriach nawet zamożna szlachta ich nie nosiła. Nie było sensu. Nikt nie potrzebował znać tak dokładnie czasu, a i tak nie dało się ich reperować.

Cywilizacja. – Benter – rzekł do młodszego brata, który był jego adiutantem. – Dwadzieścia minut. Napójcie psy.

Odwrócił się i pognął swego psa na północ wzdłuż linii marszu. Za nim zabrzmiały chłodne, metaliczne tony trąbki, a sygnaliści w każdej kompanii przekazali je dalej. Gdy dotarły na tyły kolumny, ostatnia jednostka zatrzymała się pierwsza – trzeba było robić to w ten sposób, inaczej cała ta masa by się ze sobą zderzyła jak pijana stonoga. Usta wykrzywiły mu się na wspomnienie tego, jak jego ojciec próbował zatrzymać posuwającą się masę wojowników Eskadry, gdy on był jeszcze chłopcem. Zajęło to prawie godzinę, nawet z opłacanymi, zawodowymi wojami należącymi do domowej straży.

Trzy bataliony kirasjerów dawnych Brygadowców były w pełnym składzie... oprócz maruderów. Podjechał Theodore Welf, czerwony na twarzy od upału i zawstydzenia.

– Majorze Bellamy – rzekł, salutując.

– Majorze Welfie – odparł Ludwig, popatrując za niego.

Rozmawiali w sponglijskim, choć nameryjskie dialekty Eskadry i Brygady były dość zbliżone; przepisy, i lepiej było się przyzwyczajać, jako że ponad połowa oficerów w ich jednostkach była oddelegowanymi tubylcami z Rządu Cywilnego, takimi jak M'Brust.

Ludzie i psy osunęli się na drogę. Niektórzy prowadzili zwierzęta z traktu do rowu, idąc powoli na wygiętych nogach. Kilku pokłusowało pomimo otarć od siodeł i leżało teraz z głowami i ramionami zanurzonymi w życiodajnym chłodzie. Ludwig zmarszczył brwi i

wskazał na nich głową.

Teodore zaklął i dobył miecza, gnając w stronę rowu. – Wstawać i won stamtąd, wy jolopy! – krzyknął. Płaz broni zdzielił ich po ramionach. – Oczyszczyć ją najpierw, niech was szlag trafi! Nie można walczyć, mając sraczkę!

Żołnierze wstali, ociekając wodą. Podjechali oficerowie, tak samo umorusani pyłem jak ich ludzie, a żołnierze ustawili się w szeregi. Niektórzy poprowadzili swoje psy w dół strumienia, inni napełnili manierki i dodali pobłogosławionego chlorowego proszku do oczyszczania. Był to rytuał wspólny dla kultu Ducha Człowieka tej Ziemi, który wyznawali, i dla kościoła Gwiazdy Rządu Cywilnego, ale nie wszyscy dowódcy byli jednakowo pobożni. Messer Raj nalegał na całkowite wypełnianie kanonu – wodę do picia dla ludzi należało oczyszczać przy pomocy proszku lub dziesięciu minut ostrego gotowania, bez wyjątków.

A Duch sprzyjał mu dzięki temu. Nie było rzadkością, iż na każdego zabitego w walce armie będące w polu traciły pięciu ludzi przez dyzenterię. Nie przydarzało się to żołnierzom pod dowództwem Raja.

Welf przyklusował z powrotem. – Przepraszam, Ludwigu – powiedział. – Zachodnie Terytoria nie są takie gorące.

Ludwig skinął głową. Jak dla niego, Zachodnie Terytoria były cholernie zimne i deszczowe – jego własni przodkowie przedarli się przez nie w drodze ku południowej stronie Morza Śródziemnego, a on się z tego cieszył. Oczywiście, nawet Zachodnie Terytoria były ciepłe i suche w porównaniu z Obszarem Bazy, co tłumaczyło, dlaczego Brygada się tam zatrzymała. Byli pierwszymi z Rządów Wojskowych, którzy wynieśli się i ruszyli na południe.

– A twoi wspaniali dżentelmeni nie przywykli do takiego pocenia się – odparł, uśmiechem stępując żądło.

– To prawda – rzekł Welf. Zgiął ramię złamane przez kulę Rządu Cywilnego pod Starą Rezydencją, prawie dwa lata temu. – Ja nigdy nie ośmieliłbym się tak mocno ich naciskać tam... cóż, wtedy.

Ludwig skinął głową. W rodzinnych stronach nawet żołnierze byli pewnego rodzaju szlachtą, mającą kilkaset hektarów i wyrobników do ich obrabiania. Oczywiście miało to swoje dobre strony: mnóstwo wolnego czasu do ćwiczeń i polowania. Dlatego też byli świetnymi jeźdźcami i w większości dobrymi strzelcami. Brygada wyposażyła swoich ludzi w broń ładowaną przez lufę, ale były to gwintowane, spłonkowe muszkiety, a nie gwintowane karabiny skałkowe – najlepsze, co mogli wyprodukować i konserwować jego ludzie.

– Jak się miewa moja piękna kuzynka? – ciągnął Teodore.

– Marie? Nadal w ciąży, zgodnie z ostatnim listem – powiedział Ludwik. – Dzięki niech będą Duchowi. Inaczej próbowałaby przebić messę Whitehall i pojechać z nami.

Teodore wzdrygnął się wystudiowanie. Odwrócił się, by przyjrzeć się, jak podjeżdża ze skrzypieniem ciągnięty przez psy wózek załadowany kirasjerami z porażeniem słonecznym, z ich wierzchowcami na smyczach z tyłu. – Polejcie na nich trochę wody! – rozkazał.

Ludwig nałożył z powrotem swój hełm. Podbita skórą kolczuga ochroniacza uderzała go o szyję, a pot z gąbkowo-korkowej wyściółki spływał mu na włosy i po policzkach, tłusty i zatęchły.

– Zaczynam żałować, że nie pojechaliśmy pociągiem – rzekł.

– Dotarcie tam to połowa zabawy – odparł Theodore, mrugając oczami z czerwonymi obwódkami.

* * *

Pociąg załadowany artylerią zaczął wyjeżdżać ze stacji we Wschodniej Rezydencji. Działa i ludzie ulokowani byli na platformach, a psy pociągowe w wagonach towarowych, które znajdowały się dalej od lokomotywy. Gdy skład tylko minął zwrotnicę, zaroilo się od reszty 5 z Descott, która potruczała do przodu, rozdzielając się na plutony i wsiadając do dwóch ostatnich pociągów.

– Alo sinstra, waymanos! – *Z lewej, naprzód marsz.* Dziesięć minut i ostatni pluton został załadowany do wagonu towarowego.

Gerrin Staenbridge rozejrzał się dookoła. – Ostatni? – spytał.

Muzzaf Kerpatik wyglądał na tak samo wyczerpanego jak on. – Zdecydowanie ostatni, *mi* pułkowniku – rzekł.

Staenbridge przesunął ręką po brodzie, a jego pokryta odciskami od szabli dłoń zachrząściła na sinawym zaroście. – Trudno w to uwierzyć. *Sen. Brzytwy. Jedzenie.* W nie też już nie wierzył.

Jakiś pałacowy fagas w mundurze przedzierał się ku niemu przez tory i śmieci pozostałe po trzech dniach działań wyjątkowych. Działali w trybie bojowym: wyrzucić, usuwając z drogi wszystko, co się łamie albo nie jest potrzebne, a potem myśl o sprzątaniu. Łącznie ze sporą ilością zepsutego taboru, a także martwymi psami, zdechłymi wołami pociągowymi oraz dodatkowym sprzętem i około pięćdziesięcioma tonami węgla, który sturlał się w dziwnych miejscach i szkoda było czasu i wysiłku, by go zbierać. Niewolnicy-tragarze Centralnej Kolei,

robotnicy z doków i zwerbowani siłą urzędnicy leżeli naokoło w różnych stadiach wycieńczenia.

Ale nie było żadnych żołnierzy. Każdy człowiek, pies, działo i ładunek amunicji znajdował się w drodze na wschód. *Duchu Człowieka, mógłbym spać przez tydzień.*

Jeśli ten fagas oznaczał to, co myślał, że oznaczał – kolejną wiadomość od jakiegoś rozhisteryzowanego głupca z pałacu, który chciał, żeby trzymano go za rękę – to będzie *gadał* przez tydzień. Ludzie na Pierwszym Wzgórzu nie przestali się ani trochę obawiać Aliego przez ostatnich parę dni i wciąż urządzali burze mózgow, a większość z nich rozpoczynała się i kończyła zostawieniem większej ilości żołnierzy do ochrony ich własnych cennych fundamentów. Gdyby chciał wysłuchiwać beczenia, to pozostałby w domu, w rodzinnej posiadłości i pasłby owce.

– Do zobaczenia w Sandoralu – rzekł do małego Komarianina i pognał ku drugiemu pociągowi.

Ten ruszał, gdy Staenbridge zacisnął rękę, w której zwykle nosił szablę, na żelaznym uchwycie i podciągnął się na tylną platformę. Ten wagon został przyczepiony w ostatniej chwili. Należał do tych, w jakich wożono strażników kolejowych przez bandycki kraj i miał w środku łóżka piętrowe i piec do gotowania. Znalazł go zaparkowanego na boczniczy i niech go diabli, jeśli nie zatrzyma go tylko dla siebie. W ten sposób będzie miał jakąś szansę, żeby się trochę wyspać w trakcie około pięćdziesięciu godzin, jakie zajmie dotarcie do Sandoralu. W jego worku było trochę sucharów i suszonej kiełbasy...

Woń curry zaskoczyła go, gdy otworzył tylne drzwi strażniczego wagonu. W brzuchu mu zaburczało na wspomnienie tego, jak dawno już nie jadł. Fatima cor Staenbridge – *cor* oznaczało wyzwolenca – podniosła wzrok znad małego pieca.

– Będzie gotowe za minutę, Gerrin – powiedziała.

Otworzył usta, aby ryknąć, a potem to przemyślał i usiadł, z westchnieniem odpinając pas z szablą. *Moja własna cholerna wina*. Uratował tę dziewczynę w trakcie plądrowania El Djem właściwie wiedziony impulsem. A raczej, to ona wybrała Bartona Foleya, aby ocalił ją przed zbiorowym gwałtem, na który napaleni byli descottyjscy żołnierze, a on jej pomógł. *Zatrzymał* ją także wiedziony impulsem. Barton potrzebował wówczas nieco doświadczenia z kobietami – szlachcic musiał się ożenić i w końcu przedłużyć swój ród, niezależnie od własnych inklinacji. Udało jej się dotrzymać im kroku w czasie koszmarnego odwrotu przez pustynię, po tym jak Tewfik schwytał ich w pułapkę, co budziło pewien szacunek. Zaszła także w ciążę – czy dzięki niemu, czy też Bartonowi było kwestią sporną, lecz nieistotną – a było to więcej, niż udało się osiągnąć jego żonie, którą odwiedzał z poczucia obowiązku raz

na rok.

– Diabełek – rzucił.

Wytknęła do niego język i wręczyła mu talerz. *Duchu, ona ma dopiero dwadzieścia lat*. Uwolnił ją, oczywiście, i uznał ich dziecko – teraz dwójkę – a jego żona wcale się temu nie sprzeciwiała, jako że zgodnie z prawem Rządu Cywilnego mógł się z nią rozwieść za to, że nie dała mu dziedzica. Dzieci po odstawieniu od piersi musiały oczywiście pozostawać przez większość czasu z nią w posiadłości, tak się godziło.

Zaczął pałaszować ogniste curry, popijając je wodą i czerwonym winem, o dziwo nadającym się do picia. To znaczy, w porównaniu do tego z wydawanych racji. *I pomyśleć, że byłem kiedyś uznawany za smakosza*, pomyślał. Polo, bale, polowanie, teatr, wspaniałe mundury i parady oraz dobre restauracje, przystojni młodzieńcy, błyskotliwe rozmowy... zaskakujące, jak mało mu tego brakowało w ciągu tych pięciu lat, od czasu, gdy Rajowi Whitehallowi oddano pod komendę 5 z Descott i wysłano, aby nauczył brudasów, żeby nie najeżdżali granic Rządu Cywilnego.

Rozmyślał, jak to czuł wówczas do niego urazę. Gerrin był starszy... ale potrzebował dowódcy, który wydobył z niego to, co najlepsze. Raj posiadał wściekle doskonałą siłę woli. Gerrin dostrzegał to, choć w żadnym razie nie chciał sam jej mieć. *I nigdy nie było nudno*. Wówczas był tak znudzony, że z czystej nudy majstrował przy rachunkach batalionu.

Dokończył jeść. Fatima siedziała na skraju łóżka, z oczami wstydliwie spuszczonej w doskonałej imitacji pokory. *Co za aktorka. Scena straciła coś, gdy ona urodziła się w Kolonii*. Naturalny talent, jak przypuszczał. Plus bliska komitywa z Suzette Whitehall, w wieku, gdy łatwo poddawało się wpływowi.

Gerrin westchnął znowu. Jeśli o niego chodziło, seks z kobietami był jak jedzenie zwykłego, ugotowanego ryżu bez masła albo soli – możliwe, ale... *A z drugiej strony*. Żołnierz uczył się zadowalać tym, co było pod ręką. Gdy miałes tylko gotowany ryż, to właśnie to jadłeś.

* * *

Żałobny świst gwizdka lokomotywy rozbrzmiewał echem w nocy. Był wieczór i

zmierzch zapadał nad falującymi wzgórzami górnej rzeki Hemmar. Po prawej ostatnie promienie słońca połyskiwały na powierzchni znajdującej się w dole rzeki, jak wstążka z kutego srebra wijącej się przez skrywające się w mroku pola. To samo światło odbiło się od trzymetrowych skrzydeł pterosauroida szybującego nad wodą, złocąc nagą skórę i krótkie,

puchate futro na jego ciele. Wyżej, przykurzone wzgórza zieleniły się od oliwkowych drzewek lub pokrywała je z bujnością lata winorośl. Tarasowe pola jęczmienia na niższych zboczach były brunatno-złote. Cyprysy i eukaliptusy obramowały białe, pyliste pasma drogi i otaczały wille o pobielonych, glinianych ścianach.

Raj podniósł wzrok znad map. Centrum mogło dostarczyć lepszych, holograficznych projekcji wraz ze wszystkimi informacjami, jakich potrzebowałeś, ale on został wychowany z papierem i ten wciąż miał w sobie coś, czego brakowało wyświetlanym obrazom. Ojciec nauczył go czytać mapy, wędrując dokoła Hillchapel – rodowej posiadłości Whitehallów, w parafii Smythe, w hrabstwie Descott – z kompasem i mapą służb kartograficznych, aż Raj nauczył się widzieć ziemię i oznaczenia jako jedno.

– Sentahvo za twoje myśli, moje serce – powiedziała Suzette.

Miała na kolanach swoją *gittar* i lekko brzdąkała o jej struny.

– Myślę o Descott i Hillchapel – rzekł Raj. – Cholera, minęło dużo czasu, odkąd je widzieliśmy.

Suzette skinęła głową. Wpasowała się zaskakująco dobrze. Jeśli uważała Hillchapel za ponurą, kamienną stodołę w środku dziczy, to nigdy tego nie powiedziała. Cóż, w porównaniu ze Wschodnią Rezydencją tym właśnie była; naftowa lampa uznawana była w Descott za luksus. Większość hrabstwa stanowiła wyżynną, wulkaniczną dzicz, ze skąpymi lasami i jeszcze bardziej skąpymi kamienistymi pastwiskami, gdzie trzeba było dziesięciu hektarów do wykarmienia owcy. Był to również bandycki kraj, pełen zabójczych sauroidów.

Brakowało mu go.

– Obawiam się, że bardziej domowo już być nie może – rzuciła lekko Suzette.

Raj rozejrzał się po wagonie kolejowym. Został wyposażony w stół i krzesła. Za przepierzeniem z koca znajdowała się komoda, a kilka bukłaków z winem i wodą zwisało ze ścian, nad głowami zaś wisiała latarnia. Była także skrzynka z racjami polowymi – w wersji Suzette, co oznaczało znaczną poprawę w stosunku do tych wydawanych przez wojsko. Jeden z jego adiutantów chrapał na podłodze.

W wagonie z tyłu śpiewali żołnierze – a przynajmniej oni uważali to za śpiewanie – rycząc chórem:

*Jedziem z odsieczą przez gorące piaski pustyni,
Sześciuset Descottczyków, major z ludźmi swymi,
Hej! Spadaj, wole roboczy, styszałeś, jak trąbka gra,
Drogą Drangosh nadjeżdża wojownicza Piątka!*

– Mamy więcej szczęścia niż oni – stwierdziła Suzette, unosząc głowę i wpatrując się w nadciągającą noc. – My przynajmniej jesteśmy razem... Ich kobiety muszą siedzieć i się zastanawiać. I za każdym razem, gdy ktoś podjeżdża do drzwi gospodarstwa, może to być posłaniec z zawiniątkiem z karabinem i szablą, a będzie to wszystko, co zobaczą po utraconym mężu lub synu.

– Dałem ci nieszczególne małżeńskie życie – stwierdził Raj.

Suzette się do niego uśmiechnęła. – Nie zamieniłabym go na żadne inne – odparła. – I tak nie sądzę, abyś był jednym z tych, którym dane jest mieć normalne życie.

– Przynajmniej jeszcze nie teraz – rzekł Raj. *Nigdy*, pozostało niewypowiedziane pomiędzy nimi.

A Barholm nie da Rajowi nawet przejść honorowo w stan spoczynku w nagrodę za zwycięstwo.

>>Nauczyłem się, iż nierozsądnie jest posługiwać się zwrotem „nigdy”<< powiedziało Centrum.

Palce Suzette ponownie brzdąkały na *gittar*. Raj otulił się płaszczem i pozwolił głowie opaść. *Tylko chwilka, pomyślał. Tylko chwilka odpoczynku.*

* * *

– Podnieśta dupy z podłogi – warknął sierżant. – Zara tam będziemy.

Kapral Robbi M'Telgez zamrugał oczami, budząc się.

– Jak już żem się przyzwyczoił spać na tych rzeczach – rzekł smętnie, wyciągając słomę z włosów i ziewając w gorącej, ciasnej ciemności wagonu towarowego, wypełnionej mocną wonią potu.

Pociąg zwalniał, kołysząc się jeszcze bardziej z boku na bok. Wszędzie dokoła rozciągała się płaska, zirygowana równina Górnego Drangosh. M'Telgez przyłożył oko do deszczułek towarowego wagonu. Kraina ta wyglądała na dobrą. Była sucha, ale tam, gdzie była woda, nawet ze sznurowadeł mogło coś wyrosnąć. Zwieziono pszenicę i jęczmień, a pola zostały zaorane pod letni zbiór kukurydzy i prosa. Zaś bawełna i trzcina cukrowa oraz indygo mocno wyrosły. Było tam także mnóstwo sadów, głównie daktylowych i cytrusowych.

Dobra kraina dla ziemiaństwa, piekło dla rolników, pomyślał leniwie. Bogata ziemia oznaczała biednych ludzi do jej obrabiania; wszyscy tutaj będą wyrobnikami. I *gorącej niż w piecu*.

Minęli pas wiejskich posiadłości, zacisznych schronień, jakie miejscy bogacze pobudowali w otwartym, lekkim stylu, który wyglądał jakoś tak nieprzyzwoicie w

porównaniu z czworoboczną solidnością domów, do jakich przywykł M'Telgez – jednak Descott znajdowało się daleko na północ stąd i w dodatku było górzystą krainą. Kapral sądził, że tutaj nawet zimą nie robiło się chłodno. A potem po obu stronach linii kolejowej pojawiły się szałas, prymitywne budy ze słomy i trzciny. Zaklął cicho, gdy zobaczył, kto się w nich znajdował oprócz wieśniaków-uciekierów z terenów wiejskich. Wśród nich znajdowali się mężczyźni w mundurach Rządu Cywilnego, tylko piechota, ale mimo to... wyglądali na *głodnych*.

– Czy nie powinni im płacić, jak zwołujom ich z gospodarstw? – spytał.

Sierżant plutonu zaśmiał się kwaśno. – Co ty, wczoraj żeś się urodził, M'Telgez?

Żołnierz Smeet przyłożył oko do szczeliny. – Równie dobre miejsce, coby dać się zakatrupić, jak każde inne – rzucił ponuro. – Zabijom nas, wicie. Miałem sen...

Reszta plutonu obrzuciła go kawałkami sucharów, zimnymi skórkami bekonu i co tam mieli pod ręką.

– Jak tak długo będziesz to powtorzoł, to się stanie, ty łojdoku – rzucił z obrzydzeniem M'Telgez.

Smeet wyszczerzył się w uśmiechu. Brakowało mu dwóch przednich zębów, a jego twarz stanowiła brązową, pomarszczoną mapę dwudziestu lat służby. – A znasz no sposób, coby żyć wiecznie?

Znalazłszy się za murami miejskimi, pociąg zaraz się zatrzymał z piskiem. M'Telgez wsparł się o deski i osłonił oczy, gdy otworzono drzwi.

– *Dalej no* – krzyknął znowu sierżant.

Wagony towarowe szybko opustoszały. Ludzie przeciągali się, a psy poszczekiwały z histeryczną ulgą. Na zewnątrz panował równie gorący, suchy i palący upał, jaki pamiętał z pierwszej kampanii tutaj pięć lat temu, ale przynajmniej na dworze można było oddychać. M'Telgez odczepił łańcuchową smycz swego wierzchowca i spędził chwilę, uspokajając zwierzę.

– Ciii, bądź cicho teraz, Pochita, ty suko – powiedział. Jęzor wielkości ścierki i szorstki jak papier ścierny przeleciał mu po twarzy. – Cicho. Leżeć, dziewczynko.

Kątem oka dostrzegł messera Raja i dowódcę kompanii oraz kapitana dowodzącego zwiadowcami – przyjechał M'lewis i jego Czterdziestu Złodziei, lepiej podwójnie przewiązać sakiewkę – zatopionych w rozmowie. Pracował szybciej. Wsadził karabin do olstra po prawej, z przodu siodła, zacisnął popręg i pasy na klatce piersiowej zwierzęcia oraz sprawdził bandolet na szyi i przymocował szablę zwisającą z drugiej strony. Dobył klingi, zakręcił młynka i zbadał ostrze, a potem sprawdził ładunki w rewolwerze, który zatknął w jedną z

cholewek.

Messer Raj na pewno będzie miał dla nich robotę, nie ma co. Był w 5 z Descott od pięciu lat i była to jedyna rzecz, której można było być pewnym.

* * *

– Miło być kochanym – rzekł Barton Foley.

– Nie wtedy, gdy wchodzą w drogę – odparł Raj.

Jechali powoli na czele kolumny. Chodniki wypełnione były cywilami wiwatującymi z histerią w głosie. Różane płatki i ryż spływały deszczem na żołnierzy, jakby byli grupą drużbów sprowadzających pannę młodą z domu ojca. Ludzie podbiegali, by ofiarować żołnierzom butelki wina lub, co było jeszcze bardziej niebezpieczne, jedzenie psom. *Myślą, że co się stanie, jak podsuną pieczeń pod nos bojowemu psu?* – pomyślał Raj, odwracając się w siodle i widząc, jak ktoś z tłumu okręca się do tyłu, ściskając się za rozdarte przedramię. Smród tłumu był namacalny niczym drgające w powietrzu fale upału, promieniujące od pobielonej gliny budynków, przemaczając mu pod pachami kurtkę munduru.

Hałas wystraszał *wszystkie* psy; potężny ryk pomiędzy pobielonymi domami o jasnych ścianach i płaskich dachach.

– Trębacz! – warknął Raj. – *Zagraj: dobyć szabli.*

Ostre tony przebiły się przez szalony harmider czyniony przez tłum tak, jak miały przebijać się przez bitewny zgiełk. Dwieście rąk powędrowało do rękojeści szabli wiszących przy siodłach. Dwieście kling zostało dobotych, wysuwając się jednocześnie ze zgrzytem, a potem błysnęło, gdy podnoszone je, aby spoczęły na ramionach. Psy znały sygnały równie dobrze jak ludzie i warknęły chórem mrozącym krew w żyłach basowym pomrukiem. Zabłysły długie, mokre kły, a za nimi stało pół tony mięsożercy. Psy bojowe hodowano dla ich agresywności i szkolono do zabijania, a ich postawa, zjeżenie się z wysuniętym łbem, wskazywała, iż były absolutnie gotowe właśnie to zrobić.

Tłum wrzasnął i odsunął się. Paru zginie stratowanych... ale nie aż tylu, ilu byłoby, gdyby Ali splądrował miasto, a to się właśnie stanie, jeśli będą mu wciąż wchodzili w drogę. Nad głowami trzaskały zamykane drzwi, gdy pustoszały balkony z kutego żelaza. Raj wbił pięty w Horace'a, poganiając go do kłusa. Trębacz znowu zagrał i cała kolumna ruszyła za nim. Żelazne koła baterii jazgoczących działek stukotały za nimi.

– Cóż, to uczyni nas mniej popularnymi, *mi heneral* – rzekł Barton.

– A niech diabli porwą popularność – odparł Raj, czując, jak część napięcia odpływa mu z ramion.

Wpadli na *Plaza Real*, plac stanowiący środek wszystkich miast Rządu Cywilnego. Otaczały go

jak zwykle następujące budynki: świątynia Gwiazdy z połączoną kopułą, budynek rządowy z arkadami, kamienice zamożnych posiadaczy ziemskich i kupców... oraz koszary kawalerii, wygodnie pod ręką na wypadek kłopotów. Wysoce niezwykle były namioty i szałas, które ustawiono wszędzie na placu, tłoczące się aż do samej ozdobnej fontanny i ogrodów znajdujących się na środku. W powietrzu unosił się kwaśnawy dym z palenisk do gotowania i smród przepełnionej kanalizacji.

– Uciekinierzy – rzekł ponuro Raj. – Musi być ich pięćdziesiąt albo i sześćdziesiąt tysięcy w tych murach.

– Normalnie Sandoral ma pięćdziesiąt tysięcy ludzi – powiedziała Suzette. – Przy tak wielu dodatkowych...

Raj skinął głową. – Zdecydowanie będziemy musieli coś z tym zrobić.

Zatrzymali się przed koszarami stanowiącymi ciąg dwupiętrowych budynków połączonych murami i bramami z żelaznych krat, ogradzającymi teren do parad znajdujący się wewnątrz. Śmierdziało w nich jeszcze gorzej niż w pozostałej części miasta. Nie była to jedynie nieunikniona woń psiego gówna, ale także cuchnący smród wynikający z przepełnienia i zaniedbania. *Wyglądały* one na zaniedbane – skrzywione bramy, stiuk schodzący wilgotnymi plamami z murów. Jednak, gdy jednostki były tak małe liczebnie, jak donosił mu wywiad, koszary nie powinny być przepełnione – a w oknach wisiało pranie, zaś kobiety i dzieci zbyt liczne, aby stanowić ciury obozowe, wychylały się i pokazywały palcami lub też wystawały w drzwiach.

– Kapitanie Foley – rzucił Raj. – Ludzie z siodeł, karabiny oraz wartownik i oddział tutaj. A potem dołącz do mnie, jeśli łaska.

Zaśpiewała trąbka. Ludzie schowali szable do pochew i wyciągnęli z olster karabiny ze zbrojowni. Kolejne wezwanie i psy przypadły w przysiadzie. Mężczyźni uwolnili się ze strzemion i przywiązali wodze do barierki dla psów i koryt do pojenia znajdujących się wzdłuż budynków garnizonu od strony placu. Zabrzmiało niosące się długo kliknięcie, gdy ładowali swoją broń; 5 z Descott nie nosił broni od parady, a kiedy grozili, to naprawdę to mieli na myśli.

Przez główną bramę wyszedł oficer, zapinając pas z szablą. Raj zmierzył go wzrokiem: lat trzydzieści parę, ale miał brzuch starszego człowieka, wypychający szarfę i pas, był nieogolony, a niebieska kurtka munduru miała plamy pod pachami. Raj nie oczekiwał od żołnierzy, by ci tracili czas, by wyglądać nieskazitelnie w polu, lecz w garnizonie

utrzymywanie porządku przypominało im, że *są* żołnierzami. Była to oznaka szacunku do samego siebie. Mieli tutaj, na Ducha, bieżącą wodę! A każdemu ośmioosobowemu oddziałowi kawalerzystów przysługiwał jeden żołnierski sługa do zajmowania się zwykłymi, niewojskowymi czynnościami.

A oficer powinien dawać przykład.

Krótko mówiąc, właśnie tego się spodziewałem, pomyślał Raj, a zimna wściekłość zacisnęła dłoń wokół jego piersi. Odpowiedział na salut nieznajomego.

– Kapitan Hamelio Pinochet, 47 Dragonów z Santanner – rzekł mężczyzna.

– *Heneralissimo* Raj Whitehall – odparł Raj. – Jestem tutaj, aby przejąć dowodzenie, kapitanie.

Nieszczęsny oficer przełknął ślinę, próbując stanąć na baczność. – Ach, *mi heneral*, rozumiesz, w

tej wyjątkowej sytuacji i przy uciekinierach...

– Rozumiem doskonale, kapitanie. – Gdy kwatery osiągały ceny wyższe niż zwykle, ktoś dostrzegł możliwość zarobienia, wynajmując wolne miejsce po wojskowych. – Prowadź.

Kręcący się cywile popatrywali na nich z ciekawością, gdy szli przez długie sale baraków. W każdym było miejsce dla stu żołnierskich pryczy, z pokojami dla poruczników i apartamentem dla dowódcy kompanii, plus pokój odpraw i mesa. Obecnie upakowano w nich dwa razy tyle uciekinierów, sądząc po ich odzieniu na tyle zamożnych, że ktokolwiek prowadził ten szwindel, musiał zbijać fortunę. Gdy Raj przechodził, wzbierał wśród nich szept. Do czasu, gdy dotarli do budynków znajdujących się wciąż w użytkowaniu wojskowych, nieco ich wyprzedził. Na tyle, że piski protestujących kobiet cichły, gdy te były wypędzane z koszar, a żołnierzom udało się dokonać pospiesznego sprzątnięcia. Nie za *dużo* sprzątnięcia. Sprzęt piętrzył się na kupach wszędzie na podłodze, niewielu ludzi było w pełnym umundurowaniu, a po kątach wciąż wałały się karty i kości. Żołnierze stali na baczność w nogach pryczy, wyraźnie starając się nie rzucać się w oczy.

Raj ignorował ich przez chwilę. Natomiast zdjął karabin ze stojaka przy szafce w głowach pryczy i poruszył mechanizmem. – Przynajmniej nie ma tu rdzy – rzekł łagodnie. – A potem – Kapitanie Pinochet, ilu ludzi figuruje w tutejszym rejestrze wojskowym? Określa się was jako cztery bataliony. – Jakież dwadzieścia cztery setki ludzi, w teorii.

– Ach... około tysiąca, panie. Większości oficerów nie ma, ach...

– Obecna w tej chwili, tak – rzekł Raj. – Ustaw ludzi w szeregu, jeśli łaska, kapitanie.

Raj czekał ze skrzyżowanymi ramionami, gdy zadźwięczały trąbki. Dojście do ładu ze sprzętem zajęło żołnierzom z garnizonu bardzo dużo czasu. *Bezgwiezdne ciemności wiedzą, w jakim stanie jest piechota*, pomyślał, krzywiąc się w myślach. To była elitarna kawaleria.

– *Boczność.*

Okrzyk podoficera sprawił, iż ludzie ustawili się na baczność w nierównym szeregu, gdy Raj wystąpił do przodu. Miał za sobą sztandar 5 z Descott i swój własny proporzec. Dwie kompanie Piątego przytruchtały prędko, ustawiając się z tyłu z płynną sprawnością bezustannych ćwiczeń, a chóralski stukot ćwieków w ich butach rozbrzmiewał po terenie do musztry i odbijał się echem od otaczających go pierścieniem koszar i stajni.

Raj odczekał minutę. – Ludzie – rzekł wreszcie. – Będę mówił krótko i miło.

Wskazał za siebie. – Przez Drangosh nadchodzi cholernie wielka armia brudasów, która znajduje się w odległości jakichś pięciu dni marszu stąd. Z zachodu przybywają żołnierze, ale będzie nam potrzebny każdy człowiek umiejący jeździć i strzelać. A to oznacza *was*. A właściwie oznacza to każdego żołnierza. Wrócę za kilka godzin i oczekuję, że do tego czasu będziecie wyglądać i zachowywać się jak żołnierze. – Znowu zamilkł.

– Kapitanie Pinochet, proszę rozesłać gońców do pozostałych oficerów batalionów tego wojska. Poinformuj ich, że każdy człowiek zajmujący stanowisko z nadania gubernatora, który nie będzie obecny, gdy powrócę, może się uważać za zwolnionego ze służby. – Odwrócił głowę w stronę trębacza. – *Zagraj: rozejść się do kwater.*

Garnizon oddalił się o wiele szybciej, niż się zebrał. Raj skinął raz głową, stukając się palcem po brodzie. – Myślę, że do nich dotarło – rzekł. – A teraz do Osterville'a.

Antin M'lewis mruczał pod nosem. Raj znał tę piosenkę, nie musiał słyszeć słów ani melodii. Była to stara wojskowa przyśpiewka, w której zwrotka brzmiała tak: *Świetny łup, aż chcę się chłopcom wstawać i z broni dawać łup!*

Dom komendanta Osterville'a stanowił marzenie grabieżcy. Zewnętrzna brama była z połączanego, kutego żelaza, a wewnętrzna z kości słoniowej z Zanj, nabijanej miniaturowymi, srebrnymi głowami sauroidów. W górze wisiał żyrandol z kolobassiańskiego kryształu, oświetlający trzypiętrowe atrium. Posadzka i szerokie schody wykonano z marmuru, na ścianach wisiały lustra w złotonych ramach i obrazy, w wysokich jak człowiek alabastrowych urnach znajdowały się spływające bugenwillie... Wachlarze kołysały się, poruszając powietrzem ochłodzonym przez fontanny pluskające na rzezanym kamieniu i woniejące różanym kwieciem.

Majordomus skłonił się, usuwając się z drogi – był pulchnym eunuchem z kolonialnym akcentem. *Biedny łajdak, nic nie może na to poradzić*, pomyślał Raj; ale tacy zawsze

sprawiali, że zaciskał zęby. Osterville przybrał na wadze i stracił sporo włosów od czasu, gdy Raj widział go po raz ostatni. Zawsze był ambitny i obyty jak przystało na stolicę. Teraz jego usta były kwaśno skrzywione i okolone bruzdami ciągnącymi się aż do nozdrzy. Te zaś były ściągnięte, jakby wietrząc jakiś brzydki zapach. Dokoła niego znajdował się krąg przydupasów, adiutantów i fagasów oraz dowódcy batalionów z garnizonu.

– Whitehall – odezwał się lodowato Osterville. – Cóż u diabła sobie myślisz, przychodząc tutaj i wydając rozkazy poza hierarchią dowodzenia?

Od jego fagasów dobiegł gniewny pomruk, lecz dowódcy batalionów zachowali kamienne milczenie, bezwiednie odsuwając się lekko od Osterville'a, jakby ten miał jakąś zakaźną chorobę. Raj obrzucił ich szybko spojrzeniem. Żaden z nich nie żył tutaj ze swego żołdu – nie mając Osterville'a za przykład, zgodnie z raportami Abdullaha – ale nie kochali za to komendanta. A zwłaszcza teraz, gdy ważyły się losy ich życia i kariery.

Raj sięgnął do kurtki. – Komendancie Osterville. Zgodnie z gubernatorskim kwitem, przydzielono mi dowództwo wszystkich żołnierzy Rządu Cywilnego na tym obszarze. Powiadamiam cię właśnie, iż przejmuję kontrolę.

Raj widział trybiki kręcące się za tymi wąskimi, czarnymi oczkami. *Whitehall jest w niełasce. Jeśli wygra, zostanie usunięty ze stanowiska.*

– Ale ten dokument *nie* daje ci władzy pozwalającej na wtrącanie się w wewnętrzną strukturę dowodzenia jednostek pozostających pod moją komendą jako komendanta dystryktu. Możesz wydawać mi rozkazy, a ja je wypełnię tak, jak uznam to za stosowne.

Podzielone dowództwo... Znajdujący się za Rajem oddział zwiadowców – Czterdziestu Złodziei – stężał. Ludzie nie zrozumieli tej wymiany zdań, nie do końca, ale wystarczająco dobrze wyczuwali wrogość wiszącą w powietrzu.

M'lewis sam dobrał zwiadowców. Żaden z nich nie zawahałby się, gdyby rozkazano im aresztować komendanta... lub też wyprowadzić jego i pozostałych na tyły i zastrzelić, jeśli do tego by doszło. Osterville spojrzął za Raja i jego cera przybrała brudnoszary odcień.

Nieszczęście, wiedział Raj. Spora szansa na walkę ogniową tutaj, w samym mieście, a przynajmniej na całkowity, bierny opór ze strony żołnierzy garnizonu. A ta misja i tak już wisiała na włosku...

... a Osterville nie chciał się wycofać. Nie otwarcie. Kimkolwiek by nie był, to człowiek ten nie był tchórzem.

Suzette wysunęła się do przodu. – Hernanie, Hernanie – rzekła, klepiąc go po ramieniu swoim wachlarzem. – Ostatnim razem w Sandoralu były bardziej interesujące rzeczy niż mnóstwo śmierdzących żołnierzy. – Zmarszczyła nos. – Nie mów mi, że stałeś się tutaj, mój

drogi, *zupelnym* prowincjuszem. A w Mieście był z ciebie taki rozrywkowy junak. – Gdy ktoś z Rządu Cywilnego wymawiał to w taki sposób, z wielkiej litery, to mógł mieć na myśli tylko jedno miasto.

Osterville pochylił się ku jej dłoni.

– *Ja* byłam uwięziona w pociągu z żołnierzami przez trzy dni. Czy nie mógłbyś sprawić, by znalazł się porządny posiłek dla biednej, zagubionej szlachcianki, znajdującej się tak daleko od domu? I przyzwolta kąpiel oraz miejsce, gdzie mogłabym się przebrać z tego *niemożliwego* do zniesienia ubrania?

Osterville wyglądał jak człowiek, który dostał właśnie między oczy workiem pełnym mokrego piasku, ale się nie ugiął. W końcu *przebywał* na dworze przez prawie całą dekadę.

– Będę zachwycony, messa – rzekł gładko. – Jednakże sprawy zawodowe...

Suzette wykonała gest lekceważenia. – Och, Raj potrzebuje tylko trochę pomocy przy wyładunku pociągów. – Wzięła go pod rękę. – Proszę.

Osterville pstryknął palcami w kierunku adiutanta. – Luiz, przygotuj dokument, proszę, a ja go podpiszę. Ależ oczywiście, oczywiście, moja droga mессo Suzette... pociągi, powiadasz? To logistyka, urzędnicza robota.

Raj stał milcząco, gdy oni oddalali się, idąc po mozaikowej posadzce. Jego głowa zwróciła się z powrotem ku oficerom, którzy towarzyszyli Osterville'owi, płynnym ruchem osadzonego na łożysku działa fortecznego podążającego za celem.

– Messerowie – rzekł stanowczo. – Przypominam wam, iż później, dzisiejszego popołudnia, będziecie potrzebni w swoich jednostkach, w głównych koszarach kawalerii. Życzę wam dobrego dnia. Kapitanie M'lewis, jeśli łaska.

Odwrócił się na pięcie. Dochodziło go słabe – ... całkiem znośne wina deserowe, lecz o wiele za słodkie na stół. Ja jednak znalazłem wino pochodzące z gór, z tej wioski w Oxheadach...

Rozdział szósty

Biura miejskie w Sandoralu były niemalże tak zatłoczone jak koszary, choć pachniały zatechłym papierem i sadzą lamp oraz atramentem, a nie ściekami i psim gównem. Urzędnicy w sięgających kolan bryczesach i brudnych, pogniecionych koszulach biegali we wszystkich kierunkach, wymachując papierami w powietrzu. Liczydła stukwały, a wózki na kółkach pełne teczek z dokumentami posuwały się z

łoskotem po kaflowych posadzkach korytarzy. Było też mnóstwo ludzi przybyłych z petycjami. Zgiełk ucichł, gdy Raj się przez nich przeciskał, a czterdziestu żołnierzy z Piątego kroczących za nim z karabinami w pozycji prezentuj broń i nasadzonymi bagnetami stanowiło wyraźne przypomnienie, dlaczego to w Sandoralu w ogóle panowała wyjątkowa sytuacja.

Raj miał mocne podejrzenia, iż większość biurokratów uważałaby to nadal za męczącą przerwę w rutynowych czynnościach do chwili, gdy żołnierze osadnika nie przeszliby przez mury.

Cywilizacja, pomyślał kwaśno, przyglądając się, jak jeden z mężczyzn patrzy na niego, mrugając przez grube soczewki, a jego palce zatrzymały się nad koralikami liczydła. *Święty trust, którego broń. Powód, dla którego słucham tępych idiotów.*

Z łoskotem wspięli się po szerokich schodach. Korytarz na górze był stosunkowo mniej zatłoczony, a stan ten wzmacniany był przez kilku trzymających pałki mężczyzn o nisko sklepionych czołach. Wszyscy oni wyraźnie cofnęli się we wnęki drzwiowe na widok obnażonej stali i ostrego, chóralnego stukotu podbitych ćwiekami butów.

– Nie możecie tam wejść! To jest gabinet głównego komisarza Kirmedeza...

– Siad – M'lewis warknął na funkcjonariusza. Mężczyzna usiadł.

Kirmedez podniósł wzrok znad biurka, gdy Raj wszedł. Był chudym, ciemnym mężczyzną z rzadzącymi włosami, ubranym zwyczajnie, z prostym krawatem. Oczy rozwarły mu się nieco szerzej, gdy zobaczył Raja i znajdujących się za nim żołnierzy. Powstał i pokłonił się.

– *Heneralissimo* – rzekł uprzejmie. – Czym mogę ci służyć?

Raj ocenił mężczyznę. *Uczciwy*, pomyślał, o *dziwo*.

>>Zbytne uproszczenie<< powiedziało Centrum. >>Ale trafne przybliżenie.<< Na twarz administratora nałożyła się siatka z cętkowanymi wzorami ukazującymi ciepłotę ciała i rozszerzanie się jego źrenic. >>Kontynuuj.<<

Nie można było okłamywać Raja Whitehalla... gdy anioł spoglądał jego oczami. Nie podobało mu się to, ale było użyteczne, a on posłużyłby się każdym narzędziem, żeby tylko wykonać zadanie.

Absolutnie każdym.

– Messerze Kirmedezie – rzekł Raj. – Najwyżej w przeciągu dwóch tygodni Sandoral znajdzie się pod oblężeniem Kolonistów. Możliwie, że wcześniej.

Kirmedez usiadł i postukał w plik dokumentów na swoim biurku. – *Heneralissimo*, to miasto nie wytrzyma oblężenia. Jesteśmy znacznie przeludnieni, a rezerwy ziarna są niskie.

Raj skinął głową. Zgodnie z prawem, ufortyfikowane miasto przygraniczne takie jak to miało utrzymywać roczne rezerwy podstawowych artykułów żywnościowych w zamian za uchylenie niektórych podatków. Nie musiał pytać, by dowiedzieć się, co się z tym stało.

– Ano właśnie, messerze. Dlatego też ewakuuję wszystkich cywili do Wschodniej Rezydencji.

Na chwilę twarda, chuda twarz Kirmedeza rozplynęła się w szoku. – To niemożliwe.

Raj pozwolił sobie na beznamiętny uśmiech. – Ależ wręcz przeciwnie. Każdy, kto wyniesie się

na własnych nogach – czy też na psim grzbiecie, w karecie albo na wozie ciągniętym przez woły – będzie mógł zabrać, co zechce wywieść. Jednakże za każdym razem, gdy przyjedzie pociąg z żołnierzami, a spodziewam się ich co cztery godziny, garnizon będzie zbierał tyle ludzi, aby wypełnić go do podróży powrotnej. Nie będzie absolutnie żadnych wyjątków. Messerze komisarzu, lepiej też, abyś natychmiast poinformował obywateli, bowiem pierwszych tysiąc dwieście odjedzie za jakieś dwie godziny pociągiem, który mnie przywiózł. Zrozumiano?

Kirmedez zamknął usta. Wpatrywał się w Raja przez pełne trzydzieści sekund, a potem spojrzał na dzikie twarze descottyjskich strzelców znajdujących się za nim.

– Naprawdę zamierzasz to zrobić – rzekł cicho.

– Nie mam zwyczaju rzucania pustych grózb, messerze – powiedział Raj równie cicho.

Kirmedez skinął głową.

Otwarto drzwi, a wieść rozeszła się szybko. Ryk zabrzmiał w biurze, przechodząc w histeryczne zawodzenie. Kirmedez powstał i sięgnął po mosiężny dzwonek na swym biurku, lecz Raj powstrzymał go gestem dłoni.

– Kapitanie – zwrócił się do M'lewis.

Dowódca zwiadowców obrócił się i rzucił rozkaz. Kolumna znajdująca się w korytarzu na zewnątrz odwróciła się i uniosła karabiny jednym, płynnym ruchem.

– *Fwego!*

BAM. Salwa huknęła w deseczki i gips sufitu. Jego kawałki oraz pył spadły deszczem na twarze tych, którzy wyszli ze swoich biur i w dół, przez otwarte schody, na znajdujący się w dole tłum.

– Przeładować!

Pośród dzwonienia pustego mosiądzu spadającego na kafelki i metalicznego brzęku wpychanych na miejsce ładunków oraz przesuwanych dźwigni zapadła cisza. Szaro-białawy dym prochowy unosił się w dół korytarza, niosąc smród spalonej siarki.

Zapadła cisza, a w niej ozwał się dzwonek Kirmedeza. – Z powrotem do pracy, jeśli łaska – zawołał. – Messerze Hantonio, wejdź tutaj. Mamy wiele do zrobienia.

Skinął z podziękowaniem głową w kierunku Raja. – Potraktuj to poważnie. Życzę dobrego dnia, *heneralissimo*.

Raj uniół brew. Nieczęsto spotykało się administratora tak dobrze rozumiejącego rzeczywistość.

– *Bwenya dai* – odparł uprzejmie.

A urzędnik miał rację. Na szczęście było wiele do zrobienia. Można było dużo zapomnieć, gdy miało się pracę do wykonania.

* * *

Główny komisarz Kirmedez z niecierpliwością pstryknął palcami. – Przestań bełkotać, człowieku! – Jego asystent zamilkł.

– Nie ma *znaczenia*, że to jest niemożliwe, i tak trzeba to zrobić. A teraz wyślij obwoływaczy.

Najpierw jednak poślij gońców do tych wszystkich domostw.

Wręczył mu listę. Asystent zagwizdał. – Przepraszam, patronie – rzekł. – Sam powinienem był o tym pomyśleć.

Kirmedez skinął głową. – Hantonio, gdy ta wojna dobiegnie końca, ja nadal będę głównym komisarzem Sandoralu i dystryktu, niezależnie od tego, kto będzie komendantem. Ci ludzie w dalszym ciągu będą bogaci i potężni. I będą pamiętać, kto ostrzegł ich zawczasu, aby przygotowali swoje dobra osobiste i domowników do ewakuacji.

Asystent uśmiechnął się z prawdziwym podziwem.

Kirmedez odpowiedział uśmiechem. – Przysługi to smar, który pozwala obracać się trybikom administracji, Hantonio. Nigdy o tym nie zapominaj.

A heneralissimo supremo Whitehall wyświadczył mi przysługę, pomyślał, przerywając na chwilę. Ciekawe, czy zdaje sobie z tego sprawę.

* * *

– Jorg! – zawołał Raj z przyjemnością słyszalną w głosie.

Jorg Menyez zatrzymał swego wykastrowanego samca do jazdy. Ten się zniżył, a potem podsunął Horace’emu pod nos długi, zakończony mosiądzem róg. Pies szczeknął i przestał myśleć o pochwyceńiu kończyny długonogiego zwierzęcia.

– Dopiero co przyjechaliśmy – rzekł dowódca piechoty.

Za nim wylewała się na ulicę kolumna piechurów, odsuwając na bok kręcących się cywili. Ci tym razem bardzo się starali zejść z drogi, a nie blokować ją swoim powitaniem. Minęła ich rozwinięta flaga 17 Piechoty z Kelden, w tak miarowego *tup... tup* bębnow.

– Heliograf przekazuje, że Gerrin właśnie wsiadł do ostatniego pociągu wyjeżdżającego ze Wschodniej Rezydencji, a Bellamy i jego wyszkoleni barbarzyńcy posuwają się sprawnie. Powinni być tutaj najwyżej za trzy dni.

– Duchu – rzekł Raj, nieco zaskoczony. – To się naprawdę udaje.

Obydwaj mężczyźni splunęli na lewo i zrobili znak rogów rękami do trzymania szabli. Raj dotknął swego amuletu, płytki obwodowej pobłogosławionej przed wiekiem przez samą świętą Wu.

– Czy widziałeś, w jakich budach zakwaterowano piechotę? – spytał Jorg, a gniew zabarwił czerwienią jasną cerę jego twarzy.

Raj skinął głową. – Czy myślisz, że się do czegoś nadadzą?

– Do niczego skomplikowanego, ale może uda nam się dodać im trochę kręgosłupa – powiedział Jorg. – Przynajmniej pierwsza część planu powinna im sprawić przyjemność. Jakies kłopoty z Osterville’em?

– Nie – rzekł Raj.

Menyez się zawahał, a potem pozwolił, by ten zakończył na tej oderwanej sylabie.

* * *

Podwórzec koszar był tym razem o wiele bardziej zatłoczony; cała kawaleria, poszarpane, nierówno ustawione szeregi jednostek piechoty, dwustu z 5 z Descott obok Raja oraz porządne formacje 17 z Kelden i 24 z Valencii po obu stronach. Słońce zapadało za

zachodni skraj koszar. Raj przymrużył oczy, patrząc w nie i widząc jedynie czarne sylwetki żołnierzy.

– Bracia żołnierze – powiedział Raj.

Na swój sposób. Nie było winą tych ludzi, że źle nimi dowodzono, ale nie zamierzał pozwolić, aby konsekwencje tego powstrzymywały go od wykonania jego misji. Wielu z nich zapłaci życiem za niedbałość swoich oficerów, zanim to się skończy.

– Mamy bardzo niewiele czasu. 33 z Drangosh, 12 z Pardizia – wymienił bataliony piechoty, około połowy z dostępnych dwóch tysięcy – zabiorą się do roboty i rozpoczną budowanie potrzebnych łodzi i sprzętu do pontonowego mostu przez Drangosh, aby mogły po nim przejść siły inwazyjne. To zadanie zostanie wykonane pod kierownictwem pułkownika Dinnalsyna ze służby artyleryjskiej.

Pomruk przemknął przez ściśnięte formacje garnizonu. Raj stał niczym żelazny bożek, z rękoma założonymi z tyłu, podczas gdy zapanowały nad tym okrzyki *Cisza w szeregach!* Żaden z weteranów się nie poruszył. Pewnie dlatego, iż żaden z nich nie był zaskoczony tym, co Raj zamierzał.

– Formacje kawalerii stacjonujące w Sandoralu natychmiast przejmą kontrolę nad bramami. Tylko służby wojskowe mogą wejść do miasta albo zbliżyć się do głównych dróg.

– Pozostała część piechoty rozpocznie oczyszczanie Sandoralu i ewakuację ludności cywilnej na stację kolejową, co rozpocznie się natychmiast. Nie wolno tolerować żadnego oporu. Wszystkim jednostkom będą towarzyszyć grupy 5 z Descott, 17 z Kelden lub 24 z Valencii.

– Jestem świadom tego, iż wy, ludzie z batalionów piechoty w dystrykcie, byliście poważnie zaniedbywani. Natychmiast zostaną wydane zaległości w wyposażeniu, racjach żywnościowych oraz żołdzie w oparciu o zapasy ze skarbcza miejskiego i arsenałów. Na pewien czas zostaniecie zakwaterowani wewnątrz murów, a konkretnie w kwaterach ewakuowanych cywili.

Pełna oszołomienia cisza zapadła nad placem parad. Lekkie fale przebiegły przez formacje, gdy ludzie zwracali się jeden do drugiego, a potem z powrotem ku postaci stojącej na kamiennym podwyższeniu. Ktoś wśród piechoty nasadził hełm na karabin, a jakiś głos zawołał – Niech Duch błogosławi messerowi Rajowi!

– Raj!

– Raj!

– RAJ! RAJ!

A on pozwolił, aby to trwało i rosło przez chwilę, oceniając, czekając, aż byli bliscy

złamania szeregów i stłoczenia się wokół niego. Uniesioną dłonią przerwał ten straszliwy ryk, który przycichł niczym fala cofająca się na plaży.

– Wiwatujcie, jak zapędzimy brudasów z powrotem do ich psych bud – powiedział. – Do tego

czasu mamy przed sobą męską robotę. Dopilnujcie jej wykonania.

– RAJ! RAJ! RAJ! RAJ!

* * *

Kapral Minatelli zawrócił, idąc ulicą. – O co teraz chodzi? – warknął.

– One nie chcom łotworzyć – rzekł bojaźliwie żołnierz z garnizonu z ciężkim chłopskim akcentem. – Jak żeśmy byli głodne, tyż nam spyży nie doli. Łotprawili nas od drzwi.

Minatelli westchnął. *Co za dupa-oberwaniec, a nie żołnierz*, pomyślał z obrzydzeniem. I to dosłownie, bo pośladki mężczyzny prześwitywały przez ogromne rozdarcie w spodniach, a błękit kurtki wypłował, przypominając kolor jajka sauroida. Miał też brodę, jak barbarzyńca albo brudas.

– *Tak* to robisz, jolopie. Nie prosisz ich przecie do tańca, nie?

Odsunął się na bok i przyłożył lufę karabinu do zamka. *Bam*, i kawałki ołowiu oraz metalu przeleciały, uderzając i świszcząc po ulicy. Obdarty żołnierz krzyknął, gdy jeden z nich zarysował mu czerwoną krechę z boku twarzy. Minatelli walnął butem w drzwi koło zamka i drewno grzmotnęło o ścianę korytarza, otwierając się z hukiem.

– A cóż to ma znaczyć?! – zakrzyknął znajdujący się w środku mężczyzna. – To niemożliwe! Ty wieśniacki śmieciu, gdzie jest twój oficer?! Każę cię wychłostać, *wychłostać*...

Lup. Kolbą karabinu Minatelli wyrznął mężczyznę w twarz. Krew zbryzgała koronkowy żabot jego koszuli. Żołnierz walnął mężczyznę w żebra, a ten bezgłośnie zgiął się wpół. Minatelli chwycił ofiarę za kołnierz i wyrzucił na ulicę.

– Každy, co nie wylezie stamtąd, jak policzę do dziesięciu, zostanie zastrzelony! – krzyknął do tłumu składającego się z rodziny i sług. – *Wynocha, wynocha, wynocha*. Brudasy nadchodźom!

Strumień cywili wylał się z drzwi kamienicy. Minatelli uśmiechnął się do siebie. Kilkoro z nich przeszło po głowie rodziny, zanim dwie osoby mające więcej rozsądku albo też uczuć rodzinnych, podniosły go i wyniosły w pełną ścisłą ciemność panującą na ulicy. Zapalono gazowe latarnie, lecz czerwone światło tylko sprawiało, iż kręcący się tłum wyglądał bardziej nieludzko; połyskujące oczy i zęby oraz zawodzące głosy w gorącu nocy. Po obu

stronach ulicy stali żołnierze, a ich nasadzone bagnety stanowiły jasną linię ograniczającą ruchy bezkształtnego tłumu. Od czasu do czasu któryś dźgnął kogoś, kto tłoczył się zbyt blisko i okrzyk bólu wznosił się ponad zgiełkiem płynącym z zamieszania, strachu i gniewu.

Minatelli uśmiechnął się szerzej. W Starej Rezydencji był kamieniarzem, tak jak jego ojciec i dziadek przed nim. Posyłano go do wejścia dla służby, jeśli tylko zawitał do takiego domu. A teraz mógł zdieł kolbą jednego z tych zadufanych łajdaków *riche hombes*. Służba wojskowa miała zdecydowanie swoje dobre strony.

Żołnierz z garnizonu wgapiał się w niego przez wolno mijające trzydzieści sekund. A potem odpowiedział uśmiechem, ukazując krzywe, brązowe zęby. Miał niepokojący błysk w oczach.

– *Penie!* – rzekł, salutując zgrabnie. A potem rzucił do swoich towarzyszy z oddziału – Dalej, chłopoki!

A potem ich buty i kolby karabinów grzmotnęły o następne drzwi dalej. Minatelli przeładował,

zarzucił karabin na ramię i zwrócił się do Sayncheza.

– Jak myślisz, ilu?

– Może ze sześć, siedem setek – powiedział starszy sierżant. – Nie inakże jak liczenie łowiec u mego tatki. Mój tatko pasał łowce dla dziedzico.

– Pewnie raczej jeboł owce – rzucił jeden z oddziałku *sotto voce*.

– Oj zjebałbym taką jak ta – dodał inny. Z ciemności dobiegł damski pisk.

– Żadnego opieprzania się! – rzucił ostro Minatelli. – Dostyc tego! Zaprowadzić tę gromadę na stację kolejową. *Hadelande!*

* * *

– Ciasno! Ułóż te deski *ciasno*, zanim przybijesz je do wzdłużników! – powiedział Grammeck Dinnalsyn po raz czterechsetny.

Piechur wpatrzył się w niego, a potem posłusznie walnął w skraj deski swoim młotkiem. Suche drewno rozłupało się. Dinnalsyn się skrzywił, a potem odskoczył na bok, pozwalając przejść tuzinowi ludzi z belką. Podążał za nimi jeden z jego oficerów, rysując kawałkiem kredy linie na drewnie i konsultując się z pogniecionym kawałkiem papieru trzymanym w drugiej ręce. Za nim dreptał podoficer, trzymając w górze nie gasnącą na wietrze lampę. Na szczęście weszły obydwie księżycy, a na szerokim odcinku wzdłuż rzeki rozsiane były także ogniska z resztek drewna. Zaś więcej wozów z drewnem nadjeżdżało z turkotem. Obok przetaczano taczki załadowane młotkami, gwoździami, sznurami i piłami.

– Przetnijcie tutaj, tutaj i tutaj – powiedział młody porucznik, stawiając kredą ostatnią krechę. Załogi skoczyły do pracy po dwóch przy pile.

Pierwszy ponton był już gotowy do zwodowania na brzegu rzeki; prosta, sięgająca do piersi drewniana skrzynia z desek na nierówno przyciętych wzdłużnikach, osiem metrów na dwanaście. Otaczał go smród gorącego asfaltu, a spoceni i niemalże nadzy żołnierze nakładali czarną, płynną smołę z garnków na deski.

Dinnalsyn wyciągnął swój suwak logarytmiczny. *Si*. A teraz, rzeka ma dziewięćset metrów, niech będzie więc osiem metrów na barkę, plus dziesięcioprocentowa rezerwa i...

Pies zatrzymał się obok niego, rozbryzgując żwir. Dinnalsyn podniósł wzrok i wyprostował się. – *Mi heneral* – powiedział.

Raj skinął głową, a jego oczy były jasnoszare w cieniu pod skrajem hełmu. – Jak idzie, Grammeck?

– Mniej więcej zgodnie z harmonogramem.

– Czy będą się unosić?

– Na swój sposób, jeśli wykorzystamy wystarczająco dużo smoły, a drewno napuchnie, zaciskając się. Zamierzam spuszczać je na wodę zaraz po skończeniu. To da drewnu czas, żeby nasiąkło.

– Dobry z ciebie człowiek – rzekł Raj. – A kiedy już się tym zajmujesz, to niech twoi ludzie

zgrupują ruple i wiosła. Zaprzęgniemy część piechoty z garnizonu do ćwiczenia manewrów, to będzie potem ważne. Tutaj, w dolinie Drangosh całkiem sporo z nich było pewnie wiosłarzami, zanim wcielono ich do wojska.

– *Si, mi heneral*. Nie ma z tobą Czterdziestu Złodziei?

Raj jechał sam, oprócz swego osobistego chorążego, trębaczy i gońców do posyłania galopem. Skinął głową.

– Zbyt wiele pokus w mieście, w obecnych okolicznościach. Zostali posłani, żeby zasłużyć na swoje *oficjalne* miano. M’lewis tego dopilnuje. On jest żołnierzem, na swój sposób. – Raj odwrócił się w siodle, aby przyrzeć się, jak łódź pontonowa spychana jest na wodę. Łódź plusnęła w Drangosh i podskakiwała, unosząc się nierówno. – Wystarczy ich?

– *Mi heneral*, uważaj sprawę za wykonaną. Mogę dokończyć resztę na czas, jeśli dostanę wystarczająco dużo surowców.

Zęby Raja błysnęły lekko. – Och, to nie powinno stanowić problemu. Jednostka Własna Poplanich właśnie wysiadła z pociągu, są tam i pomagają Piątemu sprowadzić drewno i szybko się posuwamy.

Zamilkł. – Jeszcze jedno. Wyślij paru swoich ludzi, posłuż się garnizonem, jeśli musisz, i skonfiskuj każdą łódź, jaką uda ci się znaleźć. Każdą rybacką łódkę, barkę, kajak, cokolwiek. Nie tylko tutaj, na przedmieściach, ale w każdym miejscu doliny, do jakiego możecie dotrzeć.

* * *

– *I cofnąć się*, wy sukinsyny.

Cywile, wciąż tłoczący się na ulicy zawyli, umykając w panice, co odpowiadało Robbiemu M’Telgezowi. Posługiwanie się arkanem i psem stanowiło dla niego drugą naturę – jego rodzina była ranczerami, wolnymi dzierżawcami, którzy wypasali bydło na wydzielonej ziemi w Descott – ale to było skomplikowane. Jeden koniec plecionego skórzanego sznura był przyczepiony do belki dachowej na drugim piętrze, drugi został trzykrotnie owinięty dokoła kuli jego siodła. Pochita przysiadła na tylnych łapach i cofała się jeden maleńki krok za drugim, a on czuł, jak ważące tysiąc funtów ciało wygina się niczym łuk pomiędzy jego udami. Reszta plutonu robiła podobnie, jeden albo dwa psy na każdą belkę. Zwierzęta przywykły do jednoczesnego działania i obnażały zęby, dysząc przy ciągnięciu.

Gliniana ściana przez chwilę sypała pyłem, a potem runęła w ich kierunku. Gdy przestała ciągnąć, Pochita uskoczyła zwinnie do tyłu, aż jej tylne łapy dotknęły domu znajdującego się po drugiej stronie małego, nieregularnego placu. M’Telgez zakaszlał przez kraciatą chustkę, którą miał na twarzy, a jego pies kichnął potężnie i potrząsnął łbem, aż zagrzechotały dźwignie napoliczkawe. *Trzeba je sprawdzić*, pomyślał. *Powinny być przyciśnięte, a nie luźne*.

Żołnierze piechoty ruszyli do przodu, brodząc w pyle w poszukiwaniu desek i belek. Robili to samo tutaj, w Sandoralu, zbierając materiał do budowy ziemnych fortów w czasie ostatniej kampanii przeciwko brudasom kilka lat temu. A teraz burzyli odbudowane domy, żeby zrobić łodzie.

Przy messerze Raju zawsze było coś nowego.

* * *

Antin M'lewis przypadł bliżej do ziemi, przytulając się do niej w poszukiwaniu kryjówki i starając się *myśleć* ciemno jak bezksiężycowa noc. Przypominało to w nieprzyjemny sposób rodzinne strony. Będąc, zgodnie z odziedziczoną profesją, złodziejem bydła, spędził wystarczająco dużo czasu w ten sposób w rodzinnych stronach, przedostając się przez *vakaro*, którzy pełnili nocną straż przy stadach nie spodziewającego się niczego dziedzica. Ciemność, psy leżące także na brzuchach kilkaset metrów z tyłu, a jego twarz uczerniona sadzą z lampy

albo spalonym korkiem. Wiatr wiał mu w twarz, toteż żaden zapach nie docierał do celu ani jego psów – przed nim znajdowała się piechota, ale po co ryzykować, a poza tym mogli mieć oficera wierzchem. Zupełnie jak w rodzinnych stronach.

Jednak w Descott rzadko bywało tak gorąco. A większość descottyjskich *vakaro* byłoby bardziej czujnych niż brudas znajdujący się przed nim.

Podpełził do przodu na brzuchu. Posuwał się za każdym razem, gdy przechadzający się wartownik Kolonistów odwracał się plecami do kierunku, z którego M'lewis się zbliżał. Bezużyteczny wartownik. Cholernik palił fajkę, a M'lewis widział żarzące się światełko za każdym razem, gdy ten się zaciągał, a nawet czuł mocny tytoń. Był on też podświetlony od tyłu przez ognisko strażnicze, co musiało piekielnie utrudniać mu widzenie w nocy.

Matko. Brudas się zatrzymał, a jego spiczasty hełm się obracał, gdy ten się rozglądał. Zawahał się, prawie że zdejmując karabin z ramienia, a potem wznowił swoje miarowe przechadzanie się.
Matko. Duchu.

Do przodu o kolejne pięć metrów. Pył próbował zmusić go do kichnięcia, ale Goodwife M'lewis nie wychowała żadnego ze swych synów na samobójcę. Teraz znajdował się za sięgającą głowy kupą aluwialnej gliny, dokładnie tam, gdzie szmaciany łeb przejdzie przy swoim następnym obchodzie.

No dalej, pomyślał. Przynies tu swoją dupą brudasza. Chodź do taty. Opierał ciężar ciała na kolanach i jednej ręce. Drugą sięgnął do drewnianego uchwyty przy pasie, a pokryte odciskami palce zacisnęły się wokół gładkiego jak satyna drewna gruszy. Gotowy. Gotowy. Ugiął jedno kolano, a gołymi palcami u nóg wbił się w ziemię.

Kolonista wymruczał coś po arabsku i zatrzymał się. Pochylił się, unosząc jedną stopę i wytrząsał resztkę tytoniu z fajki o obcas swego buta z zawiniętym czubkiem.

Dziękuję ci, Duchu, pomyślał M'lewis i poruszył się bardzo szybko. Wyprostowawszy kolano, podniósł się, a prawa dłoń wystrzeliła do przodu i na lewo, śmigając ostro, podążając za uchwytem i ciągnącym się za nim drutem, jakby to one podciągały go z ziemi. Doskonale, miękko układający się w dłoni ciężar, gdy drut uderzył z lewej strony w szyję brudasza, a drugi uchwyt wpadł M'lewisowi w wyciągniętą lewą rękę – wyćwiczył to już z dziesięć tysięcy razy, odkąd był chłopakiem i *działało* to, gdy musiało. Skrzyżować nadgarstki, wsadzić brudasowi kolano w krzyże, *pociągnąć*.

Nagle metaliczny zapach krwi wypełnił noc. M'lewis opadł w dół wraz z Kolonistą, puszczając garotę, która przeszła aż do kręgosłupa, i chwycił za ekwipunek żołnierza, żeby stłumić brzęk. Sylwetki podniosły się koło ogniska i przez chwilę zdawało się, że jedna z nich tańczy oberka. Dźwięki były ciche, ale jasne. Sączyste *tup*, odgłos okutej stalą kolby

uderzającej w głowę. Bardziej mokry, głuchy dźwięk stali zatapianej w ciele. I natychmiast nie dający się z niczym pomylić trzask skręcane go karku, niczym łamiąca się zielona, gruba gałąź. A potem cisza.

M'lewis szarpnięciem uwolnił garotę i wytarł ją do czysta o chustę martwego Araba. Wokół ogniska panowała cisza, gdy doń podszedł, a jego ludzie kończyli przeszukiwanie kieszeni zabitych – mógł tego zabronić, mógł też powiedzieć świni, żeby nie srała po lesie – siedząc spokojnie w takich samych pozycjach jak brudasy, mając na głowach ich hełmy. Dowódca zwiadowców skinął ku nim głową, mijając ich, wychodząc w ciemność, na skraj niedużego klifu. Za nim znajdował się parów, a potem niskie wzgórza z przeżartej erozją gliny, dalej zaś płaska ziemia orna. Jak zwykle, dwie godziny po północy było raczej ciemnawo, oprócz rozmieszczonych w porządnym odstępach ognisk. Jeszcze więcej światełek przeprawiało się przez rzekę, na zachodni brzeg, gdzie leżały dymiące ruiny Gumycy.

Usadowił się ze swoim notesem do rysowania i wyciągnął lornetkę. Kolej doprowadzona do brzegu rzeki; sprawdził i zobaczył wciąż pracujące przy niej grupy ludzi. *Położona na ziemi*, zanotował w notesie, szkicując. Żadnego nasypu ani podłoża ze skruszonych kamieni pod pokładami. Prowizoryczna linia, niska przepustowość, ale i tak wystarczająca do przewozu zapasów. Obóz-baza wewnątrz zwykłych umocnień ziemnych i rowu usiany był stosami zapasów. Pudła z amunicją, pociski, worki paszy dla psów, suszonych ryb i wyschłego na słońcu mięsa, bukłaków z olejem roślinnym; wszystkie sto jeden drobiazgów, jakich potrzebowała maszerująca armia. Nawet nocą po pontonowym moście posuwały się konwoje: wozy ciągnięte przez wychudłe, długonogie woły oraz długie działa w kształcie butelek z wodą sodową, kształcie charakterystycznym dla obłęźniczej broni do rozwalania murów. Stwierdził, że to stotrzydziestomilimetrowe i stosześciodziesięciomilimetrowe działa. Gwintowane, dobra artyleria, ale cholernie trudne do poruszania.

Kolej do rzeki, ale przez nią wozy ciągnięte przez woły. Żadnego wypasu, tylko w gospodarstwach. Jeśli Ali ruszy na północ, to będzie furazował, żeby wyżywić swoich ludzi, ale gdy się zatrzyma, konwoje będą musiały przyjeżdżać codziennie. Około dziesięć tysięcy żołnierzy do utrzymania przyczółka mostowego i pontonów, saperzy i piechota tworząca linię komunikacyjną. Wszystko to wyglądało na bardzo profesjonalne, na równie dobre jak to, co mogło zrobić wojsko Rządu Cywilnego. *Zupełnie* niepodobne do walki z barbarzyńcami na zachodzie. Barbarzyńcy z Rządów Wojskowych pełni byli zapału bitewnego, ale przez większość czasu ciemni jak tabaka w rogu. Te brudasy używały swoich głów nie tylko do noszenia turbanów.

M'lewis dokończył swoją ocenę i skopiował liczby oraz naszkicowaną mapę. – Obcięty Nos, Gaduła – wyszeptał, pełzną do tyłu.

Obcięty Nos był szczerowatym, małym człowieczkiem, kuzynem M'lewisa ze strony matki. Z wyglądu mogliby być braćmi – było całkiem możliwe, iż *byli* braćmi, stary M'lewis udzielał się całkiem mocno, zanim go powiesili. A może jednak nie byli bliskimi krewnymi. W końcu żaden M'lewis nie próbowałby sprzedać ufarbowanego psa z powrotem człowiekowi, od którego go ukradł. Gaduła był masywnym bydlakiem z gór na wschodnich krańcach Descott. Obydwaj mieli na kolbach karabinów ochraniacze z niewyprawionej skóry, a Gaduła miał na rzemyku na szyi parę świeżo obciętych uszu.

– Zanieś to messerowi Rajowi – powiedział M'lewis. – Skręć na wschód. Premia w postaci miesięcznego żołdu, jak dostaniesz się tam pierwszy.

– Ponie! – rzucił Odcięty Nos, uśmiechając się radośnie żółtymi zębami. Gaduła mruknął.

M'lewis przykucnął i ruszył z powrotem ku parowowi i psom, a reszta zwiadowców podążyła rzędem za nim. Zajęło mu chwilę wsadzenie stóp w buty, zanim wsiadł na przycupniętego psa.

Zwykle nie zwracał sobie głową skarpetkami. Garść talku w butcie wystarczała równie dobrze, jeśli nie przeszkadzał ci zapach.

– Jazda – rzekł.

Messer Raj dostanie swoje wieści. A były to złe wieści, z tego co Antin M'lewis widział, ale – dzięki niech będą Duchowi! – to nie do niego należało zadanie wymyślenia, co z tym zrobić.

Wskoczyli w siodła i ruszyli parowem ku północy, jadąc z wyciszoną uprzężą. Mniej więcej co kilometr zatrzymywał się i kierował na wzniesienie. Wschodni brzeg znajdował się, ogólnie rzecz biorąc, nieco ponad poziomem zachodniego, a w pobliżu głównego biegu było niewielu mieszkańców, jeśli się unikało wież sygnałowych szmacianych łbów. Przy każdym postoju widać było wartownicze ognie Kolonistów po drugiej stronie; strażnicy konwojów Aliego, ustawieni na całej drodze wzdłuż linii marszu na północ, w kierunku Sandoralu.

Za trzecim razem zobaczył coś nieco innego. Przymknął na minutę oczy, zanim przyłożył je do szkielec. Po drugiej stronie rzeki znajdowało się sporych rozmiarów miasteczko Rządu Cywilnego i gdy się przyglądał, pierwsze budynki buchnęły płomieniem. Dostarczyło to wystarczająco dużo światła, by można było zobaczyć, jak żołnierze osadnika systematycznie ogoławają przed podpaleniem magazyny i spichlerze. Ali będzie żył z ziemi, jak tylko mu się uda, żeby oszczędzić na transporcie.

Na Bellevue żyły migrujące owady mniej więcej wielkości kciuka. Co wiek ich roje wylęgały się na północy, na stepach Skinnerów, i leciały na południe, wyżerając ziemię do

gołego, aż dotarły do bezludnych pustyń, by się rozmnażać i umierać. Tam, gdzie one przeszły, nastawał głód.

Ludzie Aliego działali bardziej lokalnie, ale byli równie dokładni.

* * *

Barton Foley siedział w cieniu palmy i pukał się w usta końcem ołówka. *A teraz, czy męski rymuje się ze zwyczajem w tej strofie czy też nie?* – zastanawiał się.

– Głowy do góry!

Westchnął i wsadził wolumen z powrotem w juki. Kiedyś będzie miał czas, żeby naprawdę pisać. *Kiedyś będę martwy*, dodał w myśli kwaśno – *choć miejmy nadzieję, że nie wkrótce*; dwadzieścia jeden lat to było trochę za młodo nawet w tej profesji. *Może nie nadaję się na poetę albo dramatopisarza*. Historia mogłaby być bardziej interesująca. Z pewnością widział jej część z bliska.

– Kolejni uciekinierzy? – spytał porucznik.

– Nie sądzę – rzekł w zamyśleniu młody kapitan, unosząc lornetkę.

Posterunek Piątego znajdował się dwa kilometry od Sandoralu. Na drogach pełno było uciekinierów, zdążających do miasta, a potem zwracanych. Lepiej było przechwycić ich z dala od bram, aby uniknąć zatłoczenia traktów bliżej miasta. Dwa oddziały i jazgoczące działko wystarczały do zniechęcenia nawet najbardziej rozhisteryzowanych, by nie popędzili chronić się za murami. Jak dotąd większość z nich zrozumiała przesłanie. A z miasta także wypływał stale strumień – zachowujący nadzieję magnaci ze swoimi kosztownościami na wozach oraz realnie myślący ludzie z gotówką na juczych psach i rodziną w szybkiej karocy na dobrych resorach.

Była to łatwa służba, sposób, by żołnierze odpoczęli; przyjemny, mały daktylowy gaj dający cień i studnia z dobrą wodą. Jakiś pomysłowy człek rozpałił ognisko i piekł nad nim kilka kurczaków; wyrobnicy nigdy nie odczują ich braku. Ich woń stanowiła miłą przykrywkę dla zwykłych zapachów psów, przepoconej wełny mundurów i oliwy do smarowania karabinów.

Foley otarł twarz czerwono-czarną chustą noszoną na szyi. *Co za ironia*, pomyślał. 5 z Descott splądrował wypełniony nimi magazyn w El Djem, przygranicznym miasteczku Kolonistów na południowy zachód stąd. Ledwo uszli stamtąd z życiem, po tym, jak Tewfik schwytał ich w pułapkę, ale chusty stały się symbolem jednostki. Jeśli żołnierz nie należał do Piątego, to oddałby życie, aby nosić jedną z nich. Kolumna pyłu zbliżała się z północnego zachodu i znajdowała się na płaskim, zirygowanym terenie leżącym dokoła Sandoralu. Był to

podejrzanie regularny pył, całe kolumny, a przednimi widać było cieńszą, szerszą zasłonę. Taki, jaki wzbijałoby kilka batalionów kawalerii Rządu Cywilnego, jadących ostro w kolumnie z wysuniętymi na przodzie zwiadowcami, wszystko wedle reguł i zgodnie z przepisami. Zaczekał, aż pojawiły się pierwsze czujki, sprawdził sylwetkę i rasę psa.

– Wiadomość dla *heneralissimo* – powiedział. – Przyjechali kirasjerzy i Brygadowcy Welfa.

I to w dobrym momencie. Nie więcej niż pięć dni od czasu, gdy wyruszyli ze Wschodniej Rezydencji, przed pierwszymi pociągami. Nawet mając kolej, która ich zaopatrywała, było to chlubne dokonanie, zwłaszcza gdy psy w dalszym ciągu nadawały się do pracy.

Był nieco zaskoczony. Ci z Wojskowych Rządów o jasnej cerze byli śliczni, ale wątpił przedtem, czy byli w stanie znieść wschodnie słońce.

* * *

– Dobry moment – rzekł Raj.

Ludwig Bellamy i Teodorę Welf wyglądali bardziej na bliźniaków niż kiedykolwiek przedtem, włącznie z grubą pokrywą szaro-białego pyłu na twarzach i biegnącymi po nich ciemnymi smugami potu.

– Konwoje kolejowe zgodnie z harmonogramem? – spytał Bellamy.

Weszli pod daszek i każdy wziął po misce zupy i podplomyk. Kolejka się rozstała, żeby ich przepuścić, ale było to takie samo jedzenie, na jakie czekali żołnierze. Służba medyczna – lekarze-kapłani i zakonnice – stała przy garach, jako że do tej pory nie było żadnych rannych, którymi mogliby się zajmować. Suzette przemknęła obok, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby wcisnąć Rajowi w dłoń kubek z rozwodnionym winem. Pozostali czerpali wodę z wiadra. Ludwig czekał grzecznie, aż pozostali się napili, a potem wylał sobie pozostałość na głowę.

– *Potrzeba* mi tego było – rzekł. Jego uśmiech sprawił, iż widać było, że nie dobiegł jeszcze trzydziestki.

Tak jak i ja, przypomniał sobie Raj z pewnym zaskoczeniem. Czuł się jednak starszy.

Na głos ciągnął dalej – Przyznaję to Barholmowi Clerettowi, pilnuje, żeby pociągi jeździły punktualnie. Lada chwila spodziewamy się ostatniego. Jak się miewają wasi ludzie?

– Po przespanej nocy będą gotowi do walki, a większość psów ma zdrowe łapy. Poszliśmy za twoją radą i przed odjazdem zarekwizowaliśmy spore stado zapasowych wierzchowców z rezerwy

we Wschodniej Rezydencji. – Bellamy się rozejrzał. – Nie traciliście tutaj czasu.

Na ulicach Sandoralu pozostało niewielu cywili. Zamiast tego roило się na nich od żołnierzy i psów, wozów oraz wózków. Pod ostrym, południowym słońcem pełno było uporządkowanego, ruchliwego chaosu. Piechota z garnizonu wykonywała większość pracy polegającej na popychaniu i ciągnięciu, ale wyglądali na lepiej odkarmionych i o wiele lepiej ubranych. Łupnięcie i pióropusz dymu oraz pyłu znaczył miejsce, gdzie zburzono kolejny dom na materiały budowlane. Z dala dobiegało *raz... raz* musztrowanych żołnierzy i trzaski ćwiczeń z muszkietami. Artyleria zajmowała większość placu; działa jedno za drugim, z przodkami czekającymi z tyłu, a kanonierzy Dinnalsyna sprawdzali je po raz ostatni.

– O wilku mowa – rzucił Barton Foley, uśmiechając się czule. Zabrzmiała trąbka i na plac wpadł kłusem oddział sztandarowy

5 z Descott, a chorągiew batalionu powiewała obok niebiesko-srebrnego Rozbłysku Gwiazd Świętej Federacji. Gerrin Staenbridge pognał swego wierzchowca ku gromadce oficerów i zasalutował z ironiczną przesadą.

– *Mi heneral*, reszta twych sił melduje się wedle rozkazu. – Z kolei on się teraz rozejrzał dokoła. – Widzę, że zaczęliście imprezę beze mnie.

– Tylko rozstawiliśmy trunki i ćwiczymy orkiestrę, Gerrinie – rzekł Raj. – Nie było problemu z wyruszeniem?

– Nie, ale mógł być, gdybym pozostał dłużej. Nasz dobry kanclerz Tzetzas nie jest szczęśliwy, mając armię polową tak daleko od domu, zupełnie nie. Gdybym nie pojechał ostatnim pociągami, to podejrzewam, że urzędnicy podążyliby za mną aż tutaj, żeby się z tobą w tej sprawie sprzeczać.

Raj roześmiał się chrapliwie. – Nie, kiedy Ali jest tak blisko – powiedział. – Choć nasz dobry komendant Osterville jest na swój sposób prawie takim samym szkodnikiem. A on *jest* tutaj.

– O wilku mowa – rzekł znowu Foley, tym razem głosem tak beznamietnym jak metal działa.

Wziął Staenbridge'a za ramię i zaczął szybko szeptać, gestykulując hakiem na prawej ręce. Raj uchwycił swoje imię i *Suzette raz* czy dwa. v

Komendant Sandoralu i dystryktu przepychał się przez tłoczącą się cizbę na placu. Nie wyglądał na zbyt szczęśliwego i robił się coraz bardziej nieszczęśliwy z każdą minutą wobec braku szacunku ze strony weteranów Raja i rzekomo jego własnych żołnierzy.

– Whitehall – powiedział. – Generale Whitehall – poprawił się. Twarz Raja była uprzejma, bez wyrazu, ale kilku towarzyszy opuściło ręce na kolby pistoletów albo rękojeści szabli.

– Gdzie żeś był, na bezgwiezdne ciemności?

Raj się wyprostował, dokończył wino i zanurzył swój podpłomyk w gulaszu. – Cóż, komendancie, byłem dość zajęty. Widzisz, przygotowywałem się do wojny.

Ktoś się zaśmiał, a na twarzy Osterville'a wystąpiły cętki. – Poproszę, abyś towarzyszył mi do moich kwater – rzekł. – Mamy kilka spraw do omówienia.

– Jeśli chcesz rozmawiać, *pulkowniku*, to będziesz rozmawiał tu i teraz, bo jak już wspomniałem, zbliża się wojna.

Mniejszy mężczyzna wybuchnął potokiem słów. – *Niszczysz moje miasto!* – warknął. – Otrzymałem petycje od każdego człowieka wysokiej rangi w dystrykcie...

Raj uniósł brew. – Nie wątpię, iż otrzymałeś – rzekł. – Niech składają petycje do Aliego. Taka jest alternatywa, a myślę, że jego metody spodobają im się jeszcze mniej niż moje. W każdym razie, jak sam to podkreśliłeś, ty masz najwyższą cywilną władzę na tym obszarze, a więc stosunki z lokalną szlachtą należą do twoich obowiązków.

Komendant otworzył usta i zamknął je znowu. Pstryknął palcami i adiutant włożył mu w dłoń plik dokumentów.

– Może byłeś *zbyt* zajęty – stwierdził Osterville – by przeczytać te wiadomości ze stolicy? Dziesiątkami przesyłane są sygnalizatorami.

Raj wytarł swoją miskę piętką podpłomyka i wyciągnął papiery z dłoni mniejszego mężczyzny. Przejrzał je, przeżuł placek i przełknął.

– Och, czytałem je – powiedział.

Z łatwością przedarł gruby plik i cisnął kawałki, by uniósł je suchy, gorący wiatr. Pofrunęły jak mewy, a jeden ze świeżo przybyłych psów Piątego kłapną! z ciekawością zębami w stronę przelatującego strzępka.

– Mam *gubernatorską* władzę, podpisaną przez samego najpotężniejszego pana suwerena. Otrzymałem ją osobiście, z jego własnych rąk. Czym jest wobec *tego* kilka wymachujących flag?

Cisnął resztkę papierów na bruk. – A teraz, pułkowniku Osterville, jeśli nie masz już więcej problemów...

– Ale mam *to* – rzekł Osterville. Dokument, który wyciągnął, był grubym pergaminem, z robiącą wrażenie ołowianą pieczęcią i wstążką.

Raj uniósł brew. – Masz dekret od Krzesła, Cynobrowy Rozkaz, obejmujący szeroką Ziemię? – spytał, posługując się oficjalną terminologią.

– Niezupełnie – powiedział Osterville. – Widać jednak, iż jest od kanclerza Tzetzasa, w imieniu gubernatora, i nakazuje ci zaprzestanie i powstrzymanie się od naruszania własności

prywatnej, a zamiast tego zajęcie się wyznaczoną ci misją.

– Od kanclerza? – spytał Raj, przyglądając się pergaminowi. Zgiął go na próbę. Był to pergamin pierwszorzędnej jakości, z owczej skóry, miękki i giętki. – Pewnie przysłany przez kuriera?

Osterville skinął głową w stronę mężczyzny w jego świetle. Raj spojrzał na niego, a potem rozejrzał się dokoła.

– M'lewis. Postąp z tym, jak się należy – powiedział.

– Gdzie są wychodki? – spytał kapitan zwiadowców, odkładając miskę i odpinając pas z szablą.

Jak większość miast Rządu Cywilnego, Sandoral miał publiczne toalety, zwykle murowane budki połączone ze splukiwaną deszczem kanalizacją. M'lewis podszedł do najbliższej i wrócił w minutę później. Trzymał palcami za róg śmierdzącego teraz pergaminu z brązowymi smugami. Pełna szoku cisza zapadła w grupie komendanta, gdy M'lewis podszedł do kuriera, odpiął klapę jego torby na wiadomości i wrzucił do środka zabrudzony pergamin.

– Żeby kanclerz zrozumiał dokładnie, jaką wagę przykładam do jego prób wtrącania się do mojej misji i władzy danej mi przez gubernatora – rzekł Raj.

– Jesteś szalony – powiedział cicho Osterville. – Szalony. Tzetas pożre twoje *serce*.

Uśmiech Raja sprawił, że Osterville cofnął się o krok. – Może i jestem szalony, pułkowniku. Może jestem mieczem Ducha Człowieka. W każdym razie to ja tu dowodzę. – Wyciągnął własny dokument. – A to jest twoje potwierdzenie, nakazujące twoim żołnierzom współpracę przy transporcie cywili.

Trzymał go, a jeden z towarzyszy pochylił się, aby przeczytać z zainteresowaniem.

– To! To ta wiedźma, ona... – Osterville, stojąc na progu katastrofy, powstrzymał się. Miał właśnie powiedzieć coś, co stanowiłoby publiczną prowokację do wyzwania na pojedynek. Przesunął ręką po włosach. – Gdzie ona *jest*? Nie widziałem jej, od kiedy...

Raj się zaśmiał i rzekł głosem z żelaza – Pułkowniku Osterville, odpowiedziałem na twoje oficjalne pytania. Nie możesz oczekiwać, iż będę przewlekał rozmowę, podając ci harmonogram zajęć mojej żony. A teraz, jeśli mi wybaczysz...

Odwrócił się, a oficerowie podążyli za nim. Gerrin Staenbridge zaczekał, trzymając w dłoni rękawice i uderzając nimi o drugą dłoń. Przez chwilę Osterville lękał się, że klepnie go nimi w twarz, rzucając wyzwanie, lecz twarde rysy ciemnej twarzy rozciągały się odprężone w uśmiechu. Trzymał rozkaz podpisany przez Osterville'a – rozkaz, który w jakiś sposób wyczarowała od niego Suzette Whitehall. Przeczytał go, wydymając usta, a potem podniósł

wzrok na Osterville'a z wyrazem kocięj złośliwości, zanim wypowiedział słowo – Frajer.

Rozdział siódmy

Brakowało godziny do świtu. Było lekko chłodnawo, nawet w lecie, w czystym, suchym powietrzu południa. Zmasowane szeregi wojska klęknęły, gdy prowadzący modlitwy sysup Sandoralu przeszedł obok wraz z akolitami wymachującymi kadzielnicami, rozsiewającymi pośród ludzi aromatyczny niebieski dym. Wyciągał swoją zakończoną gwiazdą laskę w błogosławieństwie, gdy mijał sztandary każdej jednostki, a mężczyźni wyciągali z czcią obie ręce z dłońmi skierowanymi w dół. Za hierarchą szło czterech kapłanów niosących lektykę, na której spoczywał sześcian z czegoś bardziej przezroczystego niż kryształ i wyższego od człowieka. Wewnątrz niego wirowało światło, rosnąc i błyszcząc, aż przyglądający się pochylali głowy i przymykali oczy w zachwycie. Prześwitywało przez przymknięte powieki, przez ręce wyrzucone przed twarze, a potem gasło pośród pomruków podziwu.

Powstając, Raj dotknął amuletu. – Duch jest z nami – rzekł. *A przynajmniej Centrum jest. Jakimże cynikiem się stałem.*

>>Realista<< poprawiło Centrum.

Czy istnieje różnica?

Zwrócił się do grupy dowódców, w której z konieczności znajdował się pułkownik Osterville.

– Panowie, gratulacje. Udało wam się przeprowadzić bardzo złożoną operację w rekordowym czasie, przy zaskakująco małym zamieszaniu. Szczególne podziękowania należą się pułkownikom Menyezowi i Dinnalsynowi. Teraz nadszedł czas, aby pokazać brudąsom, że dwóch może zagrać w inwazyjną grę. Zakładam, iż pułkownik Osterville będzie życzył sobie towarzyszyć siłom polowym, a nie pozostać w Sandoralu?

– Oczywiście, że tak. Co więcej, nalegam, aby bataliony kawalerii z garnizonu Sandoralu znalazły się pod moją komendą.

Raj skinął głową. – Ależ jak najbardziej, pułkowniku. Jak najbardziej.

Osterville rzucił mu podejrzliwe spojrzenie i zobaczył beznamiętną, nie wyrażającą niczego twarz. Pociągnął się w zamyśleniu za wąsik.

>>Pułkownik Osterville próbuje dociec przyczyny twojej skwapliwej zgody<< zwróciło uwagę Centrum. >>Prawdopodobieństwo sukcesu 12% plus minus 3.<<

– Pułkowniku Menyez, będziesz dowodził miejskim garnizonem. Zostawiam ci Siedemnasty, Dwudziesty Czwarty oraz garnizonową piechotę i trzy baterie działek polowych. Będziesz oczywiście miał także stałe działa obronne.

Dinnalsyn podniósł wzrok. – Sprawdziłem załogi artyleryjskie z milicji, które zgłosiły się na ochotnika do pozostania – powiedział. – Są wcale niezłe, a amunicji jest w bród.

Jorg Menyez skinął głową w zamyśleniu. – Jakaś kawaleria? Jednostki garnizonu mogą stać za parapetem i strzelać, zaś Siedemnasty i Dwudziesty Czwarty może wykonać wszystko co kawaleryjskie, poza jazdą i szarżą z szablą, ale przydałaby mi się mobilna rezerwa.

– Zostawię ci trzy kompanie 5 z Descott – rzekł Raj. – To będzie musiało wystarczyć. Siły polowe składają się z trzech kolumn.

– Reszta Piątego, li 2 Kirasjerów Wierzchem, 3/591, 4/591 oraz 5/591 i główna rezerwa artylerii składająca się z trzydziestu dział pojedą ze mną. Pułkowniku Osterville, będziesz dowodził swoją garnizonową kawalerią i dwoma bateriami. Majorze Gruder, ty dostaniesz 7 Zwiadowczy z Descott, 1 Rzeźników z Rogor, Dragonów Maximilliano oraz Jednostkę Własną Poplanich. Majorze Zahpata, weźmiesz swój 18 Pograniczników z Komar, Miasto Delrio oraz Dragonów z Novy Haifa. Plus dwie baterie działek polowych dla każdego.

– Będziemy nacierać szybko, na tyle blisko, by się wzajemnie wspierać. Żadnego transportu kołowego oprócz tego dla dział i rezerwy amunicji. Rozciągnąć się, żyć z ziemi. Oszczędzać życie, kiedy się da, ale palić i niszczyć wszystko inne, jeśli tylko można to zrobić szybko. Niech wieże sygnałowe stoją na tyle długo, żeby wysłać wiadomości. Przenośne łupy będą przekazywane do grupy centralnej, a stamtąd z powrotem tu, do Sandoralu, do przyszłego podziału. Me pozwólcie ludziom obciążać się wybranymi przedmiotami. Kiedy Tewfik przyjdzie nas odszukać, będzie nam potrzebna cała mobilność, jaką uda się wykrzesać.

– Celem tego ćwiczenia jest dokonanie wystarczająco dużych zniszczeń, aby Ali został zmuszony do odciążenia przynajmniej części swojej armii od zachodniego brzegu Drangosh. Spustoszymy posiadłości wielmożów, a oni będą krzykiem domagać się ochrony. Może ściąć głowę każdemu poszczególnemu szlachetce, ale nie może ignorować ich zbyt wielu. Miejmy nadzieję, że nie jest takim cholernym szaleńcem, aby o tym zapomnieć, przynajmniej jeszcze nie. Nie możemy zmierzyć

się z całą armią Kolonii w polu, ale może uda nam się zbić jej część na kwaśne jabłko. Poruszać się szybko i powodować maksimum paniki i trwogi. To ważniejsze niż same szkody.

– Jakież pytania?

Kilku oficerów popatrzyło po sobie, ale żaden się nie odezwał. Raj nałożył rękawice. – Zatem ruszajcie do swych ludzi, messerowie, i do pracy!

Raj wsiadł na Horace'a, zawrócił psa i przejechał wraz ze swoim osobistym chorążym przed zebranymi siłami. Zatrzymał się przed szeregami piechoty.

– Bracia żołnierze – rzekł, unosząc dłoń. – Jadę nauczyć brudasów, jaka jest cena inwazji na Rząd Cywilny Świętej Federacji.

Zapanowała cisza. – Mogę tego dokonać tylko wówczas, gdy Sandoral będzie mocno broniony na tyłach. – Wskazał na południe. – Ali nadchodzi, a wraz z nim nadchodzi więcej brudasów, niż możecie zliczyć. Jeśli utrzymacie te mury, możemy wygrać tę wojnę. W przeciwnym wypadku wszyscy zginiemy. Wyjeżdżam przekonany co do pomocy Ducha Człowieka Gwiazd i waszej odwagi oraz dyscypliny. Dlatego też, gdy dojdzie do podziału łupów, cała znajdująca się tu piechota otrzyma pełen udział, tak jak żołnierze kawalerii. Czy jesteście, chłopaki, gotowi dzisiaj na męską robotę?

Siedemnasty zaczął wiwatować, co rozprzestrzeniło się wzdłuż szeregu, gdy Raj go mijał, a jego osobista flaga pochylała się w salucie przy sztandarze każdego batalionu. Kawaleria zebrała się po drugiej stronie placu; do nich trzeba było podchodzić inaczej,

Uśmiechnął się, ściągając wodze, zwracając się ku długim rzędom jeźdźców w hełmach i dyszącym jęzorom psów; one też wiedziały, że na coś się zanosi i ich postawione do przodu uszy odzwierciedlały podniecenie ludzi.

– Piekło albo łup, psi bracia – ryknął Raj.

Ludzie odpowiedzieli jednym, pełnym uniesienia pomrukiem, a psy zawyły; tysiące w antyfonicznym chórze. Był to dźwięk, który odbijał się od budynków dokoła placu i sprawiał, że włoski stawały na karku.

– *Stępa-marsz... klusem.*

* * *

– Mogłem się domyślić – rzekł Raj, zatrzymując się na małym pagórku koło końca mostu na wschodnim brzegu.

Suzette ściągnęła wodze Herbie, swojego wierzchowca, stając koło Horace'a. Mniejszy pies machał ogonem i obwąchiwał pysk Horace'a. Po chwili ten pociągnął nosem w odpowiedzi, a potem odwrócił łeb z lordowską obojętnością.

– Rzeczywiście masz ze sobą wyposażenie medyczne – powiedziała Suzette z błyskiem przyjaznej kpiny w oku. Dotknęła wiszącej przy jukach apteczki z zestawem pierwszej pomocy. – Nie ma powodu, abym nie miała dołączyć do tamtych.

Deski pontonowego mostu zagruchotały, gdy przetoczyła się po nich bateria jazgoczących działek. Za nią podążyła czwórkowymi kolumnami kawaleria, a łapy wielkości talerzy uderzały z grzmotem o drewnianą nawierzchnię. Niektóre z psów położyły uszy po sobie wobec nieznanego kołysania

podłóża pod nogami. Inne spoglądały w górę lub w dół rzeki. Ludzie śpiewali starą, descottyjską przyśpiewkę ludową:

Na Czarną Górę się wybierom Z moją szabelką i strzelbom Usiekę cię jak staniesz Ustrzełę jak umkniesz

– Potrafię dowodzić tysiącami uzbrojonych mężczyzn, ale nie jedną kobietą – narzekał Raj. *Jedną uzbrojoną kobietą*, poprawił się. Suzette miała ze sobą swój powtarzalny kolonijny karabinek w olstrach zatkniętych pod klapy siodła przed lewym kolanem.

– Cóż, mnie *poślubiłeś*, a nie *wcielileś*, mój drogi – powiedziała Suzette.

Raj prychnął i zwrócił uwagę ku mapie. Poniżej najeźdźcy przelewali się przez Drangosh; psy i działa. *Dwadzieścia pięć, trzydzieści pięć kilometrów dziennie*, pomyślał, przesuwając palcem po mapie. Na południu i na wschodzie nie było w pobliżu rzeki niczego do najechania, lecz kanał Ghor biegł nieco dalej na wschód, a wzdłuż niego znajdował się szeroki pas upraw. *Trzy lub cztery dni powinny doprowadzić nas do...* miasta zwanego Ain el-Hilwa, znajdującego się mniej więcej w połowie drogi pomiędzy tym miejscem a przyczółkiem mostowym Kolonii naprzeciwko Gumycy.

Do tego czasu brudasy powinny być naprawdę mocno wystraszone.

* * *

– Sacramento!-zaklął Robbi M'Telgez.

Kula karabinowa sypnęła mu w oczy ziemią z glinianej ściany. Mężczyzna przycupnął i przeszedł, pochylając się, wzdłuż niej, po czym uniósł się lekko, aby wyrzeć pomiędzy gałęziami kwitnącego krzewu kilka metrów dalej. Wszędzie indziej w osadzie nie było zbyt wiele strzelaniny, ale to był najlepszy dom, dlatego też najpewniej będzie broniony.

– No, Smeet, Cunarlez, M'tennin – rzucił. – Osłaniajcie nas. Szybkie pięć pocisków. Reszta nasadzić swoje dźgacze. Zabierzem Rosalie na śniadanie.

– Zginiem – wymruczał Smeet. – Setko metrów, psi bracia. Wiatr z lewej. – Chuchnął na kulę, ładując ją do komory.

M'Telgez dobył bagnetu – przeżywanego od niepamiętnych czasów Rosalie – z lewej strony pasa, spod chlebaka, i przypiął go pod lufą swego karabinu. Zabrzmiał wielokrotny szcęk i kliknięcia, gdy pozostali ludzie w jego oddziale podążyli za jego przykładem.

Dom przed nimi był większy niż reszta w osadzie rozciągającej się wzdłuż rowu

nawadniającego. Pewnie należał do lokalnego naczelnika. Znajdował się jakieś sto metrów w górę rzeki od płonących szczątków *noria*, napędzanego wodą koła młyńskiego, które wypełniało sieć rozprowadzającą rowy nawadniające. Mały, kwadratowy, dwupiętrowy dom – zwykła pobielona glina na dole i kilka wąskich okien na górze, większość stanowił zamknięty murem podwórzec. Dom nie został wybudowany jako forteca. Minęło dużo czasu, od kiedy żołnierze Rządu Cywilnego dotarli tak daleko, a żadna z tutejszych wiosek nie miała nawet obronnych wałów. Z tego, co wiedział o zwyczajach szmacianych łbów, to brudasy budowały w ten sposób, żeby sąsiedzi nie widzieli ich kobiet *Jednak funkcjonowało* to doskonale jako pomniejszy, umocniony punkt.

– *Hadelande!* – krzyknął i przeskoczył przez mur.

Trzech ludzi, których wyznaczył, wypaliło, strzelając tak prędko, jak mogli przesuwając dźwignie i przeładowywać. Ciężkie kule, wzbijając pył, wybijały dziury w ceglach z błota wokół okien albo przechodziły przez nie – większość przechodziła. Odległość wynosiła tylko pięćdziesiąt metrów, a każdy w Piątym powinien być w stanie trafić w głowę biegnącego człowieka z takiego zasięgu – zbijając ogień wroga. Mimo to lekka kula dziobnęła pył pomiędzy jego stopami. Zdusił odruch, żeby skoczyć i wrzasnąć, i skoncentrował się na biegu.

Sześciu Descottczyków rozpląsało się przy drzwiach. Nie było sensu tam czekać. Da to tylko czas komuś na górze, żeby zrzucić na nich coś nieprzyjemnego. Nagle zdał sobie sprawę z suchości i lepkości w ustach, potu ściekającego mu po szyi i pod pachami, pod kurtką munduru, odgłosu kurczaków gdakających beztrudnie na pylistym podwórzu. M'Telgez wystawił trzy palce, dwa, jeden.

Wraz z drugim żołnierzem wychylił się i strzelił w zamek. Mieli szczęście i nic w nich nie trafiło, gdy prymitywny, drewniany mechanizm pękł. Pozostała czwórka wystrzeliła po kuli w deski z drzewa figowego, gdy on i jego partner wsadzili swoje bagnety przez szczeliny pomiędzy nimi i unieśli zasuwę z klamer. Drzwi otworzyły się do środka, a oni przez nie wpadli.

Była tam otwarta przestrzeń ubitej ziemi ze studnią w środku i pokojami dokoła. Otwarta klatka schodowa schodziła z drugiego piętra naprzeciwko, a z niej zeskakiwali ludzie. Jeden wymierzył z *jezaila*, rusznicy skałkowej o długiej lufie.

Huknęła, wyrzucając pióropusz dymu. Ktoś za nim krzyknął – krzyknął, a nie wrzasnął, więc nie mogło to być zbyt poważne. Łupnęły karabiny ze zbrojowni i mężczyzna z bronią palną zleciał ze schodów. Miał on powtarzalny karabinek, co pokazywało, iż ten oddział miał odpowiednie poczucie pierwszeństwa celów. A potem jakiś brudas pędził ku niemu,

wymachując długą, zakrzywioną szablą.

Brzęk. M'Telgez zablokował szablę bagnetem, a ta zsunęła się po stali długości przedramienia aż oparła się o mosiężną podstawę. Pozwolił, aby inercja ciężkiej szabli zepchnęła obie bronie w dół i walnął kolbą karabinu. Kolba wyrznięła w brodatą twarz Araba z trzaskiem łamiącej się kości, chrzęstem, który odczuł w rękach. Kolonista zwałił się na bok, obracając się i wpadając na mężczyznę z tyłu, który starał się wyciągnąć pistolet o podwójnej lufie z szarfy związanej wokół swego wydatnego brzucha. Jego usta otworzyły się z zaskoczenia, formując literę „O”, gdy M'Telgez obrócił swój karabin, po czym rzucił się przebił bagnetem brzuch Araba, aż ostrze wyszło ofierze przez plecy.

Odczuł miękki, mocny opór, coś wewnątrz chrupnęło i pękło. Skręcił ostro i wyszarpnął, a kilka strzępków białego tłuszczu przylgnęło do szczyb na ostrzu bagnetu. Trysnęła krew, a ranny mężczyzna wywrócił oczami i upadł do tyłu.

Ludzie z Piątego odczekali chwilę, chowając się za kolumnami ze zrobionych z błota cegieł, podpierających drugie piętro domu. M'Telgez przeładował karabin i uniósł trzy palce, a potem pokazał nimi w kierunku schodów, Trzech mężczyzn wbiegło po nich w stronę otwartych, łukowatych drzwi na szczycie. Kątem oka dostrzegł poruszający się cień. Obrócił się i zobaczył, iż była to kobieta w szacie i zawoju, trzymająca obiema rękoma uniesioną nad głową wielką wazę z wypalanej gliny. M'Telgez podniósł lufę karabinu, gdy palec zaciskał się na spuście. Kula roztrzaskała wazę na kawałki, pozostawiając kobietę stojącą z rozstawionymi rękoma i szeroko rozwartymi oczami.

Obrócił karabin i walnął nieszczęsną kolbą w brzuch. Powietrze uleciało z kobiety ze świstem i

Arabka osunęła się na ziemię. Descottczyk oparł but na jej karku i przyszpilił ją do pylistego podłoża.

– Coś tom na górze? – zawołał ostro.

– Nic – odpowiedział mu głos. – Jeno jakieś dzieciska brudasów.

– Sprowadź je na dół – zawołał. – A reszta psich braci niech to przeszuka. Zajrzyjta pod dachówki, kamienie paleniska, wsadźta bagnet w każdą szczelinę, jakom zobaczyła. Nic ciężkiego, jeno monety i tym podobne.

Szkoda. Tkaniny, narzędzia i bydło zyskałyby dobrą cenę w *Gubernio Civil*, gdyby mieli czas odesłać je na tyły, nie wspominając o samych brudasach. Dobry, krzepki brudas, sprzedany handlarzom niewolników, którzy zwykle podążali za wojskiem, przyniósłby sześć albo siedem srebrnych FedKredytów, jedną czwartą ceny psa dojazdy. Zarobili trochę monet w ten sposób w Południowych Terytoriach. M'Telgez odkładał do banku na rachunku oszczędnościowym batalionu połowę swego żołdu i większość łupów. Miał na oku małe

miejsce w hrabstwie, kiedy już wyrobi swoje dwadzieścia pięć lat. Istniały dwie szkoły podejścia do tej sprawy – jedni utrzymywali, że miało się jedną szansę na cztery przeżycia w wojsku tak długo, więc bardziej sensowne było wydawanie tego jak leci na wódę i dziwki.

Robbi M'Telgez zauważył już, że żołnierze, którzy myśleli w ten sposób, mieli tendencję do zachowywania się nieostrożnie i wchodzili w skład znaczącej części tej zniechęcającej statystyki. A poza tym, jeśli już do tego dojdzie, to jego rodzinie przydadzą się te pieniądze.

Trzej mężczyźni, których posłał na górę, znowu zeszli na dół, a jeden trzymał małe, drewniane pudełko. – Znalozłem pod belkami dachu, ano – rzekł, uśmiechając się szeroko. – Monety, na Ducha.

A patrząc na to z jaśniejszej strony, brudasy nie miały czasu, żeby naprawdę wiele ukryć.

Kolejny mężczyzna poganiał przed sobą grupkę dzieci, a najstarsze prowadziły albo niosły młodsze. Na widok ciał na podwórku uderzyły w szloch, a potem cofnęły się znowu, gdy jeden z żołnierzy przybrał groźną minę i zamachał swoim bagnetem. Odgłosy łomotania i walenia dobiegał z parteru, gdzie reszta oddziału prowadziła przeszukanie.

– Zaprowadźta dzieciska do kościoła, meczetu, czy co tam. – Rozkazy nakazywały oszczędzać osoby nie biorące udziału w walce i nie stawiające oporu. – Hej! – Krzyknął przez drzwi na parterze. – Jak już skończyta, rozlejcie dokoła oliwę do gotowania.

To wznieci ładny ogienek. Zaczerpnął głęboki oddech i wypuścił go, aż zelżał nieco ścisk w żołądku. Śmieszna, mała potyczka, ale on był już w wojsku od siedmiu lat, od kiedy skończył osiemnaście, i wiedział, że mógł umrzeć w niej, stając się równie martwy jak w dużej bitwie.

– i, Smeet, zatkaj to.

Żołnierz Smeet miał z boku kurtki rozdarcie, które było przemoczone i ociekające. – To nic – rzekł ten. – I tok nas zakatrupiom...

– Czym cię pytoł? – powiedział M'Telgez, przybierając groźną minę. – Co?

– Kapral dopiero od pół roku, a już pijany włozdom – stwierdził Smeet, szczerząc się w uśmiechu i krzywiąc się nieco. Jemu też mijała gorączka walki. Często nie czuło się małej ranki, aż

miałeś czas, żeby o tym pomyśleć. Oparł karabin o ścianę i ściągnął parczany pas z ekwipunkiem i kurtkę. – Byłem kaprolem sześć, siedem razy – to uczucie nie trwa wiecznie, psi bracie.

Wzdłuż żeber biegła paskudna rana, właśnie zaczynająca się zasklepiać. Jeden z jego towarzyszy przemył ją wodą z manierki, a potem posypał błogosławionym proszkiem i zalepił wykonanym przez kapłanów bandażem, jaki wszyscy nosili w sakiewce przy pasie. Smeet krzyknął i zaklął. To coś piekło mocno i wielu z mniej pobożnych ludzi nie używało tego przy

zadrażnieniu, chyba że się nad nimi stało. M'Telgez nie był człowiekiem często chadzającym do kościoła, ale messer Raj nalegał na wypełnianie kościelnych reguł w takich sprawach i to mu wystarczało.

Pomagający żołnierz odciął bagnetem jedną połę z kurtki Smeeta, rozdzierając ją na pół i posłużył sienią, żeby przewiązać opatrunek wokół żeber.

– I pokaż to prędko kapłanowi, bo poczujesz mój but na swojej dupie – ostrzegł go M'Telgez. Smeet był dobrym żołnierzem, ale miał tendencję do bycia niechlujnym, jeśli chodziło o wyposażenie i tym podobne.

M'Telgez spojrział w dół na kobietę i uśmiechnął się.

* * *

Kolumny dymu unosiły się na północnym horyzoncie. Wiatr przynosił zapach pełen nieprzyjemnych woni. Tak śmierdziały rzeczy, które nie powinny się palić. Rozgrzane do białości słońce południa wypaliło większość koloru z ziemi, zmieniając żółte pola zboża w bladożółty pył. Kwadraty lucerny i koniczyny *berseem* były tak jaskrawe, iż prawie raziły oczy, a znajdujący się tu i ówdzie gaik drzew owocowych lub oliwkowych rzucał gęsty, czarny cień o ostrych krawędziach. W miejscu, gdzie 7 Zwiadowczy z Descott czekał obok swych psów, rzędy eukaliptusów po obu stronach drogi rzucały upragniony cień, lecz powietrze było nieruchome i bardzo gorące. Owady cykały w pyle, a kilka małych pterosauroidów spadało ku nim. Ich trójkątne zakończone ogony pobłyskiwały, gdy chwytaly cykady w swe małe paszczki z zębami niczym igły.

Mężczyźni kucali cierpliwie obok swoich wierzchowców. Psy zaprzęgowe od dział leżały w swoich chomatach, zadowolone po napojeniu w przydrożnym kanale. Zwierzęta miały lśniące futro i wyglądały na silne mimo upału i ciężkiej pracy. Oparta całkowicie na mięsie dieta ze splądrowanych kolonialnych zapasów służyła im, po zwykłej karmie z ziarna i fasoli uzupełnianej kośćmi i resztkami. Kaltin Gruder stał, jedząc winogrona z kiści w hełmie, który trzymał odwrócony w lewej ręce, czekając z taką samą flegmatycznością jak jego żołnierze.

Zjadł więcej winogron i uśmiechnął się. Walczył przeciwko Rządowi Wojskowym na zachodzie bez pasji, z takim miłosierdziem od czasu do czasu, jakie wydawało się rozsądne. Był szlachcicem Rządu Cywilnego, Descottczykiem, i to zawodowcem. Wojna była jego profesją, jedyną profesją, chyba że chciałby wstąpić do kościoła albo udać się do domu, do hrabstwa, i ganiać za złodziejami bydła. Jednak Koloniści... jego młodszy brat zginął od wybuchu pocisku Kolonistów, w kampanii El Djem. Potarł kciukiem o biegnące równolegle blizny, które pobruździły mu lewą stronę twarzy. To była sprawa osobista.

Z północy dobiegł odgłos łap i gwizd od przepuszczających Kolonistów posterunków, znajdujących się na swych pozycjach w zasadzce. Zwiadowcy przytruchtali ku niemu, siadając z łatwością z karabinami przełożonymi przez uda. Prowadzący ich porucznik zasalutował.

– *Seyhor* – powiedział. – Panie. Jest ich około dwóch tysięcy. Dużo powozów i psów oraz znaczna ilość uzbrojonych mężczyzn.

– Regularne wojsko?

– *Ferramenti, danad, seyhor* – odparł młody oficer. – Przysięgam, że to nic, panie. Straż domowa, nie ma dwudziestki w tej samej liberii.

Na tym polegała przewaga w odpowiadaniu atakiem. Większość wojskowej szlachty, *amiowie* oraz ich *ghazi*, znajdowali się tam, na zachodnim brzegu, z Alim – a przynajmniej wszyscy ci, którzy pragnęli walczyć i ginąć za islam. Ali zrobił się zbyt pewny siebie.

Mimo to nie należało powtarzać jego błędu. Walka w obronie domów i rodzin mogła uczynić zdesperowanym nawet motłoch.

– Dowódcy kompani – powiedział.

Z tyłu, na drodze, ludzie poruszyli się, gdy przekazano rozkaz. Naciągano parciane pasy, ktoś sprawdzał swój karabin albo zaciskał popręg psa. Wierzchowce poszły w ślady panów, utrzymując dobrze wyćwiczoną ciszę, ale się najeżyły. Dowódcy jednostek zebrali się wokół sztandaru Grudera.

– Celem – rzekł ten, przykucając i rysując gałązką po ziemi – jest kolumna uciekinierów znajdująca się o jakieś pół kilometra na północ. Zbliżają się niezłym tempem jak na cywili, ale ich wyprzedziliśmy. Pokażemy się, ustawimy – *tak* – i rozpoczniemy atak. Kapitanie Morinezie, sprowadź swoje działa kłusem, jeśli łaska.

– Zgodnie z rozkazem generała, trzeba zabić każdego, kto stawia opór. Niech reszta ucieka, jeśli tylko będzie to robić piechotą. Weźmiemy żywność, dodatkowe psy – chcę wsadzić zapasową amunicję w juki – i wszelkie łupy o znacznej wartości. – Wysypał winogrona z hełmu i zapiął go. – Spalcie i rozwalcie wszystko, czego nie weźmiemy. Och, i nie zabieramy żadnego łupu ważącego sto funtów, więc pospieszcie się zalotnicy – albo darujcie sobie.

Dał się słyszeć chrapliwy śmiech, skinięto głowami. Jak do tej pory był to wojskowy piknik. Nie potrwa to długo, ale nie było powodu, żeby sobie nie poużywać, kiedy było można.

– Piekło albo łup, psi bracia. – Wsiadł na swego psa Fihdela. Jego stopy znalazły się w strzemionach, gdy się podniósł. – Buty i siodła, panowie.

* * *

– Około sto siedemdziesiąt siedem tysięcy czterysta FedKredytów. W złocie – dodał Muzzafer Kerpatik. – Biorąc pod uwagę zwyczajowe upusty przy sprzedaży.

Raj zamruczał niezobowiązująco, opierając się ręką o palik namiotu. Był to zdobyczny namiot, pochodzący z karawany, jaką napadł Kaltin; pozostawia go rankiem. Rozejrzał się po obozie – a właściwie to niezupełnie obozie; były to paliki do przywiązywania psów i ludzie gotujący przy ogniskach. Dziwnie było znaleźć się w obozowisku, w którym słyszało się więcej nameryjskiego niż sponglijskiego, lecz grupę środkową stanowili w większości żołnierze Rządów Wojskowych. *Owoce podboju*. Takie były prawdziwe zdobycze wojenne: pokój na ziemiach, jakie zajął, a ludzie stamtąd tutaj, broniący Rządu Cywilnego.

Żołnierze Rządów Wojskowych, dawni wojownicy Eskadry i Brygady, byli zadowoleni. Dotychczas była to łatwa kampania, pod dowódcami, którym ufali. Byli wojownikami z urodzenia i

zawodowymi żołnierzami przez profesję, jaką im Raj wyznaczył, obojętnie podchodząc do tego, z kim walczyli.

Słońce chyliło się ku zachodowi, ku znajdującemu się w odległości trzydziestu kilometrów Drangosh. Było zamglone od pożarów zbiorów, budynków i miasteczek. Siły najeźdźców wyrznęły ścieżkę zniszczenia sto kilometrów ku południowi. Czuł woń dymu, słabą w tle gotowania i psich zapachów zalatujących z wojennego obozu.

– Ile z tych łupów pochodzi z grupy Osterville’a? – spytał Raj.

– Ach, niestety bataliony pułkownika Osterville’a miały kiepskie szczęście. Od nich jest mniej niż dwa tysiące.

Śmiech rozległ się dokoła stołu za nim. – Nie sadzę, aby ludzi ubawiło to, że chłopcy Osterville’a ich oskubują. A zwłaszcza biorąc pod uwagę ostatnie raporty ze służby.

– Raju, kochanie – odezwała się Suzette. – *Chodź i usiądź*. Albo też ruszaj się jak kot w klatce, ale zdecyduj się na coś.

Wzruszył ramionami trochę potulnie i wrócił, zasiadając i biorąc udko. Był to sauroid, ale mięso smakowało podobnie jak kurczak, który stanowił alternatywę. Jak zwykle Suzette udało się znaleźć coś lepszego, niż miałeś prawo się spodziewać w warunkach polowych. Oczywiście, obrywki z plądrowania były dobre. Napychał się metodycznie.

– Nie podoba ci się to, prawda, kochanie? – spytała Suzette.

– Nie – rzekł Raj. – Jestem zapobiegliwym człowiekiem. Łupy są tutaj dobre, bowiem na tym obszarze nie walczone od dłuższego czasu. Powrót do poprzedniego stanu zajmie całe pokolenia.

– Co osłabi Kolonię – zwrócił uwagę Gerrin Staenbridge. Udało mu się ogolić i znaleźć czysty mundur, co było małym cudem, gdy żyło się na jukach. *Każdy człowiek płaci cenę za to, czego pragnie*, pomyślał Raj. Gerrin przebrał się do obiadu w sposób, w jaki ustawiał szyk do szarży – ze skrupulatną troską. Była to dla niego oznaka cywilizacji.

– Zakładając, że sytuacja patowa tutaj się utrzyma – powiedział Raj. – Rząd Cywilny Świętej Federacji jest prawowitym władcą całej ludzkości. Łącznie z Kolonistami.

Staenbridge uniósł brew. – Cóż, od jakiegoś tysiąca lat nie miał on wiele szczęścia w narzucaniu jej swych praw.

A w tym czasie Koloniści dwukrotnie prowadzili oblężenie Wschodniej Rezydencji, a Rząd Cywilny raz sięgnął aż do Al Kebir.

– Mnie też się to nie podoba – powiedział Barton Foley. Spojrzeli na niego, a młodszy mężczyzna spuścił wzrok na strzelbę-obryza spoczywającą na stole przednim, zaś jego jedyna ręka powoli składała czyste, naoliwione, błyszczące części. Te złożyły się z gładkim trzaskiem i kliknięciem, a on wsunął broń do olstra, które nosił przerzucone przez plecy.

– Takie grabienie wieśniaków to nie jest prawdziwa żołnierska robota – ciągnął dalej uparcie.

Gerrin i Raj skinęli razem głowami i uśmiechnęli się na ten zbieg okoliczności. – To naprawdę niedobre dla morale – rzekł Raj. – Nie aż tyle tego.

– Ludzie zaczynają myśleć jak bandyci – przyznał Staenbridge. Suzette potrząsnęła głową. – Jacy

doskonali rycerze – rzuciła z łagodną kpina. – A potem – Ach, Abdullah.

Wszedł druz, a za nim dwóch podejrzliwych żołnierzy z bagnetami trzymanymi niedaleko od jego nerki Antinem M'lewisem z boku. Abdullah się skłonił – *Sayyid. Sayyida.*

Raj oparł się o zdobyczne składane krzesło, należące do wyposażenia na polowania jakiegoś *amira. Niech mnie diabli. Nie spodziewałem się ponownie zobaczyć go żywego, naprawdę nie.* Suzette miała jednak oko, jeśli chodziło o wybieranie godnych zaufania sług.

– To wszystko, ludzie – rzekł do żołnierzy. Ci się zawahali, a jego ton stał się suchy. – Z jednym Arabem sobie poradzę, dziękuję. – Zasalutowali, rzucili Abdullahowi ostrzegawcze spojrzenie i obróciwszy się zgrabnie, wyszli.

Kurna, to cholera z żyjącą legendą może być nużące. Ludzie nie chcieli nawet na chwilę zostawić go samego, obserwowali go, słuchali, strzegli. Niech piekło pochłonie ich poczciwe, lojalne dusze. Kim on był, inwalidą?

>>Jesteś ich talizmanem.<< powiedziało Centrum. >>Bez ciebie czuliby się zagubieni.<<

Jestem tylko jednym człowiekiem, pomyślał/zaprotestował Raj. I mam kompetentnych oficerów.

>>Wierzenia tworzą swoją własną rzeczywistość.<<

Abdullah wyciągnął spod swego ha'aiku dokumenty. Przyj aj także puchar rozwodnionego wina; jego odmiana szczególnie ekscentrycznego shi'a islamu miała pewne liberalne poglądy.

– Panie – zaczął. – Ain el-Hilwa jest przepelnione uchodźcami aż do granic. Wszystkiego może sto siedemdziesiąt, sto osiemdziesiąt tysięcy. Tłoczą się w mieście i na przedmieściach za murami.

Raj skinął głową. Nie było to niespodzianką. Długie, brązowe palce szpiega przesuwają naczynie, aby przycisnąć mapę i papiery, zabezpieczając je przed ciepłym, wieczornym wiatrem.

– Garnizon składa się z dziesięciu tysięcy ludzi regularnego wojska osadnika oraz *ghazi* lokalnych *amirów*, ale nie więcej niż dwustu pochodzi z tego samego *taboru*. – *Chorągwi* stanowiącej kolonialny odpowiednik batalionów w Rządzie Cywilnym, choć zwykle były nieco mniejsze. – Reszta została wysłana na drugą stronę Drangosh, do wojska osadnika.

– Poza tym ich oficerowie się kłócą. *Wali* prowincji, Muhmed bin Tarish, jest ulubieńcem dworu. Ukrywa się wśród swoich kobiet i wysyła wiadomości, rozkazując ludziom, aby pozostawali za murami. Haffez al'Husseini, najstarszy z wojskowych oficerów, jest weteranem Wojen Zanjiskich, ale spowalniają go rany. On...

Raport ciągnął się dalej, pełny i spójny: jednostki, mocne punkty, broń, rozmieszczenie, działa, stan fortyfikacji i zaopatrzenia w wodę (które było dobre, jako że miasto rozsiało się nad kanałem Ghor). Centrum rysowało na mapie holograficzne projekcje.

Abdullah umilkł. Pozostali czekali w ciszy wypełnionej łopotaniem płótna na wietrze i stłumionymi odgłosami obozu; wyjący pies, metaliczne zawołanie trąbki, pytanie i odpowiedź na wystawionych czujkach. Dziesięć minut później Raj zamrugął.

– Tak – powiedział cicho sam do siebie. – To powinno wystarczyć. – Podniósł wzrok. – Doskonała robota, Abdullahu. Nie będziesz tego żałować.

Abdullah się skłonił. – Moja życie oddane jest służbie, *sayyid.*

Raj machnął ręką. – Jeśli twój syn wciąż chce stanowisko podporucznika w kawalerii, gdy ukończy szesnaście lat, to należy ono do niego.

Był to bardzo rzadki honor dla kogoś nie należącego do kościoła Gwiazdy, choć wiara Abdullaha pozwalała swoim wyznawcom swobodnie uczestniczyć w obrządkach innych religii, gdy było to właściwe. Druz skłonił się ponownie, jeszcze niżej.

– Gerrinie – ciągnął Raj. – Zbierzemy się do dziewiątej jutro?

– Wszyscy oprócz Osterville’a – rzekł Staenbridge. – Ale on jest...

– ... bliżej niż mówi, ponie – wtrącił M’lewis. – Jeno sześć kilometrów na wschód.

Raj skinął głową. – Oto, co zrobimy. Bartonie, zapisz to. O świcie...

Rozdział ósmy

– *Allahu Akbar! Gurt Gur!*

Grupa Kolonistów wychyłała z bocznej alejki w labiryncie ulic. Poranne słońce płonęło jasno na ich zakrzywionych szablach i spiczastych hełmach. Jellaby owinęli ciasno paskami płótna; całuny ludzi, którzy byli zdeterminowani, by szukać rajy w walce z niewiernymi.

Główna ulica także była wąska i kręta. Pomiędzy Rajem a atakującymi znajdował się tylko jeden szereg. Horace obrócił się z donośnym pomrukiem, a dłoń Raja sięgnęła w stronę szabli i pistoletu. Siatka zielonych linii pokazała się przed oczami Raja i zajarzyły się sylwetki żołnierzy Kolonii. Jedna pulsująco; ten z karabinem w rękach. Znajdował się jeszcze w odległości stu kroków – długi strzał z pistoletu, nie będący jednak niemożliwością dla wyszkolonego, siedzącego na grzbiecie psa człowieka, posiadającego broń do strzelania z ramienia. A Arab wyglądał dobrze...

Raj poruszył nadgarstkiem. Czerwona kropka ustawiła się w środku tułowia. Raj nacisnął spust. *Krak*. Karabinier przeleciał przez łęk siodła. *Krak*. Spadł kolejny. Ustawić kropkę i kula przechodziła tam, gdzie Centrum wskazywało, że trafi. *Krak-krak-krak*. Rewolwer był pusty, a Koloniści się przedarli.

Brzęk stali uderzającej o stal, gdy zakrzywiona szabla spotkała się z jego klingą. Zgiął nadgarstek, pozwalając ostro wygiętej klindze przelecieć obok z sykiem, a potem ciął Araba w twarz na odlew. Drugi pędził z uniesionym ostrzem. Horace rzucił się z otwartą paszczą ku gardłu bazenjicyka. Raj dźgnął, a czubek jego broni wbił się pod mostkiem mężczyzny. Wyszarpnął go z desperacką siłą, obracając się. Karabinek Suzette szczęknął i prawie wypadł jej z rąk, gdy posłużyła się nim do odbicia cięcia. Raj uniósł się w strzemionach i rąbnął ku dołowi. Szarpnęło nim, jakby klinga grzmotnęła o suchą dębinę i dał się słyszeć odgłos pęknięcia. Prawie wyrwało mu z dłoni szablę, zatopioną w czaszce Kolonisty, lecz metal uwolnił się dzięki ciężarowi upadającego ciała.

Nie było czasu na strach. Coś ścisnęło go pod żebrami, gdy zobaczył, jak jego żona trzyma się za górną część ramienia.

– To nic, lekkie draśnięcie – powiedziała.

Sprawdził. W tle powarkiwały karabiny, gdy żołnierze zabijali psy martwych Arabów, które stały z obnażonymi zębami nad ciałami swych panów. Miała rację. Przyciskała opatrunek do powierzchownej rany, gdy on go zawiązywał.

– Cholera, o mały włos – rzucił. – Ktoś jeszcze ranny?

Jego chorąży miał poranione palce tam, gdzie posłużył się drzewcem do zablokowania cięcia. Suzette pognęła Herbie bliżej i zajęła się tym. Sierżant z oddziału sztandarowego wpatrywał się w Raję z rozwartymi oczami.

– Na Ducha, ponie – wykrztusił. – Pięciu ubitych pięciu strzałami!

Raj poczuł, że rumieni się ze wstydu. Tak naprawdę, to nie był pierwszorzędnym strzelcem. Wolał posługiwać się szablą i był w tym bardzo dobry. Dzięki niesamowitej sztuczce Centrum nie *trzeba* było być dobrym. Niezbyt podobało mu się to doświadczenie. Zbyt mocno przypominało to bycie samemu bronią w czyichś rękach.

Cokolwiek się sprawdza, pomyślał.

>>No właśnie.<<

– Ruszać się – rzucił ostro.

Przedmieścia Ain el-Hilwa już płonęły, gdy żołnierze Rządu Cywilnego torowali sobie drogę, strzelając i rąbiąc tłumy biegnące z wrzaskiem ku bramie. Pociski przelatywały długim łukiem w górę z odgłosem rozdzieranego płótna, grzmocąc w masywne, obłożone kamieniem mury za fosą. Była to mokra fosa, pełna wody z kanału, teraz ciemnej od głów przepływających przez nią uciekinierów, którym nie pomagał garnizon. W bramie panował ścisk mocno upakowanych ludzi.

– Naprzód! – rzucił znowu. – Cholera, trębacz, zagrać: *szybkie natarcie!*

Ryk mosiądzu przebił się przez ogromny hałas panujący w tłumie; narastający huk płomieni. Sam tylko ścisk licznej rzeszy ludzi spowalniał natarcie, mimo całkowitego zaskoczenia. Ludzie znajdujący się przed nim *chcieli* zejść z drogi ostrym klingom, długim na metr szczękami z obnażonymi zębiskami i ogniowi karabinów, ale *nie mogli*.

Powinni byli pozostać w swoich domach, pomyślał – albo w rozciągającym się za przedmieściami mieście szałasów z trzciny oraz namiotów. Panika była niemądra.

Za nim zbliżyło się podskakując działko polowe. Załoga odprzodkowała łożę i obróciła działo, popychając je do przodu z długim ogonem w górę, a nosem w dół. Artylerzyści przepchnęli je przez przedni szereg żołnierzy Rządu Cywilnego i pozwolili ogonowi upaść.

– Odsunąć się! – rzucił dowódca działa. Sam odskoczył na bok i pociągnął za sznur.

Pomf. Walnął w niego impet wybuchu, odbijający się tam i siam od wąskich ścian ulic.

Tak jak i setki ołowianych kul kartaczowego ładunku. Mężczyźni – oraz kobiety i dzieci

– rozbiegali się, uciekając przed tą zamiatającą kosą.

– *Waymanos!* – krzyknął znowu Raj. – Naprzód!

Budynki po obu stronach odsunęły się, gdy wyszli na szeroki, oczyszczony teren wokół fosy. Armaty i pompomy strzelały z murów, ale większość pocisków przelatywała ponad głową, uderzając w pas domów, pomagając w zniszczeniu. W bramach, aby oczyścić je ze ścisku, garnizon strzelał ku swoim własnym ludziom, rzucając ręczne bomby i lejąc płonąca naftę z morderczych dziur znajdujących się ponad łukowym wejściem. Bramy się zamknęły, a zamiast mostów na fosach ziały dziury, gdy segmenty na nawiasach zostały podciągnięte.

– Cholera – rzekł na głos Raj. – Goniec, dowódca batalionów. Rozpalcie pożary i wycofajcie się.

Pocisk wybuchł dwadzieścia jardów w górze. Raj stanął w strzemionach i uniósł polową lornetkę, przesuważając ją po murach. Chaos, ale chaos pełen aktywności – grupy regularnych żołnierzy Kolonii w czerwonych jellabach, wyglądające na piechotę, oraz biało-kolorowy patchwork miejskiej milicji. A coraz więcej dział fortecznych włączało się do działań.

Zawrócił Horace'a. – Dalej, wynośmy się, zanim pożar się rozprzestrzeni.

Zdawał sobie sprawę z kilku rzucanych mu spojrzeń. Technicznie rzecz biorąc, była to klęska – nie udało im się zdobyć bramy mimo szaleńczej paniki w reakcji ze strony garnizonu Kolonii. Raj uśmiechnął się nieco szerzej.

Reputacja posiadania asa w rękawie mogła być całkiem pomocna. Nawet, gdy *miało* się coś w rękawie.

Suzette zgięła ramię, krzywiąc się tylko trochę, gdy zawrócili i pokłusowali z powrotem przez dym i zgiełk. Pociski świstały nad głowami. Popiół i kawałki gruzów spadały dokoła nich na ulice z ubitej ziemi.

Niemal się cieszę, że to się stało, pomyślał Raj. Pytanie rozbrzmiało mu gdzieś w umyśle. Zaczynałem się zastanawiać, czy straciłem zdolność do silnych emocji.

>>Nie jestem zaraźliwy.<<

Jak cholera, że nie, pomyślał Raj. Na przykład jeszcze kilka lat temu nie ośmieliłbym się mówić w ten sposób do anioła. A poza tym, kilka lat temu nie zrobiłbym tego, co zamierzam zrobić Osterville'owi. Nawet Osterville'owi.

>>Ach. Jest to skutek czegoś, co nazywa się „życie”, Raju Whitehallu. I jest ono zaraźliwe. I nie tylko, jest śmiertelne. Dla nas wszystkich.<<

* * *

– Powinno być gotowe za jakieś trzy godziny, *mi heneral* – powiedział Dinnalsyn.

Artylerzysta i Raj stali razem przed umocnieniami ziemnymi, pięć kilometrów od Ain el-Hilwa. Dwa tysiące żołnierzy i tyle samo wcielonych siłą uchodźców z Kolonii kopało miarowo, wciągając w górę zbocza w koszach, kubłach, hełmach i zaimprovizowanych z płaszczy materiałowych płachtach ziemię z rozrastającego się rowu. Słońce stało wysoko, a ludzie pocili się, pracując w systemie: godzina pracy, godzina przerwy spędzonej na straży lub też przy pojeniu i karmieniu psów. Fort ziemny miał bok długości dwustu metrów; standardowy obóz w czasie marszu, z rowem tak głębokim jak stojący mężczyzna i z równie wysokim ziemnym szańcem wewnątrz, z palisadą na szczycie oraz bastionami na rogach i bramami ze szczelinami w kształcie litery „V” na działa. Powietrze wypełniał zapach potu i świeżo skopanej ziemi.

Raj podszedł na skraj. – Znaleźliście już zakopaną beczułkę piwa, psi bracia? – zawołał po nameryjsku.

Wielcy, jasnowłosi mężczyźni, znajdujący się najbliżej roześmieli się, pojękując. – Nie martw się, panie – odkrzyknął jeden z nich. – Nawet gdyby zajęło nam to cały dzień, to, na Ducha Człowieka tej Ziemi, będziemy mieć grób wystarczająco duży na wszystkim wrogów, jakich zabijemy.

Odwracając się, Raj zamachał ręką. *Nieźle*, pomyślał. W swoich rodzinnych stronach ci ludzie gardzili kopaniem w ziemi jako czymś odpowiednim dla wyrobników i kobiet; prawdziwi mężczyźni walczyli, polowali i pili. Zatem nieco nauczyli się żołnierki – choć musiał zabić około jedną trzecią dorosłych mężczyzn z ich narodu, aby pozyskać ich uwagę, ale się uczyli.

Wewnątrz ogrodzonej przestrzeni rozkładali się medycy, a wzdłuż ulicy rozbijano równe rzędy namiotów – wszystko, co konieczne dla mobilnego, wojskowego miasta liczącego pięć tysięcy ludzi. Im dłużej pozostaną, tym bardziej dopracowany będzie mógł się stać, ale w połowie popołudnia obóz będzie gotowy do obrony. Mówiło się, i było w tym trochę prawdy, że przyglądanie się jak wojsko Rządu Cywilnego rozbija obóz, bardziej zniechęcało barbarzyńców niż stoczenie z nim walki. Koloniści nie dadzą się zastraszyć, ale będą dokładnie wiedzieć, jak trudno jest szturmować tego rodzaju umocnienia ziemne.

– Dobrze, Grammeck – powiedział. – Popychaj to do przodu. Gerrinie, jak już wzniesiemy mur, puść wolno tych wszystkich Kolonistów. Żołnierze nie umrą, jak sami to dokończą. Kaltinie, tobie powierzam nadzór...

– Ponie – odezwał się sierżant z oddziału sztandarowego.

Raj się rozejrzał. Podjeżdżała grupka oficerów Rządu Cywilnego. Nie jego własny proporzec, ale sztandar Osterville'a. Raj czekał w milczeniu.

– Generale – rzekł Osterville.

– Pułkowniku – odparł Raj. I oficjalnie – Pułkowniku Osterville, rozkazuję ci wprowadzić ludzi pod twoją komendą za mury tego obozu.

Osterville uśmiechnął się drwiąco z raczej teatralnym wyrazem twarzy. – Będę musiał pozbawić cię oraz messę Whitehall tej przyjemności. Jako komendanta wojskowego dystryktu Sandoralu, moja władza jest jednoczesna. Dowództwa te pozostają rozdzielone, a ja nie boję się tej znajdującej się tam kupy brudasów.

Wskazał ręką. Jego własne cztery bataliony rozstawiały obóz na wzgórzu znajdującym się nie więcej niż kilometr od murów. Dalej widać było gęsty całun dymu z tłących się ruin przedmieść za murami. Nie przypadkiem. Na tym wzgórzu był sad i mała, przyjemna, wiejska willa.

– Ostrzegam cię – ciągnął Raj, gładząc się po brodzie – że Koloniści mogą spróbować wypadu. Twoje stanowisko jest bardziej narażone na atak niż moje.

Osterville splunął – w kierunku miasta, co uczyniło ten gest dwuznacznym. – To są śmiecie, z niekompetentnymi oficerami. To oczywiście, inaczej przecież znajdowałiby się po drugiej stronie rzeki z Alim, nieprawdaż? – W jego głosie pojawił się napastliwy, pouczający ton. – Spójrz, jak zareagowali, gdy zaatakowaliśmy dzisiejszego ranka. Jak już powiedziałem, ja się ich nie boję, tak samo jak i moi ludzie. Zostajemy tam, gdzie jesteśmy.

– Ależ jak najbardziej, pułkowniku Osterville – rzucił łagodnie Raj. – Może to słuszne, biorąc wszystko pod uwagę.

A wśród szeregów oficerów dokoła Raja głośny szept kontynuował tę myśl – Biorąc pod uwagę, co nasi ludzie zrobiliby tym cipkom z garnizonu, które oszukiwały przy łupach.

Osterville obrócił głowę, nadziejając się na mur beznamiętnej uprzejmości. Zasalutował i

zawrócił psa tak gwałtownie, że wywołało to skomlenie protestu, gdy zwierzęciu wbiły się napoliczkowe dźwignie uzdy.

– Ponie. – Tym razem posłaniec od oddziału przy heliografie, który stanowił stację przekaźnikową do przyczółka mostowego. – Wiadomość od pułkownika Menyeza.

Zapadła napięta cisza. Raj przeczytał. – Przybył Ali – powiedział. – I spróbował tego, co zwykle. Jak dotąd...

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

* * *

– Głośni zebracy – rzucił major Ferdinando Felasquez. Armia Kolonistów paradowała przed murami Sandoralu w sile pięćdziesięciu tysięcy. *Tabor za taborem* ludzi wierzchem, w

czerwonych jellabach i pantalonach, w doskonałym porządku niczym opadająca się i wnosząca w rytm kłusujących psów fala. Pomiędzy blokami ludzi posuwały się działa, lekkie pompomy i siedemdziesięcimilimetrowe działka, a za nimi cięższa, oblężnicza broń. A dalej na pagórku, zaraz za średnim zasięgiem artylerii, stawiano ogromny namiotowy pawilon w jaskrawe pasy. Z najwyższego słupa powiewał sztandar z zielonym półksiężycem oraz paw osadników.

A nad tym wszystkim unosił się nieludzki puls bębnow, jak bijące serce jakiejś wielkiej bestii. W tle zaś dzwoniły cymbałów i metaliczny wrzask długich, skręconych trąb.

Felasquez klepnął rękawicami o udo. – Czy powinniśmy przesłać im kilka miłosnych liścików? – spytał. – Niektóre z cięższych dział na murze mogłyby sięgnąć tak daleko.

– Nie – rzekł Jorg Menyez, przyglądając się szeregowi jednostek przez lornetkę osadzoną na wielkim trójnogu. – Chcemy zyskać na czasie, więc nie ma sensu szturchać sauroida przez kraty. Ach, tak. Zauważyłeś coś?

Odsunął się i Felasquez pochylił się do szkieł. Przed pawilonem osadnika wyrastał las proporców. – Ali, wezyr Hussein, wielki mufti Sinnaru, derwisze gederosiańscy... czekaj no.

Menyez skinął głową. – Brakuje pieczęci Salomona. Nie ma tutaj Tewfika.

– Chyba że chcą, abyśmy tak myśleli.

– Nie, Koloniści tak nie rozumują.

Felasquez skinął głową. – Czułbym się spokojniejszy, gdybyś nie rozbijał tak bardzo 24 z Valencii – ciągnął.

– Trzeba wzmocnić piechotę z garnizonu. Nie mieliśmy dość czasu, żeby doprowadzić ich do pierwszorzędного stanu.

– Nie da się wzmocnić wiadra śliny garścią ołowianych kulek – stwierdził Felasquez.

Menyez klepnął go w ramię. – Nie jest aż tak źle. To wyszkoleni ludzie, solidni pod spodem, tylko ostatnio ich zaniedbano. Stanie za parapetem i strzelanie to chyba najłatwiejszy sposób walki jak dla nich. Tylko potrzeba im nieco przykładu. Jak się sprawiają kanonierzy-ochotnicy z milicji?

– Całkiem nieźle. Jeszcze trzeba będzie oczywiście zobaczyć, jak znoszą ogień. Ale ci, co zostali, to ci, którzy *chcieli* walczyć. Wielu z nich było z nami, gdy walczyliśmy z Jamalem pięć lat temu.

Na murach Sandoralu stali przy parapecie ludzie i wyglądali z blanek, ale było ich niewiele. Większość garnizonu stała w pogotowiu na oczyszczonym terenie wewnątrz murów lub czekała w swoich kwaterach. Poza tym, miasto było miejscem-widmem, gdzie niewiele się poruszało oprócz szczurów i niemalże równie dzikich kotów.

– Teraz pozostało tylko czekanie – ciągnął Menyez – a ja chcę kolacji. Goniec, wiadomość do heneralissimo...

* * *

Tym razem punkt widzenia przesunął się do miejsca przy linii kolejowej na zachodzie. Raj je rozpoznał: długi wiadukt biegnący nad parowem, w którym zimą i wiosną płynął rwący strumień. Płonące pozostałości drewnianego, filarowego mostu leżały rozrzucone w dole.

Długi szereg dragonów Kolonii podniósł się po modlitwie i zwinął swoje stanowiące część ekwipunku dywaniki. *Naikowie* i *rossaldarzy* wrzeszczeli na nich, a oni powrócili do pracy – rąbiąc podkłady kolejowe. Za każdym razem, gdy odczepiali część torów, nieśli ją pędem ku jednemu z ognisk płonących w pewnych odstępach wzdłuż linii kolejowej i wrzucali ją w nie. Suche drewno zapalało się jak hubka, a w sercu piecowego gorąca widział, jak cienkie, taśmowe żelazo staje się wiśniowoczerwone, a potem żółte, zapadając się i wyginając, tworząc masę metalowego spaghetti, która zostanie przewieziona do hut i walcowni jako złom.

Raj skinął głową, potakując sam sobie z zaciśniętymi ustami. Nie było to niespodzianką – linia kolejowa stanowiła najlepszy z możliwych celów militarnych. Jednak doprowadzenie linii z Sandoralu do Wschodniej Rezydencji zajęło całe pokolenia. Dopóki Barholm Clerett nie zasiadł na tronie, a Raj nie odbił terytoriów na zachodzie, zawsze istniał jakiś bardziej pilny, krótkookresowy priorytet.

Koloniści wykonywali dobrą, profesjonalną robotę przy niszczeniu, a było ich mnóstwo.

* * *

Pył unosił się jak dym znad drogi. Pot ściekał z zaprzęgu dwudziestu wołów pociągowych preżących się przy łańcuchu. Wielki, przykryty namiotem wóz potoczył się do przodu, osie skrzypiały, a wielkie jak człowiek koła obracały się miarowym, nieubłaganym tempem, którym pokonają dziesięć kilometrów dziennie, ni mniej, ni więcej. Był on jednym z szeregu składającego się z dwóch tuzinów, razem zajmujących kilka kilometrów drogi. Wszystkie miały na drewnianych bokach wypalony półksiężyc i pawia wyrysowanego na budach.

Ładunek stanowiło splądrowane ziarno, bele obrzydliwie wyglądających suszonych ryb; nawet przy holograficznym obrazie mógł wyobrazić sobie ich mączną, oleistą woń. *Advocati*, podstawowa karma dla psów w dolinie – przydenny, przysysający się, bezkręgowy pasożyt.

Psy ledwo co to jadły. Nawet niewolnicy odmawiali jedzenia tego, jeśli mogli. Gdy się przyglądał, woły się zatrzymały na trzaśnięcie biczów woźniców. Ludzie z koszami ziarna i kulami suszonej lucerny szli wzdłuż karawany, rzucając swoje ładunki przed zwierzęta pociągowe.

Eskorta przysiadła, odczepiła bukłaki z kozłej skóry noszone u pasa, odłożywszy wcześniej swoje lekkie, operowane dźwignią karabinki. Piechota, z krótkimi, wygiętymi mieczami u pasa, a nie zakrzywionymi szablami kawalerii. Tewfik nie marnowałby swoich najlepszych ludzi do takiej służby, ale było ich tutaj mniej więcej pluton. Woźnice byli cywilami, drobnymi mężczyznami w

podartym odzieniu.

Dał się słyszeć głos i zarówno woźnice jak i żołnierze klęknęli w pyłe, dokonując rytualnego obmycia i rozwijając swoje maty. Zawołanie i klęknęli, pochylając się ku odległemu Sinnarowi, świętemu miastu, w którym wylądowali pierwsi ludzie na Bellevue, przywożąc fragment ka'ba ze zniszczonej Mekki.

* * *

Oficer Kolonii w okularach o złotych oprawkach i z ufarbowaną na zielono brodą stał obok dziury, Znajdował się przed murami Sandoralu – widział miasto w niewielkiej odległości, choć był poza zasięgiem zwykłej artylerii. W dziurze pracowało kilka setek Kolonistów, w większości rozebranych aż do opasek lędźwiowych, wyglądali jednak na żołnierzy. Pewnie inżynierowie. Kolonia miała ich całe jednostki, nie oczekując od jednostek liniowych, by dublowały ich rolę w razie potrzeby, jak robił to Rząd Cywilny. Nigdy jeszcze nie widział, aby ludzie pracowali ciężiej albo bardziej umiejętnie.

Latały motyki. Podesty z desek zbiegały w dół dziury, a pełne ziemi taczki wjeżdżały truchtem w górę. Ziemia ta była gromadzona porządnie na znajdujących się niedaleko kupach. Inni ludzie wypełniali worki piachem z tych stosów. A jeszcze inni przycinali drewno, świeże belki z sadów wokół miasta lub wyschłe drewno wyciągnięte z domów. Rozkładana podłoga z desek czekała na złożenie.

Bunkier, stwierdził Raj. I to cholernie duży. Pewnie dla Aliego.

* * *

Raj zamrugał, świadomy spoczywających na nim oczu. Do lej pory... wszyscy oni przyzwyczaili się już do jego... momentów nieuwagi.

Odchrząknął. – Ali dotarł do Sandoralu i okopuje się dokoła miasta. Jak dotąd nie rozpoczął natarcia – przypuszczam, że sprowadza karawanę obłązniczą. Ma ze sobą pełne pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Karmienie ich musi nadwerężyć jego zapas paszy i wozów. Sztandaru Tewfika nie ma z główną armią.

To wywołało poruszenie. – Co robimy, *mi heneral*? – spytał Staenbridge.

– Kopiemy i czekamy. – Czekamy na co?

– Na to, żeby brudasy – wskazał głową ku Ain el-Hilwa – połknęły przynętę. A wtedy my...

Oficerowie czekali w milczeniu, kilku robiło notatki. – Czy wszystko jasne? – zakończył Raj.

– Żadnej rezerwy? – spytał Staenbridge.

– Nie tym razem. To wkalkulowane ryzyko, tak jak i ta cała ekspedycja.

Odwrócił się i spojrział na arabskie miasto, otoczone tłącymi się ruinami przedmieść, wypakowane aż po same mury uchodźcami.

– Będzie to albo łatwe, albo niemożliwe – powiedział.

>>Prawdopodobieństwo tego, iż działania potoczą się zgodnie z obecnymi przewidywaniami, wynosi 78% plus minus 7<< dorzuciło pomocnie Centrum.

– Postawiłbym trzy do jednego na to, że pójdzie łatwo – ciągnął Raj. – Jeśli nie, to będziemy musieli po prostu szybko reagować.

Kiedy mijasz Camina Bellica

Jak masa ludzi, która tędy chodziła

Wspomnij los żołnierza

Co go rodzina już nie zobaczyła!

Och, droga była ukochana, co go całowała

I droga matka, która go powiła,

Potem znaleźli jego miecz wśród wrzosu ł go rodzina już nie zobaczyła!

– Ponie. – Antin M'lewis był oficerem dyżurnym, wsunął się w krąg przy ognisku. – Major Hwadeloupe do pona.

Raj dokończył gryzienie figowego chleba, otrzepał ręce i oparł się o poduszki – ktoś uratował je z pobliskiej posiadłości Kolonistów i wszyscy odpoczywali na nich i na dywanach z Al Kebir pochodzących z tego samego źródła. Pieczona owca z ryżem została pożarta, a oni doprawiali się cukierkami i ciastami, z których słynęli Koloniści. Wino *było* zbyt słodkie, nawet rozcieńczone, ale i tak nikt nie pił wiele, zbyt dobrze znali Raja. Blask ogniska tańczył na otaczających je twarzach, uwypuklając blizny na obliczu Kaltina Grudera, gdy ten pochylił się do przodu, żeby podpalić gałązkę i zapalić obcięte z obu stron cygaro.

– Ależ jak najbardziej, Antinie, sprowadź go – rzekł Raj. Hwadeloupe dowodził 44 Dragonów z Camarina, jednym z batalionów Osterville'a.

– I ponie... ma tam ze sobą swoich ludzi. Całe setki, niedaleko stąd.

– Miej ich na oku, kapitanie.

Mocne, męskie głosy wyrzycały kolejną strofę, tę, która sprawiła, iż ta piosenka została oficjalnie zakazana parę wieków temu. Była to prawda, choć gubernatorzy woleliby, by wojsko jej nie znało:

Kiedy mijasz Camina Bellica

Z Miasta do Sandoral

Wspomnij los żołnierza

Który panem wszystkich się stał!

Nosił karabin i szablę

Pełnił wartę i z dumą jechał

Aż armia okrzykała go gubernatorem

I panem wszystkich się stał!

– Cieszę się, iż mogłeś się do nas przyłączyć – rzekł Raj, gdy podszedł Hwadeloupe. – Nie, nie, żadnego salutowania w mesie, majorze. Napij się nieco wina.

Żołnierz-sługa podał kubek z winem rozcieńczonym pół na pół z wodą. Oficer pochwycił go z

roztargnieniem; mężczyzna w średnim wieku, z twarzą jak rzemień, na której odcisnęła się długa służba na południowej granicy.

– *Mi heneral*, czy moglibyśmy pomówić prywatnie?

– Nie mam tajemnic przed moimi oficerami i towarzyszami, majorze. – Nie była to *całkowita* prawda, lecz uprzejmy sposób powiedzenia Hwadeloupe, żeby nie spodziewał się, iż uda mu się asekurować.

– Ach... panie, chciałbym przenieść swój batalion pod twoją komendę – to znaczy, do tego obozu.

Reszta grupy dowódczej zamilkła. Suzette wciąż brzdąkała cicho na swej *gittar*. Słysząc było stłumione odgłosy obozu; powarkiwanie psów, wołanie z murów, szczęk żelaza, gdy z jakiegoś powodu otwierano zamek działa.

– A mogę spytać, czemu to? – ciągnął nieubłaganie Raj.

Hwadeloupe wyprostował się mocno. – Panie. Pułkownik Osterville uważa, iż nie istnieje ryzyko ze strony garnizonu Ain el-Hilwa. Ja jednak wiem, iż ty tak nie myślisz i widzę, że twoi ludzie wciąż mają buty na nogach, a działa są przyczepione do przodków. Pułkownik Osterville może mieć rację. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, gdy on i ty się nie zgadzacie, to

stawiam na ciebie, z całym szacunkiem, panie.

Raj przetoczył się przez ramię i wyprostował. – Zawsze mi się przydadzą dobrzy ludzie – rzekł. – I nie sądzę, abyś żałował tej decyzji. Kapitan M’lewis zaprowadzi twoich ludzi do ich miejsca obozowania wewnątrz umocnień.

– Ach, panie. Jest jeszcze jedna sprawa. – Hwadeloupe miał oczy utkwione ponad ramieniem Raja. – Mamy, ach, ze sobą sporą ilość łupów. Właśnie znalezione, rozumiesz. Chcielibyśmy oddać je teraz na wspólny fundusz, zgodnie ze stałymi rozkazami.

Raj uniósł brew; była to jedna z min Gerrina i bardzo użyteczna w sytuacjach takich jak ta. – To dziwne, majorze. Przyszło do nas kilka mniejszych grup z obozu pułkownika Osterville’a i wszyscy oni też mieli do oddania jakieś niedawno zdobyte łupy. – Wyciągnął dłoń. – Bez urazy. M’lewis pomoże twoim ludziom się rozłożyć.

– Sam tego dopilnuję, jeśli nie robi ci to różnicy, *mi heneral* – powiedział Hwadeloupe, przyjmując wyciągniętą dłoń. – I dziękuję ci, panie.

Raj powrócił na swoją poduszkę przy Suzette. – To razem dwieście powiedział.

– Oddzielanie owiec od kóz – odparł Staenbridge. – Albo też tych zbyt głupich by przeżyć, od pozostałych.

Foley zmarszczył brwi. – Niektórzy z nich zostają tam, aby wypełniać rozkazy – zwrócił uwagę.

– Mój drogi – rzekł Gerrin – jak idzie to powiedzenie ze staronameryjskich kodeksów...

Foley był pewnego rodzaju uczonym. – *Nawet bogowie nie walczą z losem* – zacytował.

– Ano właśnie.

Raj skinął, a potem oparł się głową na kolanach Suzette. Wychyły oba księżycy i to bardzo jasne, na tyle jasne, by przerwać mroźny łuk gwiazd. Palce Suzette wędrowały po strunach.

Dwadzieścia pięć dni marszu do Payso

Do Ayaire czterdzieści pięć

A końcem może być śmierć pośród wrzosu

Albo życie na Krzesle gubernatora możesz wieść

Ale czy wojsko nas posłucha

Czy jakiemuś sauroidowi pozwolim się zjeść

Wolę być kochankiem Loli

Niżli Krzesło gubernatora gnieść!

Obcięty Nos Marhtinez leżał w ciemnościach i oddychał cicho. Znajdował się dziesięć metrów od murów Ain el-Hilwa, przed północną bramą. Ukrywał się za przewróconą dwu

kółka. Ciała dwóch psów, które ciągnęły ją, aż spotkały się z kulą armatnią, były już całkiem dojrzałe po dniu na gorącym słońcu, tak samo jak woźnica: czarny, napuchnięty, ze skórą popękaną i miejscami ociekającą, przypominającą strząśniętą wiatrem śliwkę. Miał on jednak w swojej sakiewce około siedmiu FedKredtyów w różnym srebrze.

Noc była dość ciemna – tylko jeden księżyc na niebie, i to blisko horyzontu. Światło gwiazd wystarczyło mu, żeby widzieć ludzi poruszających się na murach – a poruszali się bez pochodni. Usłyszał nawet, jak jakiś brudas zaklął, gdy wpadł na coś i otarł sobie brodę. Dał się słyszeć świst i głucho łupnięcie, odgłos, jakiego można się spodziewać po jednym z tych batów o dziewięciu haczykach wyrabianych przez oficerów tych brudasów. Okrzyk bólu, który nastąpił, był zduszony, a kolejne smagnięcie nie wywołało wcale żadnego dźwięku.

Cicho jak w domu rozpusty po wypłacie, pomyślał drwiąco. Dobrze, że w garnizonie Ain el-Hilwa nic było żadnych zwiadowców Beduinów. Ci z piaskowych garbów byli zbyt dobrzy jak na jego samopoczucie.

Obcięty Nos poruszył lekko głową. Gwiazda, którą się posługiwał, wciąż znajdowała się na szerokość palca od horyzontu. Do świtu brakowało nieco ponad godzinę, powiedzmy godzinę i dwadzieścia minut.

Ruszył do tyłu zza rozwalonego wozu, tak by ten znajdował się pomiędzy nim a murami. Nic na jego ciele nie dźwięczało ani nie odbijało światła, a ręce i twarz miał poczernione; matka Marhtineza mogła nie być całkiem pewna, kim był jego ojciec, ale nie wychowała głupców. Przerwa, ruch, przerwa, aż znalazł się za kikutem rozwalonej ściany, wciąż gorącej po pożarze tak, że czuł to na swojej skórze. Podniósł swój karabin – stanowił on tylko utrudnienie i pokusę przy ślepcie, w jakiej spędził noc – i popęzł ostrożnie w stronę swego psa.

Czekał tam kapitan M'lewis. Obcięty Nos wyszczerzył się w przymilnym uśmiechu. Nie na wiele zdawali mu się oficerowie, a tym bardziej awansowany szeregowy żołnierz, który mógł być jego krewniakiem. Odczuwał jednak żywy respekt przed zmysłnością Antina M'lewisa, jego drucianą garotą i nożem do obłupiania ze skóry, jaki nosił na krzyżach, pod połami kurtki munduru. Wszystkich Czterdziestu Złodziei – wszyscy zwiadowcy – miało otwarte zaproszenie do udania się za stajnie i załatwienia sprawy na noże, jeśli mieli poczucie, że nie mogą słuchać kogoś, kto nie urodził się messerem.

Do tej pory tylko jeden głupiec przyjął zaproszenie M'lewis; widniał w spisie jako dezertier. Nikt nie znalazł ciała. *Żadna strata*, pomyślał Obcięty Nos, Zwiadowcy uważali, że zwykła służba może sobie iść w diabły. Mniej nudne, a więcej łupów – w niektórych przypadkach *znacznie* więcej – i nie bardziej niebezpieczne. M'lewis nie był typem

szarżującym na barykady.

– Ruszajom się, ponie. Gotujom się, ani chybi – rzekł cichutkim szeptem, skierowanym ku ziemi, aby nie niósł się daleko.

M'lewis skinął głową. – Messer Raj się tego spodziewał, a zwiadowcy przy drugiej bromie mówią to samo – stwierdził. – Masz, zanieś mu to szybko.

* * *

– Panie.

Głos Kaltina Grudera. Raj wytoczył się spod swego koca. Suzette już sięgała po swój karabinek. Zapiął pas z bronią. Buty już miał na nogach. Jeśli ludzie musieli w nich spać, to mógł i on.

– Właśnie dotarła wiadomość od M'lewis.

Zwiadowca stał za dowódcą batalionu. – Ponie. Hałas w mieście brudasów. Byłem nie wincej jak dziesięć metrów od nich i wyraźnie żem słyszoł. Północna brama.

Ta najbliżej obozu pułkownika Osterville'a. Raj wziął wiadomość i przeczytał ją. – Buty, i na siodła, proszę. Cicho. Ustawimy się, jak było umówione.

– Linia marszu?

– Oddział zwiadowców wystawił posterunki wzdłuż niej. Dadzą sygnały przesłoniętymi latarniami.

Raj słyszał, jak hałas się rozprzestrzenia; niezbyt głośny, żadnych krzyków, lecz ciągnący się brzęk, gdy ludzie obudzeni z niespokojnego snu sprawdzali swój ekwipunek. Przybyli towarzysze i pozostali dowódcy batalionów. Sylwetki w ciemności, słabo podświetlone przez węgle ogniska; poczucie kontrolowanej obawy. Uśmiechnął się w ciemność. Nocny marsz. Trudne. Zapraszanie nieszczęścia, dla każdego oprócz bardzo doświadczonych żołnierzy. Podręczniki pełne były skrewionych nocnych ataków, ludzi strzelających do swoich towarzyszy, całych zagubionych, oddalających się batalionów; nieodwracalna klęska.

– Bartonie – powiedział. – Jeszcze raz, jak idzie ten toast?

– *Nagrody zbiera male ten, kto zbyt mocno lęka się swego losu i ryzyka nie podejmie, by zwyciężyć albo wszystko utracić.*

– Ano właśnie. Panowie, do swoich jednostek. *Waymanos!*

Ordynans podprowadził Horace'a. Raj włożył stopę w strzemień i wskoczył na siodło. Grupa dowódcza ustawiła się dokoła niego: chorążowie, trębacze i gońcy. Ludzie mrugali, a psy ziewały, rozwierając ogromne paszczęki. Mokry odgłos *klomp-klomp* zatraskujących się szcęk przetoczył się falą po ciemnych ulicach. Okute żelazem kota zagrzechotały na ziemi,

gdy przejeżdżały siedemdziesiątki piątki i jazgoczące działka. Raj pognął galopem główną drogą prowadzącą ze wschodu na zachód, *wia erente*, trzymając się z boku. Ludzie i psy posuwały się w tę

samą stronę, czoło z Piątego, a za nim 1 i 2 Kirasjerów. Wszystkie pozostałe bramy też były otwarte, a po bokach stali posterunkowi z latarniami. Tysiące ciężkich łap waliło w ziemię w niekończącym się grzmocie.

Głównie płaski teren. Pomiedzy nim a obozem Osterville'a nie było nic poza czterema kilometrami pól, a tu i ówdzie sad albo płytki rów. Cel znajdował się po tej samej stronie kanału Ghor, dzięki niech będą Duchowi, nawet *Osterville* nie był na tyle głupi, żeby ustawić przeszkodę, którą trzeba by pokonać między sobą a jedynymi dostępnymi posiłkami. *Pozostać w kolumnie*, zdecydował. W kolumnie mogli posuwać się drogą szybkim marszem. Gdyby ustawili się w szeregu, ich szybkość spadłaby o cztery piąte.

Noc była nadal cicha, niemal chłodna w ostatnich chwilach przedświt. W górze łuk gwiazd był mroźną drogą prowadzącą ku nieskończoności. Grupa dowodząca jechała w milczeniu, nie trzeba było rozmawiać, chyba że coś pójdzie nie tak. Palmy, którymi wysadzana była droga, stanowiły czarne sylwetki na tle nieba. Obejrzał się przez ramię ku zachodowi i dostrzegł tam leciutką linię brzoskwiniowego różu.

Pognał Horace' a w bok, na pola, przebył rów i stanął w strzemionach, aby popatrzeć. Nic poza kilkoma ogniskami wartowniczymi w obozie Osterville'a. Północna brama miasta skryta była za zachodnim murem. Za nimi łopotały flagi, jego osobisty proporzec oraz Gwiazda. Przez ramię widział teraz pozostałe bramy obozu. Odciągnięto na bok najeżone palami barykady i wypływał z nich stały strumień ludzi, psów i dział. Ani jednego korka, żadnego podniesionego głosu... *cholera, ale to są dobrzy żołnierze.*

Trzy kolumny, oddzielone od siebie o jakieś pół kilometra, każda licząca nieco ponad dwa tysiące ludzi. I...

– *Bramy .się rozwarły i zabrzmiał zgiełk natarcia* – wymruczał Barton.

– *Więcej staronameryjskiego?* – spytał Raj.

– *Z Kodeksów Upadku* – odparł młody mężczyzna.

Gdy rozpoczął się Upadek, książki umarły wraz z zapisującymi je maszynami – Kościół nazywał to Wielkim Uproszczeniem. W pierwszym pokoleniu, ci, którzy przeżyli, spisali tyle, ile mogli, większość z tego w staronameryjskim, oficjalnym języku Federacji. Przetrwały strzępy i fragmenty, nawet tysiąc lat później.

Bramy Ain el-Hilwa z pewnością rozwarły się z hukiem.

– I to piekielny zgiełk – powiedział Raj. Nawet z odległości trzech kilometrów był on donośniejszy niż hałas, jaki robili jego własni ludzie.

A potem na parapecie niskich murów miejskich zamrugało światło, a niebo przeciął głęboki świst. Rozległ się echem głuchy huk z ostrzejszym dźwiękiem wybuchających pocisków. Mrugające światełka, odległe od siebie o kilkadziesiąt metrów, zabłyśły od wschodu na zachód na północnej fasadzie miasta. Ciężkie działa wycelowane w obóz Osterville'a. Wydawało się, że pociski wybuchają przy kontakcie, a nie w powietrzu, mimo to był to nieprzyjemny sposób na pobudkę, a tych dział było sporo.

Przed nim rozpościerał się biały pył drogi. Świt właśnie dotykał zachodniego horyzontu za nim, lecz na północy rozbłysło nagle białe światło, godząc w stanowiska Osterville'a; łukowe reflektory z

murów miejskich. *Rany, wszystkie nowoczesne udogodnienia*, pomyślał Raj. Miało to za zadanie oświetlić atakującą pozycję Rządu Cywilnego i oślepić wszelkich obrońców spoglądających ku miastu.

Burobiaławo. Ludzie wbiegali po długim, łagodnym zboczku ku mniejszemu obozowi Rządu Cywilnego. Głównie piechotą, a między nimi załogi dział, ciągnące lekkie, pięciostrzałowe pompomy, jakie Koloniści preferowali przy bliskim wsparciu. Krzyczeli też przy tym; przenikliwe, zawodzące wrzaski. Raj odpiął lornetkę i podniósł ją do oczu, a ciało przystosowało się bezwiednie do kołysania kłusującego psa dzięki umiejętności płynącej z doświadczenia całego życia.

Tylko pół kilometra od murów. A oni się wcale nie okopali. Osterville postąpił *bardzo* beztroško.

Z obozu Osterville'a dał się słyszeć jazgot ognia karabinowego, który narastał gwałtownie. Raj wyobrażał sobie ten chaos, na wpół odzianych ludzi, zrywających się ze swoich koców, chwytających karabiny ustawione przy ognisku. Czerwone światełko zamrugało ze szczytu wzgórza – błyski z luf niczym świetliki w ciemnościach – a słońce wychylało się zza horyzontu.

Koloniści wkładali nieco wysiłku w ustawienie się w szeregu, rozciągając się nieregularną masą-bardziej przypominającą gęste ustawienie do potyczki niż prawdziwą linię ognia. Pompomy obróciły się i wypaliły, strzelając w górę zbocza. KRAK – KRAK – KRAK – KRAK- KRAK ładowanych z magazynka broni rozlegało się o świcie, a ich małe, jednokilowe pociski wybuchały w górze zbocza w płatkach ognia. Odpowiedź ogniowa narastała szybko, spanikowana, bez uporządkowanego huku salw. Dym zaczął spowijać szczyt wzgórza, pochodził od obronnego ognia i nadlatujących pocisków Kolonistów oraz...

– Już zwiewają – rzucił Raj. W pełnym długich cieni świetle brzasku dostrzegął strumyczek ludzi wierzchem, zmierzający na północ z obozowiska Osterville'a. – Ludwigu, powiedziałaśbyś, że ilu Kolonistów?

– Przynajmniej siedem albo osiem tysięcy, *mi heneral.*

Raj skinął głową w zamyśleniu. Cały garnizon Ain el-Hilwa albo prawie tyle. Zaatakowanie pozycji Osterville'a nie było właściwie takim złym pomysłem – na ich miejscu sam by tego spróbował – ale wysyłanie wszystkich, żeby wypadali tak jak szaleni przez bramy? *Mają nie więcej rozsądku niż byk carnosauroida w okresie godowym*, stwierdził.

– Kapitanie Foley, sygnał.

Barton zeskoczył z siodła i wsadził w ziemię wyrzutnię małej rakiety.

Szzzzzz. Rakiетка śmignęła w blednące niebo i wybuchła z pozbawionym dramatyzmu *pop*. Wystrzeliły z niej czerwono-niebieskie iskry niczym doskonale okrągły dmuchawiec. Za Rajem w ostrym, antyfonicznym chórze zagrały trąbki. Długa kolumna rozpadła się, gdy jednostki pognały na lewo i prawo, jak ogromny, otwierający się wachlarz. Było teraz jaśniej, na tyle jasno, że dało się odróżnić ciemną nitką od białej, co stanowiło o tradycyjnym podziale na noc i dzień. Na tyle jasno, iż ludzie mogli przynajmniej posuwać się przez pola bez zbytniego kłopotu.

Pozostałe kolumny poszły w jej ślady. Minęło dziesięć minut i ku północnemu wschodowi posuwał się ciągły szereg głęboki na dwóch ludzi, z jego sztandarem w środku. Nie było to tak porządne jak na paradzie – szereg skręcał i zawijał się nieco dokoła przeszkód, a pomiędzy

batalionami była mniej więcej dziesięciometrowa luka. Przejeżdżały przez nią działa, zmierzając na wschód i nieco na południe, ustawiając się w grupach baterii na uprzednio wybranych pagórkach. Koloniści byli całkowicie zajęci, ich przednie szeregi znajdowały się w odległości dwustu metrów od pozycji Osterville'a i zbliżały się szybko. Znajdowali się na tyle blisko, aby posłużyć się karabinami i ich przednie szeregi wybuchły głośnym, jazgotliwym trzaskiem. I nie tylko ich *przednie* szeregi – jak na jego oko, to tracili ludzi od własnego ognia.

– Zagrać *przygotować się do spieszenia* – rzekł Raj.

Trąbki znowu zagrały, co zostało podjęte i przekazane dalej w szeregu. Ludzie wyciągali karabiny z olster przed prawym kolaniem i opierali kolby na udach.

– Czy oni są, kurna, *ślepi*? – spytał zdumiony Staenbridge, spoglądając na Kolonistów.

– Nie, tylko bardzo zaabsorbowani i strasznie źle dowodzeni – powiedział Raj.

Prawdopodobnie pojedynczy ludzie w siłach Kolonii dostrzegali, co się dzieje, ale była to zbieranina i ktokolwiek nią dowodził, nie załatwił sygnalistów ani gońców. Taka była kara za zbieranie wszystkich swoich najlepszych żołnierzy w jeden korpus ekspedycyjny. Niewiele pozostawało do obrony przed kontruderzeniem.

Sześćset metrów, pomyślał Raj.

>>Pięćset osiemdziesiąt osiem i zmniejsza się w stosunku do najbliższego nieprzyjaciela. Pięćset osiemdziesiąt. Pięćset siedemdziesiąt sześć.<< Centrum dostarczało skali liczbowej dla całej formacji Kolonistów. Ich prawe skrzydło znajdowało się tuż przed najdalszym zasięgiem ognia karabinowego.

Coraz więcej ludzi Osterville'a zwiewało, ale brudasy tego nie widziały. Huk walki ogniowej z bliskiego zasięgu przebiegał w kształcie litery „C” wszędzie wokół przodu wzgórza, gdy większe siły Kolonii starły się z siłami Rządu Cywilnego w górze zbocza. Większość pocisków z pompomów przelatowała ponad wzgórzem i była niebezpieczna tylko dla strumienia dezertersów zmierzającego na północ – a oni zasługiwali na to, co ich spotkało. Ogień karabinowy Kolonistów był nierówny. Ich ludzie wystrzelili swoje siedmiopociskowe magazynki, a potem przerywali, aby przeładować. Trzeba to było zrobić, wpychając kulę po kuli przez otwór do ładowania z boku broni, co nieco wyrównywało szanse, lecz ogień Osterville'a wyraźnie malał, gdy Koloniści pokonywali jego ludzi samą tylko przewagą liczebną.

Pięćset metrów. – Zagrać *natarcie spieszone*.

Trębacze przekazali tę wiadomość dalej w szeregu: cztery nuty przygotowania, dwukrotnie powtórzone, a potem jedna, wytrzymała nuta podjęta przez sygnalistów w jednej jednostce za drugą. Sześć tysięcy psów przycupnęło. Niezupełnie jednocześnie, ale prawie równo w batalionach. Ludzie bez chwili przerwy schodzili ze strzemion, zaś psy podnosiły siei szły do tyłu, nadal w szeregach równie regularnych jak szeregi ludzi. Dobry batalion kawalerii ćwiczył sześć godzin dziennie, sześć dni na tydzień dla tej właśnie chwili, aż sygnaliści grali bezpośrednio na systemach nerwowych ludzi i wierzchowców. Raj zwrócił lornetkę ku dalekiemu, prawemu krańcowi szeregu. Ludzie Hwadeloupe mieli poważne niedobory osobowe, ale całkiem dobrze się spisywali.

Dał się słyszeć długotrwały szczęk, gdy ludzie przeładowywali. Raj ruszał głową w tę i z powrotem. Żołnierze nacierali miarowym krokiem, a jazgotujące działa toczyły się naprzód wraz z

żołnierzami, dwa na batalion. Były na tyle lekkie, że załogi mogły je tak popychać; mocno przypominały działka polowe, lecz tak naprawdę każde z nich stanowiło trzydzieści pięć luf karabinowych o podwójnej długości osadzonych w tubie. Raj przyglądał się, jak jedna z załóg opuściła z łupnięciem ogon na ziemię i załadowała. Jeden człowiek przesunął dźwignię ku dołowi, a drugi wsadził żelazną tarczę z trzydziestoma pięcioma karabinowymi ładunkami i dźwignia powędrowała z łupnięciem z powrotem w górę. Czekali na rozkazy – byli jednak artylerzystami, bardzo dobrymi w ocenianiu zasięgu. Wystawił dłoń, a trębacze podjęli ten znak. Wszędzie w szeregu ludzie zwolnili. I...

– *Halto!*

Oficerowie wysunęli się do przodu, wyciągając ramię i dobywając szabli, aby wyznaczyć linię strzału. Znowu zabrzmiała trąbka i przedni szereg padł na ziemię, a ludzie za nim przypadli na jedno kolano, opierając na nim prawy łokieć. Przez chwilę dowódcy plutonów i starsi podoficerowie przechodzili między tymi dwoma szeregami, sprawdzając, czy celowniki zostały ustawione zgodnie z zasięgiem. Lufy drżały, gdy każdy żołnierz wybierał cel. Psy przysiadły. Tylko oficerowie w siodle, na poziomie kompanii i powyżej, wyznaczali linię. Proporce kompanii i sztandary batalionów oczywiście także. Ludzie ustawiali się w szyku wedle flag.

Raj zaczerpnął głęboki oddech. Był to szczególny rodzaj uniesienia, jak trzymanie doskonale wyważonego miecza; przyjemność płynąca z wykonania trudnego zadania dokładnie tak, jak powinno być wykonane.

Część nieprzyjaciół odwracała się teraz, strzelając gorączkowo. O wiele za późno. Trąbki znów przemówiły, przygotowując ludzi do rozkazu – Fwego!

BAMMMbambambabam... Sześć tysięcy karabinów wystrzeliło w przeciągu kilku sekund od siebie. Batalionowi trębacze odegrali nieharmonijną mieszaninę plutonami salwą pal. BAM. BAM. BAM. Fala przetoczyła się przez formację. Przedni szereg leżący, drugi klęczący. Przedni szereg strzelał i przeładowywał, drugi szereg strzelał i przeładowywał; miarowy grzmot wystrzałów. Wiatr o świcie wiał ze wschodu, zdmuchując nowy wał mgły z prochowego dymu do tyłu, rozwiewając go na strzępy. W świeżym, porannym powietrzu zapach był powalający: ostry, nieprzyjemny odór spalonej siarki i piekąca woń saletry. Zapach śmierci.

Załoga jazgoczącego działka zakręciła korbą z boku komory zamkowej. *Brraaaap*, Długotrwały, jazgoczący dźwięk, gdy wylatywało trzydzieści pięć pocisków. *Kczung*, gdy dźwignia powędrowała do tyłu, a tarcza została podniesiona za pętlę na górze, grzechot, gdy wsadzano na miejsce następną i przesuwno dźwignię. *Brraaaap. Brraaaap*. Trzysta kul na minutę. Starodawny projekt, starodawny jeszcze przed Upadkiem, z czasów pierwszego wyniesienia się człowieka; na tyle prymitywny, że ludzie w obecnych czasach potrafili to zbudować. Kapłani mówili, że człowiek przed Upadkiem był doskonały. Raj zawsze był człowiekiem wierzącym. Dziwnie niepokojące było to, iż częścią tej doskonałości było ulepszanie maszyn do zabijania.

Odrzucił tę myśl, dotykając amuletu pobłogosławionego przez świętą Wu. Trzeba było zająć się dzisiejszą pracą. Raj zawrócił i przejechał galopem wzdłuż szeregu. Formacja Rządu Cywilnego znajdowała się pod kątem prostym w stosunku do formacji Kolonii, jak górna

kreska w literze „T”. Cały ciężar ogniowy walił w kraniec arabskiego szeregu. A większość kawalerzy stów Rządu Cywilnego potrafiła *trafić* w cel wielkości człowieka z trzystu metrów, a

wielu z nich nawet z dwukrotnie takiej odległości. A nawet jeśli chybili, to ich jedenastomilimetrowe kule przelecały wzdłuż całego szeregu nieprzyjaciela, mając dużą szansę na trafienie w *coś*. Kolonistów ubywało. Ludzie byli powaleni na ziemię przez ciężkie kule o wydrążonych czubkach. Padali z ogromnymi ranami wylotowymi, przez które wykrwawiali się w przeciągu sekund. Niektóre pociski odrywały kończyny.

Zatrzymał się za jedną z jednostek dawnej Brygady. Podoficer szedł wzdłuż szeregu, uderzając ludzi po ramionach płazem szabli, gdy ci instynktownie powstawali, żeby strzelać na stojąco. *Problem*, pomyślał Raj. Trenowali przedtem na muszkietach ładowanych przez lufę. Trzeba było stać, by je przeładować, rozrywając papierowe ładunki i wsypując proch w lufę. Byli doskonałymi strzelcami, nawet jak na standardy Descottczyków, ale nie przywykli do chowania się – a nawet przy tym zasięgu niektóre karabinowe kule Kolonistów trafiały stojących ludzi. Kilka przeleciało koło niego.

Podjechał Ludwig Bellamy. – To jest rzeź, *heneralissimo* – stwierdził entuzjastycznie. – Teodore – major Weif – prosi o pozwolenie, by jego batalion wskoczył na siodło i poszarżował...

– Odmawiam – rzucił ostro Raj.

Weif był bardzo trudnym przeciwnikiem w Zachodnich Terytoriach, ale sercem był wciąż Brygadowcem i pozostało mu zamiłowanie do zimnej stali. Styl wojskowy Rządu Cywilnego oszczędzał ludzi, jeśli to było możliwe, nie miał bowiem zbyt wielu wyszkolonych żołnierzy na stracenie.

– Nie mam zamiaru marnować ludzi na tych tam. – Uniósł znowu lornetkę. – A poza tym, mniej więcej teraz...

Wszędzie na czele arabskiej armii zakotłowało się od zamieszania. Krąg oficerów w siodle wokół zielonego sztandaru galopował ku zagrożonej flance, mając więcej odwagi niż rozsądku. Na czele znajdował się korpulentny mężczyzna z siwą brodą, wymachujący ceremonialnym batem i krzyczący wściekle, pewnie próbując odciągnąć jednostki z linii ognia i zmusić je do zwrócenia się przodem w lewo. Nie było na to dużej szansy, jako że ludzie Osterville'a wciąż strzelali ze *swojego* przodu, a poza tym większość z nich pewnie nie zdawała sobie sprawy, co się działo, a obrócenie się ku nim twarzami sprawiłoby, że słońce świeciłoby im prosto w oczy.

Chorąży wroga padł. W parę sekund później padło także z tuzin oficerów wokół niego, a potem starszy mężczyzna z batem poleciał do tyłu przez łęk siodła. Jego pies obrócił się i

obwąchał go, a potem opadł na tylnie łapy i zawył.

– Będą zwiewać.

Zaczęło się od ludzi widzących martwego dowódcę. Grupa rozleciała się jak szklany dzban upuszczony na kamienną podłogę i pomknęła do tyłu, w stronę miasta. Kule wzbijały kurz dokoła ich nóg jak pierwsze krople ulewy, pokrywając ziemię ciałami. To odsłoniło środkową część kolonialnego hufca i po raz pierwszy Koloniści zobaczyli, co takiego pochłonęło lewe skrzydło ich armii. A miarowe, niespieszne salwy biły od linii Rządu Cywilnego, znaczonej przez rosnącą kolumnę dymu, czyniącą ich pozycję widoczną nawet z odległości kilometra. Arabowie rozproszyli się jak sznur rozwijający się z lewego końca; ludzie odrzucali broń i gnali z wrzaskiem ku bramom miasta. Stosy ciał piętrzyły się w rowach, które człowiek mógł z łatwością przeskoczyć, gdy pierwsi z nich się przewracali, a ludzie za nimi ich tratowali.

– *Duchu*, panie, jeśli teraz zaatakujemy...

– Majorze Bellamy, atak dalby im teraz jedynie szansę do zranienia nas. – Raj rozejrzał się dookoła. – Poślaniec do majora Grudera: nacierać szeregiem z lewej, batalionami, zaczynając obrót od... – zastanowił się – od 3/591. – Trzeba było zacząć od ruszenia najpierw najbardziej zewnętrznego szeregu, inaczej efekt odbicia sprawi, iż najbardziej wysunięci ludzie będą biec.

– Czy wpuścimy ich z powrotem do miasta, *mi heneral*? – spytał strapiony Ludwig Bellamy.

Raj uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Bynajmniej, majorze. Bynajmniej.

* * *

– Zasięg trzy tysiące. Do góry o trzy. I jeszcze kawałek. Zapalnik kontaktowy. Lądować.

Grammeck Dinnalsyn podniósł wzrok znad dwupolowego dalmierza. Na niewielkim wzniesieniu ustawiono trzy baterie – dwanaście dział. Kolejne trzy znajdowały się kilkaset metrów dalej, rozstawiając się pośród najbardziej wysuniętych, rozrzuconych ciał Kolonistów. Spieszeni ludzie wymijali ich truchtem falami, gdy lewa flanka sil Rządu Cywilnego skręciła, aby przyszpilić wycofujących się Kolonistów do murów Ain el-Hilwa, ale dzisiaj nie była to sprawa artylerii; nie mieli za zadanie wspierać chłopców od piesków. Żołnierze nacierali i strzelali niezależnym ogniem z ciągłym trzaskiem rozlegającym się wzdłuż całego szeregu. Słońce lśniło na jasnym mosiądzu pustych łusek.

Szczęknęły zamki, gdy wpychano na miejsce duże siedemdziesięciopięciomilimetrowe pociski wzięte z przodków. Załoga odsuwała się na bok, a główny kanonier przyczepiał sznur do odpalania i pociągał za niego.

– Działo do odmierzenia zasięgu, pal – rzucił Dinnalsyn.

Tak naprawdę było to zadanie dowódcy baterii, ale sprawiało mu to przyjemność, a ostatnimi czasy rzadko miał po temu okazję. Kanonier szarpnął ostro.

POUMP. Długi strumień dymu wystrzelił z działa numer jeden w baterii. Działo poleciało do tyłu wiedzione odrzutem, a ogon łoża wyrzeźbił koryto w glinie. Załoga skoczyła do przodu, jak tylko się zatrzymało, chwyciła za ogon i duże koła i wepchnęła je z powrotem na pierwotną pozycję.

Dinnalsyn uniósł lornetkę. Wysoki pióropusz czarnego dymu wytrysnął z drogi przed północno-wschodnią bramą miasta, jak wyrosła nagle topola pochylająca się na wietrze i rozmywająca się, gdy rozwiął się pył.

– Świetnie – stwierdził. – Baterie, zasięg.

Grube lufy dział podniosły się, gdy artylerzyści kręcili podnoszącymi śrubami pod zamkami.

Świetny strzał przy pierwszej próbie. Świetna też była służba u dowódcy, który *rozumiał*, co artyleria mogła zrobić, a czego nie.

Pozostałe dwie baterie były wyznaczone do północno-zachodniej bramy, nieco dalej – prawie że maksymalny skuteczny zasięg. Ich działo do wyznaczania zasięgu wypaliło kilka sekund po jego dziale, a fontanna ziemi wyrzucona w niebo znajdowała się o dziesięć metrów za daleko. Mimo iż był to próbny strzał, wyrzucił kawałki ludzi i sprzętu w niebo. Obydwie drogi prowadzące do Ain el-Hilwa czarne były od uciekających ludzi, a było ich coraz więcej z każdą sekundą. Znowu

spróbowali i kolejny pocisk upadł zgrabnie przed otwartą bramą.

– Wybuchający w powietrzu, trzysekundowy zapalnik, szrapnelem ładuj.

Pociski z niebieską obwódką z przodków, trzykrotnie przekazywane do przodu z ręki do ręki; załogi kanonierskie miały dodatkowych członków w celu zastąpienia ofiar w trakcie działań. Tym razem jednak nie wyglądało na to, aby była duża odpowiedź ogniowa. Główni kanonierzy wyciągali zatyczki w kształcie pierścieni z czubków pocisków, uzbrajając zapalniki. Aby nastawić czas, wsadzali w wąską dziurę dwuzębny instrument, który nosili na łańcuszkach wokół nadgarstków. Mosiężny pierścień na zapalniku obrócił się, odmierzając czas w sekundach. Wewnątrz, nawiercone drewno brzozone obróciło się w perforowanej mosiężnej tubie, odsłaniając dokładnie obliczoną długość lontu.

– Działo numer jeden gotowe!

– Działo numer dwa gotowe!

– Działo numer trzy gotowe!

– Działo numer cztery gotowe! – Bateria A gotowa!

– Baterie strzelać ogniem skutecznym. Na rozkaz.

Podniósł wolną rękę, w drugiej trzymając lornetkę. *Postuż się własnym osądem*, powiedział generał. Ludzie przemykali, ale był to ich pierwszy odprysk. Czekał, z dłonią w rękawicy uniesioną w powietrzu. Bramy były wąskie, tak jak i łukowate mosty, którymi przebiegały drogi przez miejską fosę. *Chciano*, aby dla obrony bramy miejskie były wąskim gardłem, a Ain el-Hilwa miało świetne fortyfikacje. Rozgromieni żołnierze arabscy nie zamierzali czekać, by wprowadzano ich przez bramę z maksymalną efektywnością. Każdy człowiek działający na własną rękę oznaczał korek.

I rzeczywiście, na drogach czarno było od mężczyzn, a wielkie wachlarze ludzi rozkładały się wzdłuż skraju fosy. Jego ręka powędrowała w dół.

– *Teraz!*

POUMP. Wypaliło pierwsze działo. Dokładnie dwadzieścia sekund później nastąpił drugi strzał. POUMP. POUMP. POUMP. Gdy wystrzeliło ostatnie działo, pierwsze zostało wepchnięte z powrotem w baterię i było znowu gotowe do strzału. Miarowo, dwa pociski na minutę, aby oszczędzać lufy i łamać armie. Nie stanowiło to problemu, gdy ludzie byli wypoczęci. Pchanie ton metalu było ciężką pracą, ale oni zostali dokładnie wyszkoleni, a dzień był jeszcze młody.

Zabrzmiały cztery trzaski, gdy wybuchły pociski. Postrzępione kule czarnego dymu w powietrzu nad tłumem przy bramie. W dole panika, gdy ładunki w pociskach – muszkietowe kule – kosiły, lecąc do przodu i wytyczając owalne pole zniszczenia.

POUMP. POUMP. POUMP. POUMP. Tym razem jeden z pocisków grzmotnął w ziemię przed wybuchem; zepsuty zapalnik. Tym razem nie stanowiło to większego problemu; krater tylko zwiększył tłok. Przesunął lornetkę ku drugiej bramie. Tam pociski rozbryznęły się szerzej, niektóre nawet tak daleko od bramy, że wzbijały kurz, ale tego się można było spodziewać przy maksymalnym zasięgu.

General podjechał galopem wraz ze swoimi ludźmi i gońcami. Zatrzymał się na chwilę, opierając się o kulę siodła obydwoma rękami i przyglądając się artylerii. *Dziwny człowiek*, pomyślał Dinnalsyn. Za dużo widział, za dużo wiedział. Wiedział tyle samo o działach co sam Dinnalsyn i był

lepszy w ocenianiu odległości i trajektorii; umiejętności artylerzysty, a nie był to talent, jakiego można się było spodziewać po paniczyku ze wzgórz Descott. I nigdy niczego nie *zapominał*, nigdy nie przegapił żadnego szczegółu – jakby anioły szeptały mu do ucha. I te dziwne, krótkie transy. Grammeck urodził się w mieście w rodzinie kupieckiej i odczuwał dumę z własnej nowoczesności, ale mogło coś być w tych opowieściach o tym, że

messer Raj był dotknięty przez Ducha.

– Lepiej bym to wykonał, mając więcej luf, *mi heneral* – powiedział.

Mieli ze sobą pięćdziesiąt pięć dział, a wszystkie były skupione razem, teraz, gdy grupy wypadowe połączyły siły.

Raj potrząsnął głową, a jego twarz o wyrazie twardym niczym kamień była wciąż zwrócona ku bramom, gdzie wrzeszczeli i umierali ludzie, a ciała drgały pod gradem pocisków.

– Nie na to – powiedział. – Nie mamy amunicji do zmarnowania.

To prawda. Byli ograniczeni do tego, co ze sobą przywieźli. Zanotował sobie w myślach, żeby przemieścić zapasy, aby wyrównać rezerwy pomiędzy bateriami, zanim rozbiją obóz. Spojrzenie na zegarek powiedziało mu, że wciąż było wcześniej, zaledwie 8.00.

– A mówiąc o nich – ciągnął generał – daj im kolejne trzy pociski na działą i przerwijcie ogień. Kolejne pięć minut i działą na murach zauważą waszą obecność tutaj.

Jakby dla podkreślenia tej myśli, ciężki pocisk zarył w ziemię sto metrów przed nimi i wybuchł, wyrzucając grudki ziemi aż do drugiego pagórka.

– A potem zaprzodkować działą i wynosić się z zasięgu – powiedział Raj.

– *Si, mi heneral.*

* * *

>>Siedemdziesiąt sześć pocisków na działą<< powiedziało Centrum.

Ach, pomyślał Raj. Mniej więcej jego zrobiona od ręki ocena. Dziwne, iż tak wiele rad Centrum stanowiło udoskonalenie tego, co i tak by zrobił.

>>Oczywiście. Inaczej nie wybrałbym ciebie.<<

To nappełniało otuchą. Były takie chwile, w których wątpił, czy był tym samym człowiekiem, który zabłąkał się do centrum pod Pałacem Gubernatora.

>>Ten młodzieniec i tak do tej pory zniknąłby raz na zawsze.<<

Raj wzruszył ramionami i spojrzał w dół na pole bitwy z mieszaniną obrzydzenia i uczuciem, jakie miał rolnik oglądający się na przestwór zboża zżętego i ustawionego w stogi na czas. Koloniści wreszcie zdołali zamknąć bramy i armaty na murach ożyły. Oznaczało to jednak, iż większość ich garnizonu została uwięziona przed murami i była wystawiona na ostrzał ogniowy.

– *Zagrać przerwać ogień.* I przygotować flagę rozejmu.

– Jakie warunki? – spytał Staenbridge.

– Zwykle. Słowo honoru, że nie będą już dalej uczestniczyć w tej kampanii i jeden złoty FedKredyt na głowę.

Jedną z przewag w walce z brudasami było to, iż oni i *Gubernio Civil* od tak dawna prowadzili walkę, że rozwinęli skomplikowany kod wojskowej etykiety i zwykle stosowali się do niej z rozsądnych powodów wzajemnej, długotrwałej korzyści. Jednym z warunków, jakimi się często posługiwano, było wypuszczanie jeńców na słowo honoru, gdy alternatywą było ich zabicie z braku czasu i miejsca. Wyłączało ich to z działań na resztę danej wojny i było prawie tak samo korzystne

jak sprzedawanie ich jako niewolników, co było drugim wyjściem. W takiej sytuacji można się było nimi posłużyć na jakiejś *innej* granicy, co zwalniało żołnierzy, którymi można się było posłużyć przeciwko tobie. A poza tym obie strony były zainteresowane trzymaniem barbarzyńców z dala.

>>Służy to także sprawie cywilizacji.<<

Podjechał Kaltin Gruder. Raj skinął głową. – Ładny zwrot, Kaltinie.

– Zwykła robota, *mi heneral*. Czy przyjmujemy ich słowo honoru?

Raj skinął głową. Kaltin zacisnął wargi, lecz opornie kiwnął głową.

– Ali może go nie dotrzymać – zwrócił uwagę. Po chwili niechętnie dodał – Oczywiście, nie miałyby to *znaczenia* z tymi bezrękami krowami.

– Nie ma złych żołnierzy, Kaltinie, tylko źli oficerowie. Jednak morale tych tutaj zostało tak porządnie zdruzgotane, że na długo nie przydadzą się nikomu. Dopilnuj tego.

Podjechała kolejna grupa. Znajdowało się w niej kilku zabandażowanych i krwawiących mężczyzn. Najstarszy wydawał się być kapitanem. Raj go nie rozpoznał, co prawdopodobnie oznaczało, iż pochodził on z batalionu Osterville’a.

>>Kapitän Fillipo Swarez, 51 z Mazatlan.<<

Dziękuję, pomyślał Raj. A na głos – Kapitanie Swarezie.

Mężczyzna zamrugał, patrząc na Raja wyczerpanymi oczami o czerwonych obwódkach, przyciskając obandażowane ramię do piersi, aby ograniczyć drganie wywołane ruchami psa.

– Generale Whitehallu. Melduję się jako starszy oficer w... jako starszy oficer batalionów drugich sił polowych.

Raj uniósł brew. – Major Gonsalvez?

– Nie żyje, panie.

– Pułkownik Osterville?

>>Obserwuj.<<

Tym razem krótka wizja. Zabłocona, spocona twarz Osterville’a, strzelającego z tyłu batem i pochylonego nisko nad szyją psa. Za nim podążały luzaki i kilka sług oraz juczne psy z małymi, ciężkimi skrzyniami przywiązаныmi do siodeł.

Swarez splunął. – To dla tego *hijo da puta!* Nikt go nie widział po tym, jak zaczął się ostrzalać, brakuje też jego psów i osobistej służby.

Odezwał się jeden z poruczników za nim. – *Heneralissimo*, pozwól mi wysłać za nim patrol – pozwól mi *pojechać* za nim z patrolem. Gwarantuję, że już nigdy nie sprawi ci kłopotu.

Wśród tych, którzy przeżyli, podniosły się pomruki aprobaty. Ich wierzchowce obnażyły zęby, wyczuwając nastrój swych panów. *Nie ma większego fanatyka jak nowo nawrócony*, pomyślał Raj.

Potrząsnął głową. – Odpowiada mi to, gdzie jest messer Osterville – pominął jego wojskową rangę. Spojrzał z powrotem na kapitana.

– Kapitanie Swarezie, ilu przeżyło?

– Razem sześć setek, panie. Dwustu rannych.

Połowa pierwotnych sił Osterville'a, ale w to wliczone było kilka setek, które zbiegło do Raja w nocy, a sam tylko Duch wiedział, ilu zwało tego ranka.

– Ilu z tego w twoim 51 z Mazatlan?

– Dwustu dwudziestu sześciu. To znaczy zdatnych do służby, panie.

Co oznaczało, że dość dobrze się razem trzymali. – W porządku. Powiedz reszcie, że ci, którzy chcą, mogą się przenieść do twojej jednostki albo też do tych moich pozostałych batalionów, jakie ich wezmą – niektórym z nich mocno brakuje ludzi. Niech wszyscy się przygotują do szybkiego wymarszu.

Swarez zsalutował z ulgą malującą się na twarzy. Batalion żołnierza był jego domem i rodziną, a jego batalionowi właśnie zostało oszczędzone rozwiązanie. Pozostali, którzy przeżyli, mogli uważać się za szczęśliwców, czekały bowiem na nich otwarte miejsca.

Raj przyglądał się, jak grupa z białą flagą podjeżdża do bramy Ain el-Hilwa. Wątpił, aby negocjacje trwały długo. Obrońcy będą histerycznie wdzięczni, że unikną szturmów i plądrowania, a brakowało im teraz ludzi, aby je powstrzymać. Powiedzmy, że zajęcie się rannymi, przejęcie i zniszczenie broni nieprzyjaciela i zebranie okupu potrwa do południa...

Trzeba zażądać szybkich wozów na dobrych resorach jako część okupu, stwierdził. Stąd aż do przyczółku mostowego naprzeciwko Sandoralu były dobre drogi. *A potem...*

– W południe spotkanie grupy dowodzącej – powiedział. – A teraz zakończmy to, panowie.

Spojrzał znowu na pole bitwy, zanim zawrócił. Dobra robota. Nieprzyjemnie ostateczna dla kilku tysięcy Kolonistów.

Dalej nie będzie tak łatwo. Jak do tej pory było to widowisko poboczne. Uwaga Aliego skupiona była na Sandoralu.

Rozdział dziewiąty

– *Fwego!*

Kapral Minatelli otworzył usta i zakrył uszy rękoma. Szczelina do strzelania znajdowała się na tyle blisko, że działo forteczne zaszkodziłoby jego słuchowi, gdyby tego nie zrobił.

BOOOOMMM.

– Przeładować, kartaczami!

Wielkie działo forteczne w kształcie butelki wody sodowej poleciało do tyłu na swoim osadzonym na czopie podwoziu, z lufą spowitą dymem. Drewniane klocki cierne zapiszczały w zaciskających śrubach, spowalniając wielotonowy ciężar z lanego żelaza i stali. Działo zatrzymało się na końcu niskiej rampy podwozia i załoga milicji rzuciła się do dzieła. Doskoczyli dwaj mężczyźni ze zwitkami mokrych gąbek na długim kiju i wsadzili je w lufę. Dało się słyszeć długie szszszszsz, gdy woda zetknęła się z gorącym metalem i rozpląnęła w parze. Wyciągnęli kij i obrócili go drewnianym ubijakiem do przodu. Dwóch innych ludzi wkładało pocisk – wielki, wyglądający na okurzony, worek gruboziarnistego prochu, przybity gwoździem do drewnianego

sabotu, z blaszonym pojemnikiem pełnym ołowianych kulek na drugim końcu.

Minatelli wzdrygnął się, odwracając. Kartacz z lekkiego działka był wystarczająco paskudny. Kartacz ze stu pięćdziesięciomilimetrowej broni oblężniczej...

Działo zagrzmiało jak grom, gdy kanonierzy popuścili bloczki, i zjechało w dół rampy, by unieść żelazną pokrywę i wysunąć lufę przez otwór w murze. Koła z brązu zapiszczały, gdy na znaki dawane ręką kanoniera czterech mężczyzn rzuciło się ku drewnianym dźwigniom okutym żelazem. Podwozie działa zamocowane było na czopie umieszczonym w środku, a przód i tył jeździł na kołach spoczywających na żelaznym pierścieniu osadzonym w betonowej podłodze.

– Podnieście je o dwa – spróbują znowu – rzekł główny kanonier. Towarzyszyły temu znaki rąk, dla tych, którzy mieli wciśnięte w uszy kłębki bawełny. Jego załoga obróciła dwukrotnie wielką śrubę podnoszącą przy zamku i masywna, ziarnista powierzchnia lufy działa uniosła się zgrabnie.

Trzymaj się własnej profesji, powiedział do siebie Minatelli, podchodząc do parapetu strzelniczego. Zwykle nie zawracał sobie głowy milicją, ale ci chłopcy od artylerii znali się na rzeczy. Wyjrzał przez szczelinę. Światło słoneczne po cieniu platformy na murze mającej zadaszenie ochronne z drewna i żelaza sprawiło, że zmrużył oczy. Odczuwał na policzku chłód kamiennego muru.

Na zewnątrz, sześćset metrów od murów, w okopie brudasów wciąż roilo się od ludzi. Mężczyźni odciągali martwych i rannych oraz rozwalone kosze szańcowe wypełnione ziemią. Migwały mu głowy i ramiona, gdy machano motykami i łopatami. Okop był wielki; zygzak w kształcie litery „Z”, biegnący do tyłu, aż do głównego bastionu brudasów odległego o tysiąc dwieście metrów; był to teraz ziemny fort ciągnący się wszędzie dookoła miasta. Błyskały z niego armaty, a on czuł, jak drżą rytmicznie masywne, olicowane kamieniem mury, gdy ciężkie, lite pociski waliły w wybrane miejsca. Dokoła buchał pył wywołujący u niego kichnięcia. Otarł nos rękawem i splunął.

Setki okopów szturmowych ryto ku murom, lecz ten konkretnie stanowił szczególne zmartwienie dla jego oddziału.

Działa nieprzyjaciela huknęły znowu. Jedno uderzenie trafiło tuż pod nim, a jego karabin zadrżał na kamieniu, o który się opierał – ostra wibracja przyprawiająca o zgrzytanie zębów. Trudno im będzie dokonać wyłomu. Łącznie z ziemnymi umocnieniami mury Sandoralu miały dwadzieścia metrów grubości i były głęboko zapadnięte za fosą, tak, że widać było tylko ich skraj... ale za jakiś czas to się stanie.

Pociski świsnęły w górze i wybuchły pośród pustych domów. Wyglądało na to, że szmaciane łby nie martwiły się o zapasy amunicji. Pomagał w obronie murów Starej Rezydencji przed setką tysięcy Brygadowców, dwukrotnie bardziej licznych niż brudasy, ale to było gorsze. Wtedy mieli messera Raja, a barbarzyńcy z Rządu Wojskowego kręcili się z palcami w dupie, podczas gdy siły Rządu Cywilnego ich wyniszczały. Szmaciane łby nie były takie głupie.

Zeskoczył w dół i przeszedł się po fragmencie muru bronionego przez jego oddział oraz pluton garnizonowej piechoty, którą wspierali. Jeden z żołnierzy leżał rozłożony w przejściu, brakowało mu większości głowy, a mózg rozbryzwał się wszędzie dokoła jego niszy do strzelania.

– Niech to szlag! – wrzasnął Minatelli. – Ty pierdolcu, czyś mu nie *mówił*?

Kapral oddziału zabitego człowieka podniósł wzrok. – Nie chciał słychoć.

Brudasy miały wielkie, ustawione na stojakach karabiny snajperskie operujące z przednich szeregów – jednostrzałową broń tak samo ciężką, jak służąca do zabijania

sauroidów broń, którą posługiwali się Skinnerzy. Mieli też teleskopowe celowniki.

– Cóż, usuńta ciało z drogi – rzucił gniewnie Minatelli. Dwóch towarzyszy z oddziału odciągnęło trupa. Pozwalanie, żeby ciała leżały dokoła, jeśli nie musiały, źle wpływało na morale. Szkoda, że nie dało się usunąć zapachu. Panował tutaj upał i ścisk, a krew zaczynała gnić niemal od razu.

Wszyscy pozostali trzymali głowy z dala od szczelin strzelniczych, czekając na rozkaz. Karabiny leżały na płaskim kamieniu na dnie szczelin, a zamki były otwarte, żeby komory były tak chłodne, jak się dało. W każdej niszy znajdowało się kilka drewnianych deszczulek z wyłobionymi w drewnie dziurami, osadzonych w rowkach w kamieniu. A w każdej dziurze znajdowała się kula, podstawą ku górze, gotowa do wzięcia. Skrzynie z dwoma tysiącami kul spoczywały na półkach pomiędzy pozycjami strzelniczymi, ich wieka zostały obluźwane, a ochronna cynfolia odwinięta, odsłaniając dziesięcioładunkowe zwitki, sto zwitków na pudło. Z żelaznych haków zwisały wiadra wody i czerpaki. Przy stanowisku strzelniczym każdego człowieka znajdowała się drewniana skrzynka ręcznych bomb, okrągłych kul z lanego żelaza wielkości pomarańczy z pierścieniem na górze służącym do uzbrajania zapalnika ciernego. Na stojaku było też kilka zapasowych karabinów przeznaczonych dla ludzi, którzy zostaną bez broni, kiedy ta się zatnie, do czego nieuchronnie dojdzie przy ostrej strzelaninie, gdy broń się rozgrzeje.

Brakowało tylko ludzi do zapełnienia wszystkich niszy strzelniczych, plus rezerwy, której wymagał wojskowy kanon. Mieli jednego strzelca na trzy szczeliny – jednego człowieka na dziewięć metrów Unii muru. Koloniści mieli dość żołnierzy, aby zaatakować bez ostrzeżenia wszędzie wzdłuż czterech kilometrów muru.

Porucznik zaświstał gwizdkiem. Ludzi ogarnęło napięcie, wpychali ładunki w karabiny i przesuwali dźwigniami, by zamknąć komory. Minatelli skoczył z powrotem do swojej niszy i oblizał kciuk, żeby zmoczyć muszkę celownika. Pompomy nieprzyjaciela przeorały linię otworów strzelniczych. Piechur skłonił głowę i zamknął oczy, gdy żwir wleciał przez jego szczelinę, a potem otworzył je, mrugając.

– Dajcie im popalić, chłopcy! – zakrzyknął. Strzelacie do *kawalerii*.

Na przednich umocnieniach Kolonistów zaroilo się od ludzi w jellabach i spiczastych hełmach. Mieli karabiny przerzucone przez plecy. Większość niosła długie drabiny, a niektórzy ciągnęli małe moździerze ze składanymi hakami-chwytakami i przymocowanymi do nich zwojami liny. Inni popychali na kółkach sprzęt do przeprawy, aby mogli przedostać się przez fosę. Pary niosły małe moździerze Coehoorna [Mały moździerz z brązu osadzany na drewnianym bloku z uchwytnymi, używany do miotania lekkich pocisków.], przystosowane do ciskania

haków-chwytaków znajdujących się na końcu szpul z żelaznym kablem.

Duchu, ale ich dużo. Przez jego wąską szczelinę widać było *tysiące*, a jeszcze więcej wylewało się z okopów; jak mrówki z kopniętego kopca.

Pomalowane na biało żelazne paliki stanowiły oznaczenia zasięgu na zewnątrz. Szczerbinka w karabinie Minatelliego nastawiona była na czterysta metrów. Mężczyzna oparł łóże o kamień i zacisnął palec na spuście, biorąc głęboki wdech. Pierwsi nieprzyjacieli minęli czterystumetrowy

oznacznik; dwa szeregi trzymające pomiędzy sobą drabinę. Przesunął celownik na człowieka z przodu po prawej, opuścił go na kolana mężczyzny i pogładził spust. Cichutkie kliknięcie na początku, gdy pokonał pierwszy opór.

Delikatnie, jak cycek, powiedział sobie i nacisnął.

Barn. Brudas zatrzymał się, jakby wpadł na kamienną ścianę, i upadł, a drabina osunęła się i przekreśliła bokiem do murów obronnych miasta, gdy jego towarzysze zachwiali się i potknęli. *Ostatni, co to wiem na pewno*, pomyślał Minatelli. Karabiny warknęły z jazgotliwym hukiem wszędzie wzdłuż muru, a dym buchnął ze szczelin. Atakujący padali, a inni ich zastępowali. Minatelli przesunął dźwignię swego karabinu i wsadzał kule. Pusty mosiądz dzwonił mu dokoła stóp.

BOOOOMMM. Tym razem wielkie działo znajdujące się parę metrów dalej zaskoczyło go. Był zbyt zajęty własną wojną, aby zauważyć rozkazy głównego kanoniera. Zobaczył jednak rezultat, gdy kartacz wypłuł setki dziesięciogramowych ołowianych kulek z paskudnym, przypominającym osę bzyzieniem. Pocisk trafił w kraniec okopu służącego do natarcia, gdzie świeża fala szmacianych łąbów właśnie pokonywała kosze szańcowe. Ludzie zniknęli, porwani przez burzę setek pocisków wielkości kulek do gry. Z przodu okopu wystrzelił pył i kawałki wikliny. Gdy kurz opadł, ziemia usłana była dywanem ludzi zбитych w bezkształtną masę, masę, która wciąż w niektórych miejscach falowała z jękiem.

– Przeładować, kartacz!

Minatelli sam przeładował, przerywając, aby przesunąć suwak pod szczerbinką na sto metrów. Karabin był zatkany po ponad dwóch tuzinach strzałów, a metal sparzył jego pokryty odciskami kciuk, gdy wsuwał na miejsce następną kulkę. Odrzut zaś też był teraz gorszy i jutro na jego ramieniu będzie widać niezły siniec, zakładając, że będzie tu, aby to odczuć. Zmasowany ogień karabinowy dziobał kamień na zewnątrz, część nieprzyjemnie blisko. Kula przeleciała ze świstem przez otwór strzelniczy, spłaszczony metal wydawał z siebie bzyżący dźwięk, gdy miniaturowy, metalowy placek przecinał powietrze. Jego mózg przeciąć równie łatwo. Minatelli podskoczył z powrotem na górę, wybrał cel, wystrzelił i dał nura do tyłu, żeby przeładować.

Duchu. Cieszył się, że jest tutaj, a nie tam. Tyłu samo brudasów padło, ilu posuwało się dalej.

– Powstrzymajcie ich chłopaki albo wszyscy będziemy strażnikami haremu! – zawołał i wystrzelił znowu.

I znowu. Armata wypaliła po raz trzeci, a może dziesiąty? Nie dało się stwierdzić. Wisiał gęsty i duszący dym, zmieniając teren za murami w spowitą mgłą zagadkę, gdzie czerwone sylwetki biegały i zbijały się w grupy. Koloniści znajdowali się prawie na skraju zewnętrznych umocnień, kopniakami torując sobie drogę przez, jeże – trójkąty zespawanych razem gwoździ, jakimi usiana była trawa, której celowo pozwolono urosnąć do wysokości kolan. Jakaś odległa część Minatellięgo była zdumiona, że ludzie mogli zwalniać w obliczu ognia karabinowego, aby nie dostać gwoździem w nogę, ale wielu tak robiło.

A potem wypaliły armaty z wystających bastionów. Każdy z występów w kształcie litery „V” obejmował ogniem skrzydłowym setki metrów muru; dziesiątki armat przeczesujących ziemię ładunkami ciężkich kartaczy. Większość z nich była krótkimi działami dużego kalibru, bronią przypominającą olbrzymie strzelby. Nie za duży zasięg, ale go nie potrzebowały.

Minatelli przerwał, aby pozwolić karabinowi nieco ochłonąć z otwartym zamkiem. Łyknął trochę

wody z wiadra. Gardło miał tak obolałe, jakby szorowano je stalową szczotką. Kropelki kapnęły na metal zamka i zaskwierczały. Gdy dym rozwiął się na tyle, że znowu mógł widzieć, przeładował i wycelował w jednego z dwóch Arabów ciągnących za sobą rannego towarzysza. Strzelił, przeładował...

– Przerwać ogień! Przerwać ogień!

Trąbki trafiły do niego, choć wykrzyczany rozkaz nie. Palec zamarł mu na spuście. Minatelli przesunął dźwignię i złapał wyrzuconą kulę. Palce miał czarne od resztek prochu, który pokrywał mu wargi, a gdy je oblizał, miały smak siarki. Na zewnątrz było więcej martwych brudasów, niż mógł zliczyć. Pokrywali ziemię plamami i pasami ciągnącymi się aż do własnych umocnień, unosili się również w fosie poniżej, pośród pozostałości sprzętu do przeprawy i drabin. Jeszcze więcej ich znajdowało się u podnóża murów. W niektórych miejscach dywan ciał poruszał się i jęczał. Było ich tak dużo, że aż tutaj czuł smród krwi i gówna z rozprutych ciał.

Pociągnął kolejny łyk wody i położył swój karabin z otwartym zamkiem na kamieniu otworu strzelniczego. – Idę się odmeldować! – zawołał. A potem potruchtał do stanowiska dowódcy plutonu.

– Ponie! Dwóch zabitych, trzech ciężko rannych. – Włączając w to dwa oddziały garnizonowej piechoty, którą nadzorowało jego ośmiu ludzi. – Wszyscy inni gotowi do służby.

Z porucznika był dobry człowiek, choć nieco młody. Wyrzwał przez otwór koło siebie i włożył swój niewykorzystany rewolwer do olstra. Może dlatego, że *był* młody, przemówił głośno – Myśleli, że mogą nas zdobyć szturmem. Żadnego szacunku.

– Teraz za to mnóstwo, ponie.

Młody oficer skinął głową, bezwiednie wygładzając cienki wąsik. – Tak. Teraz spróbują nas wziąć głodem. *Duchu*, pomyślał Minatelli.

W pociągach, które przywiozły ich na wschód, nie było wiele poza ludźmi, psami, bronią i amunicją. Przez tydzień, zanim tu dotarli, Sandoral pełen był wygłodniałych uchodźców, a inwazja przerwała zbiory.

* * *

– Messerowie, za poległych towarzyszy.

Jako najmłodszy z obecnych oficerów, Barton Foley wznosił toast rozrzedzonym w trzech czwartych winem. Wszyscy wypili.

– Messerowie, za gubernatora. – Raj poddał ten toast i odrzucili na bok gliniane kubki.

Jakby po to, by przypomnieć im o poległych, jakiś mężczyzna krzyknął w pobliskim namiocie, gdzie zajmowano się rannymi. Zgodnie z wszelkimi rozsądnymi standardami ofiary były nieduże, chyba że dla tych ludzi, których ciało zostało rozdarte a kości potraskane. Suzette była obecna, ale rękawy miała podwinięte do łokci, a przód kurtki zbryzgany krwią.

– Rozumiem, że nie będziemy próbować zająć Ain el-Hilwa, *mi heneral* – stwierdził Staenbridge.

– Oczywiście, że nie. A co byśmy z nim zrobili? – powiedział Raj. Postukał w mapę na stole

przed nimi. – Messerowie, podzielimy się na takie same trzy grupy wypadowe. Majorze Swarezie, będziesz towarzyszył grupie środkowej wraz ze mną. – Dawny stronnik Osterville’a skinął głową. – Majorze Hwadeloupe, zostaniesz oddany pod dowództwo majora Grudera.

– Ruszymy na południowy wschód wzdłuż tej osi. – Prześledził ją palcem na mapie. – Trzymając się na zachód od kanału Ghor,

– Naszym celem jest linia kolejowa? – spytał Staenbridge, przesuwając po niej palcem.

Zwiadowcy podali im konkretne namiary; biegła prosto na zachód od głównej linii Kolonii, wzdłuż gederosiańskich podnóży.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

* * *

Pociąg zatrzymał się z piskiem, iskry trysnęły spod dużego koła lokomotywy. Była to nowa maszyna, pomalowana na srebmo-czarno, z arabskimi napisami wykaligrafowanymi złotą farbą po bokach i na wysokim, smukłym kominie. Za nią znajdował się tuzin wagonów, a ostatni stanowił uzbrojony wagon towarowy z pompomem zamontowanym na obrotowej podstawie za osłoną. Ze trzydziestu strzelców wystawiło swoją broń przez szczeliny w blasze kotłowej, która go pokrywała. W pozostałych wagonach znajdowały się kawałki torów, już przybite do podkładów, ułożone w stosy i szczipione łańcuchami. Kolejny pociąg zatrzymał się za pierwszym. Ten miał wagony towarowe pełne ludzi i narzędzi.

Wylegli z nich, a ich oficerowie wymachiwali paradnymi batami i pokrzykiwali. Było więcej hałasu, niż robiłaby podobna grupa żołnierzy Rządu Cywilnego, ale nie większe zamieszanie. Załogi podbiegły do przodu i odczepiały łańcuchy podtrzymujące ładunek pierwszego pociągu. Ustawili lekki, rozkładany dźwig i opuszczali kawałki prefabrykowanych torów na ziemię. Inne załogi podnosiły je żelaznymi hakami i truchtały do przodu w rytm zawodzącej pieśni.

Przed dwoma pociągami znajdował się długi na ćwierć kilometra fragment zniszczonych torów. Inżynierowie sprawdzili szybko podłoże przy pomocy poziomic i teodolitu. Grupy robotników odrzucały na bok spalone i pogięte szyny i podkłady. Układano na miejscu prefabrykowane kawałki i ludzie z hakami szli z powrotem po kolejny ładunek tym samym miarowym truchtem. Kolejna drużyna wyrównywała tory przy pomocy długich kijów przypominających okute metalem dźwignie kanonierów i skręcała je razem.

* * *

Raj potrząsnął głową. – Nie jest nas wystarczająco wielu i nie mamy dość czasu – powiedział. – Saperzy Kolonistów mogą reperować tory szybciej, niż my je rozwalać – aż Tewfik zdoła tu wrócić. Główne mosty będą silnie strzeżone. Ale my chcemy, żeby on *myślał*, iż stanowimy zagrożenie dla linii kolejowej i, jak najbardziej, rozwalcie każdy kawałek, do jakiego się dostaniecie.

– Jakie wieści z Sandoralu? – spytał Staenbridge.

– Gdy Ali przybył z całymi siłami, przypuścił szybki atak, a gdy to nie odniosło skutku, spróbował pełnego natarcia ze wsparciem inżynierów i artylerii. Straty całkowite: cztery do pięciu tysięcy, łącznie z tak poważnie rannymi, iż nie są w stanie powrócić do służby. My ponieśliśmy bardzo niewielkie ofiary.

– O rany. Nie chciałbym być teraz w sztabie Aliego.

Obrazy przesunęły się przed oczami Raja: obcinanie głów, wbijanie na pal. Ali był całkowicie szalony.

– Gerrinie – powiedział Raj – ja też bym nie chciał. Wciąż ma czterdzieści tysięcy zdolnych do służby, nie licząc jego garnizonów piechoty. Mają wszystkiego siedem tysięcy kawalerii i trzy tysiące piechoty.

– Więcej pucharów niż butelek na tym bankiecie – zgodził się Staenbridge.

Jeśli na stole nie było dość wina do napełnienia wszystkich kielichów, to w pewnej chwili przelewanie płynu z jednego kieliszka do drugiego już nie pomagało.

– Moglibyśmy zająć ich składowisko zapasów u czoła kolei – rzekł z namysłem Dinnalsyn. – To przysporzyłoby im sporego wstydu.

– Jest ufortyfikowane i jest tam dziesięć tysięcy ludzi – rzekł Raj. – Nie są to pierwszorzędni żołnierze, ale spodziewają się kłopotów i mają znaczną artylerię.

Wszyscy skinęli głowami. Można było zająć taką pozycję przy pomocy nagłego, niespodziewanego *coup de main* albo gdy bronili jej barbarzyńcy zbyt ciemni, żeby podjąć odpowiednie środki ostrożności. A nie w przeciwnym wypadku, nie gdy miało się na tyłach znaczne siły wroga, mogące swobodnie prowadzić działania przeciwko tobie.

– Jeśli to już wszystko, panowie, to lepiej zajmijmy się zadaniem. Sztandaru Tewfika także nie ma pod Sandoralem.

* * *

Główna kolumna kłusowała drogą we wczesnoporannym chłodzie. Była ona szeroka na dwadzieścia stóp – dobrze zniwelowana ziemia pokryta żwirem, wijąca się przez tarasowe pola jęczmienia w dół, po niskim zboczu wysadzonym mieszaniną drzew oliwkowych i migdałowych. Parowy zbiegające ku równinie pełne były czerwono-zielonych rodzimych krzewów. Stado dwunożnych, trawożemych sauroidów wielkości owiec uciekło trąbiąc i gulgocząc w zarośla, gdy mijali je żołnierze. Rosa wciąż pokrywała pył falistych wzgórz. Dalej znajdowały się płaskie pola, nawadniane i intensywnie uprawiane. Wioski były opuszczone, widmowe, nie widać było ani jednego człowieka, ani zwierzęcia. Do tej pory wieśniacy zostali ostrzeżeni i uciekli, poganiając przed sobą swoje stada.

Raj dokończył gruszkę, odrzucił ogryzek i mrużąc oczy, popatrzył przed siebie. A potem zeszywniał i wyrzucił jedną rękę w górę.

– *Halto! Cisza w szeregach!*

Zawyły trąbki, a kolumna zatrzymała się w mniej niż trzy kroki. Zapadła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu pobrząkiwaniem uzdy, gdy pies się poruszył.

Tam. Głuche łupnięcie, jak wielkie drzwi zamykające się w oddali. Odbiło się echem i powtórzyło się. I znowu. I znowu.

– Artyleria, na Ducha – rzekł cicho Staenbridge.

Raj skinął głową, przymykając oczy, aby się skoncentrować.

>>Działa połowe Rządu Cywilnego<< powiedziało Centrum. >>Dwie baterie, około 8,7 kilometra na południowy wschód od twojej obecnej pozycji.<<

– Cóż, to coś poważnego – stwierdził beznamiętnie Barton Foley.

Ain el-Hilwa było jak do tej pory jedynym miejscem działań, gdzie zrobiło się tak gorąco, by potrzebowali wsparcia artylerii. Oficerowie wokół Raja wymienili spojrzenia, tak samo jak ludzie w długich szeregach wspinających się zygzakiem w tyle. Wojskowy piknik dobiegł końca.

– Kaltin – powiedział Raj. Tam prowadziła działania *kampfgruppe* Kaltina Grudera.

Przywołał mapy tego obszaru. Niskie zbocza po obu stronach, biegnące ze wschodu na zachód, a na południe płaski teren.

– Zagrać *zmienić front* – powiedział. – A potem *klusem*. Trąbka wrzasnęła znowu, a psy zawróciły w miejscu. Oczekali trzydzieści sekund koniecznych do zawrócenia zaprzęgów od dział i ruszyli kołyszącym się klusem z powrotem w górę zbocza.

– Posłańcy do grup wypadowych, natychmiastowa koncentracja tutaj – zaczął Raj. – Pułkownik Stenbridge, postaw swój sztandar tutaj – wskazał na wcięcie tam, gdzie droga przecinała wzgórze – z linią strzału na przeciwnym wzgórzu, gotową do przesunięcia się w górę. Majorze Bellamy, to będą twoi I i 2 oraz 1/591. Gerrinie, tutaj umieść swoją lewą flankę – wskazał na rezerwuar – i wycofuj prawą wraz z grupami wypadowymi, gdy będą napływać. Grammeck, też zaprowadź swoje działa na przeciwną stronę, ale niech zaprzęgi będą blisko.

Artylerzysta skinął głową. To było niebezpieczne – ryzykowano unieruchomienie broni, gdyby zaprzęgi zostały ranne – lecz dawało niezbędne dodatkowe sekundy czasu, gdyby trzeba było się szybko wycofać.

– Żadnych umocnień, ale zbudujcie szybko osłonę dla jazgoczących działek. Suzette, niech ci ludzie z kościoła przygotowują się do oceny stanu rannych i natychmiastowego przesunięcia ich na tyły; nie zostaniemy tu. Kapitanowie M'lewis i Foley, wezmę ze sobą do przodu kompanię Piątego i zwiadowców. I jedno jazgoczące działko. Pytania?

Potrząśnięcie głowami. – Dobrze. Na swoje stanowiska, proszę. Gerrinie. – Stenbridge się zatrzymał. – Mam nieprzyjemne wrażenie, że będziemy wracać szybciej, niż pojedziemy. Bądź gotowy do ostrego ich powstrzymania. – Nawet żołnierze weterani mogli zrobić się

niepewni, gdy wyglądało to na bezładny odwrót.

Stenbridge skinął głową. Pochylili się ku sobie i zderzyli pięściami, od wnętrza nadgarstka i po wierzchu. – Będziemy tu, *mi heneral*.

Raj na chwilę spotkał się spojrzeniem z Suzette. Nie potrzebne były żadne słowa.

– *Waymanos!*

* * *

Kłusowali przez ziemie ciche i opuszczone, rozgrzewające się w oczekiwaniu na obezwładniający upał letniego poranka w dolinie Drangosh. Małe siły Raja jechały kolumną, z posterunkami przed sobą. Psy utrzymywały miarowy cwał-kłus-stępa-kłus-cwał, pochłaniając kilometry. Miały wywieszane języki, lecz uszy postawiły ku przodowi, wszystkie oprócz Horace'a,

którego uszy były oklapnięte jak u psa myśliwskiego. Działa słycać było teraz o wiele bliżej; głuchy huk. Teren dokoła był zróżnicowany. Palce wysokiego *doab* wysuwały się z gliniastych klifów Drangosh ku niższemu, bardziej płaskiemu krajowi na wschodzie, rozciągającemu się za kanał Ghor aż do podnóży Gór Gedernsiańskich. Sądząc po dźwięku, działa strzelały z następnej grani na południu.

Wszyscy ludzie usłyszeli już przedtem ten dźwięk, tak jak i psy. Żołnierze jechali z karabinami opartymi na udach.

Od przodu dobiegły gwizdnięcia. Jeden ze zwiadowców sadił drogą szybkimi susami.

– Nadjeżdża kurier, ponie – powiedział.

Pies posłańca dyszał. A on wyciągnął mokry od potu papier z kurtki z patkami 7 Zwiadowczego z Descott. Z olster przed jego prawym kolaniem dobywał się zapach spalonej skóry – woń ostro używanego karabinu wsadzonego do pochwy, gdy był jeszcze gorący.

– Ponie – odezwał się – major Gruder melduje, że wpadliśmy na patrol. Myśleliśmy, że to patrol, okazało się, że brudasów było więcej, niż mogliśmy zdzierżyć.

Raj przeczytał szybko. Była to prośba o posiłki, z pospiesznie naszkicowaną mapą działań. Potrząsnął głową. Kaltin był pierwszorzędnym taktykiem, ale miał tendencję do zbytniego zawężania pola zainteresowania, do wpijania się zębami w jakąś sytuację i nie puszczenia aż do końca.

– Ukłony dla majora Grudera i powiedz mu, że zaraz tam będę. I niech się przygotuje do szybkiej zmiany pozycji.

– Ponie!

– Bartonie, galopem.

Posłaniec zawrócił wierzchowca i wbił pięty w jego boki. Odgłos dział nabierał ostrości

wraz ze wznoszeniem się terenu. Raj dostrzegał dym prochowy unoszący się znad wzniesienia na południu. Minął strumyczek rannych. Poranieni jeźdźcy prowadzili psy z przerzuconymi przez siodła ludźmi o cięższych obrażeniach – tylko tyle można było zrobić w takiej sytuacji.

POUMP. POUMP. POUMP. Działa strzelały miarowo. Widział je teraz, rozstawione pomiędzy pajęczymi rodzimymi drzewami biczyskowymi na grani. Strzelały ze szczytu wzgórza, a załogi wpychały je z powrotem po każdym odrzucie. Raj zjechał z drogi, pochylając się do przodu w siodle, gdy Horace jednym skokiem przesadził rów i pognał w górę zbocza.

Kaltin Gruder wyszedł mu na spotkanie. – Wpadliśmy na patrol – powiedział. – W sile kompanii – jeden *tabor*. Napadłem na nich, pojawiło się ich więcej, zwołałem moje grupy wypadowe, a potem pokazało się ich jeszcze *więcej*. Teraz tam w dole znajduje się grupa bojowa w sile dwóch tysięcy i żadna cholera ich nie zatrzymuje. To nie są żołnierze stanowiący linię komunikacyjną. Regularna kawaleria, i to dobra.

Raj mruknął w odpowiedzi, przesuwając lornetką po zboczu poniżej. Było słabo zadrzewione biczyskami, wysokimi, pajęczymi drzewami ze zwisającymi gałęziami odstającymi na wszystkie strony od głównego pnia, ze zwisającymi kiściami liści przypominających pióra.

POUMP. POUMP.

Osiem dział na grani utrzymywało miarowy ostrzał, a fala wybuchów uderzała w twarze i piersi. Przynajmniej dwadzieścia dział artylerii Kolonistów strzelało w odpowiedzi z niżej położonego terenu z przodu, połowa pompomy, a połowa siedemdziesięciomilimetrowe działa. Nie próbowali odpowiedzieć na ostrzał baterii, tylko przeszukiwali skraj linii drzew, starając się zdusić ogień karabinowy strzelców Rządu Cywilnego. Wszędzie na otwartej przestrzeni posuwali się do przodu spieszeni dragoni Kolonistów, szereg za szeregiem w rozwiniętym szyku jak do potyczki.

Gruder ciągnął dalej – Mam w środku Siódmy z Jednostką Własną Poplanich i 1 z Rogor na prawej i na lewej flance, a tam Maximilliano.

Wskazał na wschód tam, gdzie dym i miarowy trzask wystrzałów wskazywał na prowadzenie działań bojowych. – Kimkolwiek jest dowódca brudasów, to wie, co robi. Próbował zejść mnie od flanki, jak tylko wyczuł szerokość mojej linii ognia tutaj. Wysunąłem Maximilliano, aby rozsunąć tę linię, ale mocno mnie to rozciągnęło.

Raj krótko skinął głową. Trzy bataliony Grudera – jakiś tysiąc ludzi, wszystkie z niedoborem stanu – utrzymywały stały huk wystrzałów niezależnego ognia. W dole sylwetki

w czerwonych jellabach leżały rozsiane na ziemi, kuśtykały, utykały i czołgały się z powrotem ku działom i zgrupowanym wokół nich sztandarom. Nacieranie na strzelców-weteranów drogo kosztowało. Jazgoczące działko wydało z siebie rozdzierające *braaap* i rząd Kolonistów oddalonych o prawie tysiąc metrów padł, gdy uderzył w niego rozbryzg karabinowych kul. Kilka nieprzyjacielskich dział zmieniło cel. Raj widział, jak załoga jazgoczącego działka przetacza swoją lekką broń na nową pozycję, wyprzedzając pociski z dział i pompomów.

Jednak coraz więcej Kolonistów przedostawało się do ich własnej linii ognia blisko lasu. Ich samopowtarzalne karabinki były równie śmiertelne jak cięższa broń Rządu Cywilnego w zasięgu mniejszym niż sto metrów, a strzelały o wiele szybciej. Mgiełka białawego, prochowego dymu unosiła się znad wzmocnionej pozycji Kolonistów. Jeszcze gdy się przyglądał, kilka plutonów powstało i pomknęło do przodu ku lasowi. Wielu padło, ale inni przypadli do ziemi w zaroślach na skraju sawanny. Gdy już znajdują się pośród drzew, ich powtarzalne karabinki wyrzną ludzi wyposażonych w jednostrzałowe karabiny.

– Możemy ich zgnieść jak mandarynkę, jeśli wkroczysz z głównymi siłami, *mi heneral* – rzekł Gruder.

Kaltin rzeczywiście ma tendencję do zbytniego skupiania się na jednej sprawie, pomyślał Raj. Jego własne myśli posuwały się w chłodnych, precyzyjnych łukach i tangensach, jak coś narysowanego na desce kreślarskiej przez cyrkle i łukowe kątomierze inżyniera. Niczym myślowy odpowiednik tego, jak czuć się przy szermierce. Może przypominało to nieco sposób, w jaki cały czas czuło się Centrum, jeśli Centrum miało jakieś subiektywne doświadczenia.

Czuł się bardziej żywy, niż gdy znajdował się gdziekolwiek indziej. Szkoda, iż odczuwał to jedynie na polu bitwy, iż jego sztuka mogła być praktykowana tylko wówczas, gdy ginęli ludzie. Czasami leżał, nie śpiąc nocą, zastanawiając się, co to o nim mówiło. Ale nie teraz. Nie teraz.

– Nie, majorze, nie myślę o pełnym zaangażowaniu. Jeśli w okolicy jest jedna grupa bojowa Kolonistów, to będą i inne.

Zastanawiał się przez kilka sekund. – Trzeba będzie działać szybko. Będziemy się wycofywać, „przeskakując” bataliony. Przesuń Jednostkę Własną Poplanich oraz działa do tyłu o pół kilometra do

tego wzniesienia. Weźmiesz Siódmy i pozostałych do tyłu, aby połączyli się z głównymi siłami. A ja będę pilnować tyłów. – Gruderowi nie podobało się wycofywanie. – M’lewis, oddeleguj po dwóch ludzi do każdego z dowódców batalionów, aby poprowadzili ich na pozycję głównych sił. Pojedziecie za resztą.

Gruder skłonił energicznie głową. Nie podobało mu się to, ale nie wpłynęło to na jego posłuszeństwo. Antin M’lewis odwrócił się i rzucił rozkazy. Dwójki oddalały się galopem.

– Trębacz! – ciągnął Raj. – Przekaż. Wycofać się pół kilometra. Na sygnał.

Dało się słyszeć złożone wezwanie, które zostało powtórzone. A potem pojedyncza długa nuta.

Bateria na wzniesieniu wypaliła ostatnią salwę i pozwolono działom stoczyć się w dół zbocza na przodki. Załogi pochwytyły ogony łoża i zaprzodkowały je. Wsunęto na miejsce ze szczękiem żelaza podtrzymujące trzpienie, a sześć psów w każdym zaprzęgu powstało i działa ruszyły kłusem w dół otwartego stoku. Trzech mężczyzn jechało na bocznych psach zaprzęgu. Na osiach działa i na przodku znajdowały się po dwa siedzenia, a reszta miała własne psy. Z sawanny nadszedły jazgoczące działa, ciągnięte przez zaprzęgi składające się z czterech psów. Jako lżejsze, wyprzedziły działa polowe, mimo iż miały mniejsze zaprzęgi.

Trzask lżejszej broni przybrał na sile. – Bartonie. Damy brudasom prezent na pożegnanie. Salwa stojąc w siodle, posłuzcie się granią. Ustawcie jazgoczące działa.

Kompania A Piątego liczyła prawie osiemdziesięciu ludzi, tylko czterdziestu poniżej wymaganej liczby. Rozwinęli się wachlarzem za Rajem, popędzając psy półtora metra w dół zbocza. Psy obróciły się przodem do grani, a potem przycupnęły. Ludzie przycupnęli wraz z nimi, kucając. Była to nieelegancka i niewygodna pozycja – nie wolno było pozwolić, aby cały twój ciężar spoczął na psie – lecz ludzie ustawili się w podwójnym szeregu bez zarzutu z taką łatwością, z jaką gospodyni ugniata ciasto na tortillę. Ustawili się w odległości trzech metrów od siebie, a rzędy rozsunięły się tak, że tylny rząd pasował przerwami do przedniego. Spojrzał na ich twarze: flegmatyczne, nieruchome pod warstewką potu. Kilku żołnierzy żuło tytoń i strzelało śliną. Każdy z nich wiedział, co miało się wydarzyć.

Poniżej Koloniści zawahali się przez tych parę istotnych sekund, gdy żołnierze Rządu Cywilnego przerwali ogień. Na tyle długo, aby pozwolić im na przemknięcie do ich czekających psów. Centrum wyswietlało liczby, gdy osłabione liczebnie bataliony pokłusowały w górę zbocza, zgrupowały się i pogalopowały na północ. Skrzywił się nieco. Te jednostki już przedtem miały niedobory osobowe. Wielu z nich było wciąż tam w płonącej trawie i rozwalonych drzewach biczyskowych i nigdy ich nie opuści. Zagrały długie, zakręcone trąby, ostrzej niż jego własne. Połowa Kolonistów odwróciła się i zaczęła biec z powrotem ku swoim psom. Pozostali otworzyli ogień w stronę wycofujących się najeźdźców. Niezbyt wielu padło, ale niektórzy ludzie i psy wyłamali się z szyku.

– Szybko reagują – wymruczał Raj.

Dowódca Kolonistów posyłał do przodu swoją rezerwę wierzchem, galopem w górę

wzgórza. Dwa *tabory*, nieco poniżej trzech setek ludzi wraz z parą pompomów posuwających się galopem z tyłu. Ciągnięcie dział galopem było ryzykowne, zwłaszcza po takim nierównym terenie. Kilku ludzi, poranionych, a może tylko strasznie odważnych, pozostało z tyłu pośród rannych. Jeden podniósł się na kolano i strzelił w psa przodownika z zaprzęgu pompomu. Ten padł, gryząc zranioną nogę. Dział obróciło się, a potem przewróciło, wirując. Potężny moment obrotowy szarpnął ogonem

łóża i chomątem, zmieniając zaprzęg w miotającą się masę poskręcane go metalu i strzypów mięsa, która stoczyła się w dół zbocza i rozproszyła podążających tamtędy spieszonych Kolonistów.

Raj przyglądał się, jak zbliżają się Koloniści wierzchem. Liczby przesuwały mu się przed oczami. Arabowie wyli, nacierając. Jeśli uda im się uniemożliwić przerwanie walki jego ludziom..

>>500 metrów. 450.400.<<

– Teraz! – warknął.

– *Tenzione!* – zawołał Barton Foley czystym tenorem, nieco podniesionym, aby lepiej się niósł. Ludzie powstali z przysiadu i stanęli rozkraczeni nad psami. Gładkim łukiem podnieśli na ramiona długie karabiny ze zbrojowni, a luty trzymali równo, poza chwilą indywidualnego drżenia, gdy wybierali cele. Zbocze ich przesłaniało i nieprzyjacielowi musiało się wydać, jakby głowy i ramiona wyskoczyły znikąd.

Koloniści zareagowali z odruchem weteranów, pochylając się w siodle i wysuwając szable do przodu. Ich psy skoczyły do pełnego galopu, aby przedostać się przez strefę śmierci tak szybko jak to możliwe,

– *Fwego!* – szabla Foleya powędrowała w dół błyszczącym łukiem.

BAM. Osiemdziesiąt karabinów wystrzeliło w przeciagu pół sekundy od siebie. *Braaaaaap.* Jazgoczące działko wystrzeliło ze swojej pozycji ogniem podłużnym z jednej strony.

Wyglądało, jakby szarżujący Koloniści się zachwiali. Psy padały wszędzie na przedzie. Znajdowali się w odległości jakichś trzystu metrów, a z tego zasięgu większość ludzi z Piątki z długim stażem potrafiła trafić w biegnącego człowieka, nie wspominając już o tysiącfuntowym psie. Ludzie wylatywali z siodła, a tylne szeregi przeskakiwały i skręcały desperacko, aby uniknąć drgających stosów przed nimi.

– Tylni szereg, fwego!

BAM.

– Przeładować!

– Przedni szereg, fwego! BAM.

– Przeładować! *Braaaaaap. Braaaaaap.*

– Tylni szereg, fwego! BAM.

Braaaaaap. Załoga operowała jazgoczącym działkiem jak tkacze przy krosnach w jednej z tych nowych, napędzanych parą fabrykach. Jego ładunek uderzał niczym kartacze, lecz o wiele szybciej i bardziej celnie.

Zawyła trąbka Kolonistów i zagrały bębny. Koloniści wierzchem wycofali się, pozostawiając swoich martwych i rannych. Gruby szereg spieszonych ludzi w lesie przestał czekać, aż ich towarzysze sprowadzą psy i ruszył jeszcze raz w górę zbocza. Pociski z działek polowych przelatywały górą z dźwiękiem rozdieranego płótna.

Prowadzi atak oskrzydający, stwierdził Raj, starając się poznać na podstawie ruchów umysł nieprzyjacielskiego dowódcy. *Postanowił poświęcić straż tylną.* Połowa nieprzyjaciół była już w siodle. Spieszony tysiąc zaleje taką straż tylną w przeciagu paru chwil, a potem arabscy żołnierze

będą mogli popłynąć za uciekającymi żołnierzami Rządu Cywilnego. Byli lżejszymi ludźmi na urodzonych na pustyni szybkich psach, bazenjczykach o smukłych kończynach. Pochwyćą to, co ścigali, a z przewagą liczebną dwa do jednego i mając więcej dział, wynik był łatwy do przewidzenia.

– *Waymanos* – powiedział Raj.

Psy podniosły się pod ludźmi i zawróciły, a załoga jazgoczącego działka zaprzęła swoją broń i wskoczyła na siodła i siedzenia na przodku. W dziesięć sekund później kompania A posuwała się w dół zbocza i ku północy kłusem, który przeszedł w kołyszący się galop.

Znajdowali się w odległości dwustu metrów, gdy spieszeni Koloniści pokonali wzgórze. Kule karabinowe świstały im koło uszu. Drzewce chorągwi zadrżało w dłoni chorążego i mężczyzna zleciał z siodła z kaszlącym pomrukiem.

– Nie przesłaniać ich ognia – ostrzegł Raj.

Foley machnął szablą na lewo i blok ludzi zmienił kurs. Raj pochylił się do przodu, chroniąc przed pędem gorącego powietrza, a sztandar łopotał i furkotał obok niego. Obejrzał się do tyłu. Koloniści przegrupowywali się na wzgórzu, dosiadając psów podprowadzanych przez towarzyszy. Na północy znajdowały się płaskie, otwarte pola, znaczone pióropuszcami pyłu tam, gdzie wycofujące się bataliony Rządu Cywilnego posuwały się na północ ku głównym siłom. Lekkie wzniesienie z meczetem i gajem cyprysów na szczycie stało jakiś kilometr przed nimi.

Błysnął tam metal. Raj znowu obejrzał się przez ramię. Koloniści nadciągali teraz w zwartych blokach wierzchem. Posuwali się szybkim kłusem, ustawieni w podwójnym szeregu dla szybkości, gdy będą musieli rzucić się do walki. *Rozsądne*. Dwa razy tego ranka utarto im

nosa. Szybko spojrzął na słońce, mrużąc oczy; godzina 11. I mniej więcej teraz...

Z cyprysowego gaju przed nimi dobił się obłok dymu. Coś zaświstało w górze, jak grube płótno rozdierane na pół. Dał się słyszeć paskudny trzask, a potem kolejny obłok dymu, gdy pocisk z nastawionym zapalnikiem czasowym wybuchł nad szarżującymi Kolonistami.

– Mam nadzieję, że żaden z nich nie strzeli za blisko – krzyknął, szczerząc się w uśmiechu Barton Foley.

Raj poczuł, że sam odsłania zęby w odpowiedzi. – Zaprowadź ich do domu, Bartonie – zawołał.

Zmienił ucisk kolan i skręcił Horace'a prosto ku lewemu krańcowi formacji znajdującej się przed nim – ku Jednostce Własnej Poplanich, liczącej czterystu ludzi. Plus dwie baterie siedemdziesiątekpiątek, które strzelały teraz tak szybko, jak kanonierzy byli w stanie ładować pociski. Nie zważając ani na lufy, ani na zapasy amunicji. Pociski świstały w górze i wybuchały w powietrzu lub wyrzucały fontanny ziemi, jeśli zawiódł zapalnik czasowy. Pochylił się na psiej szyi i zacisnął zęby, gdy jazgoczące działka batalionu otworzyły ogień; nie trzeba było się oglądać. Znalazł się bliżej i zobaczył dwa rozstawione rzędy ludzi w leżąco-kłęczącej formacji. A potem pojawiły się karabiny i dało się słyszeć miarowe BAM... BAM... salw plutonów. Dym był na tyle gęsty, iż częściowo przesłaniał żołnierzy, gdy zatrzymał się, rozbryzgując żwir przed stanowiskiem dowódcy batalionu.

Koloniści znajdowali się bliżej, niż się spodziewał, w odległości czterystu metrów, lecz chwiali się pod nieoczekiwanym gradem ognia. *Tak, jest ich wciąż około dwóch tysięcy*, pomyślał Raj. A ich

artyleria wjeżdżała na wzgórze, zarówno pompomy jak i działa polowe.

Gdy się przyglądał, formacje Kolonistów wierzchem skręciły na lewo i prawo, aby otoczyć blokujące siły Rządu Cywilnego. Bez ponagrania, każda bateria na chwilę przerwała ogień i obróciła działa, aby zająć się nowym zagrożeniem. Otaczające siły wysunęły się jeszcze bardziej do przodu, lecz wydawało się, jakby znajdujący się na przedzie Koloniści zniknęli. Raj odczytał sygnały ich trąbki: z *siodła* i *szybkim marszem*. Rząd się skurczył, gdy psy przycupnęły, a potem zmienił się w długi, podwójny szereg ludzi, piechotą zbliżających się równym truchtem.

– Za chwilę, majorze Caltro – rzekł Raj.

Major – był kuzynem od strony matki świętej pamięci Ewardo Poplanicha – skinął głową.

– Kanonierzy nie są z (ego zadowoleni – powiedział.

– Lepiej rozpaczać, niż być martwym – rzucił sucho Raj, popijając łyk ze swojej manierki; dzień był już bardzo gorący.

– I... *teraz!* – powiedział. Major przekazał rozkaz trębaczowi.

Kanonierzy wystrzelili ostatni pocisk ze swojej broni. Słyszał, jak sierżant przeklina, wyszarpując zamek i rzuca go do jednego ze swoich ludzi. A potem wepchnął pocisk odwrotną stroną w otwór, wsadził kawałek lontu w dziurę, w którą normalnie wkładano zapalnik i zapalił go końcówką cygara trzymanego między wargami.

– Zaraz wybuchnie! – zakrzyknął podoficer. Okrzyk ten został powtórzony wzdłuż linii ognia. – Dziesięć sekund!

Żołnierze już biegli z powrotem do swoich psów i wypadali z tyłu cyprysowego gaju wokół meczetu.

– Wycofywać się kolumnami plutonów, galopem! – krzyknął major Caltro.

Raj rozejrzał się w obie strony, dotykając jednocześnie piętami żeber Horace'a. Otaczające z flank grupę znajdowały się jeszcze sporo z tyłu, a główne sity Kolonistów dopiero wskakiwały w siodło i poganiały zwierzęta do galopu – co musiało być dla nich dość frustrujące.

Słońce południa było oślepiająco jasne. Biały pył drogi odbijał jego żar, a pot spływał mu po czole z przesiąkniętej gąbkowo-korkowej wyściółki hełmu. Horace dyszał, a jego czarne futro poplamione było pyłem. Raj odkorkował manierkę i wtarł nieco wody w szyję psa. Gdyby ten padł od upału, to Raj miałby dużego pecha. Jeszcze raz sprawdził tyły. Koloniści nacierali szybko, ale utrzymywali szyk i ciągnęli ze sobą działa.

Ostrożni, ale bystrzy, stwierdził Raj.

Gnając na złamanie karku, pewnie dopadliby go szybciej, ale już dwa razy ich odrzucił. Nic nie wskazywało na to, że nie miał batalionów, które wycofały się z walki i czekały rozstawione, aby schwytać w pułapkę nierozważny pościg.

I na tym polega nasza przewaga, pomyślał. Koloniści wygraliby w pełnym galopie.

– *Jak daleko, mi heneral?* – spytał major, skręcając swego psa w stronę Raja.

– Jakies siedem kilometrów – powiedział ten. A najbliżsi Koloniści znajdowali się teraz w odległości pół kilometra. – W tym tempie, dwadzieścia minut.

Caztro też obejrzał się do tyłu. – Na tyle długo, żeby ich przekonać, że zamierzamy gnać aż do Sandoralu? – Ano właśnie, majorze.

Jeśli wszyscy nie zwiali, gdy ludzie Kaltina wpadli na złamanie karku.

* * *

– *Halto!*

Raj ściągnął wodze, zatrzymując Horace'a, a potem pozwolił mu przypaść do ziemi. Jego

świszczący oddech brzmiał na poły rozpaczliwie, a był on silnym psem. Niektóre z innych psów osuwały się od razu. Ludzie przynosili wiadra wody i zlewali nimi skamlące, dyszące zwierzęta. Raj ściągnął swoją przemoczoną potem chustkę pod szyję i pokłusował ku grupie dowodzącej pod szczytem wzgórza.

– Depczą mi po piętach.

A wszystko wygląda tip-top, pomyślał i zalała go fala takiej ulgi, że lekko zakręciło mu się w głowie. Teren był dobry – sam go wybrał – a Gerrin nie tracił czasu. Ludzie byli rozciągnięci wzdłuż grani, z dala od szczytu i niewidoczni z drugiej strony. Oficerowie leżeli rozciągnięci na szczycie ze zwiniętymi flagami ułożonymi płasko pośród rozsianych drzewek oliwnych. Dla dział i jazgoczących działek przygotowano nie rzucające się w oczy kamienne i ziemne osłony. Na północy za nim znajdował się czekający na polowe operacje punkt medyczny, a sztafety ludzi przynosiły wiadra wody z kanału nawadniającego. Bataliony Kaltina napoiły już swoje psy i przeszły na linię ognia, wszystkie oprócz Jednostki Własnej Poplanich. Jeszcze dwa znajdowały się na dalekiej, prawej flance, czekając wciąż w siodle. Dalej na północy odjeżdżała kłusem mała grupa, ciągnąc za sobą zarośla na końcu arkanów, aby udawać kurz wzniesany przez znacznie większe siły wycofujące się ku Sandoralowi.

– A oni nacierają, jakby nie istniało jutro – rzekł Staenbridge. Raj klęknął obok niego i spojrzał na południe. Koloniści zbliżali się szybkim kłusem, ustawieni do boju w dwa podwójne szeregi, mając między sobą działa i grupę dowodzącą.

– Wiadomość dla pułkownika Dinnalsyna – ciągnął Staenbridge. Goniec pochylił się ku niemu. – Ukłony, a pierwsze strzały powinny zostać skierowane na artylerię nieprzyjaciela, zanim ta będzie miała szansę się ustawić.

Raj przeleciał wzrokiem długą, wyginającą się linię. – Działa? – spytał.

– Jazgoczące działka na przedzie, a większość dział polowych po bokach. – Staenbridge wskazał palcem w dół zbocza, na kępę zieleni wokół małego dworu. – Tam osłonięta bateria.

Oddech Raja się uspokoił. – Dobra robota, udało się utrzymać spokój, gdy ludzie Kaltina wpadli galopem – rzekł.

– Trzymał ich mocno w ryzach, a Suzette i jej pomocnicy czekali z bandażami i wodą – stwierdził Staenbridge. – Wątpię, czy ktokolwiek w tej armii ośmieliłby się panikować, gdy ona patrzy.

Raj skinął głową. *A mimo to, dobra robota, Gerrin*. Spojrzał przez lornetkę i pociągnął kolejny łyk z manierki, pamiętając, aby połknąć po nim tabletkę soli. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, było porażenie słoneczne.

>>Jednostki na przedzie w odległości 2300 metrów<< rzuciło pomocnie Centrum.

>>Zbliżają się gwałtownie.<< W prawym górnym rogu przed oczami ukazał mu się zestaw liczb, przesuający się wraz ze zbliżającym się kłusem nieprzyjacielem.

– Czekać, aż ich zwiadowcy na nas trafią? – spytał Staenbridge. – Zgoda.

Niech mnie diabli, jeśli w ogóle jestem tutaj potrzebny, pomyślał z żalem. Mógłbym iść, uciąć sobie drzemkę.

>>Jesteś źródłem całkowitego kierownictwa<< zbesztalo go Centrum. >>Wybrałeś i wyszkoliłeś kompetentnych podwładnych.<<

Nie jestem jedyny, pomyślał Raj.

– Niech początkowe przyjęcie będzie spokojne – dodał na głos.

Wachlarz zwiadowców wyprzedzał główne siły Kolonistów. Z tuzin ich wjechał z czujnymi oczami, sadząc susami drogą ku grani. Raj zobaczył, jak ich oficer prawie się zatrzymał, rozglądając się na prawo i lewo. *Co go wystraszyło?*

>>Jest zbyt cicho. Nie ma żadnych ptaków ani pterosauroidów poza padlinożercami.<<

Raj podniósł wzrok. Ogromne skrzydła zataczały krąg na skraju jego pola widzenia, wspierając łby z długimi dziobami i cierpliwe, wygłodniałe oczy. Nieco niżej znajdowały się prawdziwe ptaki, jakie ludzie przywieźli ze sobą z utraconej Ziemi – wrony i sępy o nagich szyjach.

Cholera. – Ciekawe, co one robią, jak nie ma wojny? – powiedział.

Staenbridge podniósł także wzrok na chwilę. – A kiedy nie ma wojny?

Zwiadowcy Kolonistów przybliżyli się. Ich przywódca pognał po szczycie wzgórza i znalazłszy się niecałe sto metrów od Raja, zamarł przerażony, a jego okolone brodą usta otworzyły się z zaskoczenia w kształt litery „O” .

Braaaaap. Jazgoczące działko wystrzeliło z bliskiej odległości i zwiadowca padł w płataninie kopiących i wyjących psów oraz rannych ludzi. Zaroilo się nad nimi od żołnierzy strzelających i dzgających bagnietami. Kilku pognało do tyłu. Wybrani strzelcy wyborowi zostali rozstawieni wzdłuż grani; strzelali z powolnym staraniem. Jeden Kolonista padł, drugi... a polem trzeci pochylił się w siodle ranny.

Raj zwrócił lornetkę ku sztandarowi Kolonistów. Po raz pierwszy rzucił okiem na dowódcę nieprzyjaciół. Kwadratowa twarz w średnim wieku pod spiczastym hełmem, ciemna, z jastrzębim nosem, z przetykaną siwizną rozdwojoną brodą. Nie był to Tewfik, lecz młodszy produkt tej samej twardej szkoły. *No dalej, bądź dobrym brudasem,* pomyślał nagląco Raj.

Jak do tej pory zrobił to dwukrotnie, zgodnie z regułami gry. Zatrzymywał się i ustawiał przy spotkaniu z tylną strażą. W obu przypadkach kosztowało go to czas, czas, w którym siły

nieprzyjaciela pustoszące mu kraj zdołały uciec ze swym łupem. I jeszcze te pióropusze kurzu. Jeśli znowu to zrobi, to żołnierzom Rządu Cywilnego może się udać całkiem zbiec. Dopadnięcie niewielkiej straży tylnej bez przeprowadzania pieszego ataku będzie go kosztowało ludzi, ale taka była cena załatwiania interesów.

Tak. Zarżały trąbki Kolonistów i siły nieprzyjaciela rzuciły się do powolnego galopu. Przedni

szereg dobył krzywych szabli, a oficerowie wyciągnęli pistolety.

– Będzie próbował się przez nas przetoczyć – rzekł Staenbridge z okrutnym uśmiechem. – A jednak to on będzie łapał tę lecącą piłkę.

Raj skinął stanowczo głową. Spojrzał w prawo. – Zatrzymałeś...

– 1/591 jako rezerwę uderzeniową. Są w pełnym składzie, mają świeże psy i lubią klingi – powiedział Staenbridge. Odwrócił się znowu do przodu. – Już niedługo.

>>750 metrów. 700 metrów. 650 metrów.<<

Raj skinął głową. Staenbridge dał znak ręką sygnaliście, a ten pochylił się, aby przytknąć swój papieros do niebieskiego papieru rakiety. Ta poleciała łukiem w niebo i wybuchła.

Sztandary jedenastu batalionów uniosły się ponad grzbietem wzgórza jednym falującym szarpnięciem. Cztery tysiące ludzi podniosło się i postąpiło sześć kroków do przodu. Przedni szereg przypadł na jedno kolano, a tylny stał. Kanonierzy popychali wielkie koła swojej broni, aż lufy wystawały ponad granią. Załogi jazgoczących działek odsunęły ochronne zarośla ze swojej wkopanej broni.

Formacje Kolonistów zatrzymały się, jakby wpadły na ceglana ścianę. Wszyscy oni byli żołnierzami weteranami i natychmiast zdali sobie sprawę głęboko w żołądkach, co oznaczał widok rozpościerający się przed ich oczami. Oznaczał on, że zostali właśnie skazani na śmierć.

Bataliony otworzyły ogień niezależnie od siebie, ale w przeciągu paru sekund. Wszyscy nieprzyjaciele znajdowali się na długim, łagodnym zboczu, co oznaczało, że jeśli nawet kula będzie leciała ponad głowami, docierając do nieprzyjacielskiej formacji – wysokie trajektorie były nie do uniknięcia przy broni na czarny proch – to prawdopodobnie zanim uderzy w ziemię, ktoś się przed nią znajdzie. Salwy plutonów przetaczały się przez szereg Rządu Cywilnego falą nagłej mgły brudnoszarego dymu prochowego, z niekończącym się *BAMBAMBAMBAMBAM*. Mosiądz pobłyskiwał w jasnym słońcu, gdy żołnierze ruszali dźwigniami i wyrzucali puste łuski. Miarowo, niczym metronom, co sześć sekund; czterdzieści tysięcy kul na minutę. Cztery jazgoczące działka na batalion dodawały jeszcze drugą połowę tego.

Zamaskowana bateria w dole, na płaskim terenie, otworzyła ogień jednocześnie ze

strzelcami na górze, jako że artylerzyści nie musieli wpychać działek na stanowisko. Zasięg był bardzo bliski. Osiem pocisków wystrzelonych przy minimalnym wyniesieniu lufy świsnęło korytarzem pomiędzy pierwszą a drugą falą kolonijnych sił. Dwa wybuchły przedwcześnie, tnąc szrapnelem po plecach ludzi i psach z pierwszej fali. Jeden poleciał łukiem i zagrzebał się w miękkiej, aluwialnej glebie, wyrzucając niemal nieszkodliwy pióropusz czarnej ziemi, która opadła i została uniesiona wiatrem. Pięć wybuchło w powietrzu w odległości stu metrów od grupy dowodzeniowej nieprzyjaciela pośród zaprzodkowanych dział. Pięć czarnych obłoczków, a w sercu każdego błysk czerwonego ognia. Zielony sztandar padł, a wokół miejsca, gdzie leżał w pyłe, znajdował się krąg rannych psów kłapiących zębami przy swoich ranach.

Dziesięć sekund później czterdzieści osiem dział zmasowanej artylerii w rezerwie wystrzeliło z obu krańców grani. Ich ogień nie był tak celny jak zamaskowanej baterii; zasięg był większy, a kanonierzy mieli mniej czasu, aby ocenić zasięg i nastawić swoje działa. Pociski były z zapalnikami kontaktowymi. Wiele zryło ziemię upadając za wcześnie lub za daleko. I te, i tamte wyrządziły

wystarczająco wiele szkód. Około dwudziestu, które spadły na cele, grzmotnęło w karawanę artylerii wciąż przymocowanej do przodków i zaprzęgów. Psy umierały lub ranne wyły w agonii – a półtonowy, oszalały mięsożerca stanowił większe utrudnienie niż martwe zwierzę. Przodki z amunicją wybuchały kulami czerwonego ognia, wyrzucając koła, beczki i kawałki ludzi na kilkanaście metrów w powietrze. Mimo tego, te załogi dział, które przeżyły, próbowały je odczepić i obrócić lufy, aby wymierzyć w nieprzyjaciela, który ich wyrzynał.

Na próżno. Załogi znajdowały się w zasięgu lekkiej broni z grani. Dziesiątki padły w przeciągu tych paru sekund, gdy Raj się przyglądał. Jeszcze więcej pocisków wybuchło pośród nich i w górze, gdy artyleria Rządu Cywilnego przeszła na pociski z zapalnikami czasowymi, które od góry zasypały ich szrapnelami. Wybuchło jeszcze więcej przodków z amunicją. Raj zobaczył, jak artylerzyści Kolonistów odcinali od zaprzęgów psy, które przeżyły, i gnali na tyły. Oficerowie starający się ich powstrzymać, *byli* tratowani. Cała masa w czerwonych mundurach rzuciła się do ucieczki. To byli ci, którzy w dalszym ciągu mogli się ruszać. Ludzie na najszybszych psach byli pierwsi, a potem spieszni biegli, kuśtykali lub wlekli się.

Dym unosił się nad szeregiem Rządu Cywilnego, gęsty mimo silnego wiatru. Ludzie z artyleryjskich załóg odczołgali się od jazgoczących działek do przodu, pozostając nisko i krzykiem informując towarzyszy z tyłu o celach i odległościach. Oficerowie kierowali szablami salwami żołnierzy.

Gerrin Staenbridge uniósł brew w kierunku Raja, który skinął głową. Kolejna rakietka sygnalizacyjna wystrzeliła z sykiem w niebo i tym razem tryskający obłok dymu był niebieski. Na prawej flance Rządu Cywilnego trąbka warknęła sześć tonów i okrzyk *przerwać ogień* przemknął pomiędzy batalionami z tego końca szeregu. 1/591 poprowadził psy kłusem przez grań i w dół zbocza, nabierając szybkości. Klingi wysunęły się jednoczesną falą lśniącego w słońcu srebra, gdy potęgowała się prędkość szarży. Najpierw powoli – to byli wielcy mężczyźni i ciężkie psy, nowofunlandy i alzaczki mające ogromne łapy i szesnaście dłoni w kłębie. Zwierzęta powarkowały, nacierając; dźwięk jak masa kamieni młyńskich obracających się w jaskini, a ludzie krzyczeli.

– UPYARZ! UPYARZ!

– Ładnie wykonane – rzekł Raj. – Och, *ładnie* wykonane.

Szarża spłynęła ze wzgórze i przebiła się przez flankę rozpadającej się formacji Kolonistów. Dawni Brygadownicy utrzymywali szyk z płynną precyzją, dźgając, rąbiąc i strzelając z rewolwerów, które większość z nich trzymała w lewych rękach. Psy były na tyle dobrze wyszkolone, że nie potrzebowały żadnego prowadzenia poza uciskiem kolan i głosem oraz własnym miejscem w szeregu. Lżejsza kawaleria arabska miałaby kłopot z przyjęciem takiej szarży wierzchem nawet w najlepszej sytuacji. Straciwszy połowę ludzi i spójność w szeregach, zareagowali tak jak szklany słoik upuszczony na kamienną podłogę – rozproszyli się na wszystkie strony. Ludzie z 1/591 przejechali przez ich szereg, zebrali się na wezwanie trąbki, wyrównali szyki i poszarżowali znowu w przeciwnym kierunku. Setki spieszonych Kolonistów trzymały odwróconą broń albo hełmy, prosząc o łaskę.

Barbarzyńcy w służbie Rządu Cywilnego pokrzykiwali jak chłopcy, wjeżdżając znowu galopem w górę zbocza, pomimo paru pustych siodeł. Potrząsali zakrwawionymi klingami w powietrzu i skandowali okrzyki bojowe w gardłowym nameryjskim.

– Cholera, ale to przerażające – powiedział Raj, potrząsając głową i przyglądając się wrogowi.

– Przerażające?

– Jeden błąd i dwa tysiące zdyscyplinowanych żołnierzy ze zdolnym dowódcą zostaje rozkwaszonych.

– Na szczęście, był to *ich* błąd.

Raj skinął ponuro głową. – Na *nieszczęście* Tewfik ma dosyć ludzi, aby pozwolić sobie na popełnienie błędu – a tego już nic popełni. Jeśli my popełnimy jeden taki błąd, to Sandora] zostanie stracony, ta kampania i wojna przegrane. Utracimy wszystko na południe od Oxheadów aż do Komaru na zachodzie.

Staenbridge zamrugał. – Myślenie w taki sposób cały czas musi być bolesne – powiedział. – Ogólny pościg, *mi heneral*? Myślę, że możemy dostać ich wszystkich tutaj.

Raj skinął głową. – Tak byłoby najlepiej. Choć z przykrością patrzę, jak marnuje się tylu dobrych żołnierzy.

>>Zaczekaj. Posłuchaj.<<

– Zaczekaj – powiedział Raj automatycznie. A potem – Zagrać: przerwać ogień i cisza w szeregach.

Staenbridge spojrział na niego dziwnie, a potem dał znak trębaczom. Dało się słyszeć trąbienie i zapadła cisza. Było tak cicho, że najgłośniejsi na polu bitwy byli ranni ludzie i psy.

A z północnego wschodu dobiegł bardzo słaby, przytłumiony huk.

– Działa – rzekł Staenbridge. – Masz dobre uszy, *mi heneral*. >>Odległość 18 kilometrów.<<

Godzina lub dwie wytężonego marszu. – Kwestia tego, żeby wiedzieć, czego słuchać – powiedział Raj. Centrum musiało się posługiwać jego uszami, ale potrafiło zwracać uwagę na *wszystko*, co wychwytiło, nieważne jak słabe. – Wyruszyliśmy na poszukiwanie Tewfika i żeśmy go, cholera, znaleźli, czyż nie?

– Myślisz, że to on? – spytał Staenbridge.

– To kolejna grupa bojowa kawalerii Kolonistów, spotykająca się z jedną z grup wypadowych, które ściągnąłem – powiedział Raj. – A tam, gdzie są dwie, będzie ich więcej. Tewfik jest tutaj, a jeśli ma ze sobą mniej niż dwadzieścia tysięcy ludzi, to ja jestem chrześcijaninem. Sondaż, aby dowiedzieć się, gdzie jesteśmy, a jak już się dowie, to nas przyszpili.

Uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Posłaniec, jedź w kierunku odgłosu dział. To pewnie grupa majora Zahpaty. Powiedz mu, żeby się wycofał tak szybko jak to możliwe i dołączył na szlaku na północ. Gerrinie, przygotujmy się do wyniesienia się stąd i zrób to *teraz*. Postępowanie jak na terytorium wroga.

* * *

– I tam musimy ruszać – powiedział Raj, przygotowując się do zawrócenia Horace'a.

Doktorowi opadły ramiona. Suzette przysunęła się dwa kroki i położyła zbryzganą krwią dłoń na kolanie Raja. Pies pochylił łeb i obwąchał ją. Ona odepchnęła go łagodnie, podnosząc wzrok na

męża.

– Zrobimy to, co się da – powiedziała. Skinął głową bez słów i pociągnął za wodze z niepotrzebną siłą.

Suzette cofnęła się z powrotem do szeregu rannych. *Nie ten*, powiedziały oczy umartwionej.

Suzette spojrzała na żołnierza pocącego się na noszach. Jego oliwkowa twarz była szara od szoku, a oczy miał mocno zaciśnięte. Wokół uda prawej nogi miał przewiązany krępulec, a na ranie pod żebrami założony bandaż uciskowy. *Mógłby przeżyć ranę na nodze, choć straciłby kończynę* – kawałki kości wystawały z masy czerwono-szarego ciała pod mocno zawiązanym materiałem. Jednak z rany na brzuchu dochodził słaby zapach gnicia.

– Masz, żołnierzu – powiedziała po nameryjsku. Sądząc po kolorycie mężczyzna był z Rządu Wojskowego. – Weź to, pomoże na ból.

Niebieskie oczy rozwarły się, błędne, z powiększonymi źrenicami. Uniosła mu do ust kieliszek z płynnym opium. Dawka wystarczała do powalenia bojowego psa i była śmiertelna dla człowieka.

Lepiej niż zostawić ich Kolonistom, pomyślała. Była to ponura pociecha.

* * *

– Tak! – powiedział major Hadolfo Zahpata. – Dawajcie no, *compaydres*. Dajcie tym brudasom popalić!

Przeszedł wzdłuż linii ognia – bardziej przypominającej literę „C” z wgiętymi teraz do tyłu skrzydłami. *Piętnaście setek, ani chybi, pomyślał*, mrużąc oczy przy wpatrywaniu się w jasne światło słoneczne. *A ja mam może trzystu pięćdziesięciu. I my musieliśmy wpaść na nich pod słońce.*

Spadły mu na kurtkę munduru gałązki z morelowego drzewa w małym sadzie, ścięte kulami dragonów Kolonii przed nim. Jeszcze więcej kul przeleciało w górze z głuchym trzaskiem. Spojrzał w dół i zobaczył, że lewy rękaw kurtki ma otwarty aż po łokieć, rozcięty tak gładko, jakby krawieckimi nożycami. Jeden milimetr bliżej i...

Nacierali grupami przez otwarte pola zboża. Kilka setek znajdowało się za skrajem rowu nawadniającego, jakieś sto pięćdziesiąt metrów z przodu. Dawało im to schronienie, co było bardzo złe. Jego działa strzelały ponad podniesionymi celownikami, starając się ich zdusić, co oznaczało; że musieli właściwie ignorować ciągły napływ ludzi *przez* nasyp i na otwarty teren – choć, dzięki niech będą Duchowi, udało im się tam rozwalić parę pompomów. A wróg zachodził go od flank, które zostały teraz cofnięte.

Grupa nieprzyjaciół ustawiła się do szarży. Kilka metrów dalej w szeregu, załoga jazgoczącego działka wsadziła w swoją broń kolejną żelazną tarczę z kulami i zakreśliła korbą. *Braaaaaap*. Włączyły się jeszcze dwie szybkostrzelne bronie. Koloniści się zachwiali,

środek ich szeregów został wybity. Oficerowie kompanii i plutonów nakierowali ponownie ogień żołnierzy i huknęły salwy. Arabowie przypadli z powrotem na ziemię, jeszcze raz otwierając ogień. Człowiek z załogi jazgoczącego działka krzyknął *ooou*, zgiął się wpół i osunął, kopiąc w przedśmiertnych drgawkach. Kolejny odszedł od przodka, aby zająć jego miejsce. Kule odbijały się

od pochyłej żelaznej tarczy przed bronią ze złowieszczymi iskrami.

Dzięki niech będą Duchowi za jazgoczące działka i za messera Raja, który je zrobił, pomyślał Zahpata. Był człowiekiem pobożnym – taka była większość tych, co mieszkali na pograniczu – a messer Raj był żywym dowodem tego, że Duch Człowieka gwiazd czuwał nad Świętą Federacją. Mimo naszych grzechów, dodał, dotykając amuletu.

Pocisk Kolonistów zaświstał w górze i wybuchł za nim. Dał się potem słyszeć chór wrzasków ludzi obłupianych ze skóry przez szrapnel i wycie rannych psów. Huknęły rewolwery, kładąc pokotem kalekie lub niebezpiecznie spanikowane zwierzęta. Znajdujący się obok niego adiutant pochylił się odruchowo pod przelatującym pociskiem. Zahpata się uśmiechnął i pogłaskał po małej, spiczastej, czarnej bródce.

Wszędzie wokół żołnierzy rozłożonych w cieniu owocowych drzew leżał pusty mosiądz. Osy i ośmionogie rodzime insekty pełzały po łuskach, zmierzając ku opadłym morelom, którymi usiana była krótką, wyschła trawa. Ich mdliście słodki zapach mieszał się ze spaloną siarką prochowego dymu i żelazisto-gównianym smrodem gwałtownej śmierci.

– Cieszę się, że się nie martwisz, panie – rzekł adiutant, gdy Zahpata opuścił lornetkę i oparł się o szablę w pochwie.

Zahpata uśmiechnął się lekko. Adiutant był jego siostrzeńcem, nie było to coś rzadkiego w wojsku Rządu Cywilnego i bardzo częste w 18 Pograniczników z Komar. Wszyscy oni rekrutowali się z tej samej płataniny dolin w południowych Oxheadach, pięćset kilometrów na zachód stąd, a połowa batalionu była tak czy inaczej spokrewniona. Adiutant – jego matka była starszą siostrą Zahpaty – był obiecującym młodzieńcem, ale niedoświadczonym w wojnie. Poza ciągłą wojną składającą się z najazdów, potyczek i zasadzek na Beduinów wzdłuż granicy, lecz wszyscy pogranicznicy się do tego rodzili.

– Nie martwię się tak, *chico*, jak się martwiłem, zanim zobaczyłem to – powiedział, wskazując. – Dowódca niewiernych musi być tak zachwycony perspektywą zniszczenia nas, że nie zauważył.

Wskazał palcem. Adiutant spojrział przez swoją własną lornetkę, mrużąc oczy przed słońcem. Zahpata wiedział, co widzi: szereg srebrnych błysków. Słońce odbijające się od kling szabel.

– Czy to nasi?

– Czy posiłki dla tych piaskowych złodziejasków nadciągałyby z dobytymi klingami? – spytał Zahpata. Sądząc po rozpiętości frontu, były to dwa bataliony – jego z Miasta Delrio oraz Dragoni z Novy Haifa, przegrupowujący się zgodnie z rozkazem, jaki wydał, zanim to się zaczęło. Niewątpliwie przyspieszyli tempo na odgłos dział. – Za chwilę...

Nastąpiło gorączkowe nawoływanie się trąbek z miejsca, gdzie stał sztandar dowódcy nieprzyjaciół. Zahpata wyszczerzył się w uśmiechu jak pies wyczuwający krew, gdy artyleria Kolonistów przerwała ogień i zaczęła przypinać się do przodków z paniczną szybkością.

– *Zagrać: nasadzić bagnety*. – powiedział.

Rozbrzmiało ostre warknięcie trąbki. Zaskoczeni ludzie na chwilę przerwali ogień, a potem nastąpił długi szczęk i trzask, gdy wyciągnięto ostrza, a ludzie wsunęli je na miejsce. Nieprzyjaciel zatrzyma! natarcie. Teraz oni podnieśli się i odwrócili, aby się wycofać. Ogień chłostał ich w plecy. Dalej na polach dwa bataliony Rządu Cywilnego załśniły znowu, gdy szable powędrowały w dół i

odegrano szarżę.

– Zagrać *ogólne natarcie, ognia i ruszać się* – rzucił wesoło. Sporo wrogów Ducha powędruje dzisiaj w bezgwiazdne ciemności.

Żołnierze powstali i wyrównali szereg zgodnie ze sztandarami kompanii i batalionów, Ludzie na obu końcach szeregu ruszyli szybkim marszem, aby zmienić swoje „C” w klamrę, zwróconą otwartym krańcem w kierunku wroga. *Młot na kowadle*, pomyślał. Zbliżające się bataliony rozciągnęły się bardziej, a ich artyleria obróciła się, by odprzodkować i otworzyć ogień.

Zahpata zmarszczył brwi. *Mam nadzieję, że nie są zbyt pewni siebie*. Wszystkie pociski wystrzelone za daleko będą lecieć prosto na jego ludzi. A jeśli będzie miał wiele ofiar od przyjacielskiego ognia, to czeka ich chłosta.

Ordynans podprowadził mu psa. Zahpata położył jedną rękę na łęku siodła i wskoczył. Gwizd sprawił, że odwrócił głowę.

Posłaniec był Descottczykiem z patkami Piątego. – Ponie – powiedział ze zgrzytliwym, nosowym akcentem swego rodzinnego hrabstwa. – *Heneralissimo* przysyła ukłony i masz natychmiast doń dołączyć na drodze na północ. Szybko, ano, ponie.

Adiutant Zahpaty podprowadził swego psa bliżej, gdy major czytał kawałek papieru, jaki posłaniec wyciągnął z rękawicy.

– Messer Raj został *pokonany*? – rzekł z niedowierzaniem.

– Nie bądź większym głupcem, niż cię matka zrodziła, Hezus – parsknął Zahpata, czytając. – Ach, wielkie zwycięstwo. Kolejna grupa niewiernych pokonana przy niewielkich stratach własnych.

Napisał coś na odwrocie pierwszej wiadomości. – Ukłony dla *heneralissimo*, spodziewamy się przeciąć północną drogę przy... – Jaka była ta pogańska nazwa? Ach, tak. – przy Mekrez al-Ghirba.

To powinno ustawić go im na drodze, a może nawet dostanie się tam przed czasem. Posłaniec zasalutował, zawrócił psa i wbił mu pięty w żebra.

– Jeśli nie zostaliśmy pokonani, panie, to czemu się wycofujemy?

Zahpata spojrział na żarliwą młodą twarz i westchnął w duszy. Chłopak był tutaj jako wojskowy czeladnik, a po młodych spodziewałeś się, że są głupcami. *Choć messer Raj był tylko o parę lat starszy, gdy otrzymał swoje pierwsze niezależne dowództwo*.

– Messer Raj spotkał i pokonał jedną kolumnę nieprzyjaciela, może z dwa tysiące ludzi, dwa tysiące pięćset. Z dwudziestoma działami. My spotkaliśmy i pokonaliśmy kolejną – tysiąc pięćset ludzi, dziesięć dział. Jak sądzisz, co stanie się dalej?

– Och – powiedział adiutant.

Zahpata zdzielił go po łbie, częściowo po przyjacielsku; hełm mu zadzwięczał. – Żyj i ucz się, chłopcze, albo też nie ucz się i giń. – Rozejrzył się dookoła. – Posłaniec, do dowódców batalionów. 18 z Komar poprowadzi, za nim Miasto Delrio, Nowy Haifa na tyłach. Czujki zwiadowcze na wszystkie strony, maksymalna czujność. *Hadelande!*

Rozdział dziesiąty

Było ciemno, słońce zaszło i na niebie znajdowała się tylko Miniluna. Ziemia oddawała gorąco całego dnia, promieniując nim z nagiej gliny przeżartych erozją terenów w zakolu Drangosh. Ciemność zmieniała ochry i umbry kanionów w jednakową szarość. Pte-rosauroidy popiskiwały i pokrzykiwały w górze, śmigając za latającymi w nocy owadami. Raj dostrzegł błysk w ogromnych, okrągłych oczach jednego z nich, błędzący ślad światła gwiazd. Pochodzące z Ziemi nietoperze ciszej przelatywały obok. W dali, w płataninie jarów i zagłębień coś ryknęło wznoszącym się tonem, który zakończył się przenikliwym wrzaskiem. Od szeregu psów dobiegło pobrzękiwanie, gdy wielkie zwierzęta podniosły łby i nastawiły uszu. Jakiś camosauroid; trudno je było wytrzebić na każdym obszarze bez gęstego zaludnienia, a siły Rządu Cywilnego znajdowały się w pasie nieuprawnej ziemi rozciągającej się zaraz na zachód od Ain el-Hilwa, wzdłuż rzeki na północy, aż do granicy.

Raj usiadł, owijając się płaszczem oficerskim i spoglądając na gwiazdy biegnące grubym, mroźnym łukiem na niebie. Gwiazdy znajdujące się tam, gdzie niegdyś mieszkał człowiek, przed Upadkiem – i gdzie zamieszka znowu, jeśli powiedzie się plan Centrum.

Nie-Upadli mieli boskie moce, pomyślał Raj. A jednak z tego, co mówi mi Centrum, byli oni nadal ludźmi. Nie byli bezgrzeszni, jak naucza kościół. Mieli swoje wojny i swoje intrygi, tak jak i my. Swoje tragedie i klęski, tak jak my je mamy.

>>To prawda<< powiedział głos w jego umyśle. >>Moja analiza mówi, iż stanowią one nieodłączną część natury twojego gatunku.<<

Raj oparł się o gliniastą ziemię i zapalił obcięte z obu stron cygaro. *Zatem, gdzie w tym sens? – spytał. Jeśli pozwala to tylko ludziom popełniać błędy na większą skalę i w szerszym zakresie?*

Centrum milczało przez pół minuty. >>To jest trudne pytanie, ocierające się o granice moich zdolności analitycznych. Nie zostałem skonstruowany, aby mieć filozoficzne wątpliwości.<<

Kolejna przerwa. >>Ujmę to w ten sposób. Upadek reprezentował ograniczenie ludzkich wyborów wynikające z nieoptymalnych decyzji. Większe możliwości zjednoczonej i

technologicznie zaawansowanej cywilizacji uwalniają istoty ludzkie od determinizmu natury. Zarówno ich tryumfy i upadki stają się kwestią wyboru.<<

A nasze nie są?

>>Tylko w bardzo ograniczonym stopniu. Znaczna większość ludzi na Bellevue to wieśniacy, bo brakuje wam mocy produkcyjnych, aby zorganizować się inaczej. To wyklucza mniej autorytarne formy rządów i organizacji społecznej, bo cywilizowane regiony zbyt mocno polegają na pracy przymusowej przy produkcji siarki, od której są uzależnione miasta i umiejąca czytać i pisać klasa niepracująca. Jeśli Upadek będzie trwał, to padną nawet społeczeństwa oparte na rolnictwie i maksymalna entropia zostanie osiągnięta na poziomie myśliwego-zbieracza. Przetrawanie życia ludzkiego na tej planecie stanie wówczas pod znakiem zapytania.<<

Jakby dla zilustrowania tej kwestii, dał się słyszeć ponownie w nocy bulgotliwy wrzask carnosauroida.

>>W końcu może się z tego wyłonić nowa cywilizacja, ale będzie jej brakowało ciągłości z kulturą przodków. A piętnaście tysięcy lat zdżiczenia oznacza setki pokoleń ludzi bez szansy na wykorzystywanie swych możliwości.<<

Raj skinął głową. Wieśniacy byli starzy, mając czterdziestkę i każdy dzień w ich życiu był mniej więcej taki sam, poza chwilami, gdy coś szło nie tak. Kościół mówił, że była to kara za grzechy ludzi – co według Centrum było prawdą w dosłownym tego słowa znaczeniu – ale nie istniał powód, dla którego kara miałaby trwać wiecznie.

Wzdrygnął się lekko pomimo ciepła ziemi pod plecami. *Zatem los ludzkiej rasy przez następne piętnaście milenium spoczywa na mnie. I mamy szansę pół na pół, że nam się to uda.*

>>Ano właśnie.<<

Wstał i wyrzucił peta w ciemność; pojedynczy, rozżarzony węgielek, który poleciał lukiem i zniknął w nocy. Odwrócił się. Zanim grupa dowódcza zbierała się dokoła kręgu światła rzucanego przez lampę naftową, a cień kładący się na kościach ich twarzy czynił z nich ostre reliefy. Oficerowie rozkładali mapy. żując suchary i kawałki oderwanego mięsa. Ich uśmiechy i oczy wyglądały w żółtym świetle dziko jak u wielu psów bojowych.

– Cóż, im szybciej zaczniemy, tym wcześniej skończymy – powiedział Raj. Wszedł w światło. – Dobrze, panowie. Główne siły Tewfika są mniejsze, niż się spodziewałem – około szesnaście tysięcy ludzi, wedle raportu kapitana M'lewis.

– Policzyłem sztandary, panie. Nie mogłem się zbliżyć. Te brudasy są chronione bardziej niż wisienka w haremie szmacianego łba.

Wszyscy skinęli głowami. Jednostki Kolonistów miały mniej ustandaryzowaną liczebność niż ich odpowiedniki w Rządzie Cywilnym. Jednym z powodów takiego postępowania była celowa próba utrudnienia obserwatorom dokonania szybkiej i akuranej oceny liczebności armii Kolonistów poprzez zliczenie sztandarów jednostek.

– Przyjmijmy szesnaście tysięcy jako przybliżoną liczbę, a to mnie martwi, messerowie. Jesteśmy tutaj – położył palec w miejscu na zachód od Ain el-Hilwa – i musimy przeciąć zakole Drangosh, aby wrócić do naszego przyczółka mostowego po drugiej stronie od Sandoralu. Mam nadzieję, że wszyscy zdajecie sobie sprawę, że opuściwszy główną armię Aliego...

Przesunął palec na zachodni brzeg i na północ prawie pod Sandora!, a potem znowu na południe do pontonowego mostu Kolonistów.

– ...Tewfik mógł pozostawić siły, które przekroczyłyby rzekę i zajęły pozycje blokujące na północ od nas.

Sądząc po wyrazie ich twarzy, ta myśl stanowiła nieprzyjemną niespodziankę dla kilku dowódców batalionów – choć nie dla jego towarzyszy.

– Zależy to od tego, jak Tewfik ocenia naszą liczebność i zamiary. Pozwolimy ludziom odpocząć jeszcze godzinę, a potem wyruszymy, gdy wzejdzie Maxiluna. – Gdy oba księżycy będą znajdować się na niebie, będzie wystarczająco dużo światła, aby jechać. – Wykorzystamy każdą godzinę ciemności, jaką się da. Będzie też chłodniej.

– Pułkownikowi Staenbridge – ciągnął dalej – weźmiesz trzy kompanie Piątego i poprowadzisz.

Kapitanie M'lewis, będziesz czujkami dla zwiadowczych czujek. Gerrinie, jeśli wpadniesz na cokolwiek, z czym, jak osądzisz, sobie poradzisz, to się przez to przebij. Jeśli nie, obejdź, jeśli *to* będzie możliwe, osłaniając nasz odwrót. Majorze Zahpata, ty i twój 18 z Komar podążycie zaraz za nimi w kolumnie marszowej. Stosuj normalne środki ostrożności, ale opieraj się na wywiadzie pułkownika Staenbridge'a. Gerrinie, jeśli natkniesz się na cokolwiek, z czym *nie* będziesz mógł sobie poradzić, to major Zahpata ma natychmiast dołączyć i udzielić wsparcia Piątemu pod twoją komendą. Zrozumiano?

Obydwaj mężczyźni skinęli głowami. *Przynajmniej nie muszą się zastanawiać, kto od kogo będzie przyjmował rozkazy*, pomyślał z wdzięcznością Raj. Taka sytuacja niemal doprowadziła go do śmierci w trakcie kampanii w Południowych Terytoriach, z rąk zmarłego i nieodżałowanego majora Dalhouse. Problem polegał na tym, iż Rząd Cywilny nie miał stałych armii polowych ani stałej struktury powyżej poziomu batalionu – duże, skoncentrowane siły polowe były zbyt kuszące dla ambitnych generałów. Obecnie, wszyscy ci ludzie byli z nim na kampanii na tyle długo, że pracowali razem gładko, a on pozbywał się tępych idiotów, w ten czy inny sposób.

– Reszta będzie się posuwać podwójną kolumną po tych drogach – powiedział i dwa razy przesuwając palcem, pokazał szlak na północny zachód. – Nigdy nie odsuwają się od siebie na więcej niż kilometr, więc będziecie na tyle blisko, aby się wzajemnie wspierać. Jeśli pułkownik Staenbridge wpadnie na znaczne siły blokujące, to ominiecie je od flanki i przy okazji skubniecie ich od tyłu. Skopcie im dupę, a nie obsikujcie ich. *Me możemy* sobie pozwolić na wplątanie się w walkę.

– Pewnie że nie – rzucił spokojnie Staenbridge, wciąż przyglądając się mapie. – Nie wtedy, gdy dybie na nas Tewfik z szesnastoma tysiącami brudasów.

– Ano właśnie.

– Jakie jest źródło informacji dotyczące tych ścieżek przez ten poszarpany teren? – spytał Zahpata.

Raj sam je dorysował. – Osobiste źródła, majorze. Możesz na nich polegać. – *Centrum może zrobić więcej przy pomocy moich oczu niż ja sam*, dodał w duchu.

– Majorze Gruderze, mam zadanie specjalne dla twoich ludzi. A poza tym, rozkaz wymarszu idzie jak następuje...

Gdy oficerowie rozeszli się do swoich jednostek, Raj poprowadził Kaltina Grudera do ujścia parowu.

– Kaltinie, chcę, abyś dokonał tutaj zasadzki batalionem na straż przednią Tewfika – powiedział.

Mrużąc oczy, Gruder spojrział na przezarte erozją, gliniaste wzgórza, porównując je z tym samym widokiem zapamiętanym w świetle dnia. – Dobry teren – powiedział. – I przytarliśmy im parę razy nosa. Tym razem będzie bardziej ostrożny.

– Być może. Chcę, abyś kupił nam czas, ale *nie* za cenę twojego batalionu. Jasne?

Gruder skinął głową. Raj ciągnął dalej – Tewfik wie, że ma dwa sposoby na wygranie tej kampanii. Szybki sposób polega na pochyceniu nas i zmiżdżeniu, zanim dotrzemy z powrotem do Sandoralu. Ma przewagę liczebną, ale byłoby to kosztowne. Z drugiej strony, szybkie zwycięstwo jest zawsze lepsze. Im prędzej wygrasz, tym mniej czasu ma druga strona, aby wymyślić jakąś

sztuczkę. Powolny sposób polega na zapędzeniu nas z powrotem do Sandoralu i zagłodzeniu na śmierć. Zatem pewnie z chęcią rzuci się na ciebie, aby oszczędzić sobie czasu, ale nie zrobi tego bezmyślnie.

Raj podszedł do łąty płaskiego piasku, szorstkich okruchów wymytych z klifów w górze. Wyglądził go jeszcze bardziej swoim butem i dobył szabli, aby po nim rysować.

– To jest twoja pozycja. Mniej więcej bardzo szerokie „V”, z otwartym końcem zwróconym w stronę południa. Niech twoi ludzie wykopią doły na karabiny u podnóża tych

wzgórz. Oddeleguję do pomocy Miasto Delrio, zanim się wycofają. Wzniećcie pył, i trudno będzie im ocenić waszą liczebność, zanim się nie zbliżą. – Przesunął palcem wzdłuż linii. – Trzymajcie swoje psy pod ręką, tutaj i wzdłuż niej. Powiem, żeby Delrio zostawili ci też swoje jazgoczące działka – to da ci razem osiem. Postaw je tutaj – tutaj – tutaj – tutaj, w parach.

Jego szabla zaznaczała miejsca z przodu „V”. Gruder zmarszczył brwi.

– W dole, na płaskim?

– To nie jest artyleria, Kaltin – strzelają kulami, a nie pociskami. Gruder skinął z zamyśleniem głową. Kula była niebezpieczna na całej długości swojej trajektorii, jeśli wystrzelono ją w stronę formacji o jakiejś grubości. Gdy wystrzelono ją z góry, to albo trafiała w cel, w jaki została wystrzelona, albo też wbijała się w ziemię, nie wyrządzając szkody; wystrzelona po równym leciała o wiele dalej.

– Da ci to ogień krzyżowy zarówno od piechoty, jak i jazgoczących działek, o tak. – Czubek szabli Raja wyrysował X na piasku.

– A teraz – ciągnął dalej, przesuwając szablę na lewo i prawo po obu stronach wcięcia – ten teren jest raczej nie do przejścia dla zwartych formacji żołnierzy. Na pewno dla artylerii. Ustaw obserwatorów *tutaj i tutaj*. Tewfik może starać się posłać spieszonych żołnierzy dokoła twojej flanki w tych miejscach. Jeśli tak robi, zablokuj ich przy pomocy swojej rezerwowej kompanii – na tym terenie powinno to być łatwe.

– Tutaj, około dwadzieścia kilometrów stąd, jest jedyna druga ścieżka odpowiednia dla artylerii i większych formacji żołnierzy. Tam się uda Tewfik, gdy zdecyduje, że nie może cię po prostu zdobyć szturmem. Postaw sztafetę ludzi pomiędzy tym miejscem a tamtym. Kiedy dostaną się tam jego siły otaczające, wycofaj się.

Uniósł głowę i spotkał się wzrokiem z oczami drugiego mężczyzny. Jego spojrzenie było beznamienne i twarde. – Nie daję ci *żadnego wyboru* w tej kwestii. Gdy jego ludzie się tam znajdą, wynosicie się. Zrozumiano?

– *Si, mi heneral* – powiedział Gruder. Uśmiechnął się. – Nauczyłem się czegoś przez ostatnie pięć lat.

– Taką mam nadzieję, bo nie mogę się obyć bez ciebie *ani* twojego batalionu – powiedział Raj.

– Hmmm. Artyleria tutaj? – szabla Kaltina wskazała na wierzchołek „V”.

– Tak, i najpierw rusz działka. A także przejdź cały ten teren dziś w nocy i niech twoi dowódcy kompanii też to zrobią. Znaki zasięgu, wszystkie cuda niewidy.

– *Si*. – Kaltin przyglądał się prowizorycznej mapie na piasku. – Ściągnę ich też, żeby na to popatrzyli. Masz dobrą pamięć do terenu, *mi heneral*.

Co było prawdą, a szczególnie z pomocą Centrum. – *Waya eon Ispirito del Homme* – powiedział Raj. Pochwycili się za przedramiona. – Zdobądź mi dodatkowe pół dnia.

– Niech Duch będzie także z tobą, generale. Uważaj to za zrobione.

* * *

Tewfik ibn'Jamal, *amir* Zastępu Pokoju, opuścił lornetkę i zaklął. Arabski był do tego najlepszym językiem, jak i do wszystkiego innego – czego można się było spodziewać po języku, w którym bóg podyktował swoje słowo – potoczyste, gardłowe wulgaryzmy nie przyniosły ulgi jego uczuciom.

– I niech pchły tysiąca parszywych, wściekłych psów obleżą jądra tego *kaphara*, generała Whitehalla – zakończył.

Dalej znajdował się rozległy stok mający szerokość pięciu tysięcy metrów na początku, zwężający się do zaledwie setki tam, gdzie droga wiła się pośród przeżartego erozją terenu. Wzgórza z tyłu i po obu stronach nie były wysokie, ale były strome niczym boki domów; krusząca się glina podziobana i pobrużdżona przez występujące rzadko urwania chmury w czasie zimy w dolinie Drangosh. Trakt był z ubitej ziemi – drugorzędna droga. Główny trakt – niech Allah w płomieniach Eblis dręczy dusze inżynierów, którzy go wytyczyli – biegł równoległe do kanału Ghor, przez zaludnione dystrykty dalej na wschodzie i ku Ain el-Hilwa. Temu miastu głupców i debilów.

Pojechanie nim będzie oznaczało dwa dni opóźnienia, dość czasu, aby najeźdźcy pognali z powrotem za mury Sandoralu – zabierając wraz z sobą wszelką szansę szybkiego zakończenia tej przeklętej wojny.

Kolejny *tabor* spieszonych żołnierzy przytruchtał do „V”, zmierzając ku najbardziej wysuniętej pozycji nieprzyjaciela po tej stronie. Jeśli uda im się przedrzeć przez zewnętrzny skraj formacji, to uda im się ją zniszczyć doszczętnie, poczynając od podnóża wzgórz. Zabrzmiało *miarowe* braaaap... *braaaaap*, a ludzie padali. Postacie w czerwonych jellabach upadały na gorący, biały pył dna doliny; leżały nieruchomo lub drgały i jęczały. Widział obłoczki pyłu tam, gdzie uderzyły kule, a dym buchał ze stanowisk nowych, szybkostrzelnych broni; miarowy trzaski huk z karabinowych jam, z których żołnierze niewiernych utrzymywali ciągły grad dobrze wymierzonego ognia. Przygalopował pompom, aby wspomóc jego żołnierzy.

Szybkostrzelna broń z obu stron „V” przesunęła się na niego. Psy z zaprzęgu pompoma padły w płataninie ciał, a długa, smukła lufa działa na próżno się odwróciła. Tewfik patrzył,

jak ten, który przeżył, wlecze ранego towarzysza do schronienia. Kule padały na działko niczym grad, odbijając się kawałkami z piskiem i iskrzeniem.

Na linii dział, bezpośrednio przed nim, załogi popychały ogony łoża siedemdziesięciomilimetrowych dział polowych i pompomów. Buchnęło jeszcze więcej dymu, gdy wystrzeliły; fala czerwonych języków ognia z lewej do prawej. Ziemia trysnęła fontanną w niebo wzdłuż linii nieprzyjaciela, a dodatkowy zaprzęg przygalopował, aby odciągnąć pompom i rannych.

– Czy nie możesz zdusić tej broni powstałej z inspiracji szatana? – spytał.

Jego dowódca artylerii wzruszył niechętnie ramionami. – Insh'allah – powiedział. – *Amir*,

czymkolwiek one są, to nie mają odrzutu jak artyleria – więc można je mocno wkopać. A my widzimy tylko lufę i górę żelaznej osłony. Żeby dobrze strzelić, musimy się zbliżyć – a widziałeś wynik *tego*. Mają też baterię dział polowych w górze i dwustumetrową przewagę wysokości. Jeśli popchnę linię naszych dział do przodu, to gdy będą próbować się ustawić, dostaną się pod ogień artyleryjski z wysokości i ostrzał lżejszej broni.

- Przesuń działa w lewo, skoncentrujcie się na zewnętrznym ramieniu obrony nieprzyjaciela.
- Wedle rozkazu *amira* – powiedział kanonier.

Tewfik odwrócił się z powrotem do stołu z mapami. Pot kapał mu z czubków brody na gruby papier, przypominając mu o tym, jak bardzo jest spragniony. Bukłak z kozłej skóry, *chaggal*, u jego boku był w połowie pusty. Jego ludzie mieli gorzej, a w odległości mniejszej niż pół dnia jazdy nie było źródła dobrej wody wystarczającego dla piętnastu tysięcy ludzi.

- Muhammed – powiedział i jeden z jego oficerów skłonił się. – Zagraj odwrót.
- Kolejne natarcie i się przebijemy, *amirze* – rzekł z uporem mężczyzna.

– Kolejne natarcie i stracimy kolejnych stu ludzi – rzekł Tewfik. Właśnie wtedy przybiegło dwóch noszowych. Dźwigany przez nich ciężar jęknął i zaczął odganiać muchy pełzające po swojej zniszczonej twarzy. – Albo skończymy *tak*. Nie trwam przy planie, który zawiódł.

- Jestem posłuszny.

– I niech ludzie tutaj się ruszą. – Przesunął palcem po mapie na wschód. – Ludzie piechotą zdołają przejść. I zapędź do roboty tych beduińskich myśliwych. Ci piaskowi złodzieje nic nie robią poza siedzeniem na dupie i zjadaniem pożywienia ludziom lepszym od siebie. Powinni znać ścieżki. Zatocz koło ku tyłom pozycji nieprzyjaciela.

– Anwarze – ciągnął. – Ty weźmiesz brygadę rezerwową i przemierzysz – przesunął palec, zakreślając pętlę ku zachodowi – dwadzieścia kilometrów. Trzeciorzędna droga –

wedle raportów przejezdna dla transportu kołowego. Przyj aź na otwartą przestrzeń po drugiej stronie tych parowów, zabezpiecz trasę, a ja podążę za tobą. Mutasimie, ty ustawisz siły blokujące u ujścia tej śmiertelnej pułapki. Zostawię ci trzydzieści dział. Gdy *kapharzy* się wycofają, rusz w pościg, spowolnij ich, jeśli możesz. Zobaczymy, czy ten, komu Whitehall zostawił dowodzenie, ma dość rozumu, aby uciec szybko, gdy go otoczymy.

Mutasim się skrzywił. – Jak dotąd niewiele osiągnęliśmy – rzekł, szarpiąc się za brodę.

– Nie ma Boga poza Bogiem, a wszystko dzieje się zgodnie z wolą Boga – rzekł Tewfik. Zwalczył ochotę, aby zazgrzytać zębami. – Posłano nas, abyśmy powstrzymali nieprzyjaciela od pustoszenia naszej ziemi, i to zrobiliśmy. Ruszemy za nim w pościg. Jeśli go schwytemy, to go zniszczymy, a jeśli nic, to będziemy go oblegać w Sandoralu, który nie ma zapasów, aby drugo go utrzymywać. W przeciągu tygodnia zaczną zjadać swoje psy – co zniszczy wszelką nadzieję na mobilność. A potem to już tylko kwestia czasu. Był to tylko niszczycielski najazd, nic więcej. Insh'allah.

- Jak Bóg pozwoli – powtórzyli pozostali.
- Idźcie. Ruszać szybko.

Oficerowie odeszli i zaczęły grać trąbki. Pozostali tylko adiutanci, posłańcy i osobiści niewolnicy *amira*, czekający w milczeniu na to, czego zapragnie. Tewfik stał i wpatrywał się znowu w dolinę, bezwiednie dotykając swojej opaski na oko. Nigdy przedtem nie powstrzymała go ona od zajrzenia w serce i umysł dowódcy nieprzyjaciela. *Whitehallu, Whitehallu, jaki masz pian? Jakie marzenie o zwycięstwie hołubisz potajemnie w swym sercu?*

To go martwiło. Pamiętał kampanię pod El Djem. Dopadł wówczas Whitehalla i pobił – choć uparta walka przy odwróceniu była skuteczna i uniemożliwiła mu wykończenie młodego *kapharskiego* dowódcy bez zapłacenia zbyt wysokiej ceny. Gorzko żałował tej decyzji w rok później, gdy siły Kolonii spotkały się z armią Whitehalla.

Niech miłosierny, litościwy zmiłuje się nad twą duszą, mój ojciec, pomyślał. Jamal był twardym człowiekiem i dobrym osadnikiem, lecz nie wspaniałym generałem. *Daleś rozkaz do bezpośredniego ataku na działa kaphara i zapłaciliśmy za to*, pomyślał gorzko Tewfik. Jamal zapłacił swoją głową, a Dom Islamu tysiącami swoich najlepszych żołnierzy i spuścizną wojny domowej. Wszystko to była sprawka Whitehalla. Szatan się napracował w dniu, gdy Whitehall narodził się wśród niewiernych z Domu Wojny, zamiast jako wyznawca.

Od tego czasu Whitehall stoczył wojnę na Zachodzie, podczas gdy Tewfik wycofał swój Zastęp Pokoju i przygotowywał się do następnej rundy bitwy. Tym razem nie powinno być wątpliwości co do jej wyniku. Miał ogromną przewagę liczebną i nawet Ali nie zmusi go do popełnienia tego rodzaju błędu, jaki popełnił jego ojciec.

A mimo to wierni mieli dobre źródła informacji na zachodnich ziemiach. Tewfik uważnie śledził kampanię Whitehalla i rozmawiał z naocznymi świadkami. *Dlaczego ten najazd?* Wyprowadzając swe siły z murów Sandoralu, Whitehall wystawił je na ryzyko porażki – nie mając żadnej równoważącej to szansy na decydujące zwycięstwo. To prawda, że spustoszył bogate ziemie. To prawda, że wykonał taktyczne zwroty bolesne dla muzułmanów. Nasze straty były większe niż jego. *My jednak możemy przyjąć je bez strategicznych konsekwencji i on o tym wie*. Zaś spalone wioski w tym maleńkim zakątku włości osadnika nie stanowiły żadnej strategicznej straty. Tak, były tragedią dla tych, którzy cierpieli i wystarczyły do wzbudzenia okrzyków wściekłości u wielmożów, których posiadłości zostały spustoszone, lecz nie było to nic śmiertelnego. Przynajmniej raz w przeszłości zastępy *kapharów* dotarły aż do murów samego Al Kebir, siejąc spustoszenie, a Dom Islamu nadal stoi – na południu i wschodzie od stolicy znajdowały się przepastne i bogate ziemie, z których można było czerpać. Było to nic w porównaniu do tego.

Whitehall musi mieć *jakiś* zamiar, coś o decydującym znaczeniu. Ale *jaki*?

Tewfik pociągnął się znowu za brodę. – Wsadził do Sandoralu tylu żołnierzy, ilu się dało, zanim dotarliśmy pod mury – wymruczał do siebie. – A lepiej byłoby posiać jedną trzecią tego i wykorzystać pozostałe pociągi na zapasy. – Wysłanie wszystkich cywilów poza fortecę miasta było sprytnym posunięciem, lecz niewystarczającym. I po co aż tyle kawalerii, gdy sprawa zostanie rozstrzygnięta walką z silnych umocnień?

– Ma zbyt wielu żołnierzy do obrony murów i nie dość żywności, aby wykarmić tę liczbę, jaką sprowadził, a mimo to nie dość ludzi do spotkania się z nami w polu.

Trzy funty żywności na człowieka dziennie, piętnaście dla psa. Whitehall znał wagę logistyki tak samo jak każdy inny. Jaki miał plan?

Było w tym coś jeszcze, coś poza geniuszem wojaczki młodego *kapharskiego* dowódcy. Niewierni szeptali, że ich fałszywy bóg stoi u boku Whitehalla.

Wzruszył ramionami na ten pomysł. Nie było Boga poza Bogiem. – Insh'allah – powiedział znowu, wsadzając swoją lornetkę z powrotem do futerału u pasa. – Nie traćmy więcej czasu.

* * *

– *Hadelande!*

Robbi M'Telgez wyciągnął karabin z olstra i kopnięciem uwolnił nogi ze strzemion. Ziemia przyklejała mu się do podeszew butów, gdy Pochita przysiadła. Odwrócił się i pobiegł w górę osypującego się zbocza, pokaszując w pyle, jaki wzniecała wspinająca się kompania A.

Wbijał kolbę karabinu w ziemię, aby się utrzymać, czując, jak pył przylepia mu się do potu na twarzy i mrugając oczami, aby się pozbyć pieczenia oraz dziękując Duchowi za kolczugowy ochraniacz przyczepiony z tyłu hełmu. Mógł on odbić uderzenie miecza albo i nie, lecz skórzana wyściółka kolczugi całkiem nieźle chroniła szyję przed słońcem.

Kapitan Foley dotarł na szczyt, a jego chorąży ustawił porządek kompanii. Oficer stał z wyciągniętym ramieniem – tym z hakiem – i szablą, aby podać ustawienie szyku. M'Telgez padł na brzuch i przeczołgał się ostatnie trzy kroki do grzbietu, bowiem kule już świstały w górze. *Ten to ma jaja*, pomyślał.

Foley pozostał wyprostowany, aż jednostka znalazła się na miejscu, a potem przypadł tylko na jedno kolano zaraz za granią. Niektórzy ludzie z innych jednostek nie dawali im żyć za to, że mieli za dowódcę kompanii chłopaka pułkownika. Jego samego nie obchodziło, czy Foley jebał mężczyzn, kobiety, suki czy owce, dopóki znał się na swojej robocie, a tak było.

Po przeciwległej stronie było mnóstwo brudasów, całe setki, zmierzające ku temu samemu grzbietowi wzgórza. Jednak tam stok był bardziej stromy. Widział jak ich grupki przewracały się do tyłu, zlatując w miniaturowych lawinach kamieni i gliny, w dół do miejsca, gdzie w wyschłym korycie strumienia kręciły się ich psy. Inni leżeli na zboczu, strzelając ku sztandarom Rządu Cywilnego, które pojawiły się na grani nad nimi. M'Telgez nastawił drabinkowy celownik zamontowany zaraz przed zamkiem jego karabinu ze zbrojowni i nastawił szczelinę na 800 metrów.

– Wybrać cele! – zakrzyknął podchorąży dowodzący jego plutonem.

Zrobił tak, wybrał brudasza z wymyślnym wzorem szaty, obchodzącego podnóże wzgórza z orszakiem sygnalistów. Długi strzał i trudny, tu z góry, ale mógł się dobrze oprzeć o ziemię. Wbił karabin w glebę, opierając palce lekko na łożu i przycisnął delikatnie spust.

– *Fwego!*

BAM. Wypaliło osiemdziesiąt karabinów. Kolba walnęła go w ramię, a w ułamek sekundy później brudas w wymyślnej szacie zgiął się wpół od walnięcia ciężkiej Jedenastomilimetrowej kuli. Upadł kopiąc. *I już się nie podniesie*, pomyślał M'Telgez. Nie wtedy, gdy pocisk z wydrążonym czubkiem wybił tunel wielkości pięści w jego brzuchu i wnętrznościach. Descottczyk zagwizdał niemelodyjnie przez zęby, przesuwając dźwignię i przeładowując. Pusty mosiądz zadźwięczał, spadając na zbocze z tyłu. Większość innych wybrała cele wyżej; ciała ześlizgiwały się po stromym stoku. Także żywi ludzie, jako że bardziej rozsądne brudaszy uznały, iż wdrapywanie się z trudem po osuwającym się zboczu pochylonym pod kątem czterdziestu stopni, w ogniu, nie jest sposobem na

długie życie.

BAM. Wybrał kolejny trudny cel, Kolonistę leżącego za lekkim wzniesieniem i odpowiadającego ogniem. Jego jellaba wtapiała się dobrze w gliniaste podłoże, lecz M'Telgez wycelował nieco bardziej w górę. W kilka sekund później brudas szarpnął się i chwycił za plecy. Dźwignia, przeładować.

– Pięć kul, niezależny ogień, szybkie strzały, fwego.

Ręka M'Tegleza powędrowała do sakiewki. Wyciągnął cztery naboje z pętelek i wsadził je sobie czubkami pomiędzy wargi, jak papierosy. Wsadził kolejny pocisk do komory i nasadził celownik drabinkowy z powrotem na suwak.

Cholera. Było zbyt wielu brudasów, którzy postanowili się na to odważyć. *Barn.* Jeden padł. Wyciągnął jeden z pocisków spomiędzy ust. *Barn.* Chybił, lecz cel wrzasnął i odskoczył w bok. *Barn.* Strzał w głowę, spiczasty hełm pokoziołkował w dół zbocza, rozbryzgując krew i mózg. *Barn.* Trudno było powiedzieć, dym był zbyt gęsty. *Barn.*

Nacierający nieprzyjaciel zachwiał się, a potem wycofał. Większość z wrogów odwróciła się na plecy i zjechała po zboczu, kontrolując poślizg przy pomocy stóp. Ana dole było wystarczająco dużo głazów i kamieni, aby się ukryć, jeśli będą ostrożni.

– Okopać się!

Rozkaz został przekazany dalej w szeregu. M'Telgez zaklął. Jak większość kawalerzystów nie znosił kopania – w rodzinnych stronach, w Descott, *vakaro* z niechęcią podchodził do wszelkiej pracy, której nie dało się wykonać z siodła. Z rezygnacją przemówił do swego oddziału – Parzyste numery! Nieparzyste na wartę. No dalej, chłopaki, nie łapiecie się przecie za fiuty, zabrać się za to!

Sięgnął ku tyłowi parcianego pasa i odwiązał skórzaną sakiewkę, w której znajdowało się ostrze jego narzędzia do okopywania się. Było motyką, jeśli umieściło sieje w środkowej dziurze, lub szpadlem, jeśli włożyło się w szczelinę za szerszą częścią. Odczepił drewniane stylisko wiszące u pasa koło bagnetu po lewej i wbił je w główną dziurę. Kilkoma szybkimi pchnięciami przebił się przez twardą skorupę wypalanej gliny; odchodziła kawałkami, a on pięturyłje przed sobą razem ze znajdującymi się pod ręką kamieniami, kopał w zboczu za sobą, aby zrobić wgłębienie, które pozwoli mu leżeć wygodnie i strzelać przez kilka szczelin.

Popołudnie było wściekle gorące i pot spływał mu po ciele strużkami zbierającymi się tam, gdzie jego koszula i kurtka schodziły się z parciany pasem. Wilgotny, bawełniany, drelichowy materiał kleił się i ocierał go. Od czasu do czasu w górze przelatowała karabinowa kula, a potem słychać było paskudne, przypominające osę, brzęczenie, stanowiące dla niego zachętę. Mężczyzna z wsuniętą w płócienne bandolety dodatkową amunicją, wziętą z jucnych psów, przeszedł obok. M'Telgez porwał dodatkowe pięćdziesiąt kul i kilkoma szybkimi uderzeniami motyki wyciął wgłębienie na nie.

– M'Telgez! Zamelduj się kapitanowi!

Cholera. Teraz, jak już żem się wymościł, ano, pomyślał z rezygnacją kapral. – Smeet, tobie tera przekazuję. Nie spieprz za bardzo, dobra?

– Wszystkich nos zakatrupiom, ale to nie będzie *moja* wina, kapralu – rzucił radośnie starszy żołnierz.

M'Telgez wytarł ręce o poły swojej kurtki i podniósł karabin, a potem wysunął się krok czy dwa w dół zbocza. Biegł pochylony, z głową poniżej linii grzbietu. Jego przejściu towarzyszył chrzęst narzędzi do kopania oraz miarowy trzask ognia wystrzałów oddawanych na przemian, aby nadal nękać brudasów. Minał także ki licu martwych ludzi; rany głowy i szyi były zwykle szybko śmiertelne.

– Ponie – powiedział, przybywszy pod poręcz kompanii. Barton Foley oparł notatnik o kolano, przyciskając czubkiem kciuka i pisał. – Znasz drogę z powrotem do batalionu, kapralu?

– Tak, ponie – odpowiedział M'Telgez.

Miał dobre oko, jeśli chodziło o takie rzeczy; a zadaniem oficera było pamiętanie, co potrafili robić jego ludzie.

– Weź jednego człowieka z twego oddziału, aby ci towarzyszył i zanieś to pułkownikowi Staenbridge'owi.

– *No problemo, seyhor.* – Weźmie M'tennina, chłopak był młody, chętny i dobrze strzelał. Smeet może się zająć oddziałem – był dobrym młodszym podoficerem, kiedy nie było w okolicy żadnej wody. Pijany, nie odróżniał maciory od własnej siostry ani oficera od przydupasa.

– Słownie dodaj, że na razie sobie radzimy, ale przydałyby się posiłki. Zamelduj się natychmiast z odpowiedzią – i uważajcie, w tych parowach mogą być brudaszy.

* * *

M'tennin wrzasnął.

M'Telgez rzucił jedno spojrzenie do tyłu i wbił pięty w zębra Pochity. To coś miało już w swych szczękach ramiona młodzieńca, a jedna szponiasta łapa wbiła się w bok psa, rozdzierając go w deszczu krwi, futra i splotów różowo-szarych wnętrzości. Pochita nie potrzebowała przynaglania. Podciągnęła tylne łapy między przednie i rzuciła się susem do galopu po wąskim dnie kanionu, z obnażonymi zębami, położonymi po sobie uszami i oczami wywróconymi ku górze. Jej jeździec obrócił głowę, gdy coś wrzasnęło za nim; dźwięk przypominający oszalały gwizd lokomotywy parowej.

Wyczuwał jego oddech, woń jakże świeżo otwartego grobowca w gorący dzień. Stwór był dwunożny i dłuższy niż pies bojowy i pewnie cięższy, ale biegł ptasim chodem – lekko, na poduszczykach trzypalczastych, szponiastych łap, tak lekko, że ziemia i kamienie strzelające przy każdym uderzeniu niczym ze strzelby, stanowiły niespodziankę. Ciało miało przykurzoną pomarańczowo-żółtą barwę, z nieregularnymi, wyraźnymi czarnymi pasami. Otwarta paszcza pocętkowana była fioletem i karmazynem. Po M'Telgeza sięgnęły zęby wielkości jego palców, a z drugiej strony przednie, szponiaste łapy. Za zwierzęciem znajdowało się drugie do niego podobne – instynkt myśliwego podpowiadał M'Telgezowi, że pewnie były parą – i rozdzierał ciało M'tennina oraz jego wierzchowca z zapamiętałym obżarstwem. Pysk potwora powędrował ku niebu, a wąskie szczęki przesunęły się, gdy przełykał nogę i biodro.

– *Hingada (ho!* – wrzasnął M'Telgez. – Niech cię szlag! – Carnosauroid odpowiedział mu skrzekiem i kolejnym podmuchem cuchnącym padliną.

Karabin miał pod lewą pachą. Wyszarpnął pistolet z cholewy prawą dłonią i wyrzucił go ku tyłowi, niecałe trzy metry od paszczy stworzenia. Mimo tego połowa kul chybiła. Trzy trafiły, żadna

jednak nie pomogła. Plamka krwi pokazała się na lśniącej, czarnej skórze pomiędzy wściekłymi, czerwonymi nozdrzami, a kość jednego kła roztrzaskała się na kawałeczki. To przynajmniej zwróciło uwagę zwierzęcia i te obróciło się na chwilę w bok, kłapiąc paszczą po czym zamierzyło się do cięcia tego, co je trafiło.

A potem zdało sobie sprawę, że to *on* je zranił. Niektóre z większych camosauroidów były zbyt głupie, aby robić cokolwiek poza zabijaniem i jedzeniem. Mniejsze, zwinne jak ten mogły być o wiele sprytniejsze. W okrzyku, jaki wydał, pobrzmiwało coś więcej poza zwykłym głodem, gdy znowu sadził susami za nim, z długim, trzaskającym niczym bykowiec smukłym ogonem.

– Niech *mnie* szlag – wymruczał M'Telgez przez suche gardło i cisnął rewolwerem w bestię. *To* nie był zbyt dobry pomysł.

Pochylił się w lewo, a potem w prawo, gdy Pochita pokonywała z niebezpieczną szybkością zakręt wąskiego parowu. Carnosauroid nie pozwalał, aby spowalniały go takie rzeczy jak zakręty. Po prostu dobiegł tuż pod ścianę jaru, a pęd utrzymał go na nogach z łbem ustawionym przez chwilę równoległe do ziemi. Mężczyzna owinał sobie ramię karabinu wokół prawego przedramienia z desperacką szybkością. Będzie miał tylko jedną szansę, a tonie było wiele przy jednostrzałowym karabinie. Przeładowywanie w galopie... równie dobrze mógł próbować latać jak pterosauroid, machając rękoma.

Zbocza parowu rozchyłały się nieco. Carnosauroid znowu wrzasnął i przyspieszył, częściowo prześcigając uciekającego człowieka. Dobra. *Lubi cię obalić, zanim ugryzie.*

Normalnie, od trzymania karabinu ze zbrojowni jedną ręką M'Telgezowi trzęsłoby się ramię. Teraz było nieruchome, a wszystko widział jasno jak kryształ. Nawet gdy drapieznik dał susa w bok, wydawało się to być dość powolne, łuk zarysowany w powietrzu, który skończył się na wystawionej lufie jego broni.

Bam! Szok odrzutu stanowił całkowitą niespodziankę; mocny ból w ramieniu. Ciężar carnosauroida wyrznął Pochitę w tylne łapy i psem zakręciło o trzysta sześćdziesiąt stopni, zanim powrócił do galopu. Moment obrotowy wysuniętego karabinu o mało co nie wykręcił M'Telgezowi ramienia, lecz ból był bez znaczenia w porównaniu z przerażającą świadomością, że mu się nie udało. Uderzenia łap wciąż rozrywały ziemię za nim, tylko nieco bardziej w tyle – a Pochita miała jęzor wywieszony z wyczerpania.

Pokonał kolejny zakręt...

...i niemal wpadł na ścianę ludzi wierzchem w niebieskich kurtkach i okrągłych, miskowatych hełmach. Machnęli karabinami, lecz oczy mieli utkwione za nim.

– Strzelajcie, jołopy! – wrzasnął, gdy jego pies wsparł się na przednich łapach i opadł na tylne, aby się zatrzymać.

Nie zrobili tego. Pochylony nad kulą siodła, ze świszczącym oddechem, M'Telgez obejrzał się, aby zobaczyć dlaczego.

Camosauroid leżał niecałe pięć metrów za nim, wyłobiwszy pyskiem bruzdę w suchej, zwirowatej ziemi. Jedną nogę miał wysuniętą, a druga znajdowała się z tyłu, jakby rozjechała się w połowie kroku. Ogon i głowa waliły o ziemię, wybijając pozbawiony rytmu śmiertelny tatuaż, a potem opadły nieruchomiejąc. Zgrabna dziura wyłobiona w żółtych łuskach z tyłu, nad jednym

otworem usznym, wyjaśniała czemu.

– Ano, niech mnie szlag – wymruczał znowu M'Telgez. Trzykrotnie próbował wsadzić karabin do olstra, a dwukrotnie próbował otworzyć manierkę.

– Mało kto by tego spróbował, psi bracie – rzekł z podziwem jeden z żołnierzy. Trzasnęły dwa karabiny, gdy trupem sąuroida wstrząsnął kolejny napad drgawek, a szczęki zatrasnęły się z ohydny, mokrym, metalicznym dźwiękiem. Trzeba się było nieźle natrudzić, żeby zabić carnosauroida.

W ciszy dał się słyszeć brzęk i łomot łąp. Pojawił się sztandar batalionu. M'Telgez wyprostował się z wysiłkiem i zaszalutował.

– Pułkowniku, wiadomość od k...kapitana Foleya – powiedział. – Ach, jesteśmy, ach...

– Spokojnie, człowieku – powiedział pułkownik, nie bez życzliwości, popatrując na martwego drapieźnika, a potem na psa M'Tel-geza. – O mały włos, kapralu.

M'Telgez podążył wzrokiem za jego uniesionym podbródkiem. Pochicie brakowało połowy ogona, kończył się on okrwawionym kikutem. Teraz, gdy pies nie biegł, ratując życie, próbował się obrócić i polizać ranę. M'Telgez zsiadł z suki i sięgnął automatycznie, do juków po maść i bandażę, wiedziony odwiecznym odruchem kawalerzysty i *vakaro*.

Jeszcze jedno ugryzienie bliżej... pomyślał. Ten obraz musiał się malować wyraźnie na jego twarzy, bowiem pułkownik pochylił się i klepnął go w ramię.

– Dobry strzał – powiedział. – A co z tym?

– Ach, kapitan chciałby trochę posiłków, ano – powiedział M'Telgez. A starając się, aby rozjaśniło mu się w głowie – *Zamierzamy się przez nich przedrzeć, ponie?*

W wielu liniowych jednostkach mogli poczytać to za bezczelność. Descottczycy jednak mieli swobodny, pozbawiony służalczości sposób odnoszenia się do swoich dziedziców. A on był człowiekiem mającym za sobą długą służbę i dobrą reputację.

– Nie, messer Raj zna sposób obejścia – rzekł pułkownik Staenbridge. – My musimy tylko zablokować ich, podczas gdy główne siły się przedrą. Sam pojedę. Prowadź, kapralu.

M'Telgez rozejrzał się dookoła po oszołamiającej płataninie kończących się ślepo kanionów, zagłębień i poszarpanych wzgórz. *Duch musi być z nim*, stwierdził. Była to pocieszająca myśl.

– Rozchmurz się, człowieku – rzucił Staenbridge, gdy kolumna uformowała się i minęła martwego drapieźnika.

Jeden z żołnierzy rzucił mu kiel tak długi jak jego dłoń, z wciąż trzymającym się kawałkiem krwawiącego dziaśła u podstawy. M'Telgez wsadził go sobie do chlebaka. Będzie to można pokazywać dziewczętom, wyczyszczone i noszone na rzemyku na szyi. Równie dobrze mógł z tego coś mieć. Ten biedny *fastardo* M'tennin nic nie będzie miał, nawet pogrzebu. Jak już tam dotrą, niewiele zostanie z niego i jego psa.

– Rozchmurz się. Mogło być gorzej. To mogły być brudasy.

M'Telgez spojrział w dół na czterometrową chodzącą śmierć w tygrysie pasy leżącą na ziemi. Skinął głową. To była prawda. Carnosauroid tylko chciał go zabić i zjeść.

Brudasy mogły pojmać go żywcem.

* * *

– Dobrze – powiedział Raj. – Sprytne posunięcie ze strony Tewfika, ale musiał rozdzielić swoje osłaniające siły na zbyt wiele części – tutaj jest dużo zerodowanych terenów.

Staenbridge skinął głową. – Tylko dwie albo trzy setki ludzi na drodze, jaką obraliśmy – rzekł. – Mimo to, mogło się zrobić gorąco, gdybyśmy nie mogli przejść naokoło. Mieli

doskonałą pozycję. *Skąd wiedziałeś, że ten fragment ziemi był na tyle cienki, żeby przebić się z tyłu za nimi?*

Anioł mi powiedział i mógł ocenić grubość ścian parowu, mierząc, jak przechodzą przez nie niesłyszalne dźwięki, pomyślał sardonicznie Raj. Zastanawiał się, co Staenbridge powie na to wyjaśnienie. Sam Raj nie rozumiał z tego ani słowa.

>>Fale dźwiękowe są...<<

Daj sobie spokój. Wiem, że to działa, nie muszę wiedzieć jak i dlaczego.

– Domyśliłem się szczęśliwie, Gerrin – Jego ton wykluczał wszelkie dalsze pytania. – Znajdujemy się teraz jakies... >>2,6 kilometra.<<

– ...dwa i pół kilometra od przyczółka mostowego. Będzie trudno.

– Spodziewasz się, że Tewfik złapie nas przy przeprawie? – spytał Staenbridge, unosząc brew.

– Nie, ale nie jest on jedynym kompetentnym dowódcą w wojsku Kolonii, a przy pomocy heliografu będzie miał kontakt z głównymi siłami. Chcę, abyś zrobił...

Rozdział jedenasty

– No dalej, chłopaki, przyłóżcie do tego *swoje grzbiety* – krzyknął pułkownik Jorg Menyez. – Messer Raj potrzebuje, żeby to skończyć i przygotować do działania do pełnego wschodu słońca.

Łukowe lampy syczały, a naftowe latarnie rzucały miękkie światło na chaos panujący w nadrzecznych przystaniach Sandoralu. Zarówno Miniluna jak i Maxiluna wisiały nad horyzontem, blednąc, stając się przezroczyste, gdy słońce wyrzucało kręgi żółci i fioletu w gasnący zmierzch nocy.

Przynajmniej jest nieco chłodniej, pomyślał oficer piechoty. To powinno przyspieszyć sprawy. Przygotowania trwały całą noc, to, co można było zrobić, nie przyciągając uwagi.

Teraz nie było już sensu utrzymywać ciszy, nie wtedy, gdy dwa tysiące ludzi pluskało i łomotało, przesuając na miejsca wielkie, przypominające pudła, pontonowe barki. Większość z nich została wyciągnięta na brzeg wzdłuż długiego nabrzeża Sandoralu, tuż za murem od strony rzeki. Drużyny ludzi dźwigały je z pomrukiem, jedni popychali, inni podważali przy pomocy belek i desek. Jeden po drugim kwadratowe kształty zanurzały się w rzece, a potem zatrzymywały z szarpnięciem, powstrzymywane przez kotwiczne sznury. Inne sznury były wysmarowane smołą i mężczyźni ciągnęli za nie, stękając chóralnie, aby zawlec barki na rosnący wschodni kraniec mostu. Na północ od niego znajdował się kabel unoszący się między beczkami. Każdą z nich oznaczała linę schodzącą w dół do

kotwicy w korycie rzeki. Nadzy żeglarze wypływali z jeszcze większą ilością lin, aby przymocować barki do kabla.

Gdy każdą przymocowano, zabezpieczając przed prądem, nacięte belki wsadzano w otwory w burtach, a na górze przybijano segmenty z desek. Ludzie gnali do przodu, do następnej, gdy młotki wciąż jeszcze waliły w tą, po której biegli. Woda przelewała się od strony górnego biegu rzeki, gdy ciężar kilkudziesięciu piechurów i ich ładunku drewna oraz sznurów spoczywał tylko na końcu barki. W dole, w ładowniach, inni wylewali za burtę wiadra wody i wykrzykiwali przekleństwa do grup roboczych na górze.

Długie, głuche *booom* dało się słyszeć z południa, z miejsca, gdzie najbliższej znajdująca się część kolonijnej linii oblężenia okopała się w ziemnym forcie na brzegu rzeki. Potem nastąpił długi turkoczący huk, a ludzie zamarli, gdy ciężki pocisk uderzył w wodę, podskakując jak kamyczek rzucony po powierzchni przez bawiącego się chłopca. Raz... dwa... trzy razy, a ostatni pióropusz wody był mniejszy niż pozostałe. Drangosh wchłonął wielką kulę z lanego żelaza równie łatwo, jak zrobiliby to z kamykiem chłopca. Menyez wypuścił oddech, który nieświadomie powstrzymywał.

Dwa kilometry. Trochę za daleko. Od niektórych ludzi dobiegły ironiczne wiwaty i ponownie dało się słyszeć walenie i łoskot roboty. Spojrzał na wschód. Most sięgał już prawie drugiego brzegu, gdzie kompania piechoty napierała na kołowroty osadzone w ziemi, przeciągając ostatnich kilka barek. *Szybka, ładna robota*, pomyślał. To, że już to kiedyś robili, oczywiście pomogło.

Boooooom. Tym razem nieco ostrzejszy dźwięk; gwintowane działo. Odgłos pocisku niósł się też wyżej. Pocisk upadł o wiele bliżej, tylko paręset metrów na południe, lecz uderzył w wodę tylko raz. Smukła fontanna wody sięgnęła ku niebu, tak wysoko, że czerwonawe światło wschodzącego słońca dotknęło jej wierzchołka.

– Blisko, ale to się tylko liczy przy ręcznych bombach – powiedział.

W oddali, na wschodnim brzegu odezwały się słabo trąbki. Nadchodząca wiadomość zaczęła pobłyskiwać ze znajdującej się tam stacji heliogram, gdy światło spotęgowało się na tyle, że osadzone na trójnogach lustra mogły je uchwycić.

Problem polegał na tym, że dalej wzdłuż rzeki znajdowały się inne stacje przekaźnikowe heliografu – i to kolonijne.

– No dalej, *mi heneral* – wyszeptał Menyez pod nosem.

Obejrzał się przez ramię na Sandoral. W mieście panowała niesamowita cisza, nawet strużka dymu nie zakłócała przytłumionej ciszy poranka. Nawet kogut nie zapiał. Wszystkie kurczaki powędrowały do garnków kilka dni temu.

I prawie cały garnizon pracuje tutaj nad mostem, dodał sam do siebie. Wkrótce ta myśl przyjdzie do głowy także komuś innemu.

* * *

Ali ibn'Jamal opuścił swoją lunetę. – Mój tak wspaniały brat pozwolił im uciec – rzucił gorzko. – Niech Allah go za to rozgrzeszy. A ich most z łodzi jest już prawie na ukończeniu, czekając na przyjęcie wojowników Domu Pokoju.

Wszyscy inni w grupce wielmożów i dowódców zachowywali absolutną ciszę. Chłodny, poranny

wiaterek sprawiał, że powiewały szaty, brody oraz paw i kity pióropuszy na

turbanach i hełmach, lecz mimo to wielu z nich się pociło.

Tchórze, pomyślał Ali i znowu podniósł lunetę. *Kapharzy* pracowali nad swoim mostem jak opętani, układając powierzchnię, zanim pojawi się Whitehall. Tewfik pozwoli mu wjechać z powrotem do Sandoralu jak zwycięskiemu bohaterowi!

– Dowódco wiernych.

Był to jeden z generałów kawalerii, protegowany Tewfika. *Który nie może być osadnikiem. Który jednak mógł rządzić zza pawiego tronu, z osadnikiem-marionetką.* To już się zdarzało.

Mężczyzna przyklęknął i dotknął czołem podłogi. – Dezerterzy powiedzieli nam, że *kapharzy* są na połówkach racji – jest tak już od tygodnia. Gdy kolejne osiem tysięcy ludzi i psów znajdzie się za murami, to w przeciągu kilku dni wyjedzą do cna swoje zapasy. Wówczas miasto będzie musiało upaść.

Osiem tysięcy. Tewfik zabił nie więcej niż kilka setek, gdy oni spędzili ponad tydzień, pustosząc jego ziemie. *Jego ziemie! Nie chcę, aby się poddali. Chcę, aby umarli.*

Oczywiście mogli umrzeć po poddaniu się... jeśli jednak zgodziłby się na warunki, to nierozsądnie byłoby je łamać. Nie, gdy ma tak blisko Tewfika i jego oficerów – nie wówczas, gdy oni tak absurdalnie, bluźnierczo cenili słowo dane niewiernemu.

Ponownie uniósł lunetę. Niesamowite było to, jak szybko niewierni złożyli swój most. Armaty strzelały z murów ziemnego fortu wokół niego, lecz nie wyrządzały szkody – zasięg był zbyt wielki, tak, że tylko łut szczęścia lub boska interwencja mogły sprawić, by pocisk wylądował tam, gdzie mógł coś osiągnąć.

Cały ich garnizon musi nad tym pracować, pomyślał Ali. Teraz, gdy wstało słońce, widział ich wyraźnie.

Ali uśmiechnął się nagle. Ci, którzy przypatrywali się jego twarzy, wzdrygnęli się i odwrócili wzrok, a potem zmusili się do obrócenia głów z powrotem. Nieświadomość nastrojów władcy była niebezpieczna.

Ach, Tewfiku, mój bracie, o tym nie pomyślałeś. Przez całe życie Ali pozostawał w cieniu Tewfika w kwestiach wojennych. Popołniając grube błędy, przedzierał się w konfuzji przez złożone problemy na polu bitwy, podczas gdy Tewfik z błyskotliwą jasnością parł do zwycięstwa. Jednak tym razem to on to dostrzegł.

– Ty – powiedział do klęczącego oficera. – Ubaydalla Said. Rozkazuję natarcie na mury – natychmiastowy atak. Powstań, przejmij komendę nad żołnierzami na czele i wykonaj moje rozkazy.

– Słyszę i jestem posłuszny, osadniku islamu – rzekł oficer. Zamilkł, zastanawiając się.

– To jest doskonała sugestia. Ale przygotowania...

To wyraz jego twarzy sprawił, że osadnik się poruszył. To zaskoczenie, że Ali mógł wymyślić nadający się do wdrożenia plan. Ali wyrwał ceremonialny bat zza pasa mężczyzny i smagnął go nim po twarzy. Wyrzucona do przodu ręka ocaliła oczy Saida przed zaostrzoną stalą na końcach rzemieni, lecz krew kapłała mu mocno z rozciętych ust i po brodzie.

– Czy jesteś tchórzem tak samo jak głupcem, ty świnió? Czy jesteś *gluchy*? Powiedziałem natychmiast! Jeśli będziesz miał czas na przygotowanie, tak samo będzie je miał nieprzyjaciel! A ty masz osobiście poprowadzić atak!

– Niech się dzieje wola boża – rzekł cicho oficer Skłonił się znowu, a krew skapywała na bezcenne dywany, i obrócił się gwałtownie, wołając swoich podwładnych.

* * *

Ostry gwizd wyrwał kaprala Minatelliego z wywołanego wyczerpaniem snu. Bardzo to przypominało budzenie się po dniu wypłaty w Starej Rezydencji. Przez chwilę leżał, mrugając oczami w zakłopotaniu. Musi to być Gwiazdoniedziela, dlatego więc wołają go już do pracy w kamieniołomach?

Gwizd trwał i trwał; ostre, powtarzające się wezwanie. Włączyła się trąbka, grając raz po raz: *Gotować się, gotować się*. A potem wiedział dokładnie, gdzie się znajduje; na parapecie murów w Sandoralu, a światło rozpalonego do białości słońca przenikało przez szczeliny strzelnicze. Wyskoczył spod swego koca i pochwycił karabin, a drugą ręką parciany pas, i pobiegł na wyznaczone miejsce. Mięśnie go bolały po całej nocy ciężkiej pracy, a wydawało się, że te dwie godziny snu rzuciły mu garść gorącego piasku w oczy. Był też głodny, śmiertelnie głodny, z bolesną potrzebą człowieka, który zużywał dwa razy więcej kalorii, niż przyjmował. Nic z tego nie miało znaczenia. Zapiął pas i odchylił się lekko do tyłu od ściany, aby upewnić się, że wszyscy w oddziale byli na swoich stanowiskach – siedmiu ludzi utrzymujących fragment murów, który byłby słabo obsadzony nawet przy czterdziestu żołnierzach. Siedmiu mężczyzn i sześciu milicjantów, jacy zostali z tuzina, którzy zwykle operowali wielkim działem na lewo. Pewnie reszta murów była tak samo pusta. Duchu!

– Och, *scramento* – powiedział, trąc kłykciami oczy i wyglądając przez otwór.

Wszędzie jak wzrok sięgał, od lewa na prawo, z umocnień ziemnych Kolonistów rzygały strumienie dymu z lancami czerwonego ognia w środku; waliły działa oblężnicze. W tle ich donośnego huku słyszał ostrzejsze dźwięki dział polowych w czołowych bastionach i gwałtowne *pom... pom... pom* szybkostrzelnych działek. Większość ziemi pomiędzy najbardziej wysuniętymi umocnieniami Kolonistów a miejską fosą była wciąż pokryta

puchnącymi ciałami; wisiał tam potężny, mdlący i oleisty smród – dowódcy brudasów odrzucili zwyczajowy rozejm dla usunięcia zmarłych. Wyglądało na to, że nie spowolniało to ludzi, którzy wylali się z najbardziej wysuniętych okopów szturmowych.

W ciągu tych dni, jakie minęły od pierwszej próby szturm, Koloniści narażali się na ciągły ostrzał snajperski, aby zamontować górne osłony dla kilkuset ostatnich metrów okopów – platformy z palmowych belek i worków z piaskiem, które nie zatrzymałyby ciężkiego pocisku, lecz dobrze sobie radziły z kulami karabinowymi i kartaczami. Teraz zerwano jakieś dziesięć ostatnich metrów i żołnierze w karmazynowych jellabach wyszli niczym czerwone mrówki-wojownicy. Wydawało się, że tym razem nie byli tak samo dobrze zorganizowani, ale było ich strasznie dużo.

– Gotować się – zawołał Minatelli, przecierając oczy kciukiem. Materia fortyfikacji zatrzęsała się pod nim, gdy ciężki, lity pocisk grzmotnął w granit, którym olicowany był betonowo-gruzowy mur. Pył wystrzelił z każdej szczeliny i zagłębienia. Minatelli pociągnął szybko łyk z czerpaka. Woda była zatęchła, lecz równie miła jak matczyzna miłość.

Brudasy biegły do przodu ze swoimi długimi drabinami, zbudowanymi do przeprowadzania się przez fosę i – to tak, by nie łamały się, nawet stojąc pod ostrym kątem w stosunku do ziemi. Mury Sandoralu nie były bardzo wysokie. Nie mogły takimi być, będąc jednocześnie na tyle grube, aby oprzeć się nowoczesnym, gwintowanym działom. Inni nieśli moździerze do rzucania haków.

– Teraz! – krzyknął i wypalił. Strzały ozwały się wszędzie na murach wraz z głębszym rykiem armat.

Boom. Wypaliło forteczne działo. Powaliło nieprzyjaciół pokotem, lecz niepełne załogi klęły z natarczywością wywołaną paniką, starając się przeładować i przestawić ciężkie działa; po prostu ludzi nie było wystarczająco dużo. Minatelli strzelał raz po raz, tak szybko jak mógł przesuwając dźwignię – potem będzie się martwił przegrzaniem i wyrzutnikiem łusek. Brudasy padały pośród napuchłych, wzdętych pozostałości po poprzednim ataku, lecz wciąż nacierały. Haki wyleciały z moździerzy i poszybowały ku blankom, ciągnąc za sobą zwoje kabla z supłami dającymi oparcie rękom i stopom. Cień przysłonił mu oczy, gdy drabina poleciała ku murom, opierając się o ziemię za fosą. Odstawił na chwilę karabin na kamienną półkę, sięgnął do kosza, wyciągnął ręczną bombę i zaczepił górny pierścień o hak wbudowany w mur. Szybkie szarpnięcie odrywało pierścień i bomba zaczęła syczeć, gdy zapaliła się spłonka w zapalniku ciernym wewnątrz.

Cisnąć. Paskudny trzask przelatujący górą ku podstawie drabiny. Ludzie legli, a ciężkie, eukaliptusowe słupy zachwiały się. Tuzin mężczyzn wypalił ze swoich samopowtarzalnych

karabinków w stronę otworu strzelniczego Minatelliego. Tysiące klęczały wszędzie wzdłuż skraju fosy tak, że platforma strzelecka znalazła się pod bezpośrednim obstrzałem. Nieco bardziej w dole od Minatelliego, dzięki lutowi szczęścia pocisk z pompomu grzmotnął prosto w otwór strzelniczy i wybuchł. W chwilę później wybuchły także ręczne bomby znajdujące się tam w koszu, wyrzucając kawałki kamienia i ciał do fosy oraz na oczyszczoną strefę pod murami miejskimi. Znowu się schylił, gdy rykoszety przeleciały ze świstem przez wąski otwór, a potem pognął do następnej szczeliny. Rząd brudasów już wbiega! po drabinie – była nie bardziej stroma niż schody – ku znajdującemu się w górze dachowi platformy bojowej. Strzelał raz po raz. Ludzie padali, staczając się z drabiny w dół, w brudną wodę fosy. Niektórzy z nich unosili się na niej zwiotczali, a inni płynęli ku brzegowi.

Boom. Wypaliło znowu działo forteczne i przy okopie szturmowym skosiło kolejnych brudasów – lecz przy murach było ich już o wiele za dużo. Prawie że w tej samej chwili pocisk nieprzyjaciela uderzył zaraz pod lufą działa. Ogromna, okuta lufa odskoczyła do tyłu. Czop pękł, a broń obróciła się na bok z piskiem rozrywanego brązu i trzaskającego drewna. Armata porwała kanoniera za nogi i rozsmarowała go o podłogę i żelazny pierścień przewodnicy, jak nóż wątrobianą pastę na chlebie.

Jeszcze więcej karabinowych kul błysnęło ku otworowi strzelniczemu Minatelliego. Zanurkował z powrotem, nasadził bagnet na karabin, a potem przerzucił go przez plecy. Wypełnił dłonie ręcznymi bombami, wsuwając palce w pierścienie, aby je przenieść – niebezpieczne, ale niech *to teraz* szlag trafi.

– Saynchez! Powstrzymajcie ich! – wrzasnął i pobiegł przykrytym przejściem do zrzuconego działa.

Pozostałych pięciu milicyjnych kanonierów stało, gapiąc się na swoich martwych towarzyszy.

– Łapać się za swoje cholerne *gnaty* – wrzasnął Minatelli. Ręce miał pełne, więc kopnął jednego

z kanonierów w tyłek, aby przyciągnąć jego uwagę. Mężczyzna obrócił się, wgapił w niego, a potem sięgnął po swoją własną broń. Kanonierzy byli wyposażeni w krótkie miecze, rewolwery i strzelby o podwójnych lufach, wszystko to, czego trzeba przy walce na bliską odległość, która była za chwilę bardzo prawdopodobna. Minatelli słyszał odgłosy kroków na dachu nad sobą.

– Brudasy przeszły przez mur – krzyknął Minatelli i skoczył na działo.

Nad nim znajdowała się okrągła dziura z żelazną drabiną i ośmiokątnym punktem obserwacyjnym w górze, wykonanym z drewna i blachy kotłowej, przeznaczonym zwykle dla głównego kanoniera. Minatelli wspiął się na górę, wysunął głowę przez właz i zaczął rzucać

ręczne bomby. Dziesiątki brudasów gramoliły się na dach platformy bojowej – choć wielu skosił ogień skrzydłowy lekkich, obrotowych działek na wieżach bastionów po obu stronach – i dzięki niech *będą Duchowi*, żaden z nich nie patrzył na niego!

Bomby z lanego żelaza zadzwoniły na kamiennych płytach. Znowu zanurkował w dół, gdy wybuchły z rozdzierającym dźwiękiem *krang*, a kawałki obudowy odbiły się od punktu obserwacyjnego. Znowu się podniósł i cisnął ostatnie. Brudasy strzelały do niego od zewnętrznego skraju, zatrzymując się na szczycie swoich szturmowych drabin.

Opadł z powrotem w dół. Kartacze grzmotnęły o blachę kotłową na zewnątrz, gdy działko obrotowe starało się oczyścić umocnienia.

– *Hingada tho!* – przeklął niewidzialnego kanoniera na wieży i zeskoczył z powrotem na działo. Czuł pod stopami, przez podeszwy swoich podbitych ćwiekami butów, jego gorąco.

– Za mną! – Zeskoczył na podłogę z brzękiem, krzesząc gwoździami iskry na betonie.

Kanonierzy z milicji pobiegli za nim, gdy pognął z powrotem. Brudas z karabinem przerzuconym przez ramię i długim, zakrzywionym nożem w zębach zsunął się z krawędzi daszku i zwisając na obu rękach, wygiął się tak, żeby wylądować na samym skraju platformy, mając za sobą piętnastometrową przepaść. Minatelli krzyknął i rzucił się na niego. Miał tylko tyle czasu, by spojrzeć Koloniście w oczy, czarne i pozbawione strachu. Mężczyzna próbował dobyć rewolwer zatknięty za szarfę, gdy czubek bagnetu Minatelliego wbił mu się w pierś. Stał nie przeszła przez mostek, lecz samo uderzenie wystarczyło, aby zepchnąć mężczyznę przez skraj do tyłu, gdy ten obnażył zęby we frustracji.

Kolejny człowiek wylądował koło niego. Milicjant wypalił ze swojej strzelby zza Minatelliego, aż proch poparzył mu bok. Rozbiegające się kule trafiły brudasą w brzuch, zdmuchując go z krawędzi. Arab spadając wymachiwał kończynami niczym szmaciana lalka. Kolejny zwiślał z krawędzi dachu – był on specjalnie zbudowany z występem wysuniętym poza znajdującą się w dole platformę bojową, aby coś takiego utrudnić. Brudas puścił się z krzykiem i runął w dół. Jego upadek odsłonił następnego klęczącego i celującego z karabinka. Minatelli wystrzelił z biodra. Kolonista rzucił się do tyłu, schodząc z linii strzału.

Piechur się obrócił. Dwóch milicjantów leżało, a para brudasów, których nawet przedtem nie zauważył, stała na platformie. Dwóch milicjantów walczyło z jeszcze jednym. Jeden z artylerzystów zablokował jego zakrzywioną szablę lufą strzelby, a potem odwrócił się z wyciem i palcami zwisającymi na nitkach ciała. Dało to jego towarzyszowi dość czasu, by dobyć rewolweru i wystrzelić pięć razy z lufą niemal przyciśniętą do pleców arabskiego szermierza.

Ciało z łupnięciem uderzyło o ziemię. Ci z oddziału Minatelliiego, którzy przeżyli,

znajdowali się przy swoich otworach strzelniczych, strzelając i ciskając ręczne bomby. Nie, jeden dźgał przed siebie bagnetem. Kapral ruszył ku tej szczelinie, a ręce same przeładowywały karabin. Ostami z milicjantów krzyknął z tyłu ostrzegawczo.

Minatelli się odwrócił. Nacierał na niego kolejny brudas, z karabinem trzymanym jak pałka. Odbił go bagnetem, skręcił karabin i walnął brudasa kolbą w twarz. Obrócił się z gorączkową prędkością i czubkiem bagnetu trafił innego w gardło. Milicjant znalazł się u jego boku, lecz coraz więcej brudasów zeskakiwało na platformę strzelniczą, a niektórzy przechodzili przez właz obserwacyjny nad działem. Jego ludzie odwrócili się od otworów strzelniczych. Krzyknął do nich, aby się zgrupowali.

Coś błysnęło bardzo jasno i odczuł miękkie unoszenie się. Mocny nacisk. Nastąpiła czerń.

* * *

Raj ściągnął wodze obok Menyeza, na zachodnim końcu pontonowego mostu. Dowódca piechoty chwycił za żelazo jego strzemienia. – Brudasy przeszły przez mury – powiedział. – Wszyscy zajęci, nie ma już rezerw!

– Ja się tym zajmę – odparł Raj. – Zorganizuj len koniec i niech pozostali wraz z artylerią zbiorą się na placu. *Waymanos!*

Kawaleria znajdująca się na czele przejeżdżała kłusem po moście, był to najbardziej bezpieczny szybki krok.

– Trębacz – rzucił Raj. – *Zagraj do ataku!*

Mężczyzna natychmiast posłuchał, lecz oczy rozwarły mu się szeroko. Żołnierze odpowiedzieli, jakby to wezwanie było wygrywane bezpośrednio na ich systemach nerwowych, wbijając pięty w swoje psy i rzucając się do przodu. Pływający most zakołysał się i zadrżał od nagłego uderzenia tysiąca półtonowych psów przyspieszających bieg. Wycia i okrzyki podniosły się ponad potężnym waleniem! skrzypieniem. Raj ignorował je, dobył szabli i pognął Horace'a po majdanie, pustej przestrzeni nad rzeką ku głównej bramie rzecznej. Ta, dzięki niech będą Duchowi, była szeroka. Na tyle szeroka, że kawaleria mogła przejeżdżać czwórkową kolumną i prowadziła z niej szeroka, prosta aleja aż na *Plaza Real*.

Mrużąc oczy w słońcu, spojrział na zachód, i starał się usłyszeć odgłosy walki dochodzące z murów miejskich. Zielone wektory strzałek wyświetliły mu się przed oczami.

>>Poważne przeniknięcie w tych miejscach.<<

– Tam! – krzyknął, wskazując szablą.

Gerrin Staenbridge wyminął go wraz ze sztandarem Piątego z Descott. W odpowiedzi sam zamachał szablą, a ludzie podążyli za nim, dokonując gwałtownego skrętu z płynną precyzją.

– Tam! – Raj skierował następny batalion. – Tam! Tam! A do czwartego – Za mną!

* * *

Nie tylko przedarli się przez mury, są w cholernym mieście, pomyślał Staenbridge, gdy kolumna Piątego z Descott wypadła z ulicy w ostre światło otwartej przestrzeni zaraz za murami miejskim). Szerokie schody szły zakosami od drogi aż na platformę bojową. W tej chwili roło się na nich od Kolonistów. Ich czerwone jellaby stanowiły mocną plamę koloru w ciemnym cieniu, a tu i ówdzie załśnił szpic hełmu lub pióropusz oficera. Jeszcze więcej kręciło się ich na ziemi u podnóża schodów. To byli ci, którzy przeżyli pierwszą falę ataku. Byli zdezorganizowani – niewielu z tej samej jednostki udało się dotrzeć tak daleko – ale to nie potrwa długo. Ludzie, którzy przedarli się przez strefę śmierci na zewnątrz i przez mury w pierwszej fali, będą zbyt agresywni, aby siedzieć w oczekiwaniu na rozkazy.

– Ustawić się kompaniami! – ryknął. Trębacze przekazali rozkaz, którego każdy człowiek się częściowo spodziewał.

Kolumna żołnierzy wierzchem, wylewająca się z wylotu ulicy, rozdzieliła się po jego obu stronach, rozkładając się jak ramiona wielkiej litery „Y”, a jego sztandar znajdował się w punkcie rozdzielenia. W przeciągu trzydziestu sekund ustawili się w szeregu zwróceniem twarzami ku murom i trzystu ludzi ruszyło do przodu.

– Z siodła! Nasadzić bagnety!

Psy przysiadły, a mężczyźni zeszli z nich, dobywając karabiny z olster. Błysnęła stal, gdy wsuwano na miejsce długie ostrza.

– Natarcie ogniowe, salwą plutonami pal!

BAM. Ludzie ruszyli do przodu szybkim marszem. Kolonijni oficerowie pospiesznie zaganiali brudasów znajdujących się u podnóża murów do ustawienia się w linii ogniowej, po kolei posuwając ich do przodu. *Nie można im dać miejsca do ustawienia się*. Jeśli tak się stanie, będą mieli zbyt dużą przewagę liczebną. Chyba że więcej żołnierzy przybędzie znad rzeki, a na to Staenbridge nie mógł liczyć.

BAM. BAM. BAM. Piąty mógł posuwać się szybkim marszem do przodu i jednocześnie strzelać, coś, co było możliwe tylko przy niekończących się ćwiczeniach. U podnóża muru nie było zbyt wielu Kolonistów... jak na razie... i więcej ich przeładowywało, niż strzelało, wyciągając kule z pętelek przebiegających im przez pierś i wsadzając je przez otwory ładownicze karabinków. Ludzie padali po obu walczących stronach. Zataczali się w jego szeregu i przewracali do tyki w znajdujących się przed nim szeregach Kolonistów, gdy waliły

w nich ciężkie, jedenastomilimetrowe kule ze zbrojowni.

Odgłos żelaznych kół toczących się po kamiennych płytach. Załoga jazgoczącego działka obróciła broń i popchnęła do przodu. Staenbridge odciągnął swojego psa na bok.

– Schody! – warknął.

Główny kanonier skinął głową i przekręcił podnoszącą śrubę do oporu. Przypominająca plaster miodu lufa broni uniosła się jak nos polującego psa wachającego wiatr. Dwaj pozostali członkowie załogi przesunęli ogon działka w stronę głównego kanoniera, a ten przykucnął nad zamkiem. Mruknął z zadowoleniem i zakręcił korbą.

Braaaaaap. Trzydzieści pięć kul walnęło w masę Kolonistów znajdującą się na schodach. W gęstym tłumie pojawiła się jakby bańka mydlana zabitych i umierających, która natychmiast się

wypełniła, gdy jeszcze więcej ludzi naparło od góry. *Braaaaaap*.

Staenbridge pognał z powrotem ku swemu sztandarowi i zeskoczył z siodła. Reszta grupy dowodzącej poszła w jego ślady. Wyciągnął rewolwer, przerzucił go do lewej ręki, a potem dobył szabli i napełnił płuca powietrzem. Barton znajdował się obok niego, z hakiem w gotowości i obrzynem-dwururką w dobrej ręce. Ich oczy spotkały się na chwilę.

– *Do ataku!* – krzyknął Staenbridge i ruszył biegiem do przodu.

5 z Descott rzucił się z rykiem za swoim pułkownikiem.

* * *

– *Do ataku!* – warknął Raj.

Trębacz to odegrał; ostry hałas odbijający się od milczących ścian domów po obu stronach.

– *UPYARZ! UPYARZ!* – ryknęli w odpowiedzi ludzie.

Raj w milczeniu obnażył zęby i pochylił się do przodu, z czubkiem szabli wysuniętym przed szyją Horace’a. 1/591 wypełniał ulicę od ściany do ściany. Niektórzy z żołnierzy jechali po chodnikach, wewnątrz szpaleru platanów i gazowych latarni oddzielających ceglany chodnik od granitowych bloków ulicy. Ciężkie łapy wielkich nowofunlandczyków stanowiły miarowy, przytłumiony grom, a kolumna wypełniała drogę, ciągnąc się dobre dwieście metrów do tyłu. Nawet posuwając się wolnym galopem, było to szalenie ryzykowne. Zazgrzytał zębami na wspomnienie tego, jak wyglądali ludzie po tym, jak stratowało ich sto psów bojowych. *Trzeba tylko być ostrożnym.*

Horace nieco wyprzedzał stado, obok znajdował się osobisty chorąży Raja. Po drugiej stronie był Teodorę Welf i sztandar batalionu. Przed nimi znajdowała się niewielka, rozproszona grupka Kolonistów, nadbiegająca drogą; oprócz tych, którzy odwracali się, aby

uciec, gdy dostrzegli masę ogromnych, czarnych psów i białych kłów, obnażonych szabel i wrzeszczących twarzy barbarzyńców. Jednemu oficerowi – wysokiej rangi, sądząc po kępcie piór z przodu hełmu – udało się znaleźć psa w standardowej uprzęży Rządu Cywilnego. Był on niezwykle niespokojny pod nowym jeźdźcem. Psy takie były. Trzeba było długo z nimi trenować, zanim cię zaakceptowały, jeśli miały w sobie jakiegoś ducha. Oficer trzymał ciasno wodze i napolickowe dźwignie i klepał ludzi po ramionach płazem swojej zakrzywionej szabli, pospieszając ich, by ustawili się w coś przypominającego linię ognia.

Oczy mu się rozwarły szeroko, gdy dostrzegł sztandar Raja. Odwrócił się na spotkanie natarcia, wyciągając drugą ręką ozdobny rewolwer. Wbił pięty z ostrogami w boki psa. Ten skoczył do przodu i nieco w bok, walcząc z umiejętnościami jeźdźca, gdy ten bezlitośnie zmuszał go do ruszenia do przodu.

– *Whitehall!* – krzyknął Arab. – Szatan cię chce, Whitehall, a Bóg jest wielki!

Krak. Kula przeleciała koło twarzy Raja. *Ta robi mi tatuaż górniku,* stwierdził odległy kącik w jego umyśle. Arab miał krwawiące rany na twarzy, tworzące dziewięć kresek, lecz jego oczy były całkowicie skupione. Jeden dobrze wymierzony strzał albo cięcie i pozbawi serca siły Rządu Cywilnego.

Cała reszta uwagi Raja skoncentrowana była na czubku jego szabli. Łut szczęścia oraz umiejętności uratowały Kolonistę. Jego niespokojny pies stawiał opór w ostatniej chwili, i szable

skrzyżowały się z pozbawionym melodii zgrzytem stali uderzającej o stal. Pies Kolonisty zwinnie obrócił się w miejscu i ruszył do tyłu, aby uniknąć trującego napływu Brygadowców. Spieszeni ludzie przed nim nie mieli takiej możliwości. Udała im się jedna salwa; wybuch dymu i czerwonego ognia. Zawrzało na całym przedzie atakującego szeregu, gdy ludzie i psy padały na piętnastu metrach frontu. Mężczyźni wylatywali łukiem w powietrze i rozbijali się z roztrzaskującą kości siłą o twarde, stiukowy kamień ścian domów lub osuwali się na chodnik. Jeden wyładował przypadkiem z ohydą precyzją na poprzeczce gazowej latarni i wisiał przebity, drgając niczym ofiara dzierzby na kolcu.

Jednak pęd szarzy był zbyt wielki, aby mogła go wyhamować jedna salwa, a wiele rannych psów zachowało nogi. Lekkie dziesięciomilimetrowe kule z karabinków Kolonistów były dla ludzi śmiertelne, ale trzeba było mieć szczęście, żeby zabić jednym strzałem ważącego tysiąc dwieście funtów psa. Pozbawione jeźdźców psy były niemal lak samo niebezpieczne jak te, które miały na swych grzbietach szermierzy. Jeden z nich pochwycił głowę Kolonisty w swoją półmetrową paszczkę i przerzucił go przez ogon jednym machnięciem masywnej szyi. Tylne rzędy przecisnęły się przez chaos panujący pośród miotającego się przedniego szeregu, a cienki szereg Kolonistów padł w nawale pchnięć szabel

i dwucalowych kłów.

Oficer Kolonistów był całkiem żywy. Znowu wycelował. Raj rzucił się w dół, na prawą stronę psa, trzymając się kuli siodła jedną stopą. Była to sztuczka, jakiej nauczył go Skinner i opłacała się... kula z pistoletu przeleciała ze świstem przez powietrze tam, gdzie jeszcze chwilę temu znajdowało się jego ciało. Raj dobył pistoletu i strzelił spod brzucha Horace'a, w brzuch psa Kolonisty. Zwierzę spięło się do zdumiewającego skoku, który sprawił, że Arab puścił karabin i chwycił za wodze; a potem dopadło go dwóch żołnierzy z 1/591. Zakrzywiona szabla błysnęła przeciwko ciężkim, szerokim mieczom Rządu Wojskowego, przy jednym pchnięciu, drugim, trzecim. Arab ciął jednego żołnierza przez twarz, lecz drugi wbił ciężką klingę w jego brzuch.

Raj wyprostował się. O *mały* włos. Przez chwilę nie było w zasięgu wzroku żadnych brudasów poza tymi, którzy uciekali – a uciekanie w prostej linii od psa było złym pomysłem. A potem znaleźli się na oczyszczonym terenie zaraz za murami. Główna brama miasta – ta z wjazdem kolejowym – znajdowała się tuż po prawej. Była spowita dymem, lecz sztandary Rządu Cywilnego wciąż nad nią łopotały, a osadzona tam armata wydawała z siebie ciągłe, dudniące *boom* gromu. Przed nim znajdował się cienki szereg żołnierzy Rządu Cywilnego – trzy kompanie Piątego, które zostawił jako główną rezerwę, broniły się przed rosnącym naporem brudasów spływających od podnóża muru. Ledwo co się bronili i nie pociągną już długo. Koloniści stracili całą spójność jednostek przy przechodzeniu przez mur, lecz formowali się znowu niczym kryształki wytrącające się z nasyconym roztworze i przybywało ich z każdą minutą.

Dzwoniły salwy Piątego, ostre i niespieszne, lecz gdy Raj tak się przyglądał, oni tracili ludzi jak kostka cukru w strumieniu gorącej herbaty.

Teodore Welf zatrzymał się obok niego, gdy 1/591 rozciągnął się w szereg. – Z siodeł? – spytał.

Raj potrząsnął głową. – Nie ma dość czasu. Musimy w nich uderzyć, zanim oni się zorganizują.

Ci rycerze z Rządu Wojskowego lubili zimną stal, a to była odpowiednia do tego sytuacja. Cały obraz przed nim migał, przeblyskując przez prześwitane w unoszących się chmurach siarkowego dymu. Było go coraz więcej z każdą sekundą, wyrzucanego przez ogień z armat i karabinów. Kule

przelatywały z ohydny świsem. Pięciu ludzi dalej w szeregu jakiś żołnierz chrząknął i zleciał powoli z siodła.

Podbiegł zdyszany kapitan z Piątego. – Panie?

– Usuń ich z drogi, Fittorio, a potem przegrupujcie się po mojej lewej i dajcie mi wsparcie ogniowe. Welf, przesun te jazgoczące działka na prawo, jak już mamy na nie miejsce.

Ruszać się!

Zagrały trąbki. Descottczycy przed nim oddali ostatnią salwę i zawrócili, wycofując się szybkim marszem. Nierówny szereg Kolonistów za nimi wydał z siebie swój ujadający okrzyk i z kolei on poszarżował, nieświadomy, co go czekało. Nieświadomy, aż zaśpiewała trąbka, a psy i Brygadowcy zawyli jednocześnie. Wrzaski jeźdźców były tylko trochę bardziej ludzkie. Było ledwo dość miejsca, aby nabrać pędu, lecz mnóstwo miejsca do ustawienia się w podwójnym szeregu według podręcznika musztry. Kawaleria wyłoniła się z dymu; wielcy mężczyźni z jasnymi mieczami i wielkie psy.

Uderzyli w spieszonych Kolonistów jak belka drewna nadlatująca z ogromną szybkością. Ludzie padali, skoszeni, pchnięci i zwaleni z nóg przez sam tylko pęd.

Teraz widać, jak dobrze zapadło w nich szkolenie, pomyślał Raj. A na głos – *Halto! Z siodeł, nasadzić bagnety, naprzód ruszać i pał, niezależny ogień!*

Jeden albo dwóch żołnierzy zniknęło w tej rzeszy z przodu, z oczami wlepionymi w nią i pianą kapiącą z ust. Reszta zatrzymała się i zsiadła z przycupniętych psów, wsadzając miecze do pochew i wyciągając broń palną – choć niektórzy mogliby tego nie zrobić, gdyby psy nie zatrzymały się automatycznie. *Klik*, i długie bagnety wsunięto w karabiny ze zbrojowni. Ludzie ruszyli do przodu, posuwając się równym szeregiem, niezupełnie prosto – bardziej przypominało to płytkie C – przyjmując szyk ze sztandaru batalionu i od Raja znajdującego się obok. Front formacji na chwilę się wyrównał, a potem rzygął dymem. Tafla ognia grzmotnęła w Kolonistów zgrupowanych u podnóża schodów.

Oddział Piątego zajął pozycję na lewej flance, wpadając na miejsce jak drzwi po umieszczeniu w zawiasach. Jazgoczące działka obróciły się i zostały odprzodkowane, wepchnięte na miejsce, aby zakryć lukę pomiędzy końcem szeregu po prawej a nagą ziemią koło bramy, omiataną ogniem z bastionowych wież.

Raj zrobił krok do przodu. – Do ataku! – krzyknął.

Żołnierze wymierzili swoje bagnety i pobiegli z jednoczesnym łomotem, a on pognął wraz z nimi. Koloniści się zachwiali, a potem uciekli. *Bagnet to broń siejąca przerażenie*, pomyślał Raj. Tak naprawdę to nie *zabijał* znowu tak wielu ludzi, nie w tej erze broni odcylkowej, lecz w niektórych sytuacjach potrafił zmusić ludzi do *ucieczki*. Albo skłonić do próby ucieczki; schody schodzące w dół przy murze były zbyt zapakowane ludźmi, aby ci na ziemi mogli zejść daleko. Sylwetki w czerwonych jellabach zaczęły spadać pojedynczo i dwójkami, ściśnięte i wypchnięte, gdy parcie z góry i z dołu zmusiło gęsty strumień ludzi do wyginania się na boki.

– *Halto!* Salwą pał!

Rozkaz został przekazany do oficerów. Jeden szereg klęknął, a drugi strzelał nad głowami pierwszego. Karabiny się uniosły, celując w górę, w ciżbę. BAM. BAM. BAM. Fala przeszła przez szereg. Kule odbijały się ze świsem od kamienia, przebijając się przez trzech i czterech ludzi na raz.

– Kolumnami plutonów! – ryknął Raj. – Welfie, niech ruszą po nas – a wy, ludzie, za mną!

– Niech to piekło pochłonie – rzekł młody szlachcic z Rządu Cywilnego i przekazał komendę.

Uformowała się kolumna czterdziestu żołnierzy, ze sztandarami znajdującymi się tylko kilka szeregów za przednim.

– *Hadelande!*

– Upyarcz!

Wielu z pierwszych Kolonistów padło z bagnetami w plecach. Żołnierze z tyłu kolumny strzelali ponad głowami towarzyszy, w górę szerokich schodów. A spod ich podnóża sześciuset ludzi też tak robiło wraz z jazgoczącymi działkami z lufami uniesionymi aż do oporu. Schwytani w pułapkę, znajdujący się na schodach Koloniści odwrócili się, aby stoczyć walkę.

Raj znalazł się ramię w ramię z Teodorem Welfem. Bagnety zjeżyły się po obu ich stronach, a sztandary łopotały z tyłu. *Stopień w górę*. Raj zablokował zakrzywioną szablę gardą swojej i strzelił pod nią w ciało przeciwnika. Trup potoczył mu się pod nogi i Raj niemal się przewrócił, nie mając miejsca do postawienia stopy. Karabin ze zbrojowni wystrzelił mu tuż nad uchem, pozostawiając dzwonięcie. Raj przyjął z powrotem postawę szermierza, wysuwając prawą stopę, i rzucił się znowu do walki. I znowu. Welf walczył z długim sztyletem w prawej dłoni, posługując się ciężkim, szerokim, jednosiecznym mieczem w lewej jak wstęgą szabli. Jasne włosy fruwały mu wokół ramion, gdy przy każdym oddechu podśpiewywał jakąś nameryjską pieśń wojenną. Ogień omiół schody przed nimi. Rajowi podniosły się włoski na karku na myśl, co by się stało, gdyby ktoś wycelował nieco niżej.

Albo gdyby te brudasy miały czas na przeładowanie. Jeden miał. Zielona siatka celownicza Centrum pojawiła się Rajowi przed oczami, zarysowując sylwetkę pulsującym światłem. Raj przesunął czerwoną kropkę w środek masy i pociągnął za spust, a mężczyzna obrócił się i karabinek wyleciał mu z rąk. Został wyznaczony kolejny cel. Raj odwrócił się lekko, z wysuniętym pistoletem, i pociągnął za spust. Była to ręczna bomba spadająca łukiem ku niemu, niemożliwy cel... niemożliwy bez Centrum. I to w dodatku lewą ręką. Żelazna kula wybuchła niecały metr od tego, który ją rzucił, gdy trafił w nią pocisk.

Widziało to wielu ludzi, widziało jego ramię niczym wskaźnik oraz rezultat tego. Każdemu z praktycznym doświadczeniem w posługiwaniu się bronią palną bardzo to przypominało cud. Welf krzyknął – Duch jest z nami! Duch Człowieka jest z messerem Rajem!

Znajdujący się za nim Brygadowcy podjęli ten okrzyk, a ze znajdujących się z przodu Kolonistów uszło nieco walecznego uporu. Coraz więcej z nich wbiegało z powrotem na górę, próbując przedostać się za mur przy pomocy lin z hakami i drabin. Raj zaryzykował spojrzenie przez ramię. Na otwartym terenie pod murami pojawiło się więcej sztandarów: 18 z Komar, 7 z Descott. Kamień pod nogami był śliski, śliski od czerwonych strużek spływających z góry. Ogień z dołu przeorywał platformę strzelniczą w górze, specjalnie zbudowaną tak, że dawała niewiele osłony od tyłu.

Nieczęsto się to widzi, ziemię spływającą krwią. Ostatnio było tak w Port Murchison, gdy flota Connera Auburna wpłynęła w jego zasadzkę.

Nagle wszedł chwiejnie na równą powierzchnię, na platformę bojową na murze. Ogień z dołu zamilkł i podniósł się potężny, radosny okrzyk, gdy chorążowie zaczęli wymachiwać flagami. Na platformie piętrzyły się ciała. Ludzie wylewali się z bastionowych wież przed nim i za nim,

strzelając, dzierżąc bagnety, kolby karabinów, strzelby, a w przypadku kanonierów, wyciory. Drabiny się przewracały, gdy mężczyźni wysuwali kije albo czubki swoich bagnetów przez otwory strzelnicze i z dachu na górze.

Zapadła cisza – względna cisza. Dało się słyszeć tylko kanonadę oraz wrzaski rannych, którymi usiana była platforma i schody oraz ziemia po obu stronach murów. Podszedł do otworu strzelniczego i wyrżał. Artyleria Kolonistów znów strzelała. Pociski przelatywały w górze ze świstem, by wyróżnić w miasto za nim.

– Sprowadzić – odwrócił się i wycharczał, a potem przerwał. Zdał sobie bowiem sprawę, że nie rozpoznaje człowieka trzymającego jego sztandar. Zawsze byli ochotnicy do tej roboty i ciągle na nich zapotrzebowanie. Był tam jednak wciąż jeden z gońców, który przeładowywał pistolet ręką ociekającą krwią. – Słowny rozkaz do dowódców batalionów. Niech wycofają ludzi w ukrycie. Sprowadzić mi Menyeza. A potem niech ci to opatrzą.

– Ponie.

Schody pustoszały. Ludzie pędzili na górę, aby zająć pozycje przy otworach strzelniczych. Inni pomagali rannym i znosili ich na dół. Nieprzyjaciele byli przerzucani za mur. Spadali na mocno ubitą ziemię w dole jak zawiniątka niepotrzebnego ubrania. Tyle że zawiniątka nie krzyczą, lecąc w dół... *Cóż, nie ma czasu na uprzejmości.*

Odezwał się głos mówiący po nameryjsku. – Otto, ten skurwysyn żyje – strzelaj!

Raj szybko podniósł wzrok i powiedział w tym samym języku – Sprawdź najpierw, człowieku, czy nie ma pod nim któregoś z naszych, żywego.

Wielki żołnierz zebrał się w sobie, a potem zaczął odciągać ciała za nogi. Dwóch jego towarzyszy czekało po bokach, z bagnetami w pogotowiu. Dołączył do nich podchorąży z dobytym rewolwerem. Z pół tuzina ciał, byli to regułami żołnierze Kolonii. Pozostali to piechota Rządu Cywilnego – 24 z Valencii sądząc po naramiennych patkach.

24 dostał prosto w twarz, pomyślał Raj. Ale umierali mężnie, na Ducha.

Nagle miał czas, aby zauważyć, jak sam dyszy z wyczerpania i to, że parciana uprząż uciska mu zębra. Pomacał w poszukiwaniu manierki u pasa i przekonał się, że jest pusta. Jej dno zostało rozdarte i rozchyliło się jak kwiat, poszarpaną, żelazną blachą. Ktoś zażartował, gdy Raj ją odrzucił, a on poczuł, jak mu cierpną jądra. Nie bał się zbytnio śmierci – bardziej tego, że miał aż tyle do *zrobienia* – lecz pewne rany były o wiele bardziej przerażające. Jakiś żołnierz wręczył mu inną manierkę, a on przepłukał sobie usta, splunął i napił się. Woda z octem przebiła się przez pył i flegmę w gardle.

– Tenk – powiedział – nameryjskie słowo podziękowania – i oddał ją.

Zaczął ocierać sobie usta rękawem, a potem przestał, gdy zdał sobie sprawę, że jest on przesiąknięty krwią. Było jej nieco mniej na lewym ramieniu, więc nim się posłużył. Czuł teraz pieczenie z pół tuzina pomniejszych ranek, głównie powierzchownych zadraśnień i kilka siniaków na kościach. Otworzył rewolwer, wyrzucił pusty mosiądz i przeładował, a potem oczyścił nieco swoją szablę. Na tyle, aby móc schować ją do pochwy. Żołnierz zaklął przy stosie zabitych.

– Ten żyje, i to jeden z naszych!

Raj się przysunął. Uniósł brwi. Wyglądało to na mały cud. Piechur był jeszcze bardziej pokryty krwią od Raja, choć – tak jak w przypadku Raja – wyglądało na to, że nie była to jego krew. Z boku twarzy miał ogromny siniec. Obok niego leżał karabin, kolba była roztrzaskana, a bagnet wygięty. Na palcach wciąż miał pół tuzina pierścieni od ręcznych bomb.

Raj zagwizdał cicho, a paru kawalerzystów pokiwało głowami. Raj przykląkł na jedno kolano i wyciągnął dłoń. Ktoś włożył mu w nią następną manierkę, a on posłużył się nią oraz własną chustką na szyję, aby zetrzeć nieco zaskorupiałej krwi z twarzy mężczyzny. Był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia parę lat i dość jasną karnację.

>>Kaprai Minatelli<< podało Centrum. >>Zaciągnął się Starej Rezydencji dwa lata temu. Umie czytać i pisać, obserwator.<< Szczegóły dotyczące przebiegu służby przemknęły mu w głowie z lodowatą pewnością wiążącą się z przekazywaniem danych przez starożytny komputer.

Cholera, jeśli jest tak dobry, jak na to wygląda, to będzie podporucznikiem Minatellim, pomyślał Raj.

Oczy podoficera rozwarły się i on sam zadrżał gwałtownie, a ręka powędrowała ku nożowi w bucie. Raj pochwyił ją z nieodpartą siłą.

– Spokojnie, bracie żołnierzu – rzekł.

Minatelli opanował nudności. Raj sprawdził mu źrenice. Nie były jakoś znacząco rozszerzone, więc wstrząs mózgu nie był zbyt mocny. Będzie słabował przez dzień, z paskudnym bólem głowy. Miał szczęście: każdy cios na tyle silny, abyś stracił przytomność, niósł prawdziwe zagrożenie dla życia.

– Penie – powiedział Minatelli. Wyglądało na to, że zaczyna pojmować sytuację. – Ktoś jeszcze, penie? – spytał chrapliwie, z połykającym głoski spanyolskim akcentem w wojskowym, sponglijskim dialekcie.

Zdecydowanie podporucznik Minatelli, stwierdził Raj. Podniósł wzrok na młodszego oficera 1/591 z pytaniem malującym się na twarzy.

– Jeszcze jeden, panie – udzielamy mu teraz pierwszej pomocy. Wygląda dość fatalnie, ale może się wylize.

– Przykro mi, synu – rzekł Raj.

– Duchu – wyszeptał Minatelli. – Staraliśmy się, jak mogli, penie, ale było ich po prostu za dużo.

– Dobrze się spisałeś, żołnierzu. Powstrzymywaliście ich tak długo, że udało nam się tu dostać.

Poklepał młodzieńca łagodnie po ramieniu i powstał. Drużyny noszowych wbiegały po schodach, teraz, gdy się na nich przerzedziło. Wyprzedzał ich posłaniec.

– Ponie. Od pułkownika Staenbridge'a – brudasy są z powrotem po swojej stronie murów. Toż samo od majora Belageza.

Przyniosło to ulgę, lecz nie było niespodzianką. Było to najbardziej niebezpieczne przedarcie się, najbliższe głównej bramy.

– Raj!

Obejrzał się szybko. To była Suzette wraz z Fatimą i umartwioną siostrą-lekarzem, pochylającą

się nad rannymi, których ładowano na nosze. Raj spojrział w dół na siebie... cóż, *było* to nieco niepokojące. Suzette dokończyła pomagać przy zawiązywaniu bandaża, podniosła swoją apteczkę i podeszła do niego ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

– To nie moja – powiedział Raj, nieco defensywnie.

– Cóż, a co z *tym*? – spytała.

Raj spojrział w dół naprawdę zaskoczony. Miał długie cięcie na prawym ramieniu, zaczynające się zaraz nad nadgarstkiem i biegnące aż do łokcia. Poruszył palcami. Rozcięcie nie było na tyle głębokie, żeby naprawdę bolało, i szło wzdłuż mięśnia. Miękki strup pękł i po ścieżce, jaką wycięła zakrzywiona szabla, pociekła świeża krew. *Musiała być dobra*, pomyślał z roztargnieniem. W Al Kebir i Gederosii mieli naprawdę wyśmienitych płatnerzy, którzy wyrabiali klingi, jakimi można było przeciąć opadający szal z jedwabiu *torofib*. Takie, których ostrze nie wyszczerbi się, rąbiąc kość.

– Zaraz zdejmuj tę kurtkę.

W głosie Suzette pobrzmiewało zdecydowanie. Raj usłuchał automatycznie i dostrzegł, jak niektórzy żołnierze skrywają uśmiechy, *Wszystko to jest częścią legendy*, pomyślał z rezygnacją. Nawet Horace miał w niej swoje miejsce i wszyscy musieli wypełniać swoje role, chcąc czy nie chcąc. Zaklął lekko, gdy przemywała cięcie jodyną i obmywała ramię przed wyjęciem zwitka bandażu.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytał.

– *Powinno* być parę szwów – rzuciła cierpko. – Postaraj się go nie nadwerężyć.

– Spróbuję – obiecał. A potem się uśmiechnął. – Nie mogłem pozwolić, żebyś jako jedyna zdobyła bliznę z tej kampanii, prawda? Pomyśl o mojej reputacji.

Parsknęła niechcący śmiechem. – Twoja reputacja jeszcze bardziej ucierpi, jeśli dasz się zabić, wykonując robotę porucznika. Niech młodszy też mają szansę.

– Zgoda, jeśli ty zostaniesz w domu i zajmiesz się haftowaniem, moja droga.

Uniósł się ze swego siedzenia na półce i podniósł wzrok. 9.00, pomyślał. Nie minęły jeszcze dwie godziny od świtu.

Patrząc w dół z platformy bojowej, dostrzegł, że oczyszczony krąg wewnątrz murów był prawie pusty. Oczywiście poza trupami nieprzyjaciół. *Grupy pogrzebowe. Zajrzy do rannych... Niech opanują te pożary*. Koloniści znowu rozpoczęli ostrzał artyleryjski. Na szczęście Sandoral był w większości miastem wzniesionym z wypalanej gliny, cegieł i kamieni, z dachami krytymi dachówkami wspartymi na łukach – drewno zawsze było tu drogie, a on wyrwał większość z niego na most.

– Z powrotem do roboty – powiedział i podszedł ku schodom. Muchy uniosły się z kamieni bzykającą chmurą pośród słodkawego zapachu krwi, która już zaczęła gnić w porannym słońcu. Odcięta ręka leżała niema! na jego drodze. Zaczął ją odkopywać, a potem potrzęsął głową i zszedł po schodach.

Flagi łopotały na wietrze, gdy ruszyli za nim jego chorążowie.

Rozdział dwunasty

Suzette była blada. Fatima podniosła wzrok zaniepokojona. Żadnej z nich po wszystkich tych latach nie były obce polowe szpitale, więc to nie mogło być to. Wzdrygnąwszy się, arabska dziewczyna przypomniała sobie swój pierwszy dzień tutaj, pierwszą bitwę, cztery lata temu. *Wtedy* ustawiono ogromne, drewniane koryta w dole stołów do operacji, mające pomieścić amputowane kończyny. I przez cały ten niekończący się dzień były one pełne. Barton stracił w tym dniu rękę. Przytrzymała go za ramiona, gdy chirurg pracował.

W porównaniu z tamtym, to było łagodne. Tylko kilkadziesiąt roztrzaskanych kończyn do odjęcia i było dość czasu, aby odurzyć najcięższe przypadki przy pomocy opium. I kilka setek innych, a ponad połowa przeżyje. Jednak Suzette *rzeczywiście* wyglądała na chorą, gdy przechodziła pośród pryczy rozstawionych w głównej komnacie katedronu Sandoralu. Powietrze pachniało starym kadzidłem i woskiem przebijającymi się przez smród środka dezynfekującego i krwi.

Była jednak messą Whitehall. Dokończyła rozmowę, obróciła się na pięcie i poszła, nie biegnąc, ku drzwiom. Fatima podażyła za nią, chwytając za ręcznik. Odgłos wymiotów dobiegł z pokoiku. W normalnych czasach było to pomieszczenie na szaty liturgiczne kapłana. Suzette klęczała i wymiotowała do wiadra. Fatima pospieszyła ku niej i podała jej ręcznik, a potem poszła po wodę.

– Nie rozumiem tego – powiedziała Suzette, wycierając twarz i opadając na krzesło.

Fatima położyła jej dłoń na czole. – Nie masz gorączki, messa.

– Nie, nie mam. I przez większość czasu czuję się dobrze, tylko przez ostatnich parę poranków... – przerwała. – Jaki dzisiaj *dzień*?

– *Drugi Huillio*. Dlaczego chcesz... och!

Oczy Suzette zrobiły się okrągłe. Odwróciła powoli głowę i spotkała się spojrzeniem z Fatimą. Młodsza kobieta otworzyła usta. Pisnęła, zanim udało jej się dobyć jakieś logiczne słowo – Myślałam... myślałam, że nie możesz, to znaczy – przerwała zawstydzona.

– Nie, nie było dość czasu – rzekła oszołomiona Suzette. A potem twarz jej stężała. – To *nie* może wyjść poza te ściany, jasne?

– Oczywiście, messa – rzekła uspokajająco Fatima. – Ale czy messer Raj nie chciałby wiedzieć?

– Nie teraz, gdy ma tyle spraw, o które musi się martwić – powiedziała Suzette.

* * *

Płaski dach miejskiego biura w Sandoralu stanowił wyśmienite stanowisko obserwacyjne, znajdował się bowiem blisko rzeki i wyżej niż wierzchołki muru majdanu. Był także na tyle oddalony od umocnień obronnych, iż było mało prawdopodobne, aby pociski Kolonistów wylądowały w okolicy. Słońce południa prażyło, czyniąc wypłowiałymi błękitne kafle posadzki i rysując ostre cienie dokoła ozdobnie przyciętych krzewów i pergoli. Miejscy administratorzy wyprawiali tutaj swoje przyjęcia, pośród doniczek bugenwilli i jaśminu, które już zaczęły więdnąć nie pielęgnowane. Podbite żelaznymi blachami buty oficerów pobrzmiwały na posadzkach, ostro i metalicznie. Stacja heliografu zajmowała jeden róg, a stół z mapami i biurko do pracy ustawiono przy balustradzie najbliższej rzeki.

– Cóż, nie traci czasu – rzekł Raj.

Przez osadzoną na trójnogu masywną lornetkę widział wyraźnie wschodni brzeg. Sztandar Tewfika z pieczęcią Salomona trzepotał na najwyższym wzniesieniu. Wokół niego kilka tysięcy ludzi pracowało motykami i łopatami.

Grammeck Dinnalsyn posługiwał się lunetą, także obsadzoną. Wykonał kilka precyzyjnych nastawień przy pomocy śrub i szkicował w notatniku.

– To nie jest przeznaczone dla wszystkich jego sił – powiedział. – Może dla jakichś trzystu, czterystu ludzi.

Raj skinął potakująco głową i ugryzł kolejny kęs kanapki. *A to mi przypomina...*

– Jorg – powiedział. – Jak nas nie było, twoi ludzie byli na połowie racji żywnościowych?

– *Si*. Głównie suchary i mięso wyschłe na słońcu, trochę ryb i suszonych owoców.

– Niech od teraz wszyscy wrócą na pełne racje – powiedział. – I niech psy też porządnie nakarmią. Muzzafie, przynieś mi całkowity spis zapasów. I paliwa.

– *Si* – rzeki mały Komarianin. – *Seyhor*, mogę ci powiedzieć od razu – w takim tempie starczy nam zapasów na niecały tydzień.

– Doskonale – rzekł, uśmiechając się Raj. Pozostali spojrzeli na niego dziwnie. – Zakładam, że Ali o tym wie?

– W zarysie – powiedział Menyez. – Mieliśmy paru dezertersów, głównie z jednostek garnizonu. Zapewne przyjęli turbany i powiedzieli mu to, co wiedzieli.

Raj pokiwał w zamyśleniu głową. – A jacyś z drugiej strony?

– Trzech. Dwóch z ich taboru. Twierdzą, że są wyznawcami kościoła Gwiazdy wcielonymi razem z zapasami. Trzeci to Zanjczyk.

Kolonia podbiła niektóre z leżących przy granicy państw-miast, lecz wściekle jej nienawidzono. Zanjczycy pochodzili z innej rasy niż większość Kolonistów i wyznawali gałąź islamu, którą zdobywcy uważali za heretycką.

– Pewnie są szpiegami – zakończył Menyez. – Trzymam ich w zamknięciu.

– Porozmawiam z nimi. Zwykle udaje mi się wydobyć prawdę z człowieka – rzekł Raj. Zdawał sobie sprawę z rzucanych mu z ukosa spojrzeń; kolejna część mitu – nie dało się okłamywać messera Raja. *Gdy Centrum patrzy moimi oczyma*, pomyślał. – W każdym razie, nie ma znaczenia, co wie Ali. Ani nawet, co wie Tewfik.

Barton Foley zwrócił uwagę. – Przeprowadzają ludzi.

Wszyscy unieśli lornetki. Przeładowana łódź rybacka walczyła z prądem, zmierzając w kierunku miejsca zaraz na południe od murów Sandoralu na zachodnim brzegu, a tam, gdzie psy na smyczach płynęły za łodzią, widać było głowy i fale w kształcie litery V. Na brzegu rzeki, z którego łódź odbiła, ludzie budowali ziemną rampę schodzącą do skraju wody i zbijali tratwę z różnych kawałków palmowych belek i cienkich desek, wyglądających, jakby pochodziły z ogrodzenia dla owiec.

– Przeprowadzenie ludzi z powrotem do Aliego zajmie mu trochę – powiedział Gerrin Staenbridge, przyglądając się swoim paznokciom. To, że siły Rządu Cywilnego zagarnęły każdą małą łódkę i wszystkie dostępne materiały stanowiło mocne utrudnienie dla nieprzyjaciół. – Masz jakiś pomysł, prawda, *mi heneral*?

Raj uśmiechnął się do niego. – Może. Czy domyślasz się jaki? Staenbridge potrząsnął głową. Raj pokiwał przyjaźnie swoją.

– A to także doskonale – powiedział. – Jesteś bowiem niezwykle spostrzegawczym oficerem i dysponujesz *wszystkimi* informacjami. Jeśli nie możesz się tego domyślić, to Tewfik też pewnie nie. Panowie, chcę, abyście spędzili resztę dzisiejszego dnia i jutrzejszy na reorganizacji. Nie pozwólcie swoim ludziom zbyt długo zasiedzieć – chcę całkowitej gotowości do natychmiastowego wyruszenia. W tych jednostkach, które mocno dostały, od razu dokonajcie koniecznych przesunięć. Konserwacja broni, wydawanie amunicji i tak dalej – i znowu, natychmiast, proszę. Jasne?

Kiwanie głowami. – Grammeck, dziś po południu chcę z tobą omówić pewne sprawy. Przynies proszę pełne plany mostu pontonowego. Jeśli nie ma już żadnych pytań..., messerowie?

Było oczywiście jedno palące pytanie, lecz nikt nie zamierzał go zadawać. Jorg Menyez pozostał, gdy reszta opuściła płaski dach.

– Pułkowniku? – pytająco zwrócił się do niego Raj. Nie było w zwyczaju Jorga prosić o rozmowę dla pocieszenia. Był wyraźnie nieco zawstydzony.

– *Heneralissimo* – powiedział. – Ach... pomyślałem, że będziesz chciał wiedzieć o Osterville'u.

– Osterville'u? – spytał Raj. Z trudem przypomniał sobie o tym mężczyźnie. Nie myślał o nim od czasu Ain el-Hilwa. *Żadna strata*.

– Wystarczy, że go tu nie ma i nie narobi kłopotu.

– Nie, tego nie zrobi – rzekł Menyez. – Było to nieprzyjemne, lecz, jak sam powiedziałeś, konieczne.

Raj spojrział na niego, a Menyez poczerwieniał. – Wszystko w porządku, *mi heneral*. Zniszczyłem list i twoją pieczęć, a on powędrował do Drangosh z sześćdziesięciokilogramowym pociskiem przywiązany do kostek... wciąż jednak mi się to nie podoba.

Raj skinął głową. – Oczywiście, Jorg. – *Tylko Suzette ma moją pieczęć*. – Rozumiem.

Zadrzał lekko pomimo upału.

* * *

Kropka czerwonego światła przeleciała łukiem przez mur, ciągnąc za sobą ogień przez ciemność. *Lup*. Wybuchła pośród opustoszałych domów – miejmy nadzieję, że opustoszałych – i kolumna ognia wzniosła się w noc. Kolejna iskra. *Lup*.

– To już szósty w ciągu godziny – wymruczał do siebie Raj. >>W ciągu ostatnich pięćdziesięciu pięciu minut i trzydziestu sekund<< dodało Centrum. >>Ogień nękający.<<

– Ali wyraźnie postanowił nas zagłodzić – zgodził się Raj. Obraz przesunął mu się przed oczami: jego własne wychudzone ciało, wciąż żywe, nagie, pokryte pręgami i poparzeniami. Pary psów przywiązane do łańcuchów przymocowanych do jego kostek i nadgarstków. Woźnice popędzali psy do przodu powoli, stopniowo zmniejszając luz. AJ i ibn’Jamal siedział, przypatrując się, waląc pięścią w poręcz swego przenośnego tronu i śmiejąc się z radością. Tewfik stał z boku ze skrzyżowanymi rękoma i lekkim wyrazem obrzydzenia na twarzy, który odbijał się na obliczach większości wielmoży i oficerów wokół niego. Za nim stały szubienice, niczym szkielety na tle nieba, ze zwisającymi z nich ciałami towarzyszy – na rzeźniczych hakach przewleczonych przez żebra. Kilku z nich wciąż się wilo.

Raj skrzywił się z obrzydzeniem. – Nawet wedle standardów Mihwela Straszliwego, z Aliego jest niezłe ziółko.

>>Subiektywna ocena, lecz trafna. Praktyki stosowane przy wychowaniu dzieci w królewskiej rodzinie Kolonistów sprzyjają powstawaniu poważnie dysfunkcyjnych osobowości<<

Na kaflach za nim rozbrzmiały kroki. Nie było okrzykiwania od posterunków na schodach w dole, więc mogła to być tylko jedna osoba.

Suzette oparła się o balustradę obok niego, spoglądając na miasto i połyskującą wodę. – Pełne koło, mój kochany – rzekła. – Sandoral i nadchodząca bitwa.

– I ludzie ginący niespodziewanie – powiedział.

Zwróciła twarz ku niemu, ściągniętą i bladą w świetle księżyców. – Osterville nie potrafił przewodzić ani słuchać i nie chciał też zejść ci z drogi i pozwolić pracować. Czy możesz sobie wyobrazić spustoszenie, jakiego by dokonał tutaj, gdy od Jorga zależało, aby wszystko poszło gładko? Skończylibyśmy, *przeptywając* wpływ, podczas gdy Osterville próbowałby zmusić wszystkich, aby zachowywali się wedle jego uznania.

– Jorg...

– Jorg jest dobrym człowiekiem i dobrym oficerem, ale nie ma twojego talentu do ustawiania ludzi – zwłaszcza ludzi znajdujących się wyżej w hierarchii wojskowej. Wiesz o tym. – Nieco gniewu wkradło się do jej głosu. – Ilu lepszych ludzi zginęło jak do tej pory w czasie tej kampanii?

Raj uśmiechnął się smutno i potrząsnął głową. – Zawsze potrafiłaś wygrać na argumenty – rzekł. Wzruszył ramionami. – Po prostu nie lubię, gdy zabija się w ten sposób innego oficera. Tzetas robi tego rodzaju rzeczy.

Suzette westchnęła. – Mnie też się to nie podoba – rzekła cicho. – Ale trzeba było to zrobić.

Raj skinął głową. Patrzyli, jak kolejny pocisk Kolonistów przeleciał nad murem.

– Jest zimno – powiedziała cichutko Suzette.

Raj wyciągnął ramię w długim, wojskowym płaszczu, który miał na sobie. Suzette wsunęła się pod nie i oparła policzek o pierś męża.

– Nie możemy sobie tym razem pozwolić na żadne błędy, prawda? – spytała po chwili.

– Nie – odparł Raj. Podniósł wzrok na księżycy. Jutro wieczorem wstaną późno. *Zwycięstwo albo śmierć*, pomyślał. *Wszyscy ludzie umierają, ale to trzeba zrobić.* – Chodźmy spać.

* * *

– Dokładnie ten kierunek – powiedział Raj.

Narysował patykiem kreską w pyłe. Znajdujący się za nim artylerzyści podparli ramę – dwa zestawy sztywnych belek ustawionych pod odpowiednimi kątami, z ukośnym kawałkiem przechodzącym przez ich ramiona. Zrównali go z oznaczeniem narysowanym w pyłe. Gdy został osadzony mocno na miejscu, popchnęli działo w górę po ukośnym przedzie ramy i przywiązali kola przy znaku zrobionym kredą na drewnie.

– Zasięg wynosi dokładnie 3525 metrów – powiedział Raj. – Załadować pociskiem kontaktowym, opóźnienie dwusekundowe.

– Panie – rzekł kanonier, obrzucając go spojrzeniem.

Skąd wiesz? Raj odczytał z jego twarzy. To oraz ślad nabożnego podziwu. Ludzie wiedzieli, że on nie rzucał czczych przechwałek.

Raj przeszedł do następnego stanowiska, gdy za nim zabrzmiał szczęk żelaza zamka. Wszystkie pozostałe działa polowe zostały ustawione zaraz za północnym murem Sandoralu, wszystkie na ramach. Wszystkie ustawione dokładnie wzdłuż wektora, jaki narysował dla nich na ziemi. Każde z nich, o ile Centrum mogło to ocenić, było teraz wycelowane dokładnie w środek ziemi nad bunkrem dowódczym Aliego, za kolonialnymi umocnieniami – gdzie ten zawsze się udawał po modlitwie o zachodzie słońca. Wszystkie forteczne działa na stałych stanowiskach na murze także były ustawione, te, które mogły strzelać do tego celu,

Nieregularności – wytarcie gwintowania w działach, lekkie różnice oporów przy ładowaniu pocisków, cokolwiek – wpłyną na rozrzut pocisków. Tak czy owak, powinno to stanowić nieprzyjemną niespodziankę.

Dinnalsyn obejrzał się na długi rząd dział. – Myślisz, *mi general*, że go dostaniemy?

– Nie – rzekł Raj. – To jest bardzo bezpieczny bunkier. Ostatnią rzeczą, jakiej chcę, to przejście pełnego dowództwa przez Tewfika. Jednak to z pewnością przyciągnie jego uwagę, a Ali ma gwałtowny temperament. Jeśli znam się na tym człowieku, to zrobi coś głupiego.

Przodki stały w rzędzie, pięć metrów z tyłu za działami, a psy leżały zaprzęgnięte.

– Czy tratwy są gotowe? – spytał Raj.

– Gotowe i czekają, panie – rzekł Dinnalsyn. – Desek i pokładów z pontonowego mostu było dokładnie tyle, ile potrzebowaliśmy... Podejrzewam, że nie jest to zbieg okoliczności?

– Można tak powiedzieć – odparł Raj. Poklepał go po ramieniu. – Bądź gotów.

Ostatnie bataliony kawalerii na specjalnej służbie siedziały pod murem, kończąc wieczorny posiłek: fasolę, wieprzowinę i cebulę, wydawane z kotłów nad obozowymi

ogniskami i zagryzane tortillą. Był to 5 z Descott. Byli na tyle zawodowcami, aby koncentrować się na jedzeniu, ale wyczuwał napływające od nich napięcie, które aż trzeszczało. Podeszedł do nich i zrobił przywołujący gest. Stłoczyli się wokół niego i przykucnęli albo przysiedli na znak jego ręki. Pozostało tylko około trzystu pięćdziesięciu ludzi – a batalion miał podwójną liczebność, gdy zabierał ich na zachód, aby walczyć z Brygadą.

– Dobra, psi bracia – rzekł cicho. To zmusiło ich do uważnego słuchania i pochylenia się bliżej, sprawiało także, iż każdy człowiek czuł, jakby Raj przemawiał tylko do niego, jako do konkretnej osoby. – Domyśliliście się, że coś się szykuje. Dwie godziny po zachodzie słońca...

Słońce właśnie dotykało zachodniego horyzontu.

– ...działa otworzą ogień seria pięciu pocisków. W chwili, gdy wystrzeli ostatnie działo – ale nie przedtem – wypalicie szybko pięć razy do brudasów. A potem zejdziecie z murów, pojedziecie na psach do doków, wsiądziecie na tratwy i ruszamy.

Przerwał na chwilę. – Wszyscy jesteście walecznymi mężczyznami i wszyscy jesteście Descottczykami – ciągnął dalej. – Mój ojciec, dziadek i pradziadek walczyli z brudasami, tak jak i wasi.

Kiwanie głowami. Descottyjscy *ranchero* otrzymywali ziemię w wojskowej dzierżawie, płacąc podatki ludźmi raczej niż pieniędzmi. Ojcowie, synowie i bracia szli jeden za drugim do tych samych batalionów od niepamiętnych czasów. Towarzysze broni byli w rodzinnych stronach sąsiadami, a oficerowie synami dziedziców.

– Dużo tutaj przelano descottyjskiej krwi i pogrzebano descottyjskich kości. Teraz mamy okazję, aby położyć temu kres. – To wywołało szelest, mężczyźni przysuwali się przykucnięci i opierali na swoich karabinach. – Jeśli to wygramy, to ich złamiemy. Nie tylko odeprzemy, lecz zniszczymy na zawsze. Jeśli przegramy... – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Cóż, odkąd jesteśmy razem, wy i ja, niewiele żeśmy przegrywali, prawda?

Mruknęli cicho potakująco. – Wszystko opiera się na tym, aby brudaszy myślały, że wciąż tutaj jesteśmy, przynajmniej przez jakiś czas. Ruszycie szybko do doków i zrobicie to po cichu i bez żadnych wpadek. Zrozumiano?

Gerrin Staenbridge postąpił do przodu. – Możesz na nas liczyć, *mi heneral* – rzekł z powagą. Kolejny pomruk dobiegł z szeregów.

* * *

– Cicho tam, cicho – rzekł podporucznik Minatelli.

Tylko piętnastu ludzi pozostało z jego plutonu – kilku z nich było lekko rannych – więc nie różniło się to bardzo od dowodzenia jego starym oddziałem. Wciąż jednak czuł w duchu, jakby gwiazdka z przodu hełmu miała ciężar ołowiu. Ustawili się przed swoją kwaterą, na podwórku czegoś, co było kiedyś domem wielmoży. Minatelli przeszedł wzdłuż plutonu, sprawdzając wszystko po raz ostatni. Ludzie mieli pełne chlebaki, racje na trzy dni – wędzona wieprzowina i suchary,

suszone morele i figi – oraz dodatkową amunicję w zwiniętych kocach.

– Kompania G, formować szereg.

Ludzie instynktownie odnaleźli swoje miejsca w dwójkowej kolumnie rozpoczynającej się pod proporcem kompanii. Na dworze było *ciemno*: wygaszono oczywiście gazowe lampy uliczne – nie został już nikt, kto ładowałby węgiel albo zajmował się zbiornikami na olej opałowy – a zakazano używania wszelkich pochodni i ognisk.

No i dobrze, pomyślał. Przerażające było to, jak niewielu ich zostało. Główne natarcie Kolonistów przeszło wczoraj prosto przez ich sektor murów. Czterdziestu ludzi w kompanii, ledwo co pełen pluton.

Minął ich sztandar batalionu i major Felasquez niosący przysłoniętą lampę sztormową. Jego jedno oko błysnęło lekko, gdy się odrzucił i zatrzymał, aby poszeptać krótko z kapitanem Pinyą i podszedł bliżej do ludzi.

– Dobra, chłopaki – powiedział nieco głośniejszym głosem.

Niespodziewani się, żeby brudasy mogły usłyszeć, nawet gdybyśmy krzyczeli, pomyślał Minatelli. *A z drugiej strony, to sprawia, że wszyscy myślą ciszej.*

– Dość już oberwaliśmy od tych szmacianych łbów. Teraz im oddamy, tak jak mała oddała żonie młynarza, z zaskoczenia i od tyłu. Słuchać rozkazów, wykonywać je dobrze, a z pomocą Ducha i planu messera Raja damy im w kość. – Odsunął się. – 24 Piechoty z Valencia – *Wavmanos!*

Kolumna ruszyła nierówno do przodu. Dziwne było, wręcz przyprawiało o zawrót głowy, maszerowanie bez bicia bębna, a żołnierzom powiedziano, aby nie szli równo. Jednoczesne uderzanie ćwieków, którymi podkute były buty, o kamienną nawierzchnię nie przypominało niczego innego na ziemi i niosło się. Szli więc, z cichym przekleństwem rzuconym od czasu do czasu, gdy ktoś nastąpił na pięty człowiekowi z przodu. Na skrzyżowaniach stali przewodnicy, a ich latarnie stanowiły jedyne światło w opustoszałym mieście. Minatelli trzymał dłoń na rękojeści nowej szabli i ignorował niesamowitą ciszę.

Za bramą rzeczną ciemności się nieco podniosły. Ćwiartka Miniluny i gwiazdy odbijały się od pofalowanej powierzchni wody. Zachrząścił żwir, a potem deski załomotały nieco pod ich butami. Kolumna się zatrzymała.

– 24 z Valencii? – spytał ktoś z przodu, słabo widoczna sylwetka na tle wody. – *Tędy.*

Czekali. Ludzie przed nimi rozplýwali się kompania za kompanią. – Kompania G, tędy.

Mężczyźni brodzili przez sięgającą kolan wodę i wsiadali na barkę. Była to jedna z tych przypominających pudła konstrukcji, jakie pomagał zbijać z drewna uratowanego z rozwalonych domów. Długi rumpel znaczył umowną rufę, a po obu stronach przy długich wiosłach stali ludzie, po sześciu z każdego boku. Pracowali tylko przy jednej osłoniętej latarni, lecz mimo ciemności i tłoku tylko od czasu do czasu dało się słyszeć łupnięcie i przekleństwo, gdy ktoś się potknął, schodząc z mola do ładowni prymitywnej jednostki.

– Będziecie ciągnąć najbardziej wysuniętą tratwę – rzekł kapitan Piny a.

– Tę? – spytał Minatelli, pokazując palcem. – Owszem, podporuczniku.

Podporuczniku. Duchu. Moi rodzice nigdy w to nie uwierzą.

Wrócił do rzeczywistości. Na wyższym stanowisku było o wiele więcej sposobów, aby *skrewić*. Teraz mogli doprowadzić do tego, że *wszyscy zginą*.

Zasalutował i sam zszedł w dół, nieco niezdarnie, nie mając karabinu na ramieniu, z szablą i pistoletem u pasa. Obrócił się, jak tylko znalazł się na dziobie, upewniając się, że wyposażenie wszystkich było poczernione zgodnie z rozkazem. *Dobra. Nic nie widać poza białkami oczu.*

– Podnieść kotwicę – rzucił cicho.

Odczepiono liny i barka zaczęła dryfować. – W tę stronę – powiedział, wskazując.

Wioślarze byli z garnizonu dystryktu Sandoral i mieli trochę doświadczenia w poruszaniu tymi cholernymi rzeczami. Wbili nieporęczne wiosła w wodę i pociągnęli z pomrukiem. Jeden krok do przodu, opuścić wiosło, pociągnąć, krok do tyłu. Minatelli uderzał lekko o deski koło siebie, wybijając rytm, wpatrując się przed siebie w stronę swego celu. Był on niemal niewidoczny, aż znaleźli się przy nim; dwie części pokładu pontonowego mostu z paroma deskami pomiędzy.

– *Halto* – rzucił.

Ręce i kije z tratwy odbiły się od nich i zawróciły barkę. Przywiązano mocno sznury do obu burt rufy, a potem pozwolono barce dryfować wolno w dół rzeki. Zatrzymała się z lekkim szarpnięciem, powstrzymana przez kable, którymi zakotwiczony był rząd tratw. Minatelli obejrzał się na nie, ku brzegowi i czarnej sylwetce murów miejskich. Słońce zaszło przynajmniej półtorej godziny temu. Coraz więcej pontonowych barek i łodzi każdego typu

dostępnego w dokach Sandoralu – tych, które nie miały okazji dostać się w górę rzeki, gdy dotarły tutaj wieści o inwazji – rzucało kotwice lub przyczepiało się do tratw, Doki stanowiły poruszający się dywan ludzi, hełmów i zwiniętych sztandarów oraz luf przerzuconych przez ramię karabinów.

Już niedługo.

– Spokojnie, chłopcy – rzekł. – Odpocznijcie trochę.

* * *

– Delikatnie, delikatnie – wyszeptała Suzette.

Piechurzy wyznaczeni jako noszowi mieli dobre chęci, ale byli nieporadni. Było ich dość dużo, aby znieść nosze na dno barki i wpasować je w prymitywne ramy, które zrobili stolarze, zmieniając je w zaimprovizowane piętrowe prycze. Rannych odurzono mocno opium, aby złagodzić ból powodowany ruchem, lecz od czasu do czasu ludzie pojękiwali w delirium. Umartwione i lekarze-kapłani przesuwali się szybko pośród nich, sprawdzając puls.

– Niech Duch się zmiłuje, ten nie żyje – powiedziała zakonnica.

– Zostaw go w spokoju – odparła Suzette. *Cholera.*

Dotarł ostatni ładunek z wozów i ręcznych wózków, jakie wcielili do służby jako karetki.

Spojrzała ku zachodowi, ku umocnieniom.

* * *

– Upuszczać to, nie rzucać! – syknął Jorg Menyez.

Oficer przekazał rozkaz. Niekończące się szeregi piechurów przekazywały sobie z rąk do rąk worki sucharów i skrzynki suszonego mięsa oraz owoców z wozów na koniec mola. Gdy się tam znalazły, klękali i pozwalali swoim ładunkom wpaść do wody. Prąd je porywał, suchary unosiły się na powierzchni przez kilka minut, zanim nasiąknięte wodą szły na dno, rozsiewając bąbelki, zaś podziurawione beczki i pudła tonęły szybciej.

Dobrze, że to jest słodka woda. Gdyby spróbowali tego w zatoce, pojawiłyby się oszalałe z głodu wciągacze. Niewątpliwie dzisiaj w nocy plesiosauroidy na głębszych wodach najedzą się do syta.

– Pułkowniku. Major Tormidero przysyła ukłony i pyta, czy ma załadować wino?

– Nie – rzekł Menyez, z wysiłkiem gryząc się w język, aby nie powiedzieć *cholerny głupiec*. – Powiedz mu, że ludzie Aliego mogą utopić swoje smutki, jeśli mają na to ochotę i nie obawiają się gniewu Allaha.

Nie znajdują jednak w Sandoralu ani odrobiny jedzenia, pomyślał z zimną radością. Kichnął w chusteczkę, ale niezbyt mocno; w pobliżu nie było żadnych psów. Ciemności były czarne jak smoła. Spojrzał z niepokojem na drugą stronę rzeki, na maty fort Kolonistów usadowiony tam, gdzie przedtem znajdował się pontonowy most. Wyraźnie *oni* także nie zobaczyli niczego niezwykłego. *To jest oblężenie. Nie spodziewają się, aby cokolwiek się wydarzyło.*

– Duchu, ale to jest szaleńcza zagrywka – wyszeptał sam do siebie, ledwo poruszając wargami. Jedyna szansa na zwycięstwo... ale jakie ryzyko.

– A jaka będzie z tego historyjka do opowiedzenia wnukom, jeśli się uda!

Jeśli oni nie...

* * *

Ali ibn' Jamal wziął kolejną garść ryżu i pieczonego jagnięcia, bekając uprzejmie. Było to zaskakująco dobre, biorąc pod uwagę, z czym musieli pracować kucharze. Wojsko było na konserwowanych racjach żywnościowych, przewożonych wozami od przyczółka mostowego. Jego własny kucharz miał oczywiście pierwszeństwo w dostępie do tego, co przynosili furazujący. Bunkier przystrojono, aby przypominał dom: jedwabne gobeliny oraz jedwabno-złote dywany z Al Kebir, wyszywane poduszki dokoła rzeźbionych stolików z mosiądzu oraz kadzidła w palnikach w kształcie półksiężyca, umieszczone na trójnogach przy ścianach. Światło lamp zostało zmniejszone do cywilizowanego poziomu, a *zebec* i *zither* grały melodyjnie za parawanem w rogu. Ali zjadł i wyciągnął przed siebie dłonie, aby niewolnik obmył je różaną wodą i wysuszył ręcznikiem.

– Powinien ci dopisywać lepszy apetyt, mój bracie Tewfik – rzekł Ali, ponownie bekając. – Pomyśl, jak te *kapharskie* świny za murami Sandoralu śliniłyby się i toczyły pianę na widok takiej uczy!

Tewfik odwrócił się, przerywając prowadzoną szeptem rozmowę ze swoimi oficerami. – Zaiste, osadniku Domu Pokoju – rzekł. – Brakuje im zapasów. Dlatego też obawiam się jakiejś nowej sztuczki ze strony tego nasienia szatana, Whitehalla.

Ali zmarszczył na chwilę brwi, a potem wykonał zamaszysty gest. – Whitehall jest uwięziony – rzekł. – Nie może przeprowadzić wypadu. Nasi ludzie przewyższają go liczebnie i są mocno okopani. Nawet nasze tyły są chronione wielkimi umocnieniami, mimo iż posiłki nie mogą nadejść.

Nie może ponownie zbudować swojego mostu z łodzi, gdy twój fort i działa osłaniają przeciwny brzeg. Cóż może zrobić poza umieraniem z głodu?

– Dowódco wiernych, nie *wiem*, co on może zrobić. I dlatego...

– Mój panie. – Jeden z oficerów dyżurnych należących do strażników osadnika podszedł do Tewfika i skłonił się. – Rozkazałeś, abyśmy cię powiadomili: niewierni wystrzelili rakietę sygnalizacyjną z murów. Jeden niebieski rozbłysk gwiazdy.

Działo huknęło w oddali. Wszyscy to zignorowali. Artyleria Kolonistów co dwadzieścia minut waliła miarowo pociskami w Sandoral, aby niewierni spali niespokojnym snem.

Kolejny huk, a potem następny. I wybuch pocisku, o wiele za blisko. Kolejny młodszy oficer wpadł schodami do bunkra.

– Z murów! – krzyknął. – Panowie, *wszystkie* działa *kapharów* strzelają z...

* * *

– *Fwego!*

Szabla Grammecka Dinnalsyna powędrowała w dół. POUMP. Pierwsze z połowych dział rzygnęło długim jęzorem czerwonego płomienia w noc, podświetlając obłok dymu kłębiący się z lufy. Jak fala, szereg wybuchów przepłynął wzdłuż rzędu dział, powtórzony pięćdziesiąt osiem razy. Hałas był ogłuszający. Fale uderzeniowe odbijały się od wysokiej, płaskiej powierzchni murów miejskich jak poduszki gorącego powietrza walące w twarz i pierś. Na schodach widać już było biegnących ludzi, kanonierów milicji; jeden na działo na murach, aby pociągnąć za odpalający sznur wymierzonej uprzednio w cel brom.

Pierwsze działo polowe już wystrzeliło drugi pocisk, gdy na drugim końcu rzędu odpalono ostatnie działo. Załogi poruszały się z gładką precyzją podobną do metronomu. Działa nie mogły poddać się odrzutowi na wynoszących je ramach – jednak z niechęcią patrzył na takie obciążenie ogonów łoża; aż prosiło się to później o kłopoty. Obok każdego działa znajdował się stożek pięciu dodatkowych pocisków z ustawionymi już zapalnikami. Przesunąć dźwignię i odsunąć zamek na bok. Mosięzna łuska wypadła z brzękiem i obłokiem śmierdzącego siarką dymu. Ładowacz wepchnął następny pocisk, zamkowy wsadził na miejsce bezpiecznik odśrodkowy i przesunął dźwignię w dół, a główny kanonier przyczepił sznur zapalnikowy i *ognia*.

Sześć pocisków i cisza oprócz dzwonienia w nadwerężonych uszach. Główni kanonierzy od dwóch środkowych dział przecięli szablami wiązania przymocowujące koła do podnoszących je ram i broń zjechała po pochylonym drewnie. Załogi pochwyciły za ogon łoża, zanim działa zdążyły zwolnić, wpychając je z powrotem w przodki i nasadzili przytrzymujące pierścienie. Z brzękiem żelaza wsunięto na miejsce kliny blokujące, a ludzie wskoczyli na siodła albo na siodełka przy osiach i działa potoczyły się szybkim kłusem ku dokom. W chwilę później ten dźwięk zmienił się w ostry grzechot, gdy metalowe okucia kół

wjechały na bruk. Manewr ten powtarzano raz za razem, każde działo po tej pierwszej dwójce odcinano i zaprzęgano do przodków, aby podążyło za nimi.

Dinnalsyn zawrócił swojego psa. Działa znikwały w nocy, a z umocnień w górze słychać było trzask ognia z broni lekkiej. Będąc sam, poza adiutantami i posłańcami, zsalutował murom.

– Twoje zdrowie, *heneralissimo* – powiedział. – Nie wiem, jak ci się to u diabła udaje, ale nigdy nie jest nudno. *Waymanos!*

Wbił pięty w boki swego psa.

* * *

Kapral M'Telgez był dotkliwie świadom obecności messera Raja, stojącego cicho za nim, gdy artyleria ryczała. Tutaj na bojowej platformie na murach było czarniej niż na metr w dupie sauroida. Pachniało też odorem starej śmierci, gnijącej krwi i kawałków ciał. Zmusił się do ignorowania tego zapachu i poczucia osaczenia – był on człowiekiem do psa i siodła, a nie kretem albo mieszkańcem miasta – oraz o wiele bardziej szarpiącej nerwy obecności *heneralissimo*. Nie żeby przeszkadzał on człowiekowi w wykonywaniu jego pracy, zdecydowanie nie. Nieco tylko wyprowadzające z równowagi było to, że wszyscy – messer Raj, pułkownik i kapitan – wybrali sobie *jego* stanowisko do zatrzymania się, gdy balon poleciał w górę. Pomiędzy koszami szanłowymi znajdowała się luka, którą M'Telgez wybrał sobie uprzednio do pierwszego wystrzału. Cel był teraz niewidoczny w ciemnościach, ale już wkrótce...

– *Fwego!*

Huknęły przysadziste móżdżerze na wieżach. Rakiety wybuchły nad okopami brudasów, tryskając migotliwym, biało-niebieskim światłem magnezu. Zrobił wydech i nacisnął spust. *Krak.* Karabin walnął go w ramię. Przesunął dźwignię i sięgnął po jedną z kul w drewnianym pudełku pod ręką. *Krak.* Działo Kolonistów wystrzeliło z czołowych okopów. Nastawił celownik i strzelił ku niemu. Przy odrobinie szczęścia kula mogła odbić się rykoszetem od lufy i trafić w kogoś z załogi. *Krak. Krak. Krak.*

– Przerwać ogień! Do tyłu, biegiem marsz! – zawołał.

Jego oddział znajdował się najbliżej schodów. Zbiegli po nich, w gorących ciemnościach i słabym, odbitym świetle spadających rakiet, podczas gdy działa polowe grzały po prawej. Połyskiwały oczy i zęby psów, które przysiadły w zgrabnych rzędach na otwartej przestrzeni wewnątrz murów. Zwierzęta były zbyt dobrze wytresowane, aby się poruszyć, gdy nakazano im pozostać, lecz od hałasu robiły się niecierpliwie i niespokojne. Podniosły się falą gdy

dosiedli ich jeźdźcy. Stopy M'Telgeza odnalazły strzemiona i żołnierz wsunął karabin w olstro, chwytając mocno wodze lewą ręką. Coraz więcej ludzi spływało po schodach przy bramie, aż cały batalion znalazł się w siodle.

Żadnej gry trąbek, lecz ludzie ustawili się w szyku – każdy pies poznawał swoje miejsce choćby po zapachu. M'Telgez zobaczył, jak mija ich cień batalionowego sztandaru i ramię wędruje w górę. Wbił pięty w boki Pochity i cała kolumna ruszyła szybko stępa, które przeszło w powolne susy kłusa. Posuwali się na południe od ostatnich dział, pod łukiem ostatnich pocisków, a potem skręcili na wschód ku dkom. Niebo nad nim się rozdarło. M'Telgez poczuł, jak kulą mu się ramiona. W zakamarkach mózgu wiedział aż za dobrze, co to oznaczało.

KRUMP. Ciężki pocisk wyrznął w pustą przestrzeń za nim. W parę sekund później ziemia spadła z góry. Przynajmniej nie strzelali pociskami wybuchającymi w powietrzu. Musiało to być zbyt trudne, gdy nie mogli obserwować spadania pocisku. KRUMP KRUMP. KRUMP. Ostatni spadł na działo posuwające się równolegle do kolumny 5 z Descott i przodek wybuchł ogromną kulą czerwono-pomarańczowcg o ognia. Przed nim ludzie wrzeszczeli, a psy wyły. Z kolumny wyjechał oficer.

Trzasnął jego pistolet, gdy uśmiercał psy, ludzie zaś wskoczyli za swoich towarzyszy, nie było bowiem teraz czasu na pierwszą pomoc. KRUMP. KRUMP. KRUMP. Jeszcze więcej pocisków przeleciało w górze i grzmotnęło w górne piętra pustych domostw. Gliniane cegły i kawałki dachówek oraz płonące deski runęły na ulice. Trzymał głowę pochyloną i podążał za człowiekiem z przodu, mając nadzieję, że oficerowie wiedzą, dokąd zmierzają. Pociski przelatywały w górze ciągłym strumieniem, lecz całe miasto było dużym celem.

Matko, pomyślał. To jest gorsze niż bitwa. Podczas bitwy można coś zrobić.

* * *

Horace wiedział, że jedzie na kolejną przejażdżkę łodzią. Zwrócił się nosem do ogona, skręcając. Raj zaklął, ale nie zadał sobie trudu szarpania wodzy. Można było ciągnąć, aż dźwignie wywiercą mu dziurę w policzkach, a Horace nie zwróci na to uwagi. Zamiast tego pozwolił związanym w supeł wodzom opaść na kulę siodła i pochylił się do przodu, uderzając psa w szyję otwartą dłonią.

– No *dalej*, ty sukinsynu – rzucił stanowczo. – Są miejsca, gdzie musimy pojechać i sprawy, które musimy załatwić. Przestań z tymi wygłupami.

Horace położył uszy po sobie, opuścił głowę i zawrócił, człapiąc kłusem. Sztandar Raja łopotał w nocnym powietrzu. Pociski Kolonistów przelatywały w górze ze stale cichącym,

mechanicznym świstem, przerywanym hukiem wybuchających ładunków. Raj nacisnął piętami, gdy barykada z cegieł i płonącego gruzu zamknęła mu drogę. Horace pokonał ją jednym, długim susem, a potem zwolnił tempo, aby pozostali ją przebyli. Gorąco uderzyło w Raja, gdy przelatywali nad płomieniami, a pies szczeknął nagle, stanąwszy na rozżarzonym węgielku.

Raj uśmiechnął się w ciemnościach. *Cóż, z pewnością przyciągnęliśmy ich uwagę*, pomyślał.

>>Wszystkie działa Kolonistów strzelają z maksymalną szybkością<< zauważyło Centrum.

>>Nawet przy dostatku amunicji pogorszy to skuteczność i skróci życie luf.<<

Raj skina! głową. Marnotrawstwo. Im bardziej rozgrzewało się działo, tym bardziej wycierały się gwintowania. Po jakimś czasie trzeba je było odesłać do huty, aby wsadzono w lufę nowy wkład i nagwintowano go, a potem już nigdy nie było tak samo dobre. Za trzecim razem trzeba je było posłać na złom.

* * *

– Czy chcesz czynić honory, *mi heneral?*. – spytał Jorg Menyez.

Machnął w kierunku zwojów lontu wijących się pośród magazynów i stoczni w dokach Sandoralu. W powietrzu wisiał gęsty smród nafty i prochu.

– Dinnalsyn zapewnia mnie, że wszystko wybuchnie mniej więcej jednocześnie.

Raj rozejrzał się dookoła z ponurą satysfakcją. Gdy wybuchną magazyny i stocznie, pochłonie to także całe pozostałe w Sandoralu drewno odpowiednie do budowy łodzi, tratw czy mostów. Ali dostanie miasto, ale niech go diabli porwą, jeśli, gdy do tego dojdzie, będzie w nim cokolwiek nadającego się do natychmiastowego użytku. Żadnego jedzenia, żadnych materiałów budowlanych.

– Ani mi się śni, aby odmówić ci tej przyjemności, Jorg – rzekł Raj.

Menyez uroczyście zaciągnął się cygarem i przyłożył jego koniuszek do lontu. Ten zapalił się z powolnym sykiem i strużką niebieskiego dymu.

– A teraz żegnamy się z przepięknym Sandoralem: krainą egzotycznych, olbrzymich karaluchów, nieżnośnego, lepkiego upału i malowniczych, owłosionych brudasów z ostrymi niczym brzytwa nożami do kastrowania – przedrzeźniająco zacytował piechur. We Wschodniej Rezydencji było dość klasy średniej, aby rozwinął się przemysł turystyczny, głównie wycieczki parowcami na Wyspy Zatokowe. Przewodniki także były powszechnie spotykane. – *Hadios, mi heneral.*

Oglądanie odprężonych i pewnych siebie dowódców prawdopodobnie dobrze robiło ludziom. *Mnie to dobrze robi. Jorg zwykle się martwi. Morale jest pewnie tak wysokie jak trzeba.* Być może wyższe niż powinno... *I kto się teraz zamartwia?*

– *Hadios, Jorg.* Do zobaczenia w dole rzeki.

Zawróci) Horace’a. Tratwa za tratwą zmierzała w dół rzeki, odbijając za barkami-holownikami. Wiosła wzbudzały małe, pluskające fale zielonej wody, połyskujące lekko w świetle księżyca Miniluny. Gdy kolejna odczepiała się od kotwicznych lin, następna grupka psów i dział przetaczała się przez połączone tratwy do tej najbardziej wysuniętej. Psy bojowe skamlały, gdy łańcuchowymi hakami przymocowywano ich uzdy do kołków na pokładzie; przywiązywano koła dział i przodków i odbijała kolejna barka połączona z tratwą. Za tratwami woda usiana była łodziami, szalupami i promami oraz dziesiątkami pontonowych barek.

Gońcy podjeżdżali klusem, meldowali i odjeżdżali. *Cholera. Zdumiewające. Tylko jeden korek.* I to spowodowany gruzami blokującymi ulicę, gdy batalion, któremu ją przydzielono, skręcił w inną drogę. Łapy, stopy i koła wypełniały noc niskim grzmotem przemysłanego hałasu, a żaden z odgłosów nie był równie głośny co świst i huk dwustu dział Kolonistów bombardujących miasto. Kolejne spadające rakiety rozświetliły niebo na zachodzie, tym razem kolonijne rakiety, wypuszczone, aby artyleria miała lepszą widoczność.

* * *

– Czy mam nakazać przerwanie ognia?

– Nie, Hussein – odparł Tewfik, także szeptem.

Środek dachu w bunkrze się zapadł, ale belki nie zawały się całkowicie. Wygięty się ku podłodze, a ich postrzępione pęknięcia jeżyły się niczym białe jak kość zęby. Sucha ziemia w dalszym ciągu wsypywała się do środka, zbierając się i rozsypując. Żołnierze wykopywali ciała z tego stosu – niektórzy byli ranni, inni martwi – i wynosili je w górę po schodach. Zerwane i zbite w kupę gobeliny wciąż się tliły od płonącej nafty, którą obryzgały je przewrócone lampy – obryzgały nią także ludzi.

Choć, niestety, nie mojego brata, pomyślał Tewfik. Byłoby nieszczęściem, gdyby Ali zginął właśnie teraz. Zbawieniem byłoby, gdyby został powalony przez obrażenia uniemożliwiające mu działanie. Im dłużej, tym lepiej. Nie ma Boga poza Bogiem i wszystko dzieje się zgodnie z wolą Boga. Czasem jednak trudno było zrozumieć jego taktykę. Tewfik zmarszczył nos od zapachu płonących dywanów. Kolejne marnotrawstwo. Ich koszt wystarczyłby do opłacania przez rok brygady kawalerii, a teraz zostaną zastąpione kolejnymi. Zarekwiruje się środki transportu, aby dostarczyć następne, podczas gdy działa przeżerały

miesięczną rezerwę amunicji.

– *Amirze*, wkrótce stracimy działa, jeśli będziemy utrzymywać takie tempo strzelania – ostrzegł oficer. – Lufy są tak rozgrzane, że przy przeładowaniu pociski będą nam wybuchać od gorąca.

– Zmniejszcie tempo, ale nie tak, żeby *on* zauważył – skinął głową w kierunku drugiej komnaty bunkra. Wciąż dobiegały stamtąd przekleństwa miotane przez Aliego, a od czasu do czasu kobiecy krzyk. Lepiej wystrzelać na gładko pola pomiędzy brzdami luf, niż mieć więcej egzekucji.

Oficer pogładził się po brodzie i pochylił się bliżej. – *Amirze*, czas się zastanowić, czy Dom Pokoju ustoi, mając na czele tego człowieka.

Tewfik wpatrywał się przez chwilę w twarz mężczyzny. Brązowe oczy spotkały się bez mrugnienia z jednym okiem. Dobrze. *Me mam w moim sztabie tchórzy.*

– On nie ma synów – rzeki cicho. – Tak jak i ja.

– Prorok Mahomet nie miał synów, lecz wielu władców wydały jego córki.

– A wiele wojen wydały roszczenia potomków jego córek i ortodoksyjnych kalifów, poczynając od Kharballa – zwróci! uwagę Tewfik. Rozpoczęło to rozpad, który odbijał się echem poprzez milenia, i nie zakończyła go nawet ostatnia dżihad. – Jest też zbyt wielu wielmoży mających w sobie dość krwi osadnika, aby rościć sobie pretensje. Ali nie jest głupcem, zabił tych mających niezbywalne prawa lub wielkie zdolności, albo jedno i drugie. Gdybyśmy mieli teraz wojnę domową, to kaphar, Zanjiczycy i dzikusy z północy prześcigaliby się nawzajem, aby oskubać nasze kości. Musimy ciągnąć to dalej.

– Na razie.

– Na razie – zgodził się Tewfik. *Do momentu aż żywy Ali stanie się większym zagrożeniem dla Domu Islamu niż martwy Ali*, wisiało niedopowiedziane pomiędzy nimi. – A teraz idź i niech kanonierzy zmniejszą tempo strzelania o jedną trzecią. Na moją odpowiedzialność.

Panuję nad Zastępem Pokoju, ale nie mogę rządzić, pomyślał z goryczą. Nie we własnym imieniu. Gdyby tylko istniał męski dziedzic i możliwa była regencja – ale go nie było. Mułłowie nie wypowiedzą piątkowej modlitwy za jednookiego Tewfika. Ludzie nie będą dawali mu posłuchu bez żołnierzy stojących im za plecami. Gdyby tego spróbował, rozwaliliby to, co tak bardzo chciałby zachować.

– Insh'allah.

W bunkrze panował gryzący, duszący półmrok. Z lewą dłonią na rękojeści jatagana wszedł po schodach, mijając ochronne zakręty i przechodnią wartownię. Niebiesko-białe,

tryskające światło ze spadających rakiet sprawiło, że zmrużył oczy, wpatrując się w ciemną, nieruchomą bryłę nisko osadzonych murów Sandoralu. Kpili sobie z niego zza tej fosy, dręcząc go. Ludzie i psy trudzili się, aby dostarczyć amunicję do obłączniczych dział z przodu, z odpornych na bomby schronów za główną linią, ścieżkami wyżłobionymi w ziemi, z ochronnymi umocnieniami po obu stronach. Kanonierzy pracowali obnażeni do pasa, a ich twarze i torsy czarne były od prochowego dymu. Wielu miało kłębki waty wciśnięte w uszy, lecz z każdym strzałem kusili głuchotę tak jak i śmierć. Nie przerywało to płynnej choreograficznie sekwencji nastawiania działa, czyszczenia, ładowania, ubijania, strzelania.

Ciężki pocisk odgryzł fragment strzelniczego parapetu z błyskiem pomarańczowego płomienia i przewalającym się gromem odgłosem. Woda trysnęła z miejsca, gdzie kamienie wpadły w fosę, pozostawiając nierówną dziurę w betonowym rdzeniu. Z miasta nie odpowiedziano ogniem.

– Czy taki był twój plan, Whitehall, osłabienie naszej artylerii? Czy wiedziałeś, jak mój brat odpowie na twoje szyderstwo?

Kanonada wymierzona w bunkier dowódcy była paskudnie dobrze wycelowana. Whitehallowi dobrze służyło – dobrzy oficerowie, dzielni i dobrze wyszkoleni żołnierze, dobrze wyposażeni. *Czy zna nas na tyle dobrze, aby przewidzieć, że mój brat będzie tak marnował amunicję i działa?* Skinął głową. Z pewnością.

– Nie może to jednak wpłynąć na wynik wojny – myślał na głos. Czy mogła to być przykrywka do następnego najazdu? Mało prawdopodobne. Nawet mając pontonowy most do szybkiego wycofania się i bezpieczną, ufortyfikowaną bazę, Whitehall nie był w stanie zrobić nic więcej poza odwróceniem na pewien czas jego uwagi. Teraz ziemia na przeciwległym brzegu rzeki nic nadawała się do wyżywienia przeciągających nią żołnierzy. Czegóż mógł dokonać niewierny, będąc w stanie przemycić teraz przez rzekę mniejszą liczbę ludzi?

Na tym polegał problem. Nie wiedział.

– Lordzie *amirze*. Osadnik życzy sobie twojej obecności. Tewfik zazgrzytał zębami. *Pobił dość kobiet, aby znowu poczuć się odważnym, pomyślał. Teraz musi pobawić się w dowódcę. I będzie tracić mój czas!*

W przypadku wroga takiego jak Whitehall, czas był tą jedną rzeczą jakiej nie miało się w nadmiarze. Wnosząc ze wszystkich raportów, Barholm Clerett był prawie tak samo trudnym panem do służenia jak Ali ibn'Jamal – ale przynajmniej on był daleko.

* * *

Mała galera, jakiej Raj używał jako swoją kwaterę główną była zabawką jakiegoś

bogatego kupca, zanim wojna przyszła do Sandoralu, a może należała do właściciela ziemskiego mającego posiadłości na brzegu rzeki i chcącego dojeżdżać do kamienicy w stolicy dystryktu. Przez chwilę Raj zastanawiał się, gdzie on był, ten mały, prowincjonalny oligarcha. Na drodze wiodącej na zachód, utyskując w swoim powozie z narzekającą żoną i niańką krzającą się przy dzieciach oraz karawaną wozów z bagażami? Może już znajdował się we Wschodniej Rezydencji, narzucając się jakiemuś odległemu krewnemu lub też targując się z właścicielem kwater, który zupełnie nie był pod wrażeniem czegokolwiek pochodzącego spoza murów Miasta. A może został zaskoczony przez Kolonistów w swoich wiejskich włościach i był kośćmi leżącymi w rowie.

Musimy robić z dziesięć kilometrów na godzinę, pomyślał.

>>Zasięg 9,7 do 10,1, średnio 9,9<< powiedziało Centrum.

Dzisiejsza noc i jutro aż dotrą do swego celu, płynąc z prądem. Ludzie na barkach i łodziach wiosłowali, ale bardziej po to, by utrzymać pozycję i kierunek niż dla napędu. Było ich tylu w każdej jednostce, aby często się zmieniać.

– Do majora Bellamy – powiedział Raj, pokazując palcem.

Galera skręciła ostro, wywołując skamłający protest Horace'a i Herbie znajdujących się na

dziobie. Cała załoga składała się z dawnych wiosłarzy i nawykła do męczącej pracy przy wiosłach. Z jednej strony wbiła je mocno, z drugiej pociągnęła delikatnie, zaś mężczyzna przy rumplu przepchnął go. Smukła łódź skręciła niemal na całej długości i pomknęła na wschód. Zatrzymała się obok tratwy, na której tłoczyli się ludzie i psy, a Raj pochylił się przez burtę zjedną dłonią opartą o reling.

– Oto cel twojej podróży, majorze – rzekł, wskazując na południe, w dół rzeki. – Pamiętaj, że dobrze wybrany moment ma największe znaczenie,

Bellamy odpowiedział bezgłośnie, machając, a jego przycięte, na "donicę" blond włosy jaśniały w ciemnościach. Jego wiosłarze zabrali się do pracy, a za nim podążyło kilka innych barek. Galera Raja skręciła z powrotem ku głównym siłom rozwleczonej armady, niczym owczarek za swoją trzodą.

Bardziej przypomina to stado carnosauroidów, pomyślał Raj, przyglądając się słabemu lśnieniu księżycowego światła na lufach działek polowych na tratwie.

Suzette podeszła do niego z papierosem żarzącym się w fifice z rzeźbionej kości sauroida. – Czekanie jest najtrudniejszą częścią – powiedziała,

– Nie, tylko najdłuższą – rzekł Raj. – Konieczność wysyłania innych jest najtrudniejsza.

Objęła go ramieniem w pasie i oparła mu głowę na ramieniu.

Rozdział trzynasty

– Uwiązać psy – rzucił Ludwig Bellamy.

Jego zastępca popatrzył na niego, mrugając. – Do celu jest jeszcze kilometr – powiedział zaskoczony.

– *Ni, migo* – powiedział Bellamy po nameryjsku. – Przejdźcie go nas nie zabije.

Potrząsnął głową, gdy mężczyzna się oddalił, aby przekazać szeptem ten rozkaz. Messer Raj nauczył swoich ludzi z Eskadry, że walka pieszo nie była hańbą, lecz oni w dalszym ciągu woleli przejechać dziesięć kilometrów, niż przejść jeden.

Wpatrzył się w mapę; adiutant zapalił zapalną i trzymał ją nad papierem. Messer Raj własnoręcznie wyrysował trasę. Tak. *To jest ten jar*. Wzdłuż brzegu rzeki biegła swego rodzaju droga dokoła Sandoralu, lecz była zdecydowanie zbyt widoczna z drugiej strony. Dokoła zebrali się jego zwiadowcy, trzymając psy na wodzy.

– Prowadźcie – powiedział, przesuwając palcem pomiędzy rozgałęzieniami wody i parowu. – To tylko kilometr, ale uważajcie na posterunki brudasów.

Podniósł wzrok i spojrzał na swoją jednostkę. Prawie wszyscy znajdowali się na brzegu, wysiadłszy z wyciągniętych na niego barek i tratw, choć wielu było przemoczonych aż do pasa. Jemu samemu woda chlupała w wysokich butach. Pokazało się ostatnich paru, trzymających nad głowami karabiny oraz bandolety i brodzących ku błotnistemu nabrzeżu rzeki.

– Ustawić ich w szeregu – powiedział cicho.

1 Kirasjerów Wierzchem ustawił się w szeregach grubych na czterech ludzi, a za nimi zgromadziła się zbieranina milicyjnych kanonierów. Nie będą odgrywali żadnej roli w samych działaniach, ale będą ważni, jeśli wszystko pójdzie jak trzeba.

– *Migos*, messer Raj ufa, że wykonamy tę robotę dobrze, bez trzymania nas za rączkę. Pokażmy mu, że ma rację. Bądźcie cicho i ruszajcie się szybko.

– Na prawo patrz. Szybko naprzód *marsz*.

Skreśli w noc z karabinami trzymanymi w jednej ręce, równolegle do ziemi. Bellamy potruchtał wzdłuż szeregu ku przodowi, gdzie znajdował się sztandar batalionu. Adiutant

prowadził jego psa z tyłu. Ludzie będą maszerować z większą chęcią, widząc dowódcę także piechotą. Niektórzy z nich uśmiechali się i potrząsali karabinami w powietrzu, gdy ich mijał.

Są nabuzowani, stwierdził Bellamy. Wyglądało to na jedną z tych sztuczek messera Raja, polegającą na wyciąganiu sauroida z hełmu. A oni ufali w szczęście swego przywódcy. I nie znosili uwięzienia za murami, nieważne jak mocnymi.

Spojrzał przed siebie. *Na szczęście musisz zasłużyć*. Było tutaj o wiele ciemniej, większość nieba przysłaniały gliniaste ściany parowów po obu stronach. Dysząc, wspinali się po stromych zboczach, gramolili się w dół innych, przedzierali przez piach i głęboki pył wciągający ich za buty, brodzili przez kilka mokrych miejsc, gdzie zbierała się woda z wiosennych powodzi. Ludzie dyszeli, pocili się i przeklinali cicho. Teren wznosił się ku wzgórzom, gdzie droga ze wschodu spotykała się z rzeką i gdzie Tewfik umieścił swoją fortecę.

Przygalopował zwiadowca, zatrzymując psa, aż ten przysiadł na tylnych łapach. – Tak jak sadziłeś, panie – rzekł, pochylając się. Należał do staroświeckich ludzi i miał włosy związane w węzeł z boku głowy. – Od strony lądu jest tylko płytki rów i wał, mój pies mógłby przez niego przeskoczyć. A wszystkie armaty wycelowane są w wodę.

Bellamy zamruczał z ulgi. Messer Raj powiedział, że logicznie rzecz biorąc, Tewfik tak powinien być postąpić, ale nie można było liczyć na rozsądek przeciwnika.

Przeszedł wzdłuż kolumny, osobiście wydając rozkaz do zatrzymania się. Batalion wyhamował tylko z paroma szarpnięciami, które spowodowały deptanie jednej grupy ludzi po piętach drugiej, ale nie było to nic poważnego. Dowódcy kompanii zebrali się wokół niego.

– Chodźcie – powiedział, prowadząc ich na zachód, w górę ostatniego grzbietu. Za nim znajdowała się pofalowana otwarta przestrzeń, rzadko porośnięta kolczastymi, rodzimymi zaroślami i jakimiś kaktusami. – Tam.

Na otwartej przestrzeni księżycowe światło wystarczało, aby widać było wyraźnie umocnienia Kolonistów. Posłużył się lornetką: niewielki rów i żadnych przeszkód – żadnych desek ponabijanych starymi ostrzami mieczy, żadnej kolczastej zeriby. Niewątpliwie z czasem by je dodano, ale nie było czasu. Po drugiej stronie wody czerwone punkciki pełzały w powietrzu i trwał niekończący się głuchy huk bombardowania. W Sandoralu, bez zwalczających je ludzi, było teraz tyle pożarów, rozprzestrzeniających się i łączących w kolumny płomieni, że rzucały czerwony poblask na wielką rzekę.

– Rozciągnijcie ludzi wzdłuż tej grani i każcie nasadzić bagnety – powiedział Bellamy. – Każdy człowiek może załadować swój karabin, ale żadnego przeładowywania jak już znajdziemy się w obozie wroga.

Kiwanie głowami, entuzjastyczne ze strony Eskadrowców i nieco mniej u oficerów Rządu Cywilnego, przydzielonych do batalionu. Przy walce z bliska w ciemnościach, ogień własnych ludzi

będzie stanowił większą groźbą niż nieprzyjacielski. W każdym razie powtarzalne karabinki dawały Kolonistom przewagę w walce ogniowej z bliska. Lepiej polegać na impecie i zimnej stali.

– Nic wymyślnego – rzekł Bellamy, powtarzając słowa messera Raja. – Po prostu wzniescie okrzyk i ruszajcie na mój sygnał.

Po dwustu metrach otwartej przestrzeni. Jednak Duch był z nimi, a także inicjatywa.

Położył się na grani. – Odkryjcie sztandary – powiedział do chorążych. Ci zdjęli skórzane tuby z chorągwi i delikatnie potrząsając, rozwinęli ciężki jedwab, starając się utrzymać obie flagi – jednostki i symbol Rządu Cywilnego – poniżej linii grzbietu. Z obu stron dobiegały szeleszczące, chrzęszczące odgłosy, gdy ludzie posuwali się kompania za kompanią. Światło gwiazd załśniło, gdy nasadzali bagnety, a potem położyli się na rozkaz. Pośród tych znajdujących się blisko, widział jak jeden czy dwóch się modliło. Inni czekali, flegmatycznie lub niecierpliwie, zależnie od temperamentu.

A ja nie myślę o sławie, zdał sobie sprawę. Kilka lat temu tym by się martwił w takiej sytuacji – aby ludzie widzieli go i szanowali jego imię. Teraz martwię się tylko tym, żeby nic nie poszło źle. Messer Raj miał rację: cywilizacja była zaraźliwa. Była bardziej efektywna niż dawne sposoby, ale pozbawiała życia większości barw. Przełknął wodę z octem z manierki i poluzował szablę w pochwie oraz otworzył cylinder rewolweru i sprawdził ładunki.

Marie z przyjemnością będzie o tym słuchać. Jego pochodząca z Brygady żona wciąż uważała, że wojna była chwalebna i zazdrościła wojownikom. Pewnie byłby z niej dobry żołnierz, gdyby urodziła się mężczyzną – jej kuzyn Theodore z pewnością nim był – pod warunkiem, że przeżyłaby zaprawę. *Wolałbym przejść przez bitwę niż przez ciężę.* Dziwnie było myśleć o posiadaniu dzieci – dzieci z prawego łóża; bękarty spłodzone z wiejskimi dziewczkami się nie liczyły. A jeszcze dziwniej było myśleć, że będą one dorastać we Wschodniej Rezydencji. Nikt nie powiedział, że nie może przeprowadzić się z powrotem do rodowych posiadłości w Południowych Terytoriach, ale on potrafił zrozumieć aluzję.

Uśmiechnął się. I tak byłoby to śmiertelnie nudne. Przynajmniej Marie mogła przesiedzieć wojnę w mieście z mnóstwem balów, z teatrem i operą oraz walkami byków i stadionami do baseballu.

Jeśli wygramy tę wojnę, to czy będą wojny, na które pojedą moi synowie? Prawdopodobnie nie. I czy jest to dobre czy też stanowi kres wszelkiego honoru?

Łup. Łup. Łup. Wybuchy po drugiej stronie rzeki, wzdłuż doków Sandoralu. Pióropusze

czerwonego ognia wbiły się w noc, rozprzestrzeniając się z zaskakującą nagłością. W przeciągu mniej niż trzydziestu sekund całe nabrzeże stanęło w ścianie ognia, gdy bomby zapalające z zapalnikami czasowymi podpaliły drewno zmoczone naftą i oblane olejem do gotowania. Było tyle światła, aby dostrzec kolumny dymu, kotłującego się i czarnego, zabarwionego czerwienią pożarów.

Wziął głęboki wdech. – *Dorwać ich!* – wykrzyczał stary okrzyk bojowy Eskadry. Trębacze grali *do ataku*, raz po raz; ostry, mosiężny wrzask.

Flagi ruszyły do przodu. 1 Kirasjerów Wierzchem podniósł się i rzucił naprzód, gnając z łoskotem z wymierzonymi bagnetami. Ludwig Bellamy biegł na czele, trzymając szablę przed sobą niczym wskaźnik.

– DORWAĆ ICH! DORWAĆ ICH!

Brudasy przyglądają się widowisku, pomyślał z ogromną radością. Mur pozostał pusty przez długie sekundy. A potem zaczęło trzaskać parę karabinków; błyski z luf były niczym świetliki w nocy. Ludzie padali, lecz niezbyt wielu. Zeskoczył do rowu i poczuł wstrząs, gdy jego buty wylądowały w błocku na dnie, po czym wdrapał się na szorstką glinę niskiego wału, który nie dorównywał wzrostem mężczyźnie. Kolonista pojawił się na jego szczycie, celując w dół z rewolweru o długiej lufie. Trzasnął grotem ognia i chorąży ze sztandarem batalionu padł. Ktoś inny pochwycił drzewce i posłużył się nim jak podpórką do wspinania. Ludwig oparł jedną rękę o wał i ciał szabłą – poczuł, jak ostrze wyrznęło w kostkę. Kolonista się przewrócił i stoczył ku niemu z wrzaskiem, starając się dobyć sztyletu. Ludwig walnął gardą szabli w twarz mężczyzny i wspiał się po jego ciele na szczyt wału.

Ogniska do gotowania oświetlały wnętrze fortu wraz z blaskiem płonącego Sandoralu po drugiej stronie rzeki. Ludzie w czerwonych jellabach nadpływali strużkami od linii dział, od strony wody, strzelając. Ludwig rzucił szybkie spojrzenie na obie strony; szeroki szczyt wału wypełniony był jego ludźmi. Dowódcy kompanii ustawiali swoje proporce, a oficerowie plutonów robili trzy kroki do przodu i zwracali się ku swoim ludziom z wyciągniętymi ramionami i szablami wysuniętymi jak buławy, aby nadać szyk podkomendnym.

– *Zagrać klęknać i stać* – rzucił.

Przedni szereg opadł na jedno kolano i wymierzył swoje karabiny. Mężczyźni za nimi stali i celowali. Tu i tam jakiś żołnierz padał zwiotczały, gdy ogień Kolonistów nieco się spotęgował, i przewracając do przodu staczał się do stóp wału. Ludwig poczekał przez chwilę, aż cel miał czas, aby się zgrupować.

– *Fwego!* – krzyknął Ludwig. A potem – *Do ataku!*

BAM. Jeden długi dźwięk, jak pojedynczy, niemożliwie długi strzał. Jasny grzebień

ognia sięgnął ku ciemnym sylwetkom Kolonistom, pięćset nitek. Zaraz za tą salwą żołnierze pognali przez gęste kłęby dymu do przodu, a ich stal lśniła czerwienią odbijając światło. Koloniści się zachwiali, a potem pognali z powrotem tam, skąd przybyli, wrzeszcząc w panice. Kilku pozostało i walczyło. Ci opróżnili magazynki karabinków i dobyli zakrzywionych szabel, lecz ginęli szybko – nadziani na dziesiątki ostrzy, pobici kolbami, czy po prostu stratowani.

Ludwig ciał mężczyznę wyczołgującego się z dwuskrzydłowego namiotu, przeskoczył przez następnego. W górę zbocza, ku linii dział stanowiącej główny cel tego fortu, ustawionych tutaj, aby panować nad rzeką i uniemożliwić odbudowę pontonowego mostu. Działa wkopano i osadzono lufy w wycięciach kamiennego murka. Jedna grupa Kolonistów, bardziej odważna lub lepiej dowodzona niż reszta, próbowała gorączkowo obrócić pompom przodem ku zagrożeniu z tyłu. Ludwig się zatrzymał, zaparł nogami i zaczął strzelać. *Krak. Krak. Krak. Krak. Krak.* Dwóch mężczyzn padło w zamieszaniu wokół lekkiego działa, a potem jego żołnierze się przedarli. Przez chwilę stał brzęczała o stal, a potem dał się słyszeć dźwięk topora rzeźnickiego, metalu uderzającego w ciało.

Zapadła cisza. Żołnierze 1 Kirasjerów stali na szczycie zachodniego muru fortu, strzelając w dół – strzelając w plecy uciekinierów, którzy przeżyli.

– *Zagrać zbiórka* – rzucił Ludwig. – Benter – ciągnął dalej, zwracając się do swojego młodszego brata. – Do kapitana Marhtineza, jego kompania A ma obsadzić parapet. Podaj mi liczbę ofiar. Hederbert, znajdź tych milicjantów i zaraz obsadź nimi działa. Mauric, dopilnuj tego, aby te martwe

brudasy były naprawdę martwe.

Mówiąc to, szedł ku drzewcowi flagowemu przed namiotem dowódcy Kolonistów. Martwy mężczyzna leżący przy drzewcu sztandaru był pewnie właścicielem namiotu, sądząc po spiralnym ornamentcie na jego jellabie. Został trafiony trzema albo czterema jedenastomilimetroowymi kulami ze zbrojowni i był zdecydowanie martwy. Zapach śmierci rozchodził się w chłodnym, nocnym powietrzu, jak ostra, połączona woń ścieków i sklepu rzeźniczego. Ludwig przeciął sznur przy drzewcu własną szablą. Zielony sztandar islamu pofrunął na ziemię. Posłużył się nim do wytarcia do czysta szabli, zanim wsunął ją z powrotem do pochwy.

Jego chorąży nie potrzebował ponaglania. W parę sekund później niebiesko-srebrny Rozbłysk Gwiazd Świętej Federacji załopotał na szorstkim drzewcu, rozwijając się, choć był niemal niewidoczny w ciemnościach.

Niech Ali popatrzy na to, kiedy już zmęczy się bombardowaniem pustego miasta, pomyślał, uśmiechając się Ludwig.

Kirasjerzy wydali radosny okrzyk na widok flagi, jeden za drugim mężczyźni podejmowali go, wymachując karabinami w powietrzu albo nakładając hełmy na czubki bagnetów.

– Wiwat! Wiwat! *Wiwat! Wiwat!* WIWAT! WIWAT!

Ludwig poczuł przyływ dumy. Minęło niecałe sześć minut od momentu, gdy wydał rozkaz ataku. A potem podniósł wzrok na flagę. *Sztandar Gubernio Civil*, pomyślał. Cztery lata temu większość z tych ludzi walczyła przeciwko armii, którą messer Raj poprowadził pod tym sztandarem. W 1 Kirasjerów Wierzchem było może z pół tuzina mówiących po sponglijsku rodowitych mieszkańców Rządu Cywilnego, resztę co do jednego stanowili ludzie z Rządu Wojskowego i heretycy.

I oto wiwatowali na cześć sztandaru, jakby... *cóż*, to jest *ich sztandar. Teraz*. Messer Raj im to dał.

Mustafa al-Kerouani obudził się gwałtownie i spojrzał na zegarek. Dobrze, brakowało jeszcze paru minut do następnego sprawdzianu sytuacji. Pochylił się do okularu lunety i czekał. Nic z przekaźnika na północy, drugiego z kolei od oblężniczej linii wokół Sandoralu. Zmarszczył brwi. Powinni byli przekazać mu trzy błyski ze swojej karbidowej latarni, taka była normalna procedura. Allah może być miłosierny, jeśli wszyscy oni spali, ale ani dowódca ich *tobor*, ani Tewfik nie będą. Poza tym trzeba było wziąć pod uwagę honor wojsk inżynierskich. Kim oni byli, prawdziwymi żołnierzami czy *fellaheen* poborowymi z piechoty, którzy nie pamiętali, żeby się podcierać lewą ręką, jeśli oficer im o tym nie przypominał za każdym razem, gdy srali?

Sięgnął i pociągnął za uchwyt własnej latarni. Szczeliny za osłonami otworzyły się ze stukotem, odsłaniając jaskrawe, chemiczne światło, wzmocnione przez półkoliste lustro z tyłu. Trzy długie, dwa krótkie – *potwierdź*.

Nic. Znowu zaklął, rozglądając się po małym obozie na szczycie wzgórza. Tuzin Judzi. Ośmiu spało wokół nisko płonącego ogniska obozowego, nad którym stał na żelaznej podstawie mosiężny czajniczek na *kave*. Ich psy juczne i do jazdy przywiązane były w rzędzie. Dwóch wartowników, luneta, heliograf, latarnie do pracy nocą oraz ich osobiste bagaże. Jeden z kilkudziesięciu obozów rozciągniętych pomiędzy przyczółkiem mostowym przy Gurnycy a kwaterą główną osadnika przed *kapharskim* miastem. Była to paraliżująco nudna służba. Nie pozostali tu w okolicy nawet żadni niewierni *fellaheen*, co oznaczało że nie było świeżej żywności, poza mięsem sauroidów, i żadnych

kobiet.

Trzy długie, dwa krótkie. I w dalszym ciągu żadnego potwierdzenia. *Ibrahim ibn 'Habib jest leniwym, żłopiącym wino synem świni, ale nie jest aż tak niedbały.* Lepiej posłać tam kogoś, żeby się rozejrzył.

Mustafa zamrugał, wpatrując się w ciemność tam, gdzie przechadzali się wartownicy. Jasne światło przeszkadzało mu widzieć w nocy, ale dostrzegał sylwetki.

– Moshin? – powiedział. Drugim mężczyzną był Qahtan ashShabaai i był o wiele wyższy. – Moshin, weź psa i sprawdź tych łajdaków przy stanowisku trzecim. Muszą spać albo być nieżywi.

– Są nieżywi – rzekł Moshin. – Tylko że nie był to głos Moshina, a słowo to było tak mocno akcentowane, że ledwo je zrozumiał.

Mustafa al-Kerounai sięgnął po broń u boku. Bagnet przebijający mu szczękę, język i podniebienie odczuł tylko jako przebłysk białego zimna. A potem czubek ze zgrzytem przeszedł przez mózg i naczynka krwionośne w jego czaszce i świat skończył się w łunie światła.

Antin M'lewis wyszarpnął ostrze. Wokół niego panował ruch: uderzające bagnety i kolby karabinów, a ostrze motyki do kopania okopów wyrznęło w tył czaszki śpiącego mężczyzny z dźwiękiem, jaki wydaje topór uderzający w twarde dąb. Gaduła stanął komuś na szyi z nieprzyjemnym chrupnięciem, przypominającym odgłos łamania się zielonych gałęzi. Psy poszczekiwały i powarkiwały, szarpiąc się na łańcuchach, wyczuwając zapach śmierci. Zignorował je i obrócił lunetę oraz latarnię sygnałową umieszczone na podstawach. Kierunek został oznaczony kredą na zamocowanej podstawie instrumentu, o on miał w swoim notatniku kod do *potwierdź wszystko o 1.00*. Przesłał go starannie i czekał na odpowiedź sygnałową.

Dobrze. Była. Oni *wciąż* niczego nie podejrzewali. Posłużył się połą kurtki do osłonięcia ręki i podniósłszy czajniczek z *kave* nalał porcję do swojej manierki.

– Dorzućcie trochę drewna do ognia – powiedział. Jeśli ognisko wartowników zgaśnie w nocy, może to wzbudzić podejrzenia. Cisnął na bok spiczasty hełm Kolonisty. – I wracajta do swoich psów.

Zobaczmy, ilu jeszcze brudasów jest za bardzo pewnych siebie.

* * *

– *Fwego!*

BAM. Pojedyncza, potężna salwa zmieniła noc w obozie konwoju z zapasami w masę wrzeszczących ludzi i wyjących psów, z rykiem oszalałych wołów stanowiącym akompaniament. Major Peydro Belagez uśmiechnął się, okrutnie unosząc kąciki zamkniętych ust. Dobrze widział ten obraz, podświetlony od tyłu przez ogniska wartowników.

BAM. Ludzie podnieśli się ze swoich koców i natychmiast polecieeli do tyłu, skoszeni przez ciężkie kule ze zbrojowni. Oszalały z bólu i od zapachu krwi zaprzęg wołów ściągnął na bok wóz, do którego był przywiązany, i uciekł w noc. Buda wozu przewróciła się i ognisko i suche płótno zapłonęło jasno.

– Naprzód, *compaydres* – powiedział.

Dwie kompanie I Rzeźników z Rogor ruszyły do przodu w szeregu, z trzaskiem salw oddawanych plutonami. Konwój był strzeżony przez niecałą trzydziestkę żołnierzy Kolonii, i to piechoty – żołnierze posiłkowi, nie będący właściwie wojownikami. Tych niewielu, którzy przeżyli, pognało w noc albo klęknięło z uniesionymi rękoma, poddając się.

Gdy Belagez się przyglądał, dowódcy plutonów nakazali przerwanie ognia. Dwóch Kolonistów, którzy przeżyli, umknęło, gdy dostrzegli lepiej żołnierzy Rządu Cywilnego. Ich ciemna cera i patki na ramionach wyraźnie wskazywały, że byli to pogranicznicy, których waśń z Kolonistami była zadawniona i gorzka. Zrobiono zakład i dwóch żołnierzy postąpiło do przodu, klęknięło i nastawiło celowniki karabinów. Uciekający Koloniści manewrowali i skręcali umykając. Dwaj Rzeźnicy wystrzelili starannie. Przy trzecim strzale jeden z Arabów poleciał do przodu z przestrzeloną podstawą kręgosłupa. Zaorał twarzą w ziemię, co litościwie skryło ranę wylotową. Drugi przewrócił się, a potem podniósł znowu, kuśtykając i ściskając się za udo, jakby chciał wycisnąć ból z rany.

– *Hingada thes lhorantes!* – powiedział pierwszy strzelec. Śmierć niewiernym, motto Rzeźników. – Powinieneś bardziej się postarać, Huan!

– *Malash.* Duch wyznacza nasze wzloty i upadki – wymruczał drugi mężczyzna. Wypuścił powietrze i nacisnął spust. *Trzask.* W parę sekund później pył trysnął z tyłu jellaby Araba, a ten padł, rozciągając się na ziemi.

Tymczasem zgoniono pozostałych. Siedzieli z rękami na karku, wpatrując się w swoich oprawców z szeroko otwartymi oczami ludzi, którzy chcieli bardzo mocno obudzić się ze złego snu i nie mogli. Przewrócony wóz płonął już teraz wściekle, potężnym płomieniem, śmierdzącym śladowo rybą zdechłą od trzech dni – *advocati*, tego zapachu nie dało się z niczym pomylić. Wysuszone na słońcu były na tyle oleiste, że paliły się jak nafta.

Belagez wskazał szablą. – Ruszać się. Przewróćcie pozostałe wozy i wrzucie je w ogień. Rozwalcie te skrzynie, to będą suchary. – Kolonijna wersja stanowiła cienkie płatki wielkości męskiej dłoni. Będą się paliły w gorącym płomieniu.

Przeszedł na arabski, akcentowany, lecz wystarczająco płynny. – Wy nie wierzące skurwysyny. Biercie się do roboty.

Woźnicy i wartownicy, którzy przeżyli, dołączyli do jego ludzi we wpychaniu kolejnych zapasów do potęgującego się ognia. Przewrócono na to kolejny wóz i zapach smażonych

moreli nałożył się na smród, aż mu się trochę skręciło w żołądku. Pożoga będzie widoczna na przestrzeni kilometrów, lecz nie było nikogo żywego, kto byłby tego świadkiem – chyba że jakiś jeden czy dwóch z tych uciekających bardzo szybko, którzy przeżyli z ostatniego konwoju, w jaki uderzyli. Grupy dwudziestu wozów zostały rozmieszczone dość równo w czterokilometrowych odstępach wzdłuż drogi; godna pochwały dyscyplina marszowa i było to bardzo wygodne dla batalionów, którym *heneralissimo* kazał wylądować na zachodnim brzegu. Spojrzał na zegarek. Było teraz jasno jak w dzień i na tyle gorąco, że zrobił krok w tył.

3.00. To będzie ich ostatni, będą musieli ostro jechać, by zdążyć na spotkanie z flotą rzeczną o świcie. Z pewnością nie chciał, aby ominął go koniec tej kampanii. Ogień rósł szybko. Jego ludzie też się spieszyli, a jeńcy pracowali bardzo ciężko.

Zastanawiał się bezcelowo, czy wiedzieli, że budują własne stosy pogrzebowe. Pewnie tak. Mimo to, dzięki błogosławieństwu Ducha, ludzie niechętnie porzucali nadzieję, gdy wciąż oddychali.

O nocy, któraś mi przewodnikiem była

O nocy, bardziej kochająca niżli wstające słońce

O nocy, któraś połączyła kochanka

Z ukochaną

Czyniąc ich jednym i tym samym.

Raj otworzył oczy, budząc się ze wzdrygnięciem. Suzette odłożyła na bok swoją *gittar* i uśmiechnęła się do niego, wręczając mu filiżankę *kave*.

– Ten jacht ma wszystkie wygody, mój kochany – powiedziała. – Co...

– Nie stało się zupełnie nic poza tym, co powiedziałeś, że się zdarzy. Belagez i pozostałe grupy desantowe spotkały się. Koloniści nie mają pojęcia, co się święci. Posuwamy się szybciej niż nowiny. Jest południe.

– Ach.

Wziął filiżankę i popił. Czuł się mniej rozbity po przebudzeniu niż zwykle i miał mniejsze poczucie, że wydarzyło się coś katastrofalnego i że natychmiast trzeba temu zaradzić. *Kiedy to ostatnio spałem bez zmartwień?* – pomyślał.

>>Pięć lat, jeden miesiąc i siedem dni temu. Definiując „zmartwienie” jako to, co podświadomie zawarłeś w tym określeniu.<<

Dziękuję ci bardzo, pomyślał. A na głos – *Dziękują ci, moja słodka. Musiałaś ich odpędzać* niczym samica sauroida chroniąca młode.

Suzette się uśmiechnęła. Nie było to jej zwykle lekkie i enigmatyczne skrzywienie ust, lecz szeroki uśmiech, jakby wobec jakiegoś prywatnego żarciku. Potrząsnęła głową.

– Miałeś pięć lat, aby ich wyszkolić, Raj, a oni są dobrymi ludźmi. Chcieli, abyś odpoczywał, dopóki możesz. Mogą wypełniać twoje rozkazy, ale wszyscy chcemy – potrzebujemy – abyś był w najlepszej formie, gdy będziesz potrzebny. Poza tym – ukazały się lekkie dołeczki – wyglądasz tak młodo i bezbronne, gdy śpisz.

Raj zaśmiał się miękko. *Nie ma odwrotu*, zdał sobie sprawę. *Orzeł albo reszka i zwycięzca bierze wszystko*. Uda się albo nie, a jeśli nie, to jego nie stanie, by się tym martwić. Za nimi nie było niczego poza Alim i jego pięćdziesięcioma tysiącami ludzi, zagradzającymi drogę do granicy.

– Co to była za piosenka? – spytał, kończąc kawę. Suzette nalała mu kolejną i podała śniadanie – podpieczony suchar, a skądś znalazła do niego trochę konfitur.

– Jest bardzo stara. Nauczyła mnie jej moja guwernantka, kiedy byłam dziewczynką, to znaczy siostra Maria.

– Nie brzmi zbyt religijnie – powiedział Raj.

>>Pieśń wywodzi się z religijnej poezji św. Jana od krzyża<< powiedziało Centrum. >> Muzyczny podkład został ułożony około dwa tysiące czterysta lat temu na Ziemi.<<

– Ehem. – Dobiegł głos z pokładu, zza drzwi małej kabiny na rufie. – Przykro mi przerywać tę

wzruszającą scenę rodzinną ale...

– Idę, Gerrin – rzucił smętnie Raj.

Wsadził stopy w buty i zapiął ryszunek, a potem zebrał mapę, nad którą pracował do późna w nocy. Słońce na zewnątrz było oślepiające, a cień rzucany przez daszek w górze miał ostre brzegi i był przez kontrast całkowicie czarny. Raj zamrugał, popatrując ponad zielonymi wodami Drangosh. Przez kilometr po obu stronach, poza zasięgiem wzroku, za wysokimi brzegami zakoli, rzeka pokryta była tratwami, barkami i łodziami. Wraz z ludźmi, działami i amunicją... *dziewięć tysięcy ludzi*. *Dziewięć tysięcy, które miały zdecydować o losie imperiów. Dziewięć tysięcy ludzi polegających na mnie, że to się uda.* Ta myśl była mniej druzgocząca niż zazwyczaj. *Jeśli były w ogóle takie siły na Ziemi...*

>>Bellevue.<<

– ...zatem na Bellevue, ty pedancie, to oni nimi byli.

Raj się uśmiechnął. Staenbridge oraz pozostali dowódcy batalionów odpowiedzieli mu uśmiechem. Barton Foley się zaśmiał.

Raj uniósł brwi. – O czym myślisz, kapitanie?

Rozpostarł zrolowany papier na pokładzie, a oficerowie i towarzysze stłoczyli się wokół niego, przyklękając i przybijając rogi sztyletami.

– *Mi heneral, myślałem sobie właśnie, o ile mniej przyjemny będzie len ranek dla naszego szacownego przyjaciela Tewfika, gdy dowie się, że opuściliśmy przyjęcie i pozostawiliśmy mu rachunek do zapłacenia.*

Fala chrapliwego śmiechu przebiegła dokoła mapy. – To prawda. – Ręka Raja spoczywała na kolanie, a palce drugiej rozpostarł na mapie. Był to jego rysunek, a Centrum dostarczyło holograficznej nakładki, na podstawie której pracował. – Panowie, to są najnowsze wiadomości dotyczące obozu nieprzyjaciela przy przyczółku mostowym i moście pontonowym na Drangosh. Widzicie...

* * *

Bomf. Huknął mały młotek i hak poszybował w górę przez obłoczek dymu.

Dlaczego? – pomyślał Tewfik. Pożary szalały przez całą noc, jakby *kapharowie* nie przejmowali się tym, że miasto płonie dokoła ich uszu. Żadnych strzałów z murów i wież, przez całą noc, i bombardowanie. A teraz ignorowali jego herolda z flagą rozejmu, przez całą godzinę od świtu. *Odkąd wreszcie uwolniłem się od skamlenia i grózb mojego brata.*

Słońce stało jasne na wschodzie, raniąc oczy. Okrył swoje oko dłonią, a drugą rękę wsunął z tyłu za pas od szabli. Wiaterek wiał od strony rzeki i łopotał jego jellabą. Furkotał też niebiesko-srebrnym Rozbłykiem Gwiazd Federacji na wieżach przy bramie Sandoralu. Powietrze gęste było od ohydneho zapachu rzeczy, które nie powinny się palić – jeden ze stałych elementów wojny. Czuł to samo w Gurnycy i w spalonych miastach na wybrzeżu Zanj. A raz coś jeszcze gorszego, gdy ostrzelali pociskami magazyn będący gniazdem oporu i zapaliła się wysuszona koprą znajdująca się w środku.

– Lordzie *amirze*, mający szczęście snajper z murów...

– Nie sądzę, aby był to spisek, aby mnie zamordować, Husseinie – powiedział Tewfik. *Sam Allah wie, o co chodzi, ale nie o to, jak sądzę.*

Ludzie wspinali się po kablu, jaki zarzucił mózdzierz. Pierwszy z nich miał wsunięty za parciany pas do rynsztunku kijek z białą szmatą, flaga rozejmu, w imię jednego i jedyne Boga. Niech Whitehall ją uszanuje, a był on znany ze skrupulatności w tych sprawach.

Ludzie wdrapali się przez wąskie okno wysoko nad mostem przenoszącym kolej przez fosę i mury miejskie. Tewfik czekał z żelazną cierpliwością. Lustro błysnęło z parapetu.

Wieża jest wyraźnie pusta, odczytał. Wbił palce w swoją rozdwojoną brodę, a nozdrza rozděły mu się instynktownie, jakby wyczuwał pułapkę. Czekał dalej w ciszy, aż dobiegł stłumiony huk wybuchu za murami i bardzo słaby krzyk.

Oficerowie wokół niego naprężyli się. W pół minuty później lustro zamrugało znowu.

Pułapka, sześć ofiar. Wieża opustoszała. Mury opustoszałe. Nie widać żadnych nieprzyjaciół

Dokoła niego wybuchł zgiełk przekleństw i podnieconych okrzyków. Wieści rozchodziły się wzdłuż linii oblężenia, gdy otworzyły się wielkie wrota, odsłaniając kręty tunel za nimi. Wzbierał długi, powolny ryk niczym potężna fala, gdy ludzie wysuwali się z okopów i wdrapywali na kosze szanćowe, a inni wybiegali z namiotów i od ognisk do gotowania z tyłu.

– Miasto jest nasze! – ktoś krzyknął. – *Kapharowie* uciekli!

Tewfik poczuł, jak ogromna ręka sięga mu do piersi i ściskają. Skrzydła Azazraela musnęły mu oczy ciemnością. Modlił się niemalże, aby anioł ciemności przyszedł teraz po niego. Z pewnością liczyliby się to jako śmierć za wiarę w świętej wojnie. Hussein i jeden z jego niewolników krzyknęli w szoku i pognali, by go wesprzeć. Odsunął ich i ruszył chwiejnie do przodu, do skraju głównych umocnień.

Uciekli? – pomyślał. – *Uciekli? Dokąd? Na północny wschód, do dolin pograniczników? Aby skryć się w zbudowanych z błota fortach i urządzać niewielkie najazdy, podczas gdy my zablokujemy ich przy pomocy jednej dziesiątej naszych sił i pomaszujemy ku bramom Wschodniej Rezydencji z resztą? Whitehall?*

– Ale... – Twarz adiutanta rozplynęła się w szoku. – Jeśli nie na północ, to dokąd? – Spojrzał na oblicze swego dowódcy i strach zastąpił szok. – O co chodzi, lordzie *amirze*?

– *Kismet* – rzekł Tewfik. – Taki los. Jeśli nie na północ, to na południe...

– Ale, lordzie *amirze*, stacje przekazujące wiadomości, posterunki na drodze – nie było żadnych wieści!

– Ano właśnie. – Obrócił się. – Hussein. Dwudziestu ludzi, każdy z trzema luzakami. Niech zabijają psy, spiesząc się, jeśli zajdzie potrzeba, ale posuwajcie się tak szybko, jak tylko ludzie zdołają. Do dowódcy obozu u czoła kolei: zachować maksymalną czujność, wróg w okolicy.

Hussein wgapiał się w niego. Tewfik chwycił go za szelki naramienne pasa i potrząsnął nim, – Głupcze zrodzony z głupców, cały ten najazd przez Drangosh był dla odwrócenia uwagi – a ich most stanowił przykrywkę dla łodzi i tratw, *które miały splanować ich siły na południe.*

– Niech miłosierny i dobrotliwy ma nas w swojej opiece!

– Idź! – Zwrócił się do pozostałych – Zagrać na alarm. Zmobilizować kawalerię, całą...

– Lordzie *amirze* – rzekł z pośpiechem jeden z oficerów. – Osadnik...

Osadnik, który będzie zwlekać całymi godzinami, zanim pojmie podstawy. A wraz z nim każdy z wielkich domów szlacheckich oraz szeregi Maribbatein i ghazi, a wszyscy będą

zazdrośnie nalegać na to, by się z nimi konsultowano, zanim wykona się poważny ruch.

Podniósł ręce. – Allahu! Jeden dzień! Tylko o to cię proszę, o jeden dzień.

Nigdy nie modlił się tak szczerze.

Rozdział czternasty

– Messerowie, garnizon liczy sobie dziesięć tysięcy ludzi, nie licząc cywilnych pracowników.

Towarzysze pochylali się na ostatniej odprawie nad mapą wyrysowaną na piasku. Antin M'lewis trzymał się trochę z tyłu, choć to jego wywiad tego popołudnia dostarczył najświeższych wiadomości. Odkładając na bok kwestie statusu społecznego, nie miał liniowego dowództwa. Jego ludzie zostaną podzieleni i będą pracowali dla prawdziwych jednostek jako przewodnicy na szlaku.

Raj ciągnął dalej, wskazując szablą. Mokry piach pozwalał na zaskakującą szczegółowość. Raj spędził około godziny przygotowując mapę, co było możliwe dzięki Centrum nakładającemu hologramy, co czyniło każdy ruch doskonale efektywnym. Długie cienie wieczoru dobrze to uwypukliły.

– Jak widzicie, jest to kwadratowy fort ziemny: dwumetrowy rów, dwumetrowa palisada i ziemny szaniec oraz *chevaux-de-frise* [Kozły hiszpańskie – bariera z kawałka drewna lub żelaza nabitego ostrzami, włóczniami albo zaostrzonymi palami wystającymi na pięć do sześciu stop lub też umocnienia z nasadzonymi na szczycie ostrymi elementami] w rowie. W każdym rogu pentagonalne bastiony, działa wzdłuż parapetu bojowego i cztery bramy, po każdej ze stron świata. Kolej prowadzi ze wschodu, a most pontonowy z zachodu. Po obu stronach każdej z bram znajdują się dziesięciometrowe wieże wartownicze. Bramy to blokady z naostrzonego drewna. Większość artylerii skoncentrowana jest w bastionach, które są jak zwykle wyższe od głównego wału. Strzelają wzdłuż każdej ze ścian.

– Dziesięć tysięcy ludzi – rzekł w zamyśleniu Menyez, – *Heneralissimo*, na bezgwiezdne ciemności, to sporo siły ogniowej.

Raj skinął głową. – Jeśli pozwolimy im jej użyć, czego nie zrobimy. To są żołnierze od linii komunikacyjnych, bataliony do robót kolejowych, inżynierowie i specjaliści od dostaw. Poza tym nie spodziewają się nas. Nie damy im także czasu do przygotowania się. Jest jeszcze jedna, ostatnia niespodzianka, która odwróci ich uwagę.

– Jesteśmy tutaj. – Przesunął czubek szabli ku północy mapy na piasku, stukając

koniuszkiem we wschodni brzeg Drangosh. – Mniej niż dwa kilometry na północ od celu, lotem pterosauroida. Będziemy się posuwać osobno, kolumnami batalionów, maszerując pieszo, jak

następuje.

Wymienił bataliony poruszając się z lewa naprawo, ze wschodu na zachód. – 17 Piechoty z hrabstwa Kelden oraz 24 z Valencia najbardziej na lewo – będą mieli najwięcej do przejścia, ale lepiej maszerują pieszo. Bataliony kawalerii w centrum, piechota z Sandoralu naprawo, najbliższej rzeki. 5 z Descott i 18 z Komar zajmie pozycję środkową i napadnie na północną bramę obozu, Pułkownik Menyez będzie głównodowodzącym lewego skrzydła, pułkownik Staenbridge centrum, a major Gruder prawego. Ja będę towarzyszył środkowym jednostkom.

– Pułkowniku Dinnalsyn, podzielisz swoje działa na dwie wielkie baterie. Jedna będzie towarzyszyć Dwudziestemu Czwartemu, a jedna batalionom garnizonowym z Sandoralu. Twoim celem będzie zneutralizowanie artylerii nieprzyjaciela w bastionach narożnych na czas trwania natarcia. Jedna szybka, mocna salwa, a potem przejdź na wsparcie ogniowe, zaś kiedy nasze sztandary załopocą nad palisadą i wałem, przerwij ogień i przygotuj się do ruszenia zgodnie z instrukcjami. Zrozumiano?

Dowódca artylerii pogładził kciukiem swoje cienkie wąsiki. – Da się to zrobić, *mi heneral*. Ale, aby być skutecznym, będę potrzebował czasu na ogień odmierzający zasięg.

– Kiedy tam przybędziemy, dostarczę ci dokładnych danych co do zasięgu – powiedział Raj.

– To oczywiście wystarczy, *heneralissimo* – rzekł ostrożnie Dinnalsyn, a ostre głoski Wschodniej Rezydencji brzmiały nieco wymuszenie. Sądząc po spojrzeniach, wszyscy wiedzieli, co to oznacza: *to jest cholernie niesamowite*. – Masz do tego doskonałe oko.

Raj ciągnął dalej – Messerowie, będziecie się zbliżać następującymi trasami. – Jego szabla narysowała je poprzez labirynt przeżartych erozją klifów, wymieniając bataliony. – Mam nadzieję, że nie muszę podkreślać absolutnej konieczności zachowania czujności przy zbliżaniu się do krańca strefy parowów i niziny zaraz na północ od nieprzyjacielskiego obozu. Na miejscu jest kompania Rzeźników z Rogor, prowadzona przez członków kompanii zwiadowców. Zdejmą oni posterunki Kolonistów tuż przed waszym wychynięciem na równinę, a po tym będzie bardzo niewiele czasu – atak i zwykła rakietą będą dla was sygnałem. Wyłaniajcie się ze wzgórz w kolumnach, ustawiając w szyku w ruchu, i biegiem uderzcie na mur. Do tego czasu artyleria będzie ostrzeliwać bastiony. Nic wymyślnego, panowie. Wchodzimy z bagnetem i jedną kulą w rurze, wspinamy się na mur i wykurzamy – jego szabla przesunęła się z północy na południe – brudasów z ich obozu. A potem zatrzymujemy się na noc.

Wyciągnął zegarek i otworzył kopertę. – Proszę zsynchronizować. Jest 19.00... *teraz*. – Dało się słyszeć stłumione pstrykanie, gdy wciskano na miejsce pokrętła. – Brakuje dwóch i pół godziny do całkowitych ciemności. Pułkowniku Dinnalsyn, niech twoje działa teraz ruszą. Wszystkie bataliony będą w drodze do 19.30. Oczekuję, że artyleria rozpocznie przygotowania o 20.15, a żołnierze dotrą o 20.30. To tylko kilometr, a zwiadowcy wyraźnie oznaczyli trasy, więc mimo że to nocny marsz, jest wystarczająco dużo czasu. Pytania?

Było tylko jedno czy dwa w kwestiach technicznych. Plan był prosty – zaskakująco prosty. *To strategia jest tutaj skomplikowana*, pomyślał.

– Zatem wszystko jest ustalone, oprócz wyniku walki. Niech Duch Człowieka będzie z nami, messerowie.

– Jest – rzekł ktoś cicho. – Miecz Ducha Człowieka.

Zawstydzony Raj odchrząknął i krótko skinął głową. Towarzysze uderzyli się pięściami w piramidzie ramion i rozeszli. Młodszy oficerowie przysunęli się, aby przyjrzeć się przez parę chwil mapie na piasku, a potem wrócili do swoich jednostek.

Raj szedł brzegiem, był on tutaj twardy, skały wiązały glinę nabrzeża. Barki i tratwy zostały wyciągnięte tak daleko na brzeg, jak na to pozwoliły ludzkie mięśnie i psy ciągnące końce arkanów. Nie zamierzali udawać się już nigdzie dalej wodą. Wielu ludzi przygotowywało drabiny szturmowe: proste belki z traw, z przybitymi do nich poprzecznie deszczułkami i zaostrzonym końcem na górze, aby pał trzymał się spadzistej powierzchni ziemnego wału i podpórka w dole, aby się nie wywracały. Jedną ze standardowych części szkolenia Rządu Cywilnego było noszenie belek w biegach przełajowych, jednostki rywalizowały ze sobą – uczyło to pracy drużynowej na bardzo praktycznym poziomie.

Reszta ludzi czekała, niektórzy szli szybkim marszem albo rozciągali się pod przewodnictwem oficerów swoich plutonów, pozbywając się przykurczów i zeszywnienia wywołanego długą podróżą w tłoku. Raj zatrzymywał się co jakiś czas, przyzywając ludzi po imieniu i klepiąc po ramieniu.

– Podporuczniku Minatelli – rzekł do jednego z młodszych oficerów. Pluton mężczyzny, będący poniżej stanu liczebnego, wyginał tułowia z karabinami trzymanymi nad głowami.

– Panie – odezwał się młodzieniec z zachodu, stając na baczność. Mężczyźni zamarli. Raj zasalutował energicznie.

– Żadnych tytułów, żadnej musztry – rzucił swobodnie Raj. *Poważny, ale to dobrze*, pomyślał, dokonując oceny. Niższa klasa średnia, grupa społeczna, z której pochodziło niewielu wojskowych, a z pewnością nie korpus oficerski, lecz w piechocie nie działało to aż na taką niekorzyść.

– Gotowy na pierwszą walkę w randze oficera? – spytał.

– O więcej rzeczy człowiek się martwi, panie – wykrztusił młodzieniec. Jego szczerłość była widoczna.

Raj skinął głową. – Komfort umysłowy maleje, gdy rośnie ranga – powiedział. – Jeśli bierze się swoją robotę do serca. Kontynuujcie, synu.

Poszedł dalej, do miejsca, gdzie oddziały Piątego przypinały uzdy swoich psów do palików. Żołnierze kawalerii wyprostowali się, ale nie stanęli na baczność. W ich postawie widoczny był głęboki szacunek, ale nie formalność.

– Bwenya dai, psi bracia – powiedział Raj.

Przesunął dłonią po szyi jednej z suk. Ta odwróciła się i powąchała go, a potem oblizowała się usatysfakcjonowana zapachem *wojska*, który oznaczał dla wojskowego psa ostateczne granice stada.

– Ładne zwierzę – powiedział szczerze. Wychowane na descottyjskiej farmie, jakieś tysiąc funtów, smukłe i wyglądające na zwinne, mające jednak potężne bary i klatkę piersiową. – Piętnaście dłoni w kłębie?

– Ach, panie, ta Pochita jest najlepsza – rzekł kapral. – Od mojego własnego krewnego *ranchero*. Piętnaście i jeden, ma siedem lat.

– Robbi M'Telgez – powiedział Raj. – Południowy kraniec parafii Smythe, wolni dzierżawcy dziedzica Fidalgo? Koło źródła Siedmiu Czaszek?

– Tak, ponie. – M’Telgez wyraźnie urósł nieco. – Czy to prawda, że atakuję bazę z zapasami brudasów, ponie?

Raj skinął głową. – Mały spacer w chłodny wieczór, a potem zbieramy wszystko oprócz gaci Aliego. Brudasom może się jednak nie podobać to, że się częstujemy.

Żołnierze wyszczerzyli się w uśmiechu. Chwytając zapach, przywiązane za nimi psy obnażyły zęby w mocno podobnym wyrazie pysków.

– Kontynuujcie – powtórzył.

Suzette czekała obok Herbie i Horace’a. Siedem tysięcy psów zajęłoby nieznacznie dużo powierzchni w wąskich parowach – dlatego też operacja odbywała się piechotą – lecz jemu i jego starszym oficerom potrzebna była dodatkowa mobilność. Raj wskoczył na siodło i przypatrywał się, jak ruszała reszta artylerii. Zaprzęgi znikwały w kanionie na południu. Pył unosił się za nimi, ale niewiele. Później, latem, byłby to wysoki na kilometr pióropusz. Był to kolejny powód do posłania ludzi pieszo i szeroko rozdzielonymi drogami.

– To właśnie to, czyż nie? – spytała cicho Suzette.

Raj skinął głową – Jeśli się uda, to wszystko dobiegnie końca poza wiwatami. Jeśli nic...

– Wzruszył ramionami. – Cóż, nie będziemy musieli się tym martwić.

– A jeśli to się uda, jest jeszcze Barholm. Raj, on cię zabije, jak tylko nie będzie cię już więcej potrzebował.

Raj zaśmiał się serdecznie i mocno. – Moja słodka, w tej chwili jest to ostatnia rzecz na Bellevue, którą się martwię. – *Niczym się nie martwię.* Operacja była w toku i jedyne, co musiał teraz zrobić, to poradzić sobie z nieoczekiwanym: myśleć w ruchu i posługiwać się rozumem. Czuł się swobodnie i luźno, a ciało i umysł pracowały razem z maksymalną wydajnością.

Jego twarz przyjęła beznamiętny wyraz. – W każdym razie pozostawię po sobie pewne osiągnięcia, coś, co było warte zrobienia.

Suzette dotknęła jego łokcia. Zatrzymali się nieco z boku od chorążych i posłańców. – Raj, a propos rzeczy pozostawianych po sobie... jest coś, co powinieneś wiedzieć, tak na wszelki wypadek.

* * *

Żeglarz zadrżał. Był nagi, poza opaską lędźwiową pokryty sadzą zmieszana z łojem i rozsiewał dokoła mocny zapach tłuszczu. Znajdująca się przed nim mała galera znowu machnęła wiosłami, a potem się z nim zrównała. Ledwo co widział ją w narastającym zmierzchu, wodę jaśniejszą tam, gdzie wiosła ubiły ją na pianę. Ich staranne uderzenia robiły *szszsz... szszsz...* posuwając się przez noc.

Oficer zapalił lont i zsalutował mu przed przeskoczeniem na galerę. Ta zawróciła i powiosłowała prędko z powrotem w górę rzeki. Przykleknął na złożonym, płóciennym worku na szorstkich deskach tratwy i chwycił za rumpel. Ten skręcił mu w dłoniach; swojska praca związana z życiem na Drangosh, materia, z której składały się jego wszystkie dni. Jednak nigdy nie wiózł takiego ładunku jak ten. Cała powierzchnia tratwy pokryta była beczułkami prochu, bryłowatymi pod ciemnym, okrywającym je brezentem, ich zarys przerywany był palmowymi liśćmi i gałęziami. Żelazne haki i kolce wystawały wszędzie dokoła kwadratowego statku, przymocowane do głównych

belek więziarowych.

Tutaj, w środkowym biegu, prąd był szybki, a brzegi stanowiły tylko linie w ciemności na prawo i lewo. Jednak *ktoś* musiał sterować, inaczej tratwa mogła skrócić ku brzegom. Ostrożnie pracował wiosłem, nigdy nie pozwalając końcowi oderwać się od wody. Z oddali, w ciemnościach, tratwa będzie wyglądała jak jeszcze jeden kawałek rzecznej śmiecia pochwycony przez nurt. Zapalnik zasyczał.

Tam. Światła na wschodnim brzegu, na lewo. Obóz brudasów. Trochę po prawej: ruiny

Gurnycy. Obnażył zęby. Miał tam krewnych, zanim wcielono go przymusem do wojska. Dlatego zgłosił się do tego na ochotnika – choć tysiąc złotych FedKredytów i ziemia oraz ulgi podatkowe dla niego i jego rodziny nie zawadziły. Jednak, aby się nimi cieszyć, trzeba było żyć. Zemsta natomiast była daniem, które można było zjeść zawczasu.

I ten messer Raj. Kapłan ma rację. Duch był z nim, widział to w jego oczach. Dla Ducha wszyscy ludzie byli narzędziami ludzkości.

Łańcuch światełek na wodzie – latarnie wartownicze wzdłuż pontonowego mostu brudasów. Barki były o wiele większe niż te, którymi się posłużyli do zbudowania swojego własnego mostu przy Sandoralu, z prawdziwymi dziobami i zgrabnymi deskami. Pochodnie były zwitkami szmat nasączonymi w oliwie, nasadzonymi na długie kije z twardego drewna i przymocowanymi do poręczy drogi co jakieś piętnaście metrów. Przykucnął nisko, czując żółć w gardle. Z tyłu opaski biodrowej miał nóż w pochwie, ale to było dla niego samego, jeśli będzie wyglądało, jakby mieli go złapać.

Znalazł się bliżej i dostrzegł spiczaste hełmy i turbany żołnierzy przechadzających się po moście. Kable mocujące dzioby pontonów wystawały z wody – ciemne krzywizny na tle ciemnej wody. Światło ognia połyskiwało na falach. Wsparł jedną stopę o drewno. Gołe, pokryte odciskami palce wpiły się w nie, a on przyłożył plecy oraz barki do rumpla. Tratwa posuwała się ukośnie względem prądu, powoli, ciągle powoli. Jego oddech starał się wyrwać szlochem przez mocno zaciśnięte zęby.

Jeden z brudasów śpiewał, a brzmiało to jak skrzeczenie kota gryzionego przez człowieka w ogon. Poza kręgami światła rzucanego przez pochodnie było strasznie ciemno. Oba księżycy zaszyły, w górze widniał tylko łuk gwiazd. *Tak.* Tratwa zmierzała prosto pomiędzy dwa pontony. Gdyby nie było go na pokładzie, mogłaby przez nie przejść.

Zaczekał, aż cień drewnianego pokładu w górze przesłonił niebo. Było dość odbitego światła z pochodni na jednym z pontonów. A potem podniósł drąg, którego drugi koniec osadzony był w pokładzie tratwy. Okuty żelazem czubek zagłębił się mocno w drewnianą belkę w górze, wbity przez ciężar tratwy i siłę prądu. Ciężar i prąd popchnęły tratwę na bok, aż obróciła się dokoła kotwicy wciśniętej głęboko w twarde drewno w górze. Haki wzdłuż burły ze zgrzytem wbiły się w kadłub pontonu. Skrzywił się na ten hałas, ale na drodze u góry było grube drewno i trzy stopy ziemi. Tratwa zakołysała się nieco pod nim, gdy haki wgryzły się mocno i trzymały, opierając się powolnej i długiej fali napierającej wody.

Żeglarz zanurkował w wodę za burtę i pozwolił, aby nurt zaniósł go na południową stronę pontonowego mostu i sto metrów w dół rzeki. A potem zaczął płynąć szybkim kraulem i niech bezgwiazdne ciemności pochłoną tajemnicę. Miał mniej niż minutę, aby wydostać się

z zabójczego zasięgu.

* * *

– Zmiana – powiedział podporucznik Minatelli.

Podszedł następny pluton i zdjął drabinę szturmową z ramion jego ludzi. Osłonięta latarnia szturmowa w jego dłoni dostarczała dosyć światła, choć dało się słyszeć wyszeptane przekleństwa i okrzyki bólu w ciasnej przestrzeni suchego koryta.

– Ruszajmy.

Na swój sposób mieli szczęście, że jar był tak wąski; nie było gdzie się zgubić. Ruszył szybkim krokiem i od razu potknął się o bryłę ziemi albo kamień. Ludzie czekali przy rozwidleniach, kierując ruch na odpowiednią drogę. Kilka minut później wpadł na znajdujących się z przodu ludzi.

– *Halto!* – syknął do tyłu.

Kapitan Pinya przeszedł wzdłuż szeregu, ujawniając swoją tożsamość szybkim błyskaniem latarni pod swoją twarzą. – Dotarliśmy – powiedział. – Zatrzymać się w miejscu i przygotować do akcji. Czekać na sygnał, potem ruszamy kolumną, w ruchu ustawić się w szereg i dalej się posuwać. Na otwartej przestrzeni jest trochę więcej światła.

Mam taką nadzieję.

Minatelli zaczął pojmować, jak skomplikowane było poprowadzenie setek ludzi w tym samym kierunku tak, żeby przybyli, gdy chciałeś, by to zrobili. Było to o wiele trudniejsze, niż na to wyglądało.

Jednak podporucznik na polu bitwy musiał jedynie przekazywać rozkazy. Bardzo go to cieszyło.

– Nasadzić bagnety. Załadować. Trzymać lufy w *górze*. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, było, żeby ktoś się nadział albo został postrzelony, bo się przewrócił. *On* musiał dopilnować, aby do tego nie doszło. Duchu.

* * *

10.18. Raj z trzaskiem zamknął swój zegarek.

Nie można już dłużej czekać. Zniknęły posterunki Kolonistów, a nieprzyjacielski obóz *wkrótce* się obudzi. Ostatni szczepek żelaza dobiegł od stanowiska artylerii z lewej, z odległości jakichś dwudziestu metrów. Było na tyle ciemno, że dostrzegał tam tylko niejasne ślady ruchu. Kanonierzy poruszali się z przesadną uwagą, nastawiając zapalniki za zasłoną z koców,

która miała osłonić krótkie błyski światła przed oczami wroga. Będą właściwie strzelać na ślepo, poza kierunkami jakie podał – jakie podało Centrum – choć brudasy wystawiały przyjemnie dużo lamp i wartowniczych ognisk.

Przykłusował kolejny goniec.

– Major Gruder melduje, że prawe skrzydło zajęło pozycję, ponie. – Wręczył mu notatkę.

Raj przerzucił zapalną kłódkę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. *To stado krów jest gotowe do tratowania*, przeczytał. Kaltin *nie* był zadowolony, mając pod swoją komendą pięć batalionów drugorzędnej piechoty garnizonowej obok Siódmego.

Zacmokał.

Kaltin nie powinien się spodziewać, że uda mu się wykrzesać co najlepsze z sił descottyjskiej kawalerii przy takim podejściu. Dlaczego sądził, że piechota zareaguje lepiej? Dobry był z niego taktyk i bardzo lojalny, lecz byty pewne zadania, których mu się po prostu nie powierzało. Raj wyszczerzył się w pozbawionym radości uśmiechu. Istniała szansa, że po tym nie będzie już rozdawał zadań.

Odwrócił się, aby spojrzeć na prawo, ku rzece. Maleńkie punkciki będące pochodniami na pontonowym moście migotały w ciemnościach niczym gwiazdy. *Ja postawiłbym go bardziej na południe*, pomyślał. Były tam lepsze drogi, a to, co pozostało z Gurnycy, dawało bezpieczne zaczepienie dla zachodniego końca mostu, lecz umieszczanie narażonego na niebezpieczeństwo źródła zaopatrzenia bliżej wroga było strasznym ryzykiem. *Sprawka Aliego. Ma tendencją do arogancji*. Dał znak znajdującemu się obok gońcowi; nie było już więcej czasu.

Mniejsze pochodnie biegły wzdłuż środkowej części pontonowego mostu. Wyciągnął lornetkę z futerału przy łuku siodła Horace'a i nastawił ją. Ludzie pochylali się nad skrajem drogi, wpatrując się w wodę poniżej, pokazując palcami.

Raj obrócił głowę w bok. Nawet gdy odwrócił wzrok, błysk wybuchu był jasny i oświetlił ziemne wały fortu Kolonistów niczym błyskawica, lecz na znacznie dłużej. Gdy spojrzął znowu, ogromna część pontonowego mostu *znikła*, znikła, jakby wygryziona przez olbrzymie usta. W wodzie powstał krater, spieniony, gdy rzeka pędziła z powrotem, aby wypełnić dziurę, którą na chwilę wybił w niej wybuch. Kawałki płonącego, potrzaskanego drewna rysowały parabole w ciemnościach nocy na tysiące metrów dokoła. Dźwięk uderzył niczym olbrzymi, toczący się gromem huk, odczuwalny zarówno na skórze twarzy i w klatce piersiowej, jak i w uszach.

Syrena alarmowa zaczęła wyc w forcie. Wybiegało z niego coraz więcej ludzi zmierzających przez zachodnią bramę na most pontonowy, czy też na to, co z niego zostało – duże segmenty po obu stronach dziury zerwały mocujące je kable i zaczęły dryfować ku południowi wraz z prądem. To spowodowało większy napór na niezniszczone części. Kable i drewno skrzypiały i puszczały, gdy dwa nie połączone segmenty wyginały się do tyłu. Słyszał, przypominające trzask wystrzału pęknięcie puszczejących materiałów, gdy przekroczyło to ich wytrzymałość. Fragmenty mostu także się paliły. Te części, które znajdowały się ponad wodą, będą w tym klimacie suche niczym hubka.

Oficer dowodzący bazą był pewnie specjalistą inżynierem. Jego pierwszą myślą będzie uratowanie mostu. Jakby dla potwierdzenia tej myśli wóz straży pożarnej ciągnięty przez sześć psów zaprzęgowych wjechał z łoskotem na ponton, zrzucił wąż i woda zaczęła tryskać na pożary z napędzanej parą pompy. Ludzie zeskakiwali do wody ze sznurami i płynęli do punktów kotwicznych. Inni instalowali kołowroty na pokładzie.

Ręka Raja powędrowała w dół. Adiutant przytknął swego papierosa do papierowego zapalnika rakiety sygnalizacyjnej i odsunął się. Papier zaskwierczał i mała rakietka śmignęła ku niebu, wybuchając w górze błękitnym rozbłyskiem gwiazd.

POUMP. POUMP. POUMP. POUMP. Raz po raz.

Języki ognia wystrzeliły w czerń. Pięćdziesiąt pięć dział zmasowanych w dwie wielkie baterie składające się z dwudziestu ośmiu i dwudziestu siedmiu dział. Ciepłe poduszki ognia uderzyły go w twarz z pobliskiego stanowiska. Noc wypełniała się świszczącą falą ognia pocisków, zaś w parę

sekund później trzaskiem wybuchających ładunków, a czerwone świetliki zamrugały nad bastionami w każdym rogu murów fortecznych. Druga salwa składała się częściowo z pocisków kontaktowych. Działa strzelały przy maksymalnym wyniesieniu i prawie że z maksymalnego zasięgu, a ich pociski spadały z nieba pod ostrym kątem. Fontanny ziemi trysnęły w górę, a potem powietrzem wstrząsnęła mamucia, wtórna eksplozja ze wschodniego bastionu.

Ktoś pozostawi! odsłoniętą rezerwę amunicji, pomyślał Raj. Wyobraził sobie scenę na redutach, na wpół nagich ludzi wybiegających ze swoich schronów bombowych w burzę ostrego jak brzytwa, szybko lecącego metalu, gdy starali się obsadzić swoje działa.

– Dinnalsyn działa o czasie i trafia w cel – rzekł sam do siebie Raj, zbierając wodze. – *Hadelande*.

Wbił pięty w boki Horace'a i ruszył susami galopem w dół zbocza. Flagi łopotały za nim, uprzęż skrzypiała, a trąbka dzwoniła, rytmicznie uderzając o zapinki pasa na piersi sygnalisty. Kamienie i pył strzelały spod psich łap wraz z wonią rodzimego, zgniecionego krzewu przypominającego bergamotkę. Przed nim zagrały trąbki – nie było już sensu utrzymywać

ciszy – gdy bataliony przelewały się przez grzbiet wzgórze i spływały po ostatnim zboczu ku płaskim polom. Trasy, które wybrał, sprawiły, że byli szeroko rozstawieni, aby zminimalizować wpadanie na siebie w ciemnościach, a chaos płomieni na każdym z krańców północnej ściany bazy Kolonistów pomoże im w ukierunkowaniu się.

Zwarte kolumny batalionów marszobiegami wpłynęły na otwartą przestrzeń. Światło gwiazd połyskiwało na lesie czubków bagnetów, lśniąca na srebrnych Rozbłyskach Gwiazd na szczycie drzewców ich sztandarów. Odchylił się lekko do tyłu, a Horace przeszedł w kołyszący kłus. Zbliżyli się do stanowiska 5 z Descott. Ludzie wydali z siebie krótki ryk radości, gdy minęła ich jego flaga, ustawiając się obok dowódcy batalionu; ostry, męski ton w tle huk i trzasku dział.

Spojrzał na zegarek. 10.40. *Prawie punktualnie. Zdumiewające*. Poczł ukłucie wspomnienia. Nie było to nic, co sam przeżył, lecz jeden z holograficznych scenariuszy z długiej historii wojen na Ziemi, jakie pokazywało mu Centrum. Tym razem nie Hannibal, lecz ktoś inny, a bitwa także była toczona z Arabami...

>>Porucznik-generał Gamet Wolseley<< powiedziało Centrum. >>Tel El-Kebir. Dwa tysiące pięćset lat temu.<< Przerwa. >>Podobieństwo jest niepokojące.<<

Dlaczego? – spytał Raj. *Ten gość Wolseley wygrał, czyż nie?* Nocny marsz i atak na ziemne umocnienia, jak pamiętał.

>>Zaprogramowano mnie, abym wierzył, iż progresywna poprawa ludzkich zdolności stanowi priorytet<< powiedziało Centrum. >>Fakt, iż dwie podobne bitwy wydarzyły się w takiej odległości czasowej może stanowić poparcie dla cyklicznego a nie linearnego wyjaśnienia ludzkiej historii.<<

Niektóre sprawy nigdy się nie zmieniają.

>>I w tym właśnie, Raju, tkwi problem, i to właśnie próbujemy zmienić.<<

Trębacz Piątego zagrał pięciotonowe wezwanie i powtórzył je. Raj obrócił się w siodle, aby się przyjrzeć. Pożary na moście pontonowym wymknęły się spod kontroli, a najbardziej na wschód wysunięty bastion Kolonistów był kolumną płomieni, dającą dość światła, aby zmienić noc w zmierzch. Zwarta kolumna żołnierzy nagle się otworzyła niczym wyciągnięta dłoń mężczyzny, gdy ten

nagle rozstawia palce. Każda z czterech kompanii Piątego obróciła się pod kątem do osi natarcia i marszobiegami ruszyła do przodu, podążając za porożcem dowódcy kompanii. W trzydzieści sekund później trąbka znowu zagrała i kolumny kompanii rozciągnęły się w plutony, a plutony rozsunęły się jak otwierające się wachlarze. W niecałe cztery minuty to, co było zwartą kolumną ludzi, stanowiło podwójny szereg, falujący, gdy weterani z bezwiedną umiejętnością równali szyki w ruchu.

Po to była nie kończąca się musztra na placyku – ruchy musiały być podświadome. Tak instynktowne, że można je było wykonywać, będąc wyczerpanym lub pod zabójczym ogniem – albo tutaj, w ciemnościach tak strasznych, że ledwo co widzieli kolejnego człowieka w odległości dwóch ramion. Szereg ludzki nie mógł zbyt długo szybko się zbliżyć, chyba że na absolutnie płaskim jak blat stołu terenie. Kolumna mogła manewrować, lecz stanowiła okropnie odsłonięty cel, nie mając żadnych możliwości obronnych.

Gerrin Staenbridge zatrzymał się obok Raja. – Po tym marszu już nigdy nie zażartuję o ślepcu prowadzącym ślepcę, *mi heneral*. Gdyby nie to, że niemożliwością było zgubienie się, to byśmy się zgubili.

W jego głosie słyhać było napięcie. Możliwości tego, że wybuchnie zamieszanie, były takie, że człowiek mógł osiwieć... co przypomniało Rajowi srebrzysty połysk, jaki widział w swoich włosach za każdym razem, gdy się golił.

Jazgoczące działka podskakiwały za piechotą. Teraz pokłusowały do przodu, wysforowując się. Sto metrów, dwieście, trzysta, a potem zaprzęgi zawróciły. Załogi zeskoczyły i podkręciły śruby podnoszące do maksimum.

– Mniej więcej teraz – powiedział Raj.

Kanonada na chwilę ustała i pociski rozbłyskowe wybuchły nad szaniami fortu. Raj wstał w strzemionach i rozejrzał się na lewo i prawo, zawieszony pomiędzy strachem a nadzieją w migotliwym niebiesko-białym świetle. *Niech chwala i sława będzie Duchowi*

Człowieka Gwiazd, pomyślał ze szczerością. Z tego, co widział, wyglądało na to, że nie brakowało żadnych większych jednostek – choć prawa flanką była w większości zasłonięta, a to o nią się głównie martwił. Długi, nierówny, podwójny szereg ludzi rozciągał się na równinie, z siedmiusetmetrowymi odstępami pomiędzy batalionami. Kilka batalionów *zostało* mocno wytraconych z ukierunkowania na cel. Maszerowali pod kątemi, które w końcu doprowadziłyby do płataniny z sąsiadami. Gdy tak się przyglądał, zaczęli poprawiać szyk.

– Sygnalista – powiedział. Mężczyzna zeskoczył z siodła i wypuścił dwie rakiety. Poszybowały z sykiem i wybuchły.

Staenbridge dobył szabli. – Batalion...

– Kompania – Powtórzone wielokrotnie w szeregu. – *Do ataku!*

Trąbki zagrały i podtrzymywały swój przenikliwy, długi, metaliczny wrzask w antyfonicznym chórze, aż wszyscy sygnaliści podchwycili ton. Długotrwały, narastający okrzyk wzniósł się z jednego krańca pola do drugiego. Flagi pochylły się do przodu, gdy cała formacja ruszyła miarowym, równoczesnym truchtem.

Braaaaaap. Jazgoczące działka wystrzeliły, pociski poleciały łukiem z ekstremalnego

zasięgu, spadając deszczem na parapet. Strzelały nadal ponad hełmami, gdy mijali je żołnierze. Pompom wystrzelił z wału przed nimi, a błyski z lufy pokazały, że przynajmniej na parapecie *były* jakieś brudasy. Małe pociski z szybkostrzelnej broni przelatywały górą z paskudnym *lusz-luszlusz*, opróżniając magazynki i wybuchaly na ziemi z tyłu. Raj wyciągnął rewolwer, przerzucił go do lewej ręki i dobył szabli, pozwalając wodzom opaść na szyję Horace'a. Pies przyspieszył kroku, przechodząc w powolny cwał, równo z ludźmi. Wał wyłonił się przed nimi z szokującą prędkością wraz z przypominającymi szkielety sylwetkami wartowniczych wież po obu stronach. Kompania A z Piątego posuwała się równo z nimi po obu stronach, a buty żołnierzy chrzęściły na żwirowej drodze prowadzącej do bramy.

Karbidowy reflektor zapalił się na jednej z wież, dżgając go w oczy bolesną jasnością. W parę sekund później rozprysnął się w deszczu kawałeczków, gdy pięć czy sześć jazgoczących działek skupiło na nim swoją uwagę. Platforma obserwacyjna na szczycie drewnianej wieży rozleciała się w deszczu drzazg i zaczęła się palić. Trąbki zabrzmiały przenikliwie, ponaglajaco, i ludzie zaczęli biec.

Dotarli do skraju rowu. Ogień raził ich z góry i niektórzy wpadli w rów, leżeli nieruchomo lub wrzeszczeli, wbici na znajdujące się tam zaostrome pale. Więcej jednak zsunęło się do rowu na tyłkach i gramoląc się ostrożnie przez przeszkody i błoto, zaczęło wspinać się po stromym stoku z drugiej strony. Wdrapywali się po zwartej glinie, wbijając kolby karabinów w ziemię. Inni przynieśli drabiny szturmowe, osadzili trójkątne podstawy na skraju rowu i pozwolili im runąć do przodu. Zaostrome końce w górze wbiły się w ziemię i mężczyźni wbiegli po poprzecznych deszczułkach, wspinając się z pomocą jednej ręki, w drugiej dzierżąc karabin.

– Niezbyt wiele ognia! – rzekł rozradowany *Raj*. *Przylapaliśmy ich ze spuszczoneymi gaciami, a teraz jest już za późno!* Zaskoczenie najlepiej zwielokrotniało siły i działało na korzyść.

Staenbridge skinął głową. Odwrócił się do Bartona Foleya i położył mu dłoń na ramieniu. – Teraz.

Młodszy mężczyzna uśmiechnął się i wychylił z siodła, wystawiając swój hak. Jeden z dowódców plutonów wsunął na niego pętlę skórzanej torby. A potem zapalił kawałek lontu wystający spod zapiętej klapy.

– Ha!

Foley wbił piętę w boki swego psa i ruszył ku drewnianej bramie zagrządzającej północne wejście do fortu Kolonistów. Ludzie walczyli wręcz na murze po obu stronach, strzelając i dżgając oraz wywijając karabinami niczym pałkami. Przynajmniej przy bramie musieli

znajdować się Koloniści na służbie, jeśli już nie dokoła muru. Ciała staczały się po stromym stoku wału, martwe lub ranne. Żołnierze w mundurach Rządu Cywilnego strzelali przez grube dechy palisady na górze lub wspólnie odciągali drewno na bok albo też zagrzewali swoich towarzyszy do przechodzenia ponad jej zaostrozonymi wierzchołkami. Pewnie na wieżach po obu stronach bramy znajdowały się zarówno reflektory, jak i obrotowe działka, lecz były teraz płonącymi pochodniami, palącymi się na tyle ostro, że żar czuło się z odległości stu metrów.

Foley pokonał dystans dzielący go od bramy w przeciągu kilku sekund. Człowiek wierzchem przyciągał uwagę nawet w wirze walki toczącej się ponad nim. Kule uderzały w żwir drogi dokoła niego. Foley raz zakołysał się w siodle i stojący obok Raja Staenbridge zeszywniał. Torba zakreśliła łuk w powietrzu i grzmotnęła o ziemię u podnóża bramy, a jej pęd wepchnął ją pod palmowe belki

wiszące na wysokości kostek nad drogą. W tej samej chwili oficer zawrócił psa. Zwierzę okręciło się tak szybko, że niemal stanęło dęba na tylnych nogach, a Foley trzymał się niczym dżokej. Wylądował zwrócony w stronę, z której przyjechał i pognał. W innej sytuacji ten pokaz jeździeckich umiejętności sam w sobie wart byłby uwagi.

– Cholernie dobry człowiek – powiedział Raj, odwodząc kciukiem prawej dłoni kurek rewolweru. Horace naprężył się pod nim.

– ... pięć, sześć – powiedział Staenbridge. – Tak, laki jest i, na bezgwiezdne ciemności, chciałbym, aby przestał zgłaszać się na *ochotnika* do tego rodzaju gówna, ręka wystarczy. Siedem, osiem...

Barton Foley pokonał trzy czwarte odległości z powrotem do ich stanowiska, gdy ładunek w torbie wybuchł. Było w niej dwadzieścia pięć kilogramów prochu. Wrota zniknęły im sprzed oczu, a obok przeleciały kawałki drewna. Pies Foleya zaskomlał i skoczył do przodu tak szybko, że ten musiał szarpnąć wodze do tyłu z brutalną siłą, aby go powstrzymać. Drzazga, dwukrotnej wielkości dłoni, wystawała z jednej z tylnych nóg psa. Zwierzę próbowało się odwrócić i sięgnąć do rany językiem.

Dwóch żołnierzy Foleya chwyciło za uzdę, podczas gdy on zsiadał. Jeden z nich zarzucił psu na oczy chustę, podczas gdy drugi wyciągnął drzazgę jednym szybkim szarpnięciem. Ryk bólu psa był głośny nawet w porównaniu z odgłosami bitwy.

– Ruszać! – warknął Staenbridge. – No dalej, dalej, *dalej*.

Pyl odpłynął od bramy, ukazując obwisłą potrzaskaną ruinę, nie blokującą drogi. Barton Foley pierwszy przez nią przejechał ze strzelbą na zamieszki w dłoni. Na wykrzywane przez niego polecenie z tuzin mężczyzn zaparło się barkami o rozwalone wrota i odsunęło je. Raj pognał Horace'a z tuzin kroków, a potem zatrzymał go naciskiem kolan.

Wnętrze obozu było poprzedzielaną namiotami szachownicą zapasów ustawionych w ogromne piramidy pokryte brezentem. Niektóre namioty płonęły, a na skrzyżowaniach było także światło z żelaznych koszy płonących sukulentów. Jego głowa obróciła się z lewa na prawo. Z lewej strony żołnierze Rządu Cywilnego już przedarli się przez mur i znaleźli się w dole, na drodze okrążającej go od środka. Wewnętrzną ścianę wału stanowiła pochyła ziemia albo szerokie stopnie wycięte w glinie i podparte palmowymi belkami. Przez wał przepływali ludzie, którzy następnie grupowali się wokół flag jednostek na płaskim terenie i ruszali dalej. Na drodze leżała spora grupa martwych Arabów, kilku na wewnętrznym stoku, a jeszcze więcej żywych uciekało szaleńczo ku południowi. Na prawo, od strony rzeki, walka wciąż jeszcze toczyła się na parapecie. W paru miejscach sztandary Rządu Cywilnego powiewały z parapetu.

– W porządku – powiedział. *Tego się właśnie spodziewałem.* W tej części było najmniej jego weteranów, większość stanowili żołnierze z garnizonu z Sandoralu. – Gerrinie, zbierzmy trochę ludzi i pomóżmy im. *Waymanos!*

Wynik walki w tym dniu nie ulegał już wątpliwości. Teraz dopilnuje, aby rzeźnicki rachunek nie był większy niż to konieczne.

Rozdział piętnasty

Śniadanie było zdumiewające. *Cóż, właśnie zajęliśmy składowisko zapasów,*

pomyślał Raj, spoglądając na kolekcją delikatesów.

Nabrał łyżką więcej krewetek ze słoika. Peydro Belagez zjadał je pomieszane z kandyzowanymi daktylami. Było to coś, co mógł zrobić tylko pogranicznik. Gerrin przyglądał się z przerażoną fascynacją smakosza albo księdza będącego świadkiem bluźnierstwa. Dowódcy siedzieli przy długim stole w ogromnym pawilonie-namiocie, który był kwaterą główną bazy. Inżynierowie Kolonistów, mając czas, nieco poszaleli. Były nawet *wanny*, wyposażone w podgrzewacze wody opalane naftą, wystarczające dla kilkuset ludzi naraz.

Poranne powietrze było świeże i gorące, wciąż lekko zadymione od pożarów, na których gaszeniu spędzili pół nocy. Trąbka zagrała na zewnątrz i dwóch żołnierzy przekłusowało z długim sznurem psów na smyczy; kolejne wierzchowce z miejsca, gdzie wylądowali. Barki i tratwy były teraz także w większości tutaj, wyciągnięte na brzeg rzeki lub wsparte na pozostałości pontonowego mostu, który nadal rozciągał się przez połowę rzeki. Na wysokim drzewcu flagowym przed namiotem kwatery głównej Rozbłysk Gwiazd łopotał na wietrze.

Dowódca Rzeźników z Rogor ciągnął dalej – A om jeszcze nie przestali uciekać, *heneralissimo*. Rozbili się na mniejsze grupy i żadna z nich nie wykazuje wojowniczego ducha. – Na ciemnej, przypominającej rzemień twarzy Belageza malowała się mieszanina wyczerpania i zadowolenia. – Jakie polecenia?

– Zignorujcie ich – rzekł Raj. – Nie stanowili problemu tutaj i tam też nie będą.

Przełknął kolejny haust doskonałej jakości *have* – Kolonia siedziała okrakiem na szlaku handlowym z Azanii i zatrzymywała najlepszą dla siebie – i spojrzał na Suzette. Kobieta obrała pomarańczę, a potem odłożyła ją nietkniętą na bok, wyglądając nieco blado. *Cholera. Pomyśl o tym później.*

– Ofiary?

– Mniej niż dwie setki – powiedział Staenbridge z lekkim zaskoczeniem. – Nie licząc rannych, którzy mogą chodzić i są zdolni do służby. Mamy tylko dwudziestu zabitych.

– Większość żywych się wyliże – dodała Suzette. – Jest tu mnóstwo medycznych zapasów i paru doskonałych kolonijnych lekarzy, oprócz naszych. Oczywiście pracują pod strażą.

– Jeńcy?

Kerpatik przerzucał listy. – Ponad dwa tysiące, *heneralissimo*. To znaczy, dwa tysiące personelu wojskowego. Było tutaj sporo ciur obozowych. Rodziny żołnierzy w większości uciekły. Ehm, profesjonalistki – potarł kciukiem pierwsze dwa palce dłoni – nie dbają za bardzo o walutę, jeśli tylko metal jest dobry.

Raj skinął głową. Tam, gdzie była baza wojskowa, tam były i burdele. Mógłby się założyć, że sprzedawano także alkohol, niezależnie od zakazów Koranu.

– Jorg, wydaj opaski *guardii* niektórym swoim piechurom i weź to w mocne karby. Wciąż jesteśmy na placu boju, choć zdobyliśmy domowe wygody. Nie pozwól żołnierzom się jeszcze odprężyć.

– A co z jeńcami? – Rozbierzcie ich aż do opasek lędźwiowych i puśćcie. Powiedzcie im, żeby ruszyli na południe. A teraz, przechwyciliśmy tu sporo dokumentów, łącznie z codziennymi

sprawozdaniami logistycznymi.

Kilku mężczyzn wykrzyknęło z zachwytu. Oznaczało to, że będą szczegółowo znali sytuację wojskową Kolonistów, aż po nazwy jednostek i ich liczebność.

– Wyraźnie mieli problemy z przemieszczaniem zapasów od czoła kolei do linii oblężniczych pod Sandoralem – mnóstwo ich tutaj, ale na zachodnim brzegu brakowało im wołów pociągowych i paszy.

Dinnalsyn skinął głową. – Próbowali wykorzystać silniki z lokomotyw, żeby przerobić kilka wolnych pontonów w holowniki parowe i ciągnąć ładunki na tratwach do Sandoralu – powiedział. – Rzuciłem okiem. Udałoby się, mniej więcej. Ktokolwiek tu dowodził, znał się na rzeczy.

Raj skinął głową potakująco. – W każdym razie Koloniści właściwie nie mają żadnych rezerw ze swoją armią polową. Żyli z dnia na dzień dzięki temu, co przywoziły konwoje, gdy ograbili okolicę. A teraz, messerowie, oto co zrobimy. Jorg, ty tu dowodzisz. Ile psów żeśmy przechwycili?

Muzzaf Kerpatik podniósł wzrok znad masy papierów. – Ponad dwadzieścia pięć setek, nie licząc zaprzęgów od dział, panie – rzekł.

– Dobrze. Jorg, zostawiam ci całą piechotę. Posadź połowę – tę lepszą połowę – na zdobywanych psach. Dostaniesz też, hmmm, Jednostkę Własną Poplanich i 21 z Novy Haifa dla wzmocnienia. I połowę działek polowych. Przesuń ich na północ grupami po kilka setek; utrzymujcie stały kontakt. Waszym celem będzie zapobieżenie, by Tewfik umocnił się na

wschodnim brzegu. Nie powinno to być trudne. Nie ma tam zbyt wielu łodzi, a zebranie materiałów na kolejny most zajęłoby całe tygodnie. I tak nie mogliby go zbudować w obecności naszej artylerii – ale bądźcie czujni. Nie chcemy zrobić się zbyt pewni siebie jak poprzedni właściciele.

– Patrolować okolicę?

– Energicznie. Piechota w dobrym nastroju?

– W jak najlepszym i chcieliby pomaszerować na Al Kebir, *mi heneral*. Ogony mają w górze.

– I zasłużenie. A teraz zabiorę resztę kawalerii oraz działa na zachodni brzeg. Na drodze na północ są jeszcze zapewne nienaruszone karawany z zapasami, a ja chcę je natychmiast zgarnąć.

Powstał, podnosząc pas z szablą z oparcia krzesła. – Chcę ruszyć nie później niż za pięć godzin. Tewfik jest szalony jak *ferenek*, a Ali ma po prostu fioła. Nie dajmy im czasu do wymyślenia sposobu na wydostanie się z tego trudnego położenia. *Waymanos*.

* * *

– To się nie uda, Ali, mój bracie – powiedział Tewfik.

Głos miał niebezpiecznie spokojny i dał sobie spokój z tytułami. Ali powoli odwrócił głowę, a wielka rubinowa zapinka trzymająca jego turban zamrugała w błędzących promieniach światła, przenikających przez szczeliny wentylacyjne w suficie pawilonu wysoko w górze.

Wielmoże oraz oficerowie siedzący na poduszkach dokoła dywanu także spojrzeli na Tewfika, w większości z takim samym wyrazem twarzy, jakim mogliby się posłużyć, gdyby człowiek kopnął camosauroida w pysk.

– Pies nie zje psa – ciągnął dalej Tewfik. – Zostało to udowodnione wiele razy, co wiedziałyby każdy głupi żołnierz. A raczej – poprawił się – większość psów by nie zjadła. Dziewięć na dziesięć. Wtedy stracimy od razu całą naszą kawalerię, a poświęcając resztę, nie uda nam się zachować choćby części naszej mobilności!

Twarz Aliego pokryła się cętkami. Minęło sporo czasu, od kiedy ktoś ośmielił się rzucić mu w twarz, że jest głupcem, czy chociażby to zainsynuować. Nawet jego brat.

– Wynocha! – powiedział, wskazując trzęsącą się ręką. – Zostajesz zdymisjonowany z *durbar*. Wróć, kiedy nauczysz się manier.

Tewfik powstał i skłonił się głęboko, a jego dłoń powędrowała do czoła, ust i piersi. Druga zacisnęła się na zwykłej, mosiężnej rękojeści szabli.

Jego oficerowie ruszyli rzędem za nim. To wywołało kolejne milczące spojrzenia wokół dywanu rady. Niesłychane było także to, by ktoś bez słowa opuścił osadnika. A Ali nagle się zamyślił, zdając sobie sprawę z głośno wciąganych oddechów. Pozostali wielmoże i głowy zakonów religijnych...

W ostrym słońcu na zewnątrz Tewfik się zatrzymał, poza zasięgiem słuchu Mameluków, którzy stali niczym mahoniowe rzeźby wokół namiotu osadnika.

– Jak długo? – spytał starszawego oficera z zabarwioną na zielono brodą.

– Nie ma rezerwy. Żadnej. Obóz jest na jednej czwartej racji, ale mamy tutaj pięćdziesiąt tysięcy ludzi i tyle samo psów oraz dwadzieścia tysięcy ciur obozowych. W Sandoralu nie znaleźliśmy żadnej żywności, zupełnie żadnej. Zagoniłem ludzi do robienia sieci i może zdobędziemy trochę ryb, zapuszczając je w rzekę. Ale *kapharowie* zajęli fort, który usadowiłeś na wschodnim brzegu naprzeciw miasta, a tamtejsze działa kontrolują sporo powierzchni wody. O zachodzie słońca nadejdzie głód, a jutrzejszej nocy wyniszczający głód. Za trzy dni nasze psy będą zbyt słabe, aby ponieść ludzi, a za sześć będą zdychać. Do tego czasu ludzie też będą umierać.

Ręka Tewfika wyciągnęła nieco szablę, a potem wepchnęła ją z powrotem na miejsce. – Jeśli stracimy tę armię, to nasz lud zginie – powiedział. – A my nawet nie utrzymamy dyscypliny, jeśli nie uda nam się nakarmić żołnierzy.

Rozejrzał się dookoła. – Ibrahimie, niech obóz będzie na jednej czwartej racji, a ciury obozowe niech niczego nie dostają. Skonfiskuj *wszystkie* prywatne zapasy jedzenia. Husseinie, niech dziesięć tysięcy ludzi wskoczy w siodła i będzie gotowych do wyjazdu za godzinę.

* * *

– Cieszę się, że wyjechaliśmy z ruin – powiedział Staenbridge, oglądając się na mury Gurnycy.

Raj skinął głową. Słaby smród ze stosów głów wciąż trzymał mu się w nosie, oleisty niczym przejrzałe banany. Było to prawie tak samo okropne jak szczury i padlinożerne sauroidy wielkości królika, składające się głównie z pajęczych kończyn i zębów. Jeden przeszedł obok niego z oderwanym ramieniem w pysku, na którym wciąż wisiał wykończony koronką rękaw sukni damy.

– Tego rodzaju rzeczy muszą się skończyć – powiedział cicho. – Nie sądzę, aby brudasy najechały nas znowu w najbliższej przyszłości – rzucił drugi mężczyzna z drapieżnym uśmiechem.

Raj potrząsnął głową. – Mam na myśli, że to musi się *skończyć*. Wyrządziliśmy mniej więcej to samo ziemiom wokół Ain el-Hilwa. Spójrz na to!

Wskazał na terytorium wokół nich. Jeszcze kilka lat temu należało do najbogatszych ziem w Rządzie Cywilnym. Teraz pola leżały spustoszone, puste poza poszarpanymi resztkami owiec i bydła, pozostawionymi przez padlinożerców. Spalone kikuty stanowiły pozostałości po sadach, wysokie palmy daktylowe i rozłożyste cytrusy leżały pośród unoszącego się popiołu. Głina pozbawionych dachów wiejskich chat już się kruszyła. Wypalona cegła i kamień spalonych dworów przetrwa tylko niewiele dłużej. Jazy, wrota śluz i młyny, które nawadniały wyżej położone ziemie, także były poczerniałą ruiną. Długa kolumna żołnierzy Rządu Cywilnego jechała w ciszy i gorącym wietrze pełnym piasku. Z czasem piasek zagarnie z powrotem wszystko aż po skraj rzeki.

– Jest wystarczająco dużo barbarzyńców, z którym i można walczyć, bez niszczenia cywilizacji – powiedział Raj. – To *dlatego* Aliego trzeba powstrzymać. Barholm chce zjednoczyć planetę, nawet jeśli tylko po to, by sam nią rządzić. Ali jest sierpostopem i niszczy dla samej przyjemności.

Staenbridge rozejrzał się dokoła instynktownie, gestem, jakiego nauczył się używać każdy we Wschodniej Rezydencji – czy też korpusie oficerskim – gdy wypowiadano zbyt szczerą opinię o gubernatorze. Raj skinął w milczeniu głową. Staenbridge musiał chronić rodzinę.

Raj zacisnął usta. Suzette nie powinno zagrażać niebezpieczeństwo, nawet jeśli Barholm zabiłby jej męża. Jej ród był stary i miał dobre powiązania. Dziecko jednak...

* * *

– Cóż, to uprości *naszą* logistykę – rzekł radośnie Barton Foley.

Wozy stały porzucone, ale nie puste, na środku drogi. Ich łańcuchy pociągowe leżały zwiotczone niczym martwe węże. Sądząc z widoku, zaprzęgi zostały pognane wraz z psami eskorty, lecz nie próbowano zniszczyć ładunków.

– Na szczęście – wymruczał, zdejmując hełm.

Było to zaskakujące. Nawet teraz musiał sobie przypominać, żeby nie drapać się w głowę lewą... cóż, lewym hakiem. Podrzucił stalowe nakrycie głowy w kształcie misy i przesunął ręką po mokrych od potu czarnych kędziorach. Na chwilę poczuł chłód na głowie, a potem znowu gorąco, gdy padło na nią słońce południa. Pognał psa i pojechał powoli wzdłuż szeregu wozów. Połowę ładunku stanowiła amunicja, ładunki do ciężkich, obłężniczych dział. *Duże* szczęście, że woźnice zostali ogarnięci ślepą paniką. Druga połowa zawierała pszenne

biskwity i zwoje suszonego *advocati*. – Ponie.

Pióropusz pyłu zbliżał się drogą od południa. Sztandar Piątego i osobista flaga messera Raja na czele. Poprowadził wierzchowca na pobocze drogi, uśmiechając się do siebie. Tym razem nie było z nim Suzette i domyślał się czemu. Znał te objawy. Fatima urodziła pierwsze w Sandoralu, w czasie zimy, jaką spędził tam Raj, przygotowując się na przyjęcie inwazji Jamala. Cały proces był raczej niepokojący, jak wicie kobiecych spraw, ale produkt finalny rozkoszny.

Przyjemnie było także, że nie stali w obliczu zniszczenia z rąk armii przewyższającej ich liczebnie siedem do jednego.

Grupa dowódcza zatrzymała się, a batalion rozciągnął się na polach po obu stronach. – Zaciągnąć to wszystko nad rzekę? – spytał Gerrin.

Foley potrząsnął głową. – Połowa to amunicja. Jeśli zepchniemy wszystko razem i nastawimy

zapalnik...

Żołnierze nadciągali oddziałami i wyciągali zwoje *advocati*, aby nakarmić psy i napełniali własne chlebaki kolonialnymi sucharami oraz paskami suszonej baraniny. Było nieco po południu i strasznie gorąco, ziemia i niebo pobielwały w blasku słońca.

– Ponie. – Tym razem o wiele mniejszy pióropusz pyłu, zbliżający się z północy.

Oficerowie zakorkowali swoje manierki i czekali z flegmatyczną cierpliwością, ignorując dyskomfort. Ich psy poruszały uszami i ogonami, odganiając wszechobecne muchy z doliny Drangosh. Antin M'lewis zatrzymał się przed dziesięcioma swoimi zwiadowcami.

– Ponie – powiedział, swobodnie machnąwszy ręką w czymś zbliżonym do salutu. – Nadjeżdża około tysiąc brudasów, wszystko kawaleria, sześć dział. Pięć kilometrów i szybko się zbliżają.

Raj skinął głową, ocierając pot i pył z twarzy chustą noszoną na szyi. – Zgotujemy im powitanie – powiedział. A do posłańca – Ukłony dla majorów Belammy'ego i Grudera, i niech zbliżą się szybko, proszę. – Rozejrzał się po terenie. – To powinno wystarczyć. Gerrinie, ustaw się wzdłuż tego grzbietu.

– Działa z lewej? – spytał Staenbridge, wskazując na kikuty cytrusowego sadu, biegnące w dół łagodnego zbocza na wschód od drogi.

– Jak najbardziej.

– Zakładam, że nie zamierzamy tu zostać na długo.

– Nie – powiedział Raj. – Ostatnią rzeczą, jakiej chcemy, jest ogólna walka. Pokażemy im tylko, że muszą pozostać razem i spowolnimy ich.

Zwrócił się do Foleya. – Bartonie, ile to już jest karawan?

– Wszystkiego razem? Łącznie z tymi zniszczonymi, gdy posuwaliśmy się w dół rzeki? – Raj kiwnął głową, a on kontynuował – Dwadzieścia siedem. Czterysta dwadzieścia dwa wozy różnej wielkości. Głównie te standardowe modele – zakończył, machając ręką w kierunku tych na drodze.

– Oznacza to, że nie powinno im się udać odzyskać więcej niż dwadzieścia albo trzydzieści ton zapasów – powiedział Raj. A cicho – Doskonale.

Posłańcy wyruszyli. Żołnierze Piątego rozciągali się po obu stronach, odsyłając wcześniej swoje psy na tyły. Teraz ściągnęli z przodków narzędzia do okopywania się, aby pospiesznie usypać ziemne osłony z przodu. W kilka minut później Ludwig Bellamy i Kaltin Gruder przykłusowali drogą ze sztandarami łopoczącymi na gorącym wietrze i chmurami pyłu za ich podkomendnymi.

– *Mi heneral* – powiedział Bellamy, a jego zarost złocił się na tle brązowej opalenizny twarzy. – Wiadomości od pułkownika Menyeza.

Raj wziął je i przełamał pieczęć; воск był tak miękki jak masło. – Ach. Koloniści zwijają obóz pod Sandoralem. Myślę, że przyjaciel Ali właśnie uświadomił sobie, jak mocno jego jądra złapały się w prasę maglarską.

Dowódcy wyszczerzyli się w uśmiechu jak grupa camosauroidów przyglądających się umierającej owcy.

– A zatem to jest ich straż przednia – rzekł Raj, spoglądając ku północy. – Dobrze. Odepchniemy

ich do tyłu, a potem ruszymy na południe. Będą znacznie wolniejsi, nie chcę jednak ryzykować z Tewfikiem. Poślaniec do pułkownika Menyeza. Chcę, aby trzymano stale w gotowości tyle barek, aby nas zabrać. Zawsze możemy przemknąć na drugi brzeg rzeki, jeśli się na nas rzucą.

– Będziemy musieli bardzo na nich uważać – rzekł w zamyśleniu Staenbridge.

Raj postukał się kciukiem w brodę. – Ciągłe patrole – zgodził się. – Nie sądzę, aby chcieli męczyć swoje psy potyczkami, kiedy są takie głodne.

Drapieżne uśmiechy stały się szersze. Gruder zaczął się śmiać, a po chwili przyłączyli się pozostali.

Centrum narysowało Rajowi przed oczami graf spożycia w stosunku do maksymalnych możliwych rezerw. W głębi świadomości był ślad uczucia, satysfakcji bardziej zimnej i pełnej niż mógł odczuwać ludzki umysł.

* * *

– Wstrzymać ogień! – rzucił Raj.

Zamrugał, patrząc na zachodzące słońce. Cztery dni w siodle sprawiło, że oczy miał obolałe i z czerwonymi obwódkami. Dolina Drangosh była piekłem, jeśli chodziło o pył. Przetarł twarz rękawem i uniósł lornetkę. Wokół niego na pagórku pluton Piątego opuścił swoje karabiny, a załoga jazdzącego działka podniosła wzrok znad swojej broni. Horace stał w cieniu drzewa chlebowego i dyszał. Jego jęzor wielkości ścierki zwisał, a oklapłe uszy prawie przysłaniały mu oczy.

– Łatwy cel, ponie – rzekł z nadzieją kanonier.

Raj uniósł lornetkę. Główna armia Kolonistów znajdowała się w odległości kilku kilometrów. Ten obóz był wyraźnie bardziej niedbale rozbity niż ostatni. Właściwie nie był to wcale obóz, nie było karawany z bagażami. Wszystkie zwierzęta zostały zjedzone, sądząc po potrzaskanych kościach pozostawionych w ogniskach. Większość kawalerii szła, prowadząc za sobą psy. Niektórzy nieśli też siodła.

Teraz interesował go patrol jadący ku jego ludziom na pagórku. Na jego czele znajdowały się dwa sztandary, zwisające w gorącym, nieruchomym powietrzu. Czekał cierpliwie. Załopotwały w podmuchu wiatru. Jeden był czysto biały, a drugi czarny z czerwoną pieczęcią Salomona.

– Tewfik – wyszeptał Raj. Pot spływający mu po kręgosłupie zrobił się lepki.

– Podporuczniku – powiedział. – Na chwilę zostajemy. Nadjeżdżają pod flagą rozejmu. Znajdź coś białego i zamachaj rym na kijku. Napójdzie psy, ale bądźcie czujni. I niech ktoś rozłoży koc z kawałkiem suchara i odrobiną soli.

Byli poza maksymalnym zasięgiem dział polowych z obozu Kolonistów, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Panie – powiedział podporucznik i przekazał rozkazy.

Oddziałek pokłusował w dół zbocza do studni na podwórzcu spalonego gospodarstwa. Jakiś żołnierz odpiął zrolowany koc od siodła i rozłożył go na rzadkiej, poskręcanej trawie pod drzewem chlebowym. Rozstawiono manierkę, dwa kubki i kawałek płaskiego, kolonijnego suchara, a na niego sypnięto szczyptę szarej soli.

Ludzie spoglądali z zaciekawieniem na Raja. – Co to znaczy, panie? – spytał młody oficer.

– Myślę – rzekł powoli Raj – że oznacza to koniec wojny. Sprowadźcie do mnie naszego gościa.

* * *

Raj zobaczył, jak oczy Tewfika rozwarły się z zaskoczenia, gdy ten rozpoznał dowódcę

Rządu Cywilnego. Kolonista był taki, jakim Raj go pamiętał z negocjacji tuż przed pierwszą bitwą pod Sandoralem, pięć lat temu, może miał tylko trochę więcej siwizny. Wyglądał na nieco wychudłego po pięciu dniach na jednej czwartej racji, wciąż jednak był mocnej budowy i silny. Jak zaprawiony w boju byk na pastwisku, machający rogami w konfrontacji z młodszym rywalem. Raj wiedział, że Tewfik dostrzeże o wiele większe zmiany w nim.

– *Salaam aleikoum* – rzekł Arab, skłaniając się lekko.

– *Aleikoum es-salaam* – odparł Raj w pozbawionym akcentu arabskim. Centrum mu go dało, a używanie uczyniło płynnym. – I z tobą niech także będzie pokój, Tewfiku ibn'Jamalu.

– Czy zatem zapanuje pokój?

– Jeśli taka wola Ducha. Chodź, porozmawiajmy.

Raj wykonał gest, a żołnierze cofnęli się w dół zbocza, poza zasięg słuchu, odwróceniem plecami do głównego dowódcy. Dwaj mężczyźni weszli w cień drzewa chlebowego. Oko Tewfika uchwyciło chleb i sól, a także fakt, że jeszcze mu ich nie podano. Na jego twarzy malował się ostrożny szacunek, gdy zwrócił się twarzą ku nieprzyjacielowi i pozwolił opaść na ziemię jukom, które niósł przerzucone przez ramię.

Ostrożnie, ostrożnie, powiedział do siebie Raj. *Nie ryzykuj z tym człowiekiem.*

>>Zaiste<< powiedziało Centrum. Obraz wyświetlił się na krótko przed oczami Raja: to samo spotkanie, lecz z odwróconymi rolami. >>Gdyby moje fizyczne centrum było umieszczone w Al Kebir, a nie we Wschodniej Rezydencji...<<

To ja byłbym tym, który próbuje coś uratować z tego zniszczenia, przyznał Raj.

– Nie będę marnował słów – rzekł nagle Tewfik w potęgującym się milczeniu. – Wygrałeś tę kampanię. Nie stoczywszy nawet poważniejszej bitwy. Wyrazy uznania, młody *kapharze*. Jest to osiągnięcie nadające się do podręczników, żeby historycy mogli się nad nim zastanawiać.

– Więcej niż kampanię – rzekł cicho Raj. – Wojnę. I zdradziłbym mojego władcę i moje państwo, gdybym nie wykorzystał tej przewagi, aby upewnić się, iż Kolonia nie stanowi już zagrożenia dla Rządu Cywilnego. Walczyliśmy z wami co pokolenie przez prawie tysiąc lat. Nieważne, kto był winny konkretnej wojnie. To musi się skończyć.

Tewfik skinął głową z twarzą spokojną jak u kota. – Jednak mówi się, że *heneralissimo* Whitehall walczy także dla sprawy cywilizacji na Bellevue – powiedział. – My z Domu Islamu sprowadziliśmy człowieka na ten świat. To my zbudowaliśmy pierwsze miasta. Zachowaliśmy wiele z wiedzy, jaka przetrwała Upadek i stanowimy połowę cywilizowanego życia na tym świecie. Czy chciałbyś, aby spłonęły nasze miasta, a z nimi książki, zaś porykujący ludzie obozowali w ich minach?

Raj pochylił głowę. – Przyznajesz, że Kolonia jest zgubiona, jeśli twoja armia zostanie

zniszczona?

– Jeśli taka wola Boga. Jednak jest z nami zbyt wielu naszych wysokich wielmożów, naszych najlepszych dowódców i przywództwo potrzebne do utrzymani a jedności państwa. I nasi najlepsi żołnierze. Na granicach nie pozostawiliśmy nic poza siłami garnizonowymi. Jeśli oni nie wrócą, będzie wojna domowa – dziesiątki osobnych wojen domowych. Zamiast jednego osadnika będziemy mieć setki *malik al'taifas*, małych królików rządzących frakcjami. Nie będą oni w stanie utrzymać kanałów nawadniających ani strzec granic przed Skinnerami i Zanjiczukami.

– Albo nami – zwrócił uwagę Raj.

Tewfik potrząsnął głową. – Pokonanie setek oddzielnych państweczek będzie niemożliwością. Będziesz musiał mocno obsadzić garnizony i będą ciągłe rewolty. Nasz lud nie zniesie bezpośrednich rządów niewiernych, nie bez kar, które zniszczyłyby to, czym próbowalibyście rządzić.

– Co proponujesz?

Arabski wielmoża wziął głęboki oddech. – Nie mogę rządzić – powiedział, dotykając oka. – A Ali... jest moim bratem, ale jest nieszczęściem dla wszystkich muzułmanów. Tak czy owak, wcześniej czy później, zniszczyłby Kolonię. Już zabił wielu naszych najlepszych ludzi – i wszystkich innych, którzy znaleźli się tam w nieodpowiednim momencie.

– Proponuję, co następuje. Połowa naszej armii zostanie rozbrojona i odesłana do Wschodniej Rezydencji. Sugeruję, abyście wykorzystali ich w garnizonach w Południowych i Zachodnich Terytoriach. Będą zakładnikami dobrego zachowania Kolonii. Wezmę drugą połowę z powrotem ze sobą do Al Kebir i tam będę rządził jako wicegubernator w imieniu Barholma Cleretta. Moja córka Chaba uda się do Wschodniej Rezydencji i poślubi gubernatora.

Wzruszył ramionami i po raz pierwszy lekko się uśmiechnął. – Nie mam synów i obawiam się, że zbyt jej pobrażałem, nawet pozwoliłem nauczyć ją czytać. Może tak będzie dla niej lepiej.

Cóż, pomyślał lekko oszołomiony Raj. *To jest dostatecznie jasne.* Siatka sensoryczna Centrum opadła na twarz Tefwika, śledząc przepływ krwi, temperaturę, rozszerzenie źrenic.

>>Obiekt Tefwik jest szczery<< powiedział anioł-komputer. >>Prawdopodobieństwo 82% plus minus 7.<<

Raj był nieco zaskoczony. Zwykle ten procent był o wiele większy, w tę czy inną stronę.

>>Obiekt Tefwik potrafi w niezwykłym stopniu panować nad autonomicznymi funkcjami ciała. Mówiąc językiem potocznym: ma twarz pokerzysty.<<

– Chwila – rzekł Raj.

Obrócił się i spojrział na pylistą równinę Drangosh. A potem odwrócił się z powrotem.

– W zarysie wygląda to na do przyjęcia – rzekł. – Będziemy musieli uzgodnić kilka szczegółów. Na przykład uwolnienie wszystkich jeńców z Rządu Cywilnego w Kolonii oraz coroczną daninę wystarczającą do opłacenia dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, których nam dacie. Cła, opłaty, tego rodzaju rzeczy mogą ustalić urzędnicy.

Tefwik skinął głową, zawahał się, a potem pogładził po brodzie. – Moja propozycja dotyczy także, oczywiście, każdego *innego* gubernatora – zasugerował. – Wnosząc z raportów, gubernator

Barholm jest tylko nieco lepszy od mojego brata Aliego... ale nie jest to mocna rekomendacja.

Co oznacza, żebym sam zajął Krzesło i rządził światem, pomyślał Raj.

>>Trafna interpretacja podtekstu, prawdopodobieństwo 98% plus minus 1<< wyjaśniło Centrum.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jest to zagrywka, aby ocalić Aliego i połowę twojej armii? – spytał Raj. – Może planujesz spisać drugą połowę na straty. Nadal byłyby to większe siły, niż ja mam w polu, a prowadzenie kampanii w delcie Drangosh byłoby koszmarem, zwłaszcza gdy teren jest zbyt wyniszczony, aby posłużyć za bazę.

Tewfik uśmiechnął się ponuro i otworzył juki, które przyniósł. Jego but o zawiniętym końcu przewrócił je tak, że leżały u stóp Raja. Wytoczyła się głowa. Dość świeża, choć muchy już pełzały po odrąbanym kikucie szyi i wybałuszonych oczach. Raj nie potrzebował rubinowej zapinki turbanu, która odtoczyła się od wygolonej czaszki, aby ją rozpoznać.

– To jeśli chodzi o Aliego – rzekł Tewfik i odkopnął głowę na bok. – Powinienem był to zrobić wiele lat temu.

Raj lekko uniósł brwi. *Nie byłbym zaskoczony, gdyby to on.. Jest zdecydowany*, stwierdził. Wskazał na koc. Usiedli naprzeciwko siebie ze skrzyżowanymi nogami i podzielili się chlebem i solą. Raj położył pomiędzy nimi szablę i Tewfik dotknął dłonią rękojeści oraz ostrza.

– Będzie pokój – powiedział Raj. – Przyjmuję... w imieniu gubernatora Barholma.

– *Wa sha' a-l-lah* – rzekł Tewfik, wypowiadając formułę ze znużoną szczerością. Wzruszył ramionami i splunął na głowę. – Jak Bóg pozwoli.

Rozdział szesnasty

– Wszyscy wysiadać!

Raj wyrzwał z pociągu. Stacja we Wschodniej Rezydencji była zatłoczona, pełna upału, dymu oraz pary i krzątaniny letniego dnia. Po dolinie Drangosh odczuwał panującą na niej wilgotność. Jego oczy spoczęły na śladach zieleni wyżej na wzgórzu i na wełniastych chmurach, którymi usiane było niebo. Było po 19.00, blisko zachodu słońca, zarówno Miniluna jak i Maxiluna wisiały w górze – ogromne, przezroczyste kule wiszące na fioletowym niebie.

– Rusz się, żołnierzu! – rzucił konduktor.

Raj uśmiechnął się krzywo i zeskoczył w dół, ignorując drewniane schodki, które niewolnik z Kolei Centralnej ustawia! przy wagonie pasażerskim. Miał bandaż na połowie twarzy i był ubrany w odzienie zwykłego żołnierza – jak descottyjski sierżant kawalerii, którym zapewne by był, gdyby nie urodził się w szlacheckiej rodzinie. Mundur ten wywołał kilka radosnych okrzyków i ostrożnego poklepywania po plecach, gdy szedł przez stację z workiem garnizonowym przerzuconym przez ramię.

To *było* niezwykle. Obrzucono go pytaniami:

– Czy to prawda, że *heneralissimo* Whitehall własnoręcznie odciął głowę Aliemu?

– Czy przeprowadza jeńców ulicami?

Uśmiechnął się krzywo i wskazał na swój bandaż. Ktoś wcisnął mu w dłoń bukłak z kozłej skóry

z winem i gratisowy bilet na walki byków. Porzucił obie te rzeczy przy portyku stanowiącym wejście na stację kolejową – następny projekt budowniczy Barholma – i zagłębił się w ulice. Roilo się na nich od ludzi, mimo iż były to jeszcze normalne godziny pracy. Miejskie sługusy zawieszały wstążki i chorągiewki na słupach latami gazowych, a gdy wóz zaprzężony w woły ze stosem wielkich beczek z winem zatrzymał się na rogu, dały się słyszeć potężne wiwaty.

Cały ten sztafaż, pomyślał ironicznie. Skinął głową, gdy tłum zaczął skandować jego imię, kiedy na rogu wyładowano beczkę wina. Barholm nie zignoruje czegoś takiego. Było wystarczająco źle, że Raj był popularny wśród żołnierzy. To, że miał po swojej stronie

motłoch ze stolicy, będzie ostatnim gwoździem do trumny gubernatora, niezależnie od tego jak Raj zdusił zamieszki zwycięstwa sześć lat temu. Zastanawiam się, czy oni wiedzą, że skazują mnie na śmierć? – zastanawiał się.

Pewnie nie. Byli bardzo przestraszeni, więc tym silniejsza będzie płynąca z ulgi euforia.

Cóż, *przynajmniej* żołnierze nie będą mieli żadnych problemów z dostaniem trunku ani dupy, gdy przyjadą. Zasługiwali na to.

Znajdował się na tyle blisko, aby usłyszeć dwóch mężczyzn zanurzających swoje kubki w otwartą beczkę wina. Nosili sięgające kolan bryczesy, koszule z długimi rękawami i skórzane fartuchy zamożnych rzemieślników. Ich buty miały porządne cynowe sprzączki.

– Za messera Raja i pogwałcenie wszystkich brudasów – rzekł jeden, wypijając. – Ach, niezłe.

– Wygląda na to, że Barholmowi znowu się udało – odparł drugi. – To sprawi, że zachowa Krzesło aż do śmierci.

– Może ze trzydzieści lat.

– Jeszcze trzydzieści lat Barholma. Duchu. Ach, w każdym razie jego wino jest dobre, a my sobie na nie zasłużyliśmy – opłaciły je nasze podatki. Za messera Raja, Mihwel.

– Za miecz Ducha Człowieka, nie zobaczymy już nikogo takiego jak on, pech.

Raj zanurkował w wykładane kaflami wejście do publicznych łaźni. *Gdzie...*

Centrum wyświeśliło strzałkę nad jednymi z drzwi. Fakt, że łaźnie miały połączenie z katakumbami, nie był zaskakujący. Cała ta część miasta leżała nad starożytnymi tunelami.

* * *

– Raj!

Thom Poplanich poruszył się, powracając do życia w lustrzanej kuli stanowiącej fizyczną istotę Centrum.

Chwycił przyjaciela za ramiona. – Dokonałeś tego! – Jego oczy dostrzegły świeże bruzdy, opaloną, przypominającą rzemień skórę wysuszoną od słońca doliny Drangosh i niesionego wiatrem piasku. – Dokonałeś tego!

Raj odpowiedział na *embrahzo*.

– Wypełniłem swój obowiązek – powiedział cicho. Potrząsnął głową, jakby ogrom tego dopiero teraz do niego dotarł. – Zjednoczyłem Ziemię...

>>Bellevue.<<

– Bellevue pod auspicjami Świętej Federacji i Ducha Człowieka Gwiazd.

– Upadek dobiegł końca – wyszeptał z podziwem Thom. – Po tysiącu lat dobiegł końca.

>>Zaczął się kolejny cykl<< wyjaśniło Centrum. >>To jest dopiero początek, lecz najbardziej prawdopodobny trend został odwrócony. Tutaj na Bellevue nie ma już silnego pędu ku maksymalnej entropii, a z Bellevue można będzie z czasem odzyskać ludzki wszechświat. Piętnaście tysięcy lat barbarzyństwa zostało zredukowane do maksymalnie kolejnych pięciu wieków. Dalej stochastyczna analiza jest już nie do zastosowania. Moje przewidywania wskazują iż ludzkie możliwości przerosną moje zdolności analityczne.<<

Raj się zaśmiał i przesunął dłonią po poproszonych siwizną kędziorach. – Czuję się jak człowiek, który zbiegał po schodach i nie zauważył, że schody się skończyły – powiedział. – Żołnierze i Koloniści są w drodze powrotnej, trochę to zajmie, ale pierwsze pociągi powinny przyjechać za parę godzin. Przyszedłem, żeby się pożegnać, zanim...

Uśmiech Thoma zgasł. – Zanim co? – spytał ostro.

Raj podniósł wzrok zaskoczony tonem rozkazu w głosie drugiego mężczyzny. – Zanim zamelduję się przed gubernatorem – powiedział.

– Który już cię nie potrzebuje. Który się ciebie obawia – powiedział Thom.

Raj wzruszył ramionami. – Wypełniłem swój obowiązek względem Ducha Człowieka. Nie zamierzam się wzdragać przed końcem. Barholm nie może zabić mnie bardziej niż kula Kolonistów czy miecz Brygadowca. Wojaczka to nie jest bezpieczna profesja.

Thom się odwrócił ze straszonym gniewem malującym się na twarzy. – Nie ma po temu potrzeby! Nie ma po temu potrzeby teraz – a nawet gdyby była, to władca, który tak traktuje wiernego sługę, nie zasługuje na rządzenie, nie zasługuje na istnienie. Czyż Raj nie zrobił już dosyć? Więcej niż potrafiłby zrobić jakikolwiek człowiek?

Okrzyk zadzwonił w ciasnym wnętrzu kuli, a potem umilkł, jakby materiał uległ zmianie, aby go pochłonąć.

>>Raj Whitehall ma jeszcze jedno zadanie do wypełnienia.<<

Raj położył uspokajająco rękę na ramieniu Thoma. – Wiem. Powiedziałem, że mogę ponieść śmierć.

>>Nie takie.<<

Obydwaj mężczyźni drgnęli.

>>Od sześciu lat szkoliłem tutaj twego przyjaciela do rządzenia, tak jak ciebie szkoliłem do walki. Teraz nadszedł czas, aby osadzić go na tronie zjednoczonej planety. Powinno się to okazać łatwe w porównaniu z rzeczami, jakich już dokonałeś w mojej służbie.<<

Lustrzana kula błysnęła i znikła. Stanowili bezcielesne punkty obserwacyjne, przyglądające się jak ogromny tłum płynie przez ogrody Pałacu Gubernatora, pokrzykując i

kłębiąc się dokoła żelaznego kordonu strzegących go żołnierzy. Raj rozpoznał patki 5 z Descott i Rzeźników z Rogor, Kirasjerów i jednostek Brygadowców... oraz Kolonistów, wciąż w swoich

czerwonych jellabach, lecz z karabinami ze zbrojowni.

Otworzyły się wielkie mahoniowe wrota z wykutymi w srebrze Rozbłyskami Gwiazd. Przeszedł przez nie Barholm Clerett – obandażowany i posiniaczony, z rękoma związanymi z przodu. Gerrin Staenbridge szedł koło niego z dobytym pistoletem, po drugiej stronie Barton Foley, a po obu szereg Descottczyków z nasadzonymi bagnietami. Pognali Barholma o pustym spojrzeniu do zamkniętego powozu u stóp marmurowych schodów. Ustawili się dokoła niego żołnierze z 1 Kirasjerów, wierzchem i z dobytymi szablami, a woźnica pognął do roboty zaprzęg złożony z białych ogarów. Tłum rozstał się niechętnie. Kilka kamieni i bryłek psiego gówna poleciało w stronę powozu.

– Na słup z tyranem Barholmem!

– Śmierć Barholmowi, pożeraczowi podatków!

– Wykopać kości Barholma!

Zgiełk mógł przerodzić się w zamieszki, lecz z balkonu w górze trębacze odegrali uroczystą fanfarę. Wysokie okna się otworzyły, a Raj Whitehall wyszedł i zatrzymał się z rękoma splecionymi z tyłu.

Powoli zapadała cisza, choć dźwięk dochodzący od tłumu był niczym odległe morze albo szelest liści w gęstym lesie.

Raj usłyszał swój własny głos. Świetna akustyka półkolistego frontu pałacu niosła go ponad głowami tłumu.

– Obywatele Świętej Federacji! Tyran Barholm został pozbawiony Krzesła!

Wybuchły masowe wiwaty, niczym grom, oraz okrzyki obwołujące go gubernatorem. Znowu uniósł dłonie.

– Jestem mieczem Ducha Człowieka, lecz nie wicekrólem Ducha na Ziemi. Obywatele, daję wam gubernatora. Gubernatora Poplanicha, wnuka gubernatora Poplanicha, prawowitego dziedzica Krzesła.

Posuwając się powoli i majestatycznie, jak wymagały tego regalia, Thom Poplanich wyszedł, by stanąć obok swego generała. Blask słońca płonął na metalicznych szatach, na klawiaturze i igle w jego dłoniach.

– Mój ludu – zaczął.

>>Obserwuj.<<

Kula zamrugała. Raj zobaczył siebie stojącego pod wielką kopułą katedronu, który wybudował Barholm. Trwał ślub. Mężczyzna i kobieta stali w lśniących szatach przed

patriarchą, arcysysupem Wschodniej Rezydencji, ze splecionymi dłońmi przewiązanymi świętym kablem. Mężczyzną był Thom Poplanich. Kobieta miała ciemną cerę i okrągłą, zwyczajną twarz z inteligentnymi, czarnymi oczami błyszczącymi podnieceniem. Raj zobaczył samego siebie, jak postępuje do przodu i udziela odpowiedzi świadka. Była to wyraźnie wielka państwowa uroczystość. Oprócz wielmoży i duchownych byli tam jego towarzysze i Suzette...

Tewfik ibn'Jamal stał po drugiej stronie młodej pary, w miejscu przeznaczonym dla ojca panny młodej. Jego oko spotkało na chwilę wzrok obrazu Raja i mrugnęło.

>>Obserwuj.<<

Stojący kanclerz Tzetzas z pogardą odwrócił twarz ku podziobanemu dziurami ceglanemu murowi. Za nim oficer plutonu egzekucyjnego uniósł szablę. Wycelowano karabiny, które rzygnęły dymem...

>>Obserwuj.<<

Raj stał w pomieszczeniu próbnym zbrojowni, przyglądając się karabinowi. Raj był teraz starszy, z włosami w większości posiwiałymi. Broni w jego rękach młodszy Raj nie rozpoznał. Była gruba i krótka z magazynkiem pudełkowym poniżej łoża i dźwignią kurka z boku. Uniósł ją i wystrzelił. Karabin strzelał raz po raz, plując na prawo pustym mosiądzem jedynie po pociągnięciu za spust; A z lufy nie unosił się dym...

>>Obserwuj.<<

Tłum gapiących się wieśniaków stał na skraju pola pszenicy – gdzieś w środkowych prowincjach, sądząc po płaskim terenie i szerokim, bezdrzewnym horyzoncie. Za nimi znajdowały się nory z błota, w których mieszkali. Przed nimi ogromna, szczękająca maszyna parsknęła, wycofując się, a potem ruszyła w dojrzałe zboże. Posuwała się powoli, a wirujące urządzenie przypominające szkieletowy cylinder z deszczulek pochylało kłosa. Obok niej posuwał się ciągnięty przez woła wóz, do którego przez koryto sypało się zmłócone ziarno, gdy maszyna wgrzyzała się w pszenicę. Gdy Raj się przyglądał, skosiła tyle ziemi, co tuzin wieśniaków w ciągu dnia. Sądząc po słońcu, minęła ledwo godzina.

>>Obserwuj.<<

Posępni Skinnerzy-nomadzi o ogolonych głowach oddawali wielkie karabiny do zabijania sauroidów oficerowi w mundurze Rządu Cywilnego. Za oficerem stał ogromny silnik na połączonych stalowych kołach, drgając metalicznym życiem. Podwójne ślady jego przejścia ciągnęły się w dal, a jego opancerzony kadłub jeżył się od broni. W górze krążyła latająca maszyna ze sztywnymi skrzydłami niczym szybujący pterosauroid, i wirującym śmigłem z tyłu.

>>Obserwuj.<<

Starszy Raj stał ponownie w katedronie. Była z nim Suzette, także starsza, lecz uśmiechająca się. Pan młody podszedł na swoje miejsce pod kopułą. Przez chwilę Raj myślał, że to Thom, potem jednak zobaczył różnice: ciemniejszą cerę i zakrzywiony nos. *Syn Thoma*, uświadomił sobie.

Obraz Raja starszego o dwadzieścia lat postąpił do przodu, a palce panny młodej spoczywały na jego ramieniu. Zielone oczy młodej kobiety błyszczały.

>>Obserwuj.<<

Barton Foley jako starszy człowiek, w oficjalnym, cywilnym ubraniu szlachcica. Stał w pokoju wykładowym pałacu i skłaniał głowę, gdy urzędnik, którego Raj nie rozpoznał, wkładał mu przez głowę medalion na złotym łańcuchu. Obok niego na stole spoczywała księga. Wytłoczone na okładce litery głosiły: *Raj Whitehall i jego czasy*.

>>Obserwuj.<<

Spoglądał w dół z dachu wielkiej szopy. Pyłki kurzu w powietrzu podskakiwały wstrząsane siłą znajdującej się poniżej energii. Niepojęte maszyny przepelzały na pasie transmisyjnym. Wokół nich

roilo się od mężczyzn i kobiet w kombinezonach, mocujących części przy pomocy narzędzi, które brzęczały, piszczały, furkotały i obsypywały deszczem iskier betonową podłogę.

Zawyła syrena. Hałas umilkł, jakby przecięty nożem, a robotnicy odłożyli narzędzia i odwrócili się, aby gromadnie opuścić ogromny budynek.

>>Obserwuj.<<

Tłum zebrał się wokół cokołu we Wschodniej Rezydencji. Byli wystarczająco znajomi, aby być niepokojący: mężczyźni z kitkami, kobiety w skandalicznie krótkich spódniczkach sięgających kolan. Na plakacie napisano: *Zorganizować wybory do Senatu Doradczego. A pod tym: Głosujcie za reformą! Ustawa przeciwko pracy przymusowej potrzebuje waszego poparcia!*

>>Obserwuj.<<

Pociąg przemknął obok. Raj sądził, że to jest pociąg. Unosił się ponad szynami bez żadnego widocznego podparcia, a lokomotywa bardziej przypominała kulę karabinu albo pocisk artyleryjski niż cokolwiek, co znał. Szum towarzyszący jego przejazdowi pozostał w powietrzu na długo po tym, gdy sam zniknął za horyzontem.

>>Obserwuj.<<

Aleja we Wschodniej Rezydencji z widokiem na zatokę. Raj rozpoznawał kilka budynków: katedron, pałac. Większość reszty uległa zmianie, a style były całkowicie obce.

Przed nim znajdowało się mauzoleum. Punkt obserwacyjny przybliżył się. Ściany wokół cokołu pokryte były płaskorzeźbą ukazującą jego żołnierzy. Maszerujących, rozbijających obóz, nacierających z wymierzonymi bagnetami. Na środkowej kolumnie znajdowały się płaskorzeźby z brązu. Tutaj rozpoznawał twarze: Gerrin, Barton, Kaltin – wszyscy jego towarzysze oraz Suzette. Ich złączone ręce opasywały szeroką kolumnę.

Na szczycie znajdował się posąg. Jeździec, na wielkim, czarnym psie. Był uzbrojony, lecz jego wyrzucona przed siebie ręka była pusta, wskazując ku niebu. Poniżej napisano złotymi literami:

RAJ WHITEHALL. ZDOBYWCA POKOJU.

W oddali, z zatoki, przy której leżała przystań Wschodniej Rezydencji, coś ogromnego wznosiło się ku niebu na słupach z bladego ognia.

Gołębie zerwały się z potężnym furkotem skrzydeł spod posągu, gdy grom z silnika statku kosmicznego przetoczył się przez plac.

Koniec Księgi Piątej